

YRSA

SIGURÐARDÓTTIR

PORACHUNKI

„YRSA SIGURÐARDÓTTIR MA NIESAMOWITY DAR DO MIESZANIA WĄTKÓW MAKABRYCZNYCH Z CIERPKIMI, KTÓRE ŁĄCZY Z WNIKLIWĄ OBSERWACJĄ ZWYCZAJNEGO ŻYCIA I OKRASZA CZARNYM HUMOREM”

CRIME REVIEW



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

YRSA

SIGURDARDÓTTIR

PORACHUNKI

Z języka angielskiego przełożył
Paweł Cichawa



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału islandzkiego: *Sogið*
Tytuł oryginału angielskiego: *The Reckoning*

Copyright © Yrsa Sigurdardóttir 2015
Published by agreement with Salomonsson Agency

Copyright © 2019 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2019 for the Polish translation by Paweł Cichawa (under exclusive license to
Wydawnictwo Sonia Draga)
Książkę przełożono z języka angielskiego. Z języka islandzkiego na angielski przełożyła
Victoria Cribb.

Projekt graficzny okładki: Anna Slotorsz / artново.pl
Zdjęcie autorki: © Lilja Birgisdóttir

Redakcja: Marta Mizuro
Korekta: Marta Chmarzyńska, Joanna Rodkiewicz

Ta książka została opublikowana przy finansowym wsparciu Icelandic Literature Center.



ICELANDIC LITERATURE CENTER

ISBN: 978-83-8110-909-3

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2019

Skład wersji elektronicznej:

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Wrzesień 2004

Prolog

2016

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Epilog

Tę książkę dedykuję Mjásie i Pilli.
– *Yrsa*

Wrzesień 2004

Prolog

Budynek szkolny rzucał chłodny cień na pusty dziedziniec. Poza nim świeciło słońce. Nieliczni przechodnie po wejściu w ten cień ciaśniej się owijali kurtkami i przyśpieszali kroku, żeby jak najszybciej znów dotrzeć do rozgrzewających promieni. Tam, gdzie dochodziły, było przyjemnie, tylko na dziedzińcu wiał lodowaty wiatr, budząc do życia stojące w rogu huśtawki. Poruszały się powoli w przód i w tył, jakby kołysane przez niewidzialne dzieci – tak znudzone jak Vaka. Gorszy od nudy był jednak chłód, od którego aż bolały ją palce u nóg. Zresztą cała była przemarznięta. Siedzenie na betonowych schodach tylko pogarszało sytuację, ponieważ watowana kurtka była za krótka, żeby przykryć jej pośladki. Vaka powinna była posłuchać matki i wybrać dłuższą, ale wszystkie dłuższe były granatowe, a czerwoną mieli tylko kurtkę do pasa.

Vaka poprawiła tornister na plecach. Przyszło jej do głowy, że mogłaby przejść na słoneczną stronę. Tam przynajmniej byłoby jej ciepło, choć oczywiście tam też musiałaby czekać sama i też by się nudziła, nie mając na co patrzeć. Ale cień budynku szkolnego sięgał daleko, więc się bała, że gdyby wyszła za jego mroczną granicę, tata mógłby jej nie zauważyć i znów odjechać. Nie, lepiej znosić chłód niż podjąć takie ryzyko.

Nadjechał samochód takiego samego koloru jak auto jej ojca, ale szybko się zorientowała, że był innej marki, a prowadzi go inny mężczyzna, i znów straciła humor. Czyżby o niej zapomniał? To był jej pierwszy dzień w nowej szkole, tymczasem on założył pewnie, że skończy zajęcia jak zwykle. Chyba po raz setny zatęskniła za swoim starym domem. W nowym lepszy był tylko jej pokój, większy i o wiele fajniejszy od tego, który zajmowała w poprzednim mieszkaniu. Wszystko inne się zmieniło na gorsze, włącznie ze szkołą. No i dziećmi. Nikogo znajomego. W poprzedniej klasie знаła wszystkich, wiedziała nawet, jak nazywają się zwierzęta domowe innych dziewczynek. Teraz miała w głowie tylko mnóstwo imion oraz twarzy, których nie potrafiła z nimi połączyć. Zupełnie jak w grze pamięciowej, którą

wygrywała tylko wtedy, gdy mama specjalnie grała tak, żeby przegrać.

Vaka pociągnęła nosem. Ile czasu minie, zanim tata sobie przypomni, że ma po nią przyjechać? Przebiegła wzrokiem front budynku szkolnego, mając nadzieję, że kogoś zauważy, ale wszystkie okna były ciemne i nie dostrzegła żadnych oznak ludzkiej obecności. Kolejny podmuch wiatru smagnął jej policzki, aż zadygotała. Podniosła się z miejsca i ruszyła po schodach do wejścia. W środku na pewno został ktoś dorosły i pozwoli jej skorzystać z telefonu. Ale drzwi były zamknięte. Pukanie nic nie dało; grube drewno tłumiło dźwięk. Opuszczając pięść, patrzyła na drzwi z nadzieją, że mimo wszystko staną otworem. Nic się jednak nie stało. Równie dobrze mogła więc ponownie zejść na dół. Może stopnie schodów nie będą teraz takie lodowate.

Odwróciła się i natychmiast przestała myśleć o dojmującym chłodzie. U podnóża schodów stała dziewczynka, z którą chodziła do nowej klasy. Vaka w ogóle nie usłyszała jej kroków. Może więc dziewczynka podkradła się na palcach, chociaż Vaka nie potrafiła sobie wyobrazić, po co niby miałyby to robić. Nie wyglądało na to, że chce jej dokuczyć, przecież nie były wrogami. Wcale się nie znały, lecz Vaka ją zapamiętała. Nie mogło być inaczej: u jednej z dłoni dziewczynka nie miała dwóch palców, małego i serdecznego. Podczas lekcji siedziała sama w pierwszej ławce i wydawała się bardzo spokojna. Najpierw Vaka pomyślała, że tamta też jest nowa, ale nauczycielka nie przedstawiła jej klasie, tak jak przedstawiła Vakę. Dziewczynka nie odezwała się ani słowem, w czasie gdy uczniom pozwolono ze sobą rozmawiać podczas lekcji. Na przerwach trzymała się z boku, wpatrzona przed siebie, tak jak Vaka w tej chwili. Zachowała obojętny wyraz twarzy nawet wtedy, gdy dwaj chłopcy zaczęli skandować wyliczankę, którą Vace recytowała kiedyś babcia: *Siostró palec, siostró palec, gdzie jesteś? Bracie palec, bracie palec, gdzie jesteś?* Vaka uznała, że to strasznie podłe, ale żadne z pozostałych dzieci nawet nie mrugnęło. Ostatecznie więc odwróciła wzrok, nie mając odwagi się wtrącić. Była przecież nowa.

– Jest zamknięte. – Przez twarz dziewczynki przemknął nieśmiały uśmiech, który zniknął niemal tak szybko, jak się pojawił, może więc było to tylko złudzenie optyczne, ale Vaka odniosła wrażenie, że dziewczynka bez palców ma ładną twarz. – Zawsze zamykają po skończonych lekcjach.

– Aha. – Vaka przestępowała z nogi na nogę, nie wiedząc, co powiedzieć. Nigdy nie umiała nawiązywać znajomości ani rozmawiać z nieznanymi, w dodatku to był pierwszy raz tego dnia, gdy ktoś spróbował wyciągnąć ją ze

skorupy. – Chciałam zadzwonić.

– W sklepie jest telefon. To niedaleko stąd. – Wskazała na ulicę. Okaleczoną dłoń ukrywała pod rękawiczką z jednym palcem.

Vaka przełknęła ślinę i odpowiedziała z zakłopotaniem:

– Nie mam pieniędzy. – Mama obiecała wypłacać jej kieszonkowe w każdy piątek, ale zawsze zapominała. Zwykle nie miało to znaczenia, ale zdarzały się dni, na przykład dzisiejszy, kiedy złościło. Tak samo jak to, że tata zapominał po nią przyjechać. Dorośli są do niczego, gdy w grę wchodzi pamiętanie o różnych rzeczach.

– Aha. – Dziewczynka zrobiła smutną minę. – Ja też nie. – Otworzyła usta, żeby coś dodać, ale się rozmyśliła i znów je zamknęła. W odróżnieniu od kurtki Vaki, która została kupiona trochę na wyrost, jej skafander był sporo za mały, miał za krótkie rękawy i nawet się nie dopinał. Dziewczynka nie nosiła też czapki i wiatr targał jej włosy. Mimo że na dworze było sucho, założyła stare wyblakłe kalosze, za to jej rękawiczki wyglądały na czyste i nowe.

– Trudno, zaczekam – stwierdziła Vaka, choć nie udało jej się uśmiechnąć. Niełatwo się czekało z poczuciem niepewności. Gdyby tata przyjechał na czas, siedziałyby już w nowej kuchni, zajadając grzanekę. Mogłaby się delektować smakiem roztopionego masła i dżemu. Ta myśl tylko zaostriła jej poczucie głodu.

Dziewczynka przestępowała z nogi na nogę.

– Mam zaczekać tu z tobą? – zapytała, patrząc nie na Vakę, lecz w bok, na pusty plac zabaw. – Mogę, jeśli byś chciała.

Vaka nie była pewna, co odpowiedzieć. Czy poczułaby się lepiej, czy gorzej? Miała do wyboru marznąć samotnie albo znaleźć jakiś temat do rozmowy z dziewczynką, której imienia nawet nie znała. Ale mimo zaledwie ośmiu lat życia Vaka wiedziała, że na niektóre pytania jest tylko jedna właściwa odpowiedź.

– Tak, proszę. Jeśli masz na to ochotę – oznajmiła, gdy zaś dziewczynka odwróciła się z promiennym uśmiechem, Vaka dodała: – Ale będę musiała się zbierać, jak tylko przyjedzie tata.

Uśmiech zniknął i wróciła obojętna mina.

– Tak, pewnie.

Pamiętając, jak chłopcy dokuczali jej nowej znajomej i jaka samotna jej się wtedy wydawała, Vaka próbowała jakoś jej to wynagrodzić.

– Może odwiózłby także ciebie? – palnęła, niemal natychmiast żałując swojej propozycji. Często słyszała, jak rodzice narzekają na ceny benzyny. Nie chciała prosić ojca, żeby nadkładał drogi, zwłaszcza że po kupnie tego nowego mieszkania było krucho z pieniędzmi. – Daleko mieszkasz?

– Nie, tam z tyłu – odpowiedziała dziewczynka i wskazała na budynek, prawdopodobnie mając na myśli rząd domów, który Vaka widziała, włączając się za szkołą podczas przerwy. Od terenu szkolnego oddzielał je wysoki płot, za którym piętrzyły się różne śmiecie: rozpadające się i blaknące opakowania, strzępy papieru, plastikowe torby i uschłe liście. Vaka nie lubiła śmieci, ale ponieważ tylko tam nie było słychać okrutnego skandowania chłopców, podeszła do ogrodzenia, ignorując śmietnisko.

Przeglądała się tym domom, ciesząc się, że rodzice nie kupili jednego z nich. Były tak samo niechlujne i zanieczyszczone jak płot; łuszczyła się z nich farba, a otaczające je ogrody zamieniły się w dżunglę. Vaka zerknęła na stary zardzewiały grill ogrodowy wystający nad wysokie chwasty. Wyglądało to tak, jakby rośliny wyrastały z niewielkich otworów pokrywy. W niemytych oknach wisiały krzywo brudne zasłony. W niektórych zamiast zasłon użyto koców, inne zasłonięto starymi gazetami albo kawałkami tektury. Poruszona tym widokiem Vaka odwróciła się i wróciła do reszty dzieci, które nadal zachowywały się tak, jakby nie istniała.

Ale ulica za płotem miała jedną zaletę: była blisko szkoły. Może więc Vaka mogłaby skorzystać z telefonu w domu tej dziewczynki? Dojście tam zajęłoby tylko kilka minut i tata nie odjechałby daleko, gdyby się pojawił akurat pod jej nieobecność. Zebrała się na odwagę.

– A może mogłabym zadzwonić od ciebie? – zapytała.

Wystraszona mina, którą dziewczynka zareagowała na tę prośbę, wprowadziła Vakę w zakłopotanie.

– Ode mnie? – Przełknęła ślinę i spuściła wzrok. Wpatrzona we własne rękawiczki ścisnęła okaleczoną dłoń. – Nie mogłybyśmy poczekać tutaj? Twój tata na pewno niedługo przyjedzie.

– No tak. – Vaka znów poprawiła tornister. Wydawał jej się coraz cięższy, jakby dociążany przez każdą kolejną minutę oczekiwania. – Ale jeśli pozwolisz mi od siebie zadzwonić, to potem możemy pojechać i pobawić się u mnie. – Vaka przypuszczała, że dziewczynka będzie wdzięczna za tę propozycję, skoro mieszkała w jednym z tych okropnych domów. Może dlatego tak źle przyjęła prośbę o skorzystanie z telefonu. Może nie chciała,

żeby ktoś oglądał jej pokój.

Dziewczynka wyraźnie się wahała.

– Dobra. Ale będziesz musiała się pośpieszyć. No i potem pojedziemy do ciebie się pobawić. Aha, i pamiętaj, żeby nie hałasować. Mój tata na pewno śpi.

Vaka skinęła głową, zadowolona z takiego obrotu sprawy i z tego, że się zaprzyjaźni z kimś z nowej klasy. Oczywiście wolałaby poznać inne dziewczynki, zwłaszcza te najpopularniejsze, ale one wszystkie potraktowały ją chłodno, najwyraźniej nie potrzebując kolejnych znajomych. Może ta dziewczynka się okaże fajna mimo brakujących palców. Przynajmniej nie jest skąpa.

Gdy jednak ruszyły się z miejsca, Vakę opadły wątpliwości. Przypomniała sobie, jak wyglądają te zaniedbane domy, i poczuła, że nie chce wchodzić do żadnego z nich. Lepiej byłoby czekać na tych zimnych schodach. Było jednak za późno. Opuściły już teren szkolny i zbliżały się do osiedla, idąc teraz w słońcu.

Ale Vaka wcale nie czuła słonecznego ciepła. Z każdym krokiem robiło jej się zimniej.

Na próżno szukała jakiegoś pretekstu, żeby zawrócić, nie raniąc uczuć tej dziewczynki. Jej nowa koleżanka milczała, zapewne także świadoma, że każdy krok przybliżyła je do celu. Nie zamieniły ani słowa, dopóki nie stanęły na popękany chodniku przed jednym z budynków. Vaka przebiegła wzrokiem fasadę domu, starając się nie poruszać przy tym głową, żeby jej towarzyszka się nie zorientowała. Zdaje się, że był to najbardziej zaniedbany dom na całej ulicy.

Miał dwie kondygnacje i dach pokryty blachą falistą, która od lat nie widziała pędzla. Ogród był tak samo zaniedbany jak te, które Vaka oglądała przed południem. Między mleciami, zielskiem i skarłowaciałymi krzewami leżał dziecięcy rowerek trójkołowy, odrapany jak sam dom. Niemal wszystkie okna od frontu miały popękane szyby i od dawna nikt nie wpadł na pomysł, żeby powiesić w nich lepsze zasłony. Na dodatek jeszcze drzwi wejściowe krzywo wisały na zawiasach. To nie było dobre miejsce.

Vaka przeczesywała myśli, próbując znaleźć jakikolwiek powód, by zawrócić. Za późno. Dziewczynka spojrzała na nią smutno.

– To mój dom – oznajmiła. – Chodź, tylko nie hałasuj, i się pośpiesz. Potem pojedziemy do ciebie, żeby się razem pobawić, prawda? – Jej

bezbarwne oczy rozblęsnęły niecierpliwym oczekiwaniem i Vaka nie miała wyjścia. Musiała przytaknąć.

Z ciężkim sercem ruszyła za dziewczynką, mając wrażenie, jakby ktoś wypełnił jej tornister kamieniami. Każdy krok był męczarnią. Miała takie poczucie jak zawsze, gdy robiła coś, czego nie powinna robić. Jak wtedy, gdy rodzice organizowali przyjęcie i próbowała przenieść za dużo talerzy naraz. Podniosła je i od razu wiedziała, że stos jest dla niej za ciężki, ale mimo to go wzięła. Zaraz potem talerze roztrzaskały się co do jednego. Teraz czuła to samo.

Dziewczynka przystanęła, kładąc dłoń na klamce.

– Chodź. Pamiętaj, żeby się śpieszyć. – Zniżyła głos niemal do szeptu, jakby w środku czyhał jakiś potwór, który nie mógł się dowiedzieć o ich istnieniu.

Vaka skinęła głową z niepokojem i weszła na ostatni schodek przed drzwiami. Chwilę potem znalazła się w środku. Przywitały ją smród dymu papierosowego i kwaśny zapach, który natychmiast sprawił, że zmarszczyła nos. Dziewczynka zamknęła za nimi drzwi i ciemność jeszcze zgęstniała. Może i dobrze. Ukryła panujący w domu bałagan i pełną obrzydzenia minę, która zagościła na twarzy Vaki.

– Telefon jest na górze. Chodź – szepnęła dziewczynka ledwo dosłyszalnie. Vaka szybko przyzwyczaiała oczy do mroku i zauważyła, że dziewczynka ciągle się rozgląda na boki, po czym przywołuje ją zniecierpliwiona brakiem reakcji. Ona zdążyła już zdjąć skafander i rękawiczkę, tylko jedną.

Vaka oderwała wzrok od jednopalcowej rękawiczki ukrywającej niedoskonałość dłoni i ostrożnie ruszyła w głąb holu. Niemal w tej samej chwili nad ich głowami zaskrzypiały deski podłogowe. Nowo poznana koleżanka spojrzała do góry. Twarz wykrzywił jej strach.

Vaka zeszywniała i poczuła, że oczy pieką ją, jakby miała się rozpłakać. Po co ona tu przyszła? Wyrwało jej się westchnienie, ale prawie nie było go słychać mimo panującej w domu ciszy. Popełniała potworny błąd. Gorszy niż z talerzami. Sparaliżowana strachem, nie potrafiła rozsądnie ocenić tego, co się dzieje. Po głowie kołatała jej się tylko jedna myśl: że nie ma pojęcia, jak ta dziewczynka ma na imię.

Policja z Hafnarfjörður prosi o pomoc w odnalezieniu zaginionej

dziewczynki. Ośmioletnia Vaka Orradóttir była ostatni raz widziana, gdy po lekcjach wychodziła ze szkoły w Hafnarfjörður. Jest drobnej budowy ciała, ma jasnobrązowe włosy do ramion i była ubrana w czerwoną pikowaną kurtkę do pasa, czerwoną wełnianą czapkę oraz dżinsowe spodnie, miała różowe sportowe buty. Prawdopodobnie nadal znajduje się w okolicy szkoły. Wszystkich, którzy mogą pomóc w ustaleniu miejsca jej pobytu, prosi się o kontakt z policją w Hafnarfjörður pod numerem 525 3300.

2016

Rozdział 1

Huldar rzucił na biurko plik odbitek. Na blacie oprócz nich znajdowała się kolekcja do połowy opróżnionych kubków z kawą. Ostatnio trafiały do niego dochodzenia, których nikt inny w wydziale dochodzeniowo-śledczym nie chciał, na przykład sprawa tej szkoły, która pewnie skończy jako temat żartów w komisariacie – tak jak skończył on, dawny szef wydziału, który wypadł z łask i został zesłany do odległego kąta wielkiej sali, skąd ledwie widział swój dawny pokój.

Starał się nigdy nie patrzeć w tamtym kierunku. On sam miał gdzieś, że zleciał po szczeblach kariery, chodziło raczej o to, jak traktowali go dawni podwładni: zachowywali się tak, jakby jego upadek był zaraźliwy. To go bolało. Zakładał, że relacje z kolegami wrócą do stanu sprzed krótkotrwałego awansu, ale bardzo się pomylił. Ich milczenie, gdy się zbliżał, i szept, gdy odchodził, były tak nieznośne, że czasem pragnął wrócić na utraczone stanowisko.

To pragnienie nigdy jednak nie trwało długo. Niemal natychmiast przypominał sobie, jak bardzo nie lubił tego stanowiska. Niekończące się wypełnianie formularzy, pisanie raportów, odprawy i bezsensowna biurokracja. Gdyby wiedział wcześniej, z czym się wiąże ta funkcja, nigdy by jej nie przyjął. Ale niewiele mu wtedy powiedziano. Cała procedura ograniczyła się do jednego pytania: „Czy chciałbyś awansować?”. Na komendanta naciskano, żeby wyznaczył kogoś do kierowania dochodzeniem w głośnej sprawie morderstwa, a ponieważ większość starszych detektywów została zmuszona do usunięcia się w cień po serii skandali, wybór Huldara był właściwie przypadkowy. W innych miejscach pracy bierze się pod uwagę dyplomy uniwersyteckie albo zawodowe kwalifikacje, w policji natomiast o potencjalnej przydatności funkcjonariusza na stanowisku kierowniczym przesądzają zwykle jego wiek i długość służby, bo to łatwo porównywalne wartości. Po niedawnym zamieszeniu Huldar zaczął podejrzewać, że w jego przypadku przyjęto jeszcze łagodniejsze kryterium: oceniono jego wzrost.

Nabrał przekonania, że grube ryby wypatrzyły jego głowę wystającą nad pozostałymi. Lepiej by zrobił, gdyby przykucnął albo usiadł, bo nadal wykonywałby pewnie swoje stare obowiązki gdzieś pośrodku służbowej hierarchii, a nie na najniższym szczeblu.

Ale Huldar nie żywił urazy do tych, którzy wtedy dali mu szansę. Mógł przecież odmówić. Nie czuł też złości do tych, którzy zdecydowali o jego degradacji. Nie było mowy o utrzymaniu go na stanowisku przez dłuższy czas. Schrzanił śledztwo w sprawie morderstwa tak spektakularnie, że trudno byłoby jego błędy powtórzyć. Próbując wyjaśnić to jednej ze swoich sióstr, porównał swoje niepowodzenie do przypadku chirurga, który wbiegając na salę operacyjną ze skalpelem w uniesionej dłoni, potyka się o coś i upadając, odcina pacjentowi głowę.

Najgorsze, że pociągnął ze sobą na dno także Freyję, dyrektorkę Izby Dziecka. Urząd do spraw Nieletnich nie mógł przecież jej darować zastrzelenia mężczyzny w miejscu pracy, przeniesiono ją więc na stanowisko szeregowego psychologa dziecięcego.

Prawdę mówiąc, obydwójce powinni być wdzięczni, że po tym wszystkim nie musieli szlifować chodników w poszukiwaniu roboty.

Ale Freyja nie stawiała wdzięczności na pierwszym miejscu. Po tamtych pamiętnych zdarzeniach w Izbie Dziecka, którą kierowała, spotykali się sporadycznie, a i tak ledwie raczyła na niego spojrzeć. Aż kipiała wściekłością i niewątpliwie wściekała się właśnie na niego. Huldar skrzywił się na to wspomnienie. Wciąż żywił nadzieję, że mogą być razem – mimo niezbyt udanego początku, nierównego przebiegu i katastrofalnego finału ich znajomości. Mógł za to winić tylko siebie: pierwsze spotkanie narzuciło ton i było wręcz zaskakujące, że jakoś zdołał ją sobie ponownie zjednać, choć raczej na krótko. Ponieważ wcześniej kilka razy się sparzył na kontaktach z kobietami spotykanymi w klubach, poznaney w ten właśnie sposób Freyi przedstawił się jako stolarz i nie wyjawiał jej prawdy po tym, jak spędzili razem noc. Niewiele znał kobiet, które leciały na gliniarzy. Jakby tego było mało, podał jej swoje drugie imię, Jónas. Gdy później ich drogi się przecięły podczas śledztwa w sprawie morderstwa, które jak się potem okazało, przepuściło reputację zawodową obydwójga przez niszczarkę do papieru, jego wstrętne kłamstwa wyszły na jaw: stolarz Jónas okazał się Huldarem, funkcjonariuszem z biura komendanta policji.

Ale skoro wtedy do czegoś między nimi doszło, to może i teraz da mu

kolejną szansę. Ta myśl podniosła go na duchu.

Uśmiechnął się do młodego policjanta siedzącego naprzeciwko. Ten odpowiedział nieśmiałym uśmiechem, po czym znów opuścił wzrok na ekran monitora. Ale raczej nie wyświetlało się na nim nic specjalnie interesującego, ponieważ chłopak zaczął pracę w wydziale dochodzeniowo-śledczym tak niedawno, że w hierarchii plasował się jeszcze niżej niż Huldar, a więc najniżej, jak to tylko jest możliwe. Świeżak był teraz jedyną osobą w całym wydziale, która cieszyła się mniejszym szacunkiem niż Huldar, ale ten stan rzeczy zapewne niebawem się zmieni.

– Zarobiony? – Huldar starał się powściągnąć szyderstwo w głosie. Chłopak był absurdalnie wrażliwy. Nie zaszkodziłaby mu z pewnością trochę grubsza skóra, ale niechby się do tego przyczynił kto inny. I bez martwienia się o detektywów, którzy mają mleko pod nosem, Huldarowi nie brakowało problemów.

– Tak. Nie. – Widoczne nad monitorem czoło chłopaka silnie się zaczerwieniło.

– To było potwierdzenie czy zaprzeczenie?

– Zaprzeczenie. Nie jestem zarobiony. Ale mam dużo pracy.

– Powiedziałbym, że to dobrze, gdy nie mamy wiele do roboty. Przynajmniej z punktu widzenia społeczeństwa.

Huldar rozsiadł się wygodniej i sięgnął po dokumenty. Im szybciej się upora z tym nonsensem, tym lepiej. Powstrzymał westchnienie, przebiegając wzrokiem po linijkach dziecięcego pisma: *W 2016 roku nie będą potrzebne samochody. Zamiast nich będą małe helikoptery z napędem solarnym. Zostanie wynaleziona lekarstwo na raka i inne poważne choroby. Ludzie będą żyli po 130 lat. Islandia nadal będzie najlepszym krajem na świecie! Elin, 9c.* Obok podpisu widniały dwa serduszka i dwie uśmiechnięte buźki. Chyba nigdy wcześniej nie natknął się w pracy na uśmiechnięte emotikony.

– Zamienisz się ze mną na solarne helikoptery? – Huldar odsunął na bok kilka pasów wertikalu, żeby wyjrzeć przez okno. W szary zimowy dzień solarny helikopter nie zebrałby dość energii, żeby się poderwać, a co dopiero utrzymać w powietrzu.

– Co? – Ton głosu młodego policjanta sugerował, że traktuje to pytanie jak rodzaj sprawdzianu.

– Nic. – Huldar nie miał siły na wyjaśnienia. Poprzedniego wieczoru wybrał się z kolegami do baru, za długo tam siedział i wypił o jedno piwo za

duzo. Młodziak albo nie słyszał o sprawie, którą Huldar musi prowadzić, albo zbyt wolno kojarzył.

– Czy my mamy helikopter?

– Tak – odpowiedział Huldar, ale natychmiast tego pożałował i się poprawił: – Nie. Nie mamy helikoptera. Po prostu muszę czytać dywagacje o przyszłości napisane przez zgraję dzieciaków dziesięć lat temu. Jedno z nich prognozuje, że będziemy korzystać z solarnych helikopterów. I chyba nie jest to najgłupszy pomysł, na jaki natrafię, przedzierając się przez te teksty.

Młody policjant przejechał swoim krzesłem na bok, żeby spojrzeć w twarz swojemu rozmówcy. Huldar wiedział, że chłopak ma na imię Gudlaugur, ale wszyscy w wydziale mówili na niego Gulli, mimo jego głośnych protestów. Niewątpliwie pozostanie Gullim, dopóki nie udowodni, że jest jednym z nich, jeśli oczywiście w ogóle mu się to uda. Nie wszyscy wytrzymywali do końca szkolenia.

– Po co w ogóle to czytać?

– Ponieważ znaleziono w nich niepokojącą wiadomość i dyrektor szkoły się skontaktował z policją. – Huldar wręczył Gulliemu kserokopię tekstu o helikopterze. – W tamtych latach nasi uczniowie współpracowali z rówieśnikami ze szkoły w Stanach Zjednoczonych i jedną ze wspólnych inicjatyw było stworzenie kapsuły czasu, którą następnie zakopano na dziedzińcu szkolnym. Chodziło o to, żeby po dziesięciu latach wykopać kapsułę i porównać spisane przewidywania. Uczniowie dziewiątej klasy uwiecznili przemyślenia o życiu w dwa tysiące szesnastym roku, po czym ich listy do przyszłości zamknięto w kapsule czasu. No i teraz się okazało, że jedno z tych dzieci zapowiedziało morderstwa kilku osób, a moje zadanie polega na tym, żeby ustalić które, bo wtedy psychiatrzy ocenią, czy teraz stanowi zagrożenie. Osobiście w to wątpię, ale i tak muszę zajmować się sprawą.

– Kto miał zostać zabity?

– Jest cała lista. Ale autor nie podał nazwisk, tylko inicjały, a w trzech przypadkach tylko jedną literę.

Huldar przekartkował kserokopie w poszukiwaniu podejrzanego listu. Tylko ten jeden szkoła przekazała mu w oryginale. Wręczając mu papiery, sekretarka zrobiła taką minę, jakby jej ulżyło, że teraz problemem zajmie się ktoś inny.

Przerzucał papiery, a Gudlaugur mu się przyglądał. Huldar nie mógł zaprzeczyć, że to miłe uczucie znowu wiedzieć, że ktoś z kolegów interesuje się tym, co robi. Trochę czasu minęło, odkąd ostatnio tak się czuł. Szkoda tylko, że ta sprawa to zwykła strata czasu.

– Nie można po prostu porozmawiać z tym uczniem? Nie byłoby chyba trudno ustalić jego miejsce pobytu.

– List jest niepodpisany.

– Co zamierzasz? Ustalić, które z dzieci nie umieściło listu w kapsule czasu? Porównać charakter pisma ze starymi klasówkami?

– Mniej więcej. Z kapsuły wyjęto o jeden list więcej, niż było uczniów w dziewiątej klasie, czyli jedno z dzieci wrzuciło dwa. Muszę zatem porównać list potencjalnego mordercy z pozostałymi wyjętymi z kapsuły. Szkoda, że dzieci tak gryzmoły, przynajmniej chłopcy.

– A to był chłopiec?

– Tak zakładam, sądząc po charakterze pisma. Ale może na przykład dziewczynka pisała lewą ręką.

– Są odciski palców?

Huldar parsknął śmiechem.

– Już widzę, jak dostaję pozwolenie na zebranie odcisków z sześćdziesięciu pięciu listów napisanych przez bandę nastolatków. Żeby je posłać do laboratorium, musiałbym mieć przynajmniej trupa. A najlepiej wszystkich sześć trupów. – Znalazł list z groźbami i po raz kolejny przeczytał w myślach: *W 2016 roku następujący ludzie umrą: K, S, BT, JJ, PV i I. Nikt za nimi nie będzie tęsknił. Na pewno nie ja. Nie mogę się doczekać.* Pod tekstem żadnych uśmiezków ani innych emotikonów.

– Czyli przypuszczasz, że ci ludzie nadal żyją?

– Nawet jestem o tym przekonany, ale mam tylko inicjały, nie mogę więc być całkiem pewien. – Huldar podał Gudlaugurowi list. – Sekretarka w szkole zapewniła mnie, że przez ostatnie dziesięć lat nikogo o takich inicjałach nie zamordowano. Potem wprawdzie dodała, że w 2013 roku został zabity mężczyzna o imieniu zaczynającym się na literę k, ale sprawcę tej zbrodni złapano i skazano, i nie był to dawny uczeń tej szkoły. Oczywiście będę musiał to sprawdzić, ale w tym kraju nawet szkolna sekretarka dałaby sobie radę ze sporządzeniem listy ofiar morderstw.

Gudlaugur się nie odezwał, dopóki nie skończył czytać. Potem spojrzął na Huldara z zagadkową miną. Twarz chłopaka miała jeszcze miękkie rysy, jego

nos i policzki pokrywały piegi, a na szczęście nie widniał nawet ślad zarostu. Wyglądał na mniej niż trzydzieści lat, czyli był niewiele starszy od autora listu dzisiaj.

– W Wikipedii jest strona – oznajmił, znów się czerwieniąc, co sprawiło, że wyglądał jeszcze młodziej. – O morderstwach na Islandii.

Huldar uniósł brwi.

– Ty ją redagujesz? – zapytał z przekąsem.

– Nie. Chciałem tylko o niej poinformować. Możesz zaoszczędzić trochę czasu, jeśli tam sprawdzisz nazwiska ofiar zbrodni.

Huldar pożałował, że znów sobie pozwolił na szyderstwo. Lepiej by zrobił, zaprzyjaźniając się z tym młodym człowiekiem – sojusznik w pracy by mu nie zaszkodził. Ale nie miał już czasu, żeby złagodzić drwinę. Kątem oka dostrzegł, że idzie ku nim Erla, w kurtce. Pomodlił się więc w duchu, żeby nie chciała go wyciągać gdzieś na zewnątrz. Zwłaszcza że dopiero co dotarł na komendę, a prognozowana przez meteorologów burza pewnie już pokazała pazury. Ale to nie był jego szczęśliwy dzień.

Był to czterdziesty piąty układ niskiego ciśnienia, który się przetaczał nad Islandią tej zimy. Każdy kolejny wydawał się gwałtowniejszy od poprzedniego. Można by pomyśleć, że bogowie odpowiedzialni za pogodę nie lubią tej wyspy i z lubością się nad nią pastwią. Jakby na poparcie tej tezy niesiony porywem wiatru mokry liść zdzielił Huldara w twarz i przyłgnał do jego policzka śliską, zimną powierzchnią. Detektyw podniósł skostniałe z zimna palce, chcąc strącić go z twarzy, a wtedy liść przywarł do jego dłoni. Machnął nią energicznie i liść powirował nad ogrodem.

– Znalazłeś coś? – Erla z trudem utrzymywała równowagę. Na wietrze jej długa czarna policyjna parka nadymała się jak żagiel. Kobieta stała bokiem do Huldara, ze zrozumiałych powodów nie chcąc upaść przed nim na twarz. Ich kontakty były raczej napięte, odkąd objęła stanowisko, z którego usunięto jego. Ale tylko Erla czuła się niezręcznie w tej sytuacji, on nie żywił do niej urazy. Ktoś musiał zająć ten stołek, dlaczego więc nie ona? Jego zdaniem była trochę zbyt prostacka i gruboskórna do tej roli, ale może właśnie to między innymi przesądziło, że wybrano ją. Na policję ciągle naciskano, żeby awansowała więcej kobiet, a poza tym stawiając na Erlę, dowództwo zyskało kobietę dokładnie tak samo grubiańską i nieokrzesianą jak większość jej kolegów po fachu.

– Nie. Niczego nie znalazłem. W każdym razie niczego podejrzanego. To zwyczajny ogród pełen zwyczajnych śmieci. – Ruchem głowy wskazał zdezelowaną trampolinę przymocowaną do podłoża w drugim końcu trawnika. Niewątpliwie dużo czasu upłynęło, odkąd jakieś dziecko na niej skakało: tkanina sparciała doszczętnie, zachowały się tylko metalowa rama i kilka sprężyn. Huldar stuknął dłonią w pokrywę zardzewiałego grilla ogrodowego, nie próbował jednak nawet zwrócić uwagi Erli na duże jacuzzi z wodą geotermalną, ponieważ nie mogła go nie zauważyć. Chyba każdy Islandczyk uznałby to miejsce za najzwyczajniejszy ogród. – Czyli chyba ktoś sobie zrobił głupi dowcip, nie sądzisz?

– Dowcip? – Erla omiotła wzrokiem ogród, żeby nie patrzeć na Huldara. Spod kaptura obserwowała, jak Gudlaugur dźga kijem bezlistny krzew w poszukiwaniu Bóg raczy wiedzieć czego. Kilka uschłych liści, jak ten, który się przylepił do twarzy Huldara, wzbilo się w powietrze. Erla odwróciła głowę do Huldara, skupiając wzrok na jego podbródku, nie na oczach. – Jakoś, kurwa, nie widzę, co w nim śmiesznego.

Huldar wzruszył ramionami.

– Ja też nie. – Trudno byłoby mu wskazać zabawną stronę przebywania na zewnątrz w taką pogodę. Z całą pewnością autor tego dowcipu nie mógł liczyć na przyjazną reakcję. Po drodze na miejsce Erla powiedziała im, że tuż po południu odebrała adresowaną do siebie wiadomość, z której wynikało, że w tym ogrodzie może się znajdować coś, co zainteresuje policję. List był anonimowy i nie zawierał żadnych szczegółowych informacji. – Może ogłosimy fajrant?

Erla w końcu spojrzała mu w oczy i natychmiast zrozumiał, że powinien być trzymać język za zębami.

– Nie. Sprawdzimy jeszcze dokładniej, do jasnej cholery!

– W porządku. Żaden problem. – Huldar rozciągnął wargi w uśmiech, który zniknął niemal natychmiast. Trudno było mu udawać, że nie ma nic przeciwko tej decyzji. Obserwował, jak pracuje Erla. Ledwie się trzymała na nogach, walcząc z wiatrem, ale była wyraźnie zdeterminowana. Odwrócił się w stronę podestu, usiłując znaleźć przy nim możliwe kryjówki. Byłoby łatwiej, gdyby mieli jakiegokolwiek pojęcie, czego szukają.

Od strony jacuzzi dobiegł hałas. Ciężka pokrywa uniosła się nieco, po czym znów opadła. Mimo wycia wiatru Huldar usłyszał, jak trzeszczą trzymające ją zatrzaski. W drewnianej obudowie wielkiej wanny Huldar

dostrzegł małe drzwiczki, których jeszcze nie sprawdzał, podszedł więc do nich, czując na sobie uważne spojrzenie właściciela domu stojącego w oknie na górze. Mężczyzna miał na imię Benedikt i niezbyt chętnie ich u siebie przyjął, nie bardzo wiedząc, co się dzieje. Wydawało się nieprawdopodobne, by miał coś wspólnego z przesłaną policji wiadomością: tak autentyczne zaskoczenie trudno byłoby zagrać. Wyglądał na kogoś, kto niedawno przeszedł na emeryturę, a wcześniej był jednym z tych dupków, którzy są przyzwyczajeni do wydawania poleceń. Typ, któremu trudno zaakceptować, że tamte dni minęły.

Huldar pomachał do niego i znów się uśmiechnął. Odpowiedzią były zmarszczone brwi i gest, który prawdopodobnie oznaczał, że ma nie zbliżać się do jacuzzi. Chyba sobie nie myślał, że Huldar zamierza wskoczyć do gorącej wody. Raczej chodziło mu o to, co się stanie z zatrząskami, jeśli ktoś zacznie przy nich majdrować. Huldar, który nie planował ich dotykać, skinął mu głową uspokajająco.

Za małymi drewnianymi drzwiczkami były tylko pompa i kilka rur. Huldar wetknął głowę do środka, aby się upewnić, że za plątaniną rur nic nie ma, uderzając się przy tym w drewnianą obudowę, która skrzypnęła przeciągle na znak protestu. To była strata czasu. Równie dobrze mogliby szukać wiatru w polu. Gdyby dorwał autora tego listu, musiałby się powstrzymać, żeby nie nabić mu guza takiego jak ten, który właśnie się tworzył na jego głowie. Jeden cios niewiele by zmienił. I tak miał już zszarganą reputację.

Huldar zamknął drzwiczki i się wyprostował. Potarł obolałe miejsce na głowie, przebiegając wzrokiem spowity w półmrok teren za budynkiem. Przeczesał go starannie, starannie nawet niż ogródek przed domem. Miał nadzieję, że Erla nie wpadnie na pomysł, żeby zacząć przeszukiwanie po raz trzeci. Starszy pan wciąż stał przy oknie, w regularnych odstępach pokrzykując, żeby uważali na kwiaty, co o tej porze roku zakrawało na żart. Widać było tylko suche, nagie badyle.

Huldar odgarnął włosy z czoła. Wiatr odpowiedział natychmiast, zsuwając je tam z powrotem. Strata czasu, jak wszystko inne, co robili w tym ogrodzie. Gdzie powinien zajrzeć teraz? Przeszedł się po terenie, szukając możliwych kryjówek. Erla i Gudlaugur też chodzili bez celu tam i z powrotem. Chłopak wciąż trzymał w ręku ten sam kij. Huldar wrócił do jacuzzi i przysiadł na pokrywie, napawając się ciepłą parą, która wydobywała się przez szczeliny na obwodzie.

Czyli nie ma tu nic, co by ich zainteresowało.

List okazał się ponurym dowcipem – chyba że ktoś zdążył przed nimi i usunął to, co mieli znaleźć. Może jacyś rodzice znaleźli narkotyki w pokoju swojego nastoletniego dziecka i chcieli je przekazać policji, nie narażając swojej pociechy na kłopoty, ale nastolatek poszedł za nimi i odzyskał towar, który zostawili? Nie, za bardzo naciągane. Prościej dla rodziców byłoby spuścić narkotyk w toalecie, niż robić całe to zamieszanie.

Nagle wiatr ucichł, a gorąca para wspięła się po jego ciele, dotykając twarzy. Niosła ze sobą delikatną woń, którą rozpoznał natychmiast. To był metaliczny zapach krwi.

Skoczył na równe nogi i zaczął odbezpieczać zatrzaski przy pokrywie. Towarzyszyło mu gwałtowne walenie w szybę okna na piętrze.

Dopiero po chwili dotarło do niego, co się unosi na powierzchni gorącej wody. Gdy jednak w końcu umysł przetworzył tę informację, Huldar odruchowo się cofnął, prawie puszczając ciężką pokrywę. Wiatr wykorzystał tę okazję i odepchnął ją do tyłu tak gwałtownie, że puściły zawiasy. Pokrywa zaczęła z piskiem skrobać o podest, zawieszona tylko na jednym zaczepie. Gdy Huldar zerknął do góry, żeby sprawdzić reakcję właściciela, na twarzy starszego mężczyzny dostrzegł nie wściekłość, lecz niedowierzanie.

Niedowierzanie pomieszaną z przerażeniem.

Huldar szybko złapał pokrywę, z trudem ją podźwignął i umieścił na zaczepach. Krzyknął na Erlę i Gudlaugura, żeby mu pomogli. Zerwał się kolejny podmuch wiatru. Mięśnie ramion zabołały go tak, jakby ktoś je podpalił. Ale nie mógł oderwać wzroku od zawartości ogrodowego jacuzzi. W głębi serca poczuł tęsknotę za banalną sprawą listów z kapsuły czasu.

Na powierzchni pociętej czerwonymi smugami wody unosiły się dwie ludzkie ręce.

Rozdział 2

W Izbie Dziecka od kilku dni właściwie nic się nie działo, a ten poranek nie był wyjątkiem. Freyja dotarła do pracy jako ostatnia i od tamtej pory drzwi wejściowe ani razu się nie otworzyły, telefon w recepcji zaś uparcie milczał. Zupełnie jakby z powodu ostrej zimy nikt w całym kraju nie miał siły krzywdzić dzieci. Ona sama też ledwo żyła z powodu niekończącego się cyklu burz i odwilży, ale była gotowa wybaczyć pogodzie, jeśli naprawdę miała taki skutek. W swoim życiu widziała zbyt wiele skrzywdzonych dzieci i wysłuchiwała zbyt wielu ponurych opisów maltretowania, żeby się nie cieszyć. Zaprosiłaby na Islandię wszystkie burze świata, gdyby taki miały skutek uboczny.

Podmuch wiatru uderzył w okno, jakby natychmiast przyjmując zaproszenie. Freyja westchnęła. Nie cieszyła się na myśl o nieuniknionym skrobaniu szyb w samochodzie przed powrotem do domu i pomodliła się w duchu, żeby choć tym razem zadziałało ogrzewanie przedniej szyby w jej rozklekotanym aucie. Na myśl o tym aż przeszedł ją zimny dreszcz. Żeby się rozgrzać, przypomniwała sobie, że zima ma swoje dobre strony. Dopóki pogoda się nie poprawi, ona będzie przynajmniej miała spokój z nagabywaniem przez znajomych, którzy próbowali wciągnąć ją na każde chyba wzgórze w promieniu dziesięciu godzin marszu od Reykjavíku.

– Freyja, na twoim miejscu pochowałabym wszystkie kruche przedmioty. Wygląda na to, że będziesz miała gościa. – Elsa, nowa dyrektorka Izby Dziecka, stanęła w drzwiach maleńkiego pokoju, który przydzielono Freyi po degradacji. Miała mniej więcej pięćdziesiąt lat i była szefową działu w Urzędzie do spraw Nieletnich, zanim zaproponowano jej stanowisko, które Freyja straciła po tamtej aferze. Uznano, że osoba, która strzeliła do człowieka, nie powinna stać na czele takiej instytucji. Mimo że zrobiła to w obronie własnej. Jej szefowie obawiali się reakcji mediów. Uznali, że pojawią się wątpliwości co do roli Freyi w całej sprawie, zwłaszcza że jej brat Baldur siedział w więzieniu. Na szczęście ich najgorsze obawy się nie

spełniły, ale ona zdążyła już stracić pracę, którą kochała.

– Co takiego? Nie rozumiem. – Odrętwienie natychmiast ustąpiło miejsca zaskoczeniu, to jednak nie trwało długo. Po chwili znów apatycznie wpatrywała się w monitor komputera na swoim biurku, rozmyślając nad swoim losem. Czy tak miało teraz wyglądać jej życie? Czy jej przeznaczeniem było skończyć jako zbędny mały trybik w maszynie państwowych usług społecznych? A może nawet nie trybik, tylko ząbek na tymże? Jej podły nastrój nie miał nic wspólnego z nową szefową. Elsa była w porządku i doskonale pasowała do funkcji dyrektorki. Nie, chodziło po prostu o to, że kariera zawodowa Freyi, obecnie przebiegająca na znacznie niższym poziomie, niżby sobie tego życzyła, popadła w stagnację. Echo strzału, który wtedy oddała, miało się nieść po Izbie Dziecka jeszcze przez długie lata. Ostatnio nawet zastanawiała się, czy nie wrócić na uniwersytet i nie zacząć jakiegoś zupełnie nowego kierunku, choć nie miała pojęcia, co mogłoby to być. Nie potrafiła wyobrazić sobie siebie samej jako geologa albo księgowej. Wrodzony talent pozwalał jej badać umysły dzieci i młodzieży, nie analizować skały czy arkusze kalkulacyjne.

– Właśnie zaparkował przed budynkiem. Twój kolega, ten pechowy gliniarz.

– Huldar? – Freyja odruchowo zrobiła zdziwioną minę. – On nie jest moim kolegą. Wręcz przeciwnie. Na pewno przyjechał do kogoś innego.

Elsa cmoknęła.

– Wątpię. – Uniosła kościstą rękę, wskazując na okno. – To on, prawda? – Elsa mogła ważyć góra pięćdziesiąt kilo. Nie miała ani grama zbędnego ciała, które maskowałoby emocje, przez co jej mimika wydawała się wyjątkowo ożywiona. Szkieletowatą sylwetkę starała się ukryć pod luźnymi hipisowskimi sukienkami, ale nawet one od czasu do czasu się na niej opinały. Krótka fryzura jeszcze bardziej upodabniała ją do więźniarki prowadzącej strajk głodowy, zwłaszcza gdy była ubrana w coś pomarańczowego.

Freyja zerknęła za okno. Huldar walczył z wiatrem, zamykając drzwi radiowozu.

– O Boże, nie chcę z nim rozmawiać!

– Jeśli przyjechał do ciebie, to nie masz wielkiego wyboru. Zakładając, że sprawa jest służbowa. Nie muszę ci przypominać, jak ważne są dla nas dobre stosunki z policją. – Mina Elsy wyraźnie mówiła, że Freyja nie ma w tej

sprawie nic do powiedzenia.

Zanim Freyja zdołała zaprotestować, dyrektorka zniknęła, zostawiając ją w malutkim pokoju. Pozostała tylko modlitwa, żeby jednak Huldar chciał rozmawiać z kimś innym. Freyja usłyszała otwierające się drzwi, potem zbliżające się głosy Huldara i Elsy. Zanim zdążyła wypowiedzieć do końca słowa modlitwy, obydwójce stanęli w progu jej pokoju. Przy potężnej sylwetce Huldara dyrektorka wydawała się maleńka. On zaś wyglądał jak wówczas, gdy widziała go ostatnim razem: znużony i wymizerowany. Co dziwne, to mu nawet pasowało. Znała go wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że to był jego stały stan. Nawet w sądzie, ubrany w garnitur, sprawiał wrażenie, jakby musiał natychmiast wracać do domu, żeby choć trochę się zdrzemnąć.

Cienie pod oczami, kilkudniowy zarost, potargane włosy.

Irytowało Freyję, że Huldar jest w jej typie: przemęczony, ale prawdziwy facet, który w łóżku nie traci czasu na ziewanie. A przynajmniej nie tracił go w jej przypadku, choć była to tylko przelotna znajomość. Jeden numerek. Ale z jego winy, bo się zachował jak ostatni kretyn. Kretyn, ale niewiarygodnie dobry w łóżku. Zanim dała się ponieść tym wspomnieniom, przypomniała sobie jednak, że właśnie przez niego znalazła się w obecnym położeniu. To on prowadził sprawę, która ich obydwójce kosztowała stanowisko.

– Chyba nie muszę was przedstawiać. Freyjo, ustal, jak możemy pomóc policji. – Ani słowa o tym, co mogłaby ta pomoc oznaczać. Elsa odwróciła się i zostawiła ich samych.

Huldar uśmiechnął się z zakłopotaniem. Nie był na nią zły tak bardzo jak ona na niego. Właściwie chyba wcale nie był na nią zły, sądząc po ciągłych próbach odnowienia znajomości, które podejmował. Od chwili gdy wystrzeliła z tego pistoletu, ich drogi się krzyżowały częściej, niżby chciała. Obydwójce byli świadkami w procesie mężczyzny, do którego Freyja strzeliła, a potem w znacznie krótszym procesie jej brata Baldura sązonego za nielegalne posiadanie broni. Dołożyli mu wtedy dwanaście miesięcy do odbywanego wyroku. Freyja bardzo to przeżyła, chociaż sam Baldur zniósł to po męsku. „Będę miał więcej czasu, żeby wszystko przemyśleć” – powiedział jej wtedy. Co chciał przemyśleć, Freyja wolała nie wiedzieć. Co prawda ten bydlak Huldar krył ją w sądzie, nieprawdziwie zeznając, że nie ma pojęcia, skąd się wzięła broń w jej rękach. Niewiele to jednak zmieniło, a dług wdzięczności wobec niego tylko zwiększał jej niechęć. Znalezione na

pistolectic odciski palców Baldura przypieczętowały jego los, ona sama zaś ledwie uniknęła zarzutu krzywoprzysięstwa. To była druga przyczyna decyzji o odebraniu jej stanowiska.

– Czy mogę wejść?

– Tak, proszę – odpowiedziała chłodno.

– To może usiądę?

– Tak, proszę – powtórzyła tak samo chłodnym tonem, po czym obserwowwała, jak zajmuje miejsce. – W czym mogę ci pomóc?

– Trudne pytanie. – Huldar położył na jej biurku kartkę. Zerkając na pokrywające ją bazgroły, Freyja nawet się nie zdziwiła, że Huldar ma taki brzydki charakter pisma. – Potrzebuję opinii psychologa dziecięcego w śledztwie, które prowadzę. – Uśmiechnął się tak samo cierpko jak chwilę wcześniej, gdy stanął w drzwiach. – Jesteś jedynym, jakiego znam.

– Rozumiem – skwitowała. Im mniej powie, tym lepiej. Nie chciała sprawiać wrażenia, że ma ochotę się wdawać w przyjacielską pogawędkę.

– No więc... Ale zanim zacznę, może zapytam, co u ciebie? – Wytrzymał jej spojrzenie bez mrugnięcia okiem. Urok tego skurczybyka w dużej części polegał na tym, że poświęcał jej całą swoją uwagę: roztargnienie nagle zniknęło. Bez dwóch zdań traktował tak wszystkie kobiety.

– Dziękuję, dobrze. – Nie zrewanżowała się grzecznościowym pytaniem.

– A brat?

– Dziękuję, dobrze. O co więc chciałeś zapytać?

Zdawał się wcale nie przejmować jej oschłymi odpowiedziami. Uśmiechnął się tylko, po czym wyjaśnił:

– Mam tu tekst napisany przez czternastolatka, prawdopodobnie chłopca. Chciałbym się dowiedzieć, czy coś cię w tym tekście niepokoi.

– Zobaczę.

Huldar wręczył jej tekst. Przeczytała go, po czym oddała kartkę.

– Jak dawno temu zostało to napisane i w jakich okolicznościach?

– Dziesięć lat temu niemal co do dnia. – Opowiedział jej historię kapsuły czasu. Słuchała jej bez zainteresowania.

– Obawiam się, że nie mogę pomóc. Nie mam dość informacji. Ale nie sądzę, że powinno ci to spędzać sen z powiek. Wielu nastolatków fantazjuje o zabijaniu swoich wrogów, ale żaden nie przekuwa swoich fantazji w czyn. Dosłownie żaden. Musiałbyś znać tło, okoliczności, w jakich ona albo on to napisali. Jeśli bodźcem do napisania tych słów była złość na coś, co

wymienieni ludzie zrobili tego dnia, to prawdopodobnie nie ma powodu do zmartwienia. Autor listu po prostu wyrzucił z siebie tę złość. Jeśli natomiast dzieciak pielęgnował w sobie nienawiść przez długi czas, wtedy raczej bym się martwiła. Chociaż to mało prawdopodobne. Dużo potrzeba, żeby wywołać w kimś nienawiść trwającą przez całą dekadę. Cholernie dużo.

– Więc jest nadzieja, że pewnego dnia mi wybaczysz? – Huldar uśmiechnął się z żalem.

– Powiedziałaś, że dużo potrzeba, nie że to jest niemożliwe. – Te słowa starły uśmiech z ust Huldara i Freyja natychmiast ich pożałowała. Prawda była taka, że trudno żywić nienawiść, gdy jej obiekt się ma przed sobą. Łatwo za to w samotności, rozpamiętując swoje żale. – W każdym razie na twoim miejscu spróbowałabym namierzyć osobnika. Nie podejrzewam, żeby cokolwiek z tego wyszło, ale przynajmniej będziesz mógł z czystym sumieniem zamknąć sprawę i przejść do następnej. Zakładam, że policja nie narzeka na brak zajęć.

– Prawdę mówiąc, ostatnio nie ma ich dużo. Pogoda wpłynęła na poziom przestępczości. Prowadzimy tylko jedno poważne śledztwo, ale nie należę do zespołu, który się nim zajmuje. Sprawa jest raczej makabryczna i tylko na samym początku miałem z nią coś wspólnego, zupełnie przez przypadek. Nie dostaję już żadnych poważniejszych spraw. – Tym razem uśmiech Huldara miał oznaczać, że niczym się nie przejmuje, ale brak przekonania w głosie zdradzał, jak bardzo go to boli.

Chociaż Freyja dobrze знаła to uczucie, nie powiedziała mu o tym. Gdyby choć na sekundę opuściła gardę, nie zdołałaby już jej podnieść. Wiedziała jednak, że potrzebuje silnego ramienia, żeby się wypłakać, że chciałyby mieć kogoś, kto wysłucha jej lamentów z powodu utraty stanowiska, a przede wszystkim ją zrozumie. Ktoś taki siedział teraz naprzeciwko niej. Koleżanki się do tego nie nadawały. Owszem, okazywały współczucie, ale potem otwierały usta i wychodziło na jaw, że tylko udają. Ich zdaniem sama była sobie winna. Przecież z własnej woli poszła do łóżka ze stolarzem Jónasem, który następnie się okazał policjantem Huldarem, i własnymi rękami pociągnęła za spust. To nie była niczyja wina, Freyja musi więc zaakceptować to, co się stało, przestać biadolić i zapisać się z nimi na zajęcia jogi. Baldur jako jedyny na pewno by jej wysłuchał, nie mogła się jednak zdobyć, żeby wylać przed nim swoje żale, bo przecież miał gorsze problemy, nawet jeśli sam je sobie ściągnął na głowę. Ostatecznie więc rola powiernika

przypadła nie Baldurowi, a jego psu. Podczas monologów Freyi Molly ziewała, robiła miny i przewracała się na grzbiet, ale przynajmniej nigdy jej nie krytykowała ani nie udzielała idiotycznych rad.

Zanim Freyja zdążyła ulec pokusie, żeby otworzyć serce przed Huldarem, ten kontynuował:

– Ale to cię przecież nie obchodzi, będę więc trzymał się tematu.

Freyja uśmiechnęła się w duchu. Bezwiednie pogrzebał swoją szansę na pojednanie podczas tego spotkania. A ona zamierzała dopilnować, żeby nie miał kolejnych okazji po temu.

– Przyniosłem jeszcze jeden list, który mógł być napisany przez tego samego dzieciaka tego samego dnia. Ale chciałbym poznać twoją opinię. Twoim zdaniem autorem jest ta sama osoba?

– Charakter pisma podobny, ale treść różna. Nie umiem ocenić. Chyba macie tam w policji swoich grafologów?

– Owszem, cokolwiek są warci. Miałem tylko nadzieję, że zauważysz jakieś sformułowanie, które mogłoby sugerować, że autor jest ten sam.

Freyja przebiegła wzrokiem po niestarannie napisanych słowach. *W 2016 wybuchnie wojna atomowa. Na Islandii będzie zimno, ale lepiej niż w innych krajach, bo tam wszyscy umrą. Zamiast do więzienia skazanych będzie się wysyłać za granicę. I też umrą. Thröstur 9b.*

– To może być ta sama osoba. Takie samo negatywne nastawienie. Czy inne listy były równie pesymistyczne?

– Nie, to znaczy może jeden albo dwa, ale nie aż tak. Większość przewiduje, że Islandia zdobędzie mistrzostwo świata w piłce ręcznej. Są też opisy dziwnych albo cudownych środków komunikacji, rozważania o zielonej energii i tym podobne. Część dzieci pisze o posiłkach, które będziemy jeść w przyszłości. Na szczęście większość tych przepowiedni się nie sprawdziła. Insekty z glonami morskimi to nie jest moje ulubione danie.

– Pytałeś w szkole o tego Thröstura?

– Jeszcze nie. Chciałem najpierw poznać twoją opinię. Uznałem, że nie ma potrzeby ich niepokoić podejrzeniem, że jeden z byłych uczniów może się okazać seryjnym zabójcą. Czyli nie widzisz powodu do niepokoju?

– Nie, raczej nie widzę. Jeśli to ten sam chłopiec, to z jakiegoś powodu był tego dnia rozdrażniony. To wyjaśniałoby negatywne emocje. Wątpię, czy to coś poważniejszego.

– To dobrze. – Huldar nie przejawiał ochoty do wyjścia, chociaż temat

rozmowy się wyczerpał. – To dobrze.

– Owszem. – Freyja przywołała coś, co w jej zamiarze miało być sarkastycznym uśmiechem. Zamierzała też więcej się nie odezwać, gdy nagle coś jej przyszło na myśl. – Zakładam, że sprawdziłeś, czy nikt o takich inicjałach nie umarł w podejrzanych okolicznościach?

– Tak, oczywiście. Nic takiego się nie wydarzyło od początku roku. – Sięgnął po kserokopie i zwinął je w ciasny rulon. – Ale dwa tysiące szesnasty dopiero się zaczął. Kto wie, co przyniesie? – Wstał z miejsca. – Oby nie wojnę atomową. Dziękuję za pomoc. – Znow się uśmiechnął i ruszył do drzwi.

Freyja patrzyła za nim i już zaczynała żałować, że nie okazała zainteresowania. I tak nie miała nic do roboty, a Huldar przynajmniej ożywił trochę ten nudny dzień. Gdy jednak się odwrócił, stając w progu, zrobiła idealnie obojętną minę, starając się sprawić wrażenie, że jego wyjście przyjęła z zadowoleniem.

– Coś jeszcze? – zapytała.

– Tak. Czy zgodziłabyś się towarzyszyć mi podczas spotkania z autorem tego listu, gdy już ustalę jego tożsamość? Jeśli nadal jest niestabilny emocjonalnie, na pewno lepiej ode mnie to rozpoznasz.

Freyja odpowiedziała bez chwili zastanowienia.

– Okej. Nie zaszkodzi się upewnić.

Huldar wyraźnie się uradował i Freyja zdała sobie sprawę, że nie ma dość siły, żeby czuć do niego złość przez dziesięć lat. Zanim jednak zdążyła pójść tropem tej myśli, Huldar wyrzucił z siebie kolejne pytanie, jakby niechcący.

– Jak określiłabyś człowieka, który odcina komuś rękę?

– Co takiego? – Zaskoczenie kazało jej dojść do wniosku, że się przesłyszała.

– Kto byłby w stanie odciąć człowiekowi rękę?

– To zależy. Czy ofiara żyła, kiedy to się stało?

– Najprawdopodobniej tak. – Na jego twarzy nie było już cienia uśmiechu.

Freyja znow odpowiedziała bez zastanowienia; w zasadzie nie знаła żadnych badań, które mogłaby zacytować, żeby uzasadnić swój wniosek.

– Szaleniec. Ktoś poważnie obłąkany.

Rozdział 3

Tym razem wiadomość e-mail nie zawierała żadnych słów, tylko załącznik o nazwie *zdrada.jpeg*. Przysłał ją ten sam nadawca co pozostałe: sprawiedliwość@gmail.com. Pierwsza z nich przysłała tuż po północy w Nowy Rok. Związła, ale bez wątpienia napisana przez Islandczyka. Coś takiego nie wyszłoby z translatora. Po każdej kolejnej Thorvaldura ściskało w żołądku tak silnie, że żadna ilość ginu z tonikiem nie była w stanie go uspokoić.

Już pierwszy e-mail go zaniepokoił, choć wówczas uznał, że trafił do niego przez przypadek. *Napisałeś już testament?* Pierwsze zdanie sugerowało, że to spam. Przez lata dostawał wiele podobnych wiadomości i za każdym razem zdumiewało go, jak można być takim idiotą, żeby się na nie nabierać. Kto rozsądny spisywałby testament, reagując na e-mail? Potem jednak przeczytał kolejne zdania: *Obejrzałeś swój ostatni pokaz fajerwerków. Uczcij szampanem nadejście Nowego Roku. Kolejny przywitasz już w trumnie.*

Gdy w Nowy Rok odczytał tę wiadomość, po świętowaniu został już tylko potężny kac.

Kolejne e-maile były utrzymane w tym samym tonie. Wróżyły mu rychłą śmierć, raczej przedwczesną jego zdaniem. Miał dopiero trzydzieści osiem lat, nie osiągnął więc nawet jeszcze połowy swojego życia i nie miał zamiaru umierać. Dziwne, że się przejął tymi bzdurami. To nie było w jego stylu. Zwykle nic go nie ruszało: nigdy nie przeraził go film w kinie, nigdy się nie wzruszał do łez i nie spotkał jeszcze rollercoastera, na którym jego puls uderzyłby szybciej.

Tu leżał problem. Strach był uczuciem tak bardzo mu obcym, że teraz, po serii tych absurdalnych maili, nie umiał sobie z nim radzić. Nie potrafił powstrzymać uczucia niepokoju. Gdyby był w lepszym stanie, gdy odczytywał pierwszy e-mail, nie siedziałby teraz z potwornym uczuciem ściskania w dołku, niezdolny, by przenieść tę wiadomość do kosza wraz z załącznikiem. Cholerny kac był winien początkowi tej idiotycznej

nerwówki.

Jedynym pocieszeniem była świadomość, że nadawca nie mógł wiedzieć, jak działają wysyłane przez niego wiadomości. Thorvaldur odrzucił pokusę, by na nie odpowiedzieć stekiem przekleństw, choć przez chwilę miał na to wielką ochotę.

Sprawiedliwość. To musi być jakaś podpowiedź. Ale on nie miał żadnych powodów, by sądzić, że ktoś chciałby mu wymierzyć sprawiedliwość, ponieważ nigdy nikogo nie skrzywdził. Nie osobiście. Tyle że był prokuratorem, niektórzy ludzie mogli więc mieć do niego pretensje. Prawdę mówiąc, uzbierałoby się tych ludzi całkiem sporo. Co było nie fair, bo wszyscy oni winą za swoje problemy powinni obarczać siebie. Nie mógł jednak wykluczyć takiej ewentualności.

Ale w żadnej z tych wiadomości nie pojawiło się nic, co sugerowałoby związek z jakąś sprawą przed sądem. Poza tym jego dwunastoletnie doświadczenie prawnicze nauczyło go, że skazani zwykle kierują gniew gdzie indziej – na współników, świadków, policjantów albo sędziów, prokuratorom zaś praktycznie wszystko uchodzi na sucho. Przestępcy chyba nie rozumieją, jaką władzę ma ten urząd. Decyduje, który przepis zastosować. Od niego zależy, czy oskarżony dostanie symboliczny wyrok za napad, czy na długie lata trafi do więzienia za usiłowanie zabójstwa. On też wybiera, kto stanie przed sądem jako prowodyr, a kto jako współwinny czy poplecznik. Jakby żaden z nich nie miał dość rozumu, żeby się o tym dowiedzieć.

Chyba że te maile przysyłał ktoś, kto zdał sobie z tego sprawę. Czyżby więc autorem była osoba, która odczuła na własnej skórze skutki którejś z jego decyzji?

Nie. To nieprawdopodobne. W oczach tych, których oskarżał przed sądem, był tylko nic nieznaczącym pionkiem w systemie wymiaru sprawiedliwości. Błędne mniemanie, ale bardzo mu leżało.

– Czy nie powinien pan być teraz w sądzie? – Jeden z młodych aplikantów wetknął głowę przez drzwi jego gabinetu. Thorvaldur pamiętał, że ten chłopak już nieraz mu się przysłużył, ale za nic nie potrafiłby podać jego imienia.

Thorvaldur usilnie starał się wyglądać jak zawsze. Ostatnim, czego potrzebował, były plotki, że coś go wyprowadziło z równowagi. Miał reputację człowieka, który nigdy nie traci panowania nad sobą, i chciał, żeby

tak zostało. Odkasznął i zwrócił się do chłopaka ze swoim charakterystycznym lekceważącym uśmiechem na ustach.

– Rozprawa została przełożona. Sędzia jest chory. Poinformował mnie o tym telefonicznie.

– Wow! Dzwonił do pana osobiście?

– A jak myślisz? – Thorvaldur nawet nie próbował ukryć poirytowania.

– Nie wiem. Myślałem, że sędziowie mają od tego sekretarki.

– Zależy, z kim się kontaktują. Ty na osobisty kontakt sędziego na pewno nie mógłbyś liczyć. – Thorvaldur nie raczył spojrzeć na aplikanta, wypowiadając te słowa. Niech się czerwieni. – Zechciałbyś już zamknąć drzwi? Jestem raczej zajęty.

Drzwi zamknęły się odrobinę za głośno, jednak bez trzaśnięcia. Chłopak nie był głupi, ale musiał się jeszcze wiele nauczyć.

Wiadomość e-mail z załącznikiem o nieprzyjemnej nazwie *zdrada.jpeg* ciągle widniała na monitorze jego komputera. Czy te maile mogła napisać jakaś kobieta, którą skrzywdził? Była żona? Niemożliwe. Nie traktował kobiet źle, bo też i nie miał wielu okazji, żeby je źle traktować, szczerze mówiąc. Odkąd rozleciało się małżeństwo z Æsą, matką jego dzieci, pograżył się w pracy i nie próbował szukać przygód. Nie miał ochoty włóczyć się po barach, a już na pewno nie miał ochoty na pijane dziry z opadającymi kącikami ust i szklistym wzrokiem, które najwyraźniej przyciągał. Czasem, choć rzadko, trafiała się kobieta, która mu się podobała, nigdy jednak jego zainteresowanie nie zostało odwzajemnione. Harmider panujący w takich miejscach wykluczał jakąkolwiek rozmowę, nie było więc sensu przekonywać ich, że braki w seksapilu nadrabiał sukcesami zawodowymi. Nadal miał nadzieję, że pewnego dnia spotka odpowiednią osobę, choć przez rok z okładem, odkąd Æsa od niego odeszła, nadzieja ta bardzo osłabła.

Myśl o Æsie wywołała gorzkie wspomnienia rozpadu ich małżeństwa. Czuł się oszukany – nie finansowo, ponieważ był na tyle przebiegły, żeby mieszkanie kupić na swoje nazwisko i samodzielnie spłacać raty kredytu, przez co miała związane ręce. Ale rozwód zabrał mu dzieci. Nie powinno go to zaskoczyć, bo przecież matki zawsze się traktuje preferencyjnie w sądach rodzinnych. Kobieta musiałaby się chyba pojawić na rozprawie ze strzykawką dyndającą z żyły w przedramieniu, fikką haszu w ustach i aluminiową miednicą do odstraszenia kosmitów na głowie, żeby uznano ją za mniej od mężczyzny predysponowaną do wychowywania potomstwa.

Mimo że był przykładnym ojcem i wzorowym obywatelem, nie miał najmniejszej szansy wygrać batalii o opiekę nad dwojgiem ich dzieci. Æsę uznano więc za lepszą od niego, a przecież była miernotą pracującą w urzędzie miejskim i ledwie przebrnęła przez egzamin maturalny, podczas gdy on skończył studia z czwartą lokatą na roku. Chociaż później musiał zrezygnować ze studiów doktoranckich, które planował podjąć, z pewnością je też skończyłby celująco.

On był utalentowany, ona – przeciętna. On miał stabilną pozycję finansową, ją jako samotną matkę czekała niełatwa walka o związanie końca z końcem. Ale to jej przyznano opiekę nad ich dziećmi. Niewiarygodne. Owszem, raczej nie pomogło mu, gdy podczas rozprawy wytknęła mu, jak się wyraziła, nadużywanie alkoholu, a ponieważ jest mężczyzną, to jego styl życia prześwietlono nadzwyczaj skrupulatnie. Nieważne, że ten zarzut był wyspany z palca. Sędzia połknął haczyk wraz z linką i spławikiem, mimo zastrzeżeń Thorvaldura oraz pozytywnej opinii wniesionej na piśmie przez samego prokuratora krajowego.

Do skrzynki wpadł kolejny e-mail. Także od *sprawiedliwości*. Co się dzieje, do cholery? Korciło go, żeby zgłosić sprawę policji. Albo przynajmniej zasygnalizować problem u siebie w firmie. Chłopcy z IT z pewnością ustaliliby, kto się za tym kryje. Dostyc tego! Thorvaldur w zamyśleniu pocierał podbródek. A jeśli wiadomości są od Æsy? Czy naprawdę zależy mu na tym, żeby przypomnieć przełożonym burzliwy przebieg sprawy rozwodowej? Jego szefem była oczywiście kobieta. Utrzymywał z nią poprawne stosunki, bo potrafił ukryć swoje przekonanie, że nie miała ani wiedzy, ani doświadczenia, których wymagano by od mężczyzny na tym stanowisku. Ale potem na ich zawodowe relacje położyły się cieniem jego sprawa rozwodowa i walka o opiekę nad dziećmi. Był świadom, że od tamtego momentu szefowa krzywo na niego patrzy. Kobiety zazwyczaj trzymają ze sobą w podobnych sytuacjach. To prawo natury, nie ma sensu więc z nim walczyć.

A może wiadomości wysyłała właśnie ona, jego szefowa? Thorvaldur pokręcił głową nad własną nedorzecznnością. Oczywiście, że nie.

Jeśli nie jego szefowa, nie Æsa, nie żadna dawna dziewczyna ani nie przestępca, to kto?

Nikt nie miał powodu, żeby źle mu życzyć. Dlaczego więc zgłasza sprawy, aby odnaleziono nadawcę tych wiadomości? Dręczy go obawa, że to

nie jest pomyłka? Boi się, że śledztwo wyciągnie na światło dzienne coś, co wolałby trzymać w cieniu? Nie, oczywiście. Nadawca wprawdzie jakby sugerował, że ma coś na niego. Ale Thorvaldur nie umiał sobie wyobrazić, co to mogło być. Zapewne coś, z czego łatwo się wytłumaczy. A byle czym nie da się zagrozić prokuratorowi z długą i – nawet jeśli autorem tej opinii był on sam – cholernie udaną karierą.

Nikommu nic do tego, że sukcesy osiągnął, ponieważ niemal zawsze wybierał sprawy łatwe i niewymagające. Ale nikt dotąd nie zwrócił na to uwagi. Chyba że koledzy plotkują o tym za jego plecami.

Czyżby do tego wszystkiego zaczął jeszcze popadać w paranoję?

Thorvaldur wziął głęboki oddech. Przebiegł oczami w dół rękawów swojej kosztownej marynarki, na chwilę zatrzymując wzrok na idealnie wyprasowanych białych mankietach koszuli wystających za nadgarstki, potem na wymanikiurowanych paznokciach. Ten miły dla oka widok podziałał na niego uspakajająco. Było mu szczególnie przyjemnie, gdy delikatnie szarpnął za mankiety, żeby wysunąć błyszczące spinki, które niedawno sobie sprawił, gdy nikt inny nie podarował mu na urodziny niczego odpowiedniego. Przygotowane niewprawną ręką kartki od dzieci się nie liczyły. Ich naiwne rysunekzki nie robiły na nim wrażenia.

Spinki błyszczały naprawdę imponująco i Thorvaldur czuł, jak poprawia mu się humor. Nie musiał nawet patrzeć na lśniące skórzane pantofle i jedwabne skarpetki, żeby odzyskać zimną krew i przypomnieć sobie, kim jest. Zwycięzcą. Człowiekiem, który się znał na rzeczy. Człowiekiem, który budził strach i szacunek, może nie w każdym, ale na pewno w większości.

Te e-maile były żałosne. Bez dwóch zdań. Założyłby się o wszystko, że typ, który je do niego wysyła, siedzi przy gównianym komputerze, ma na sobie brudny T-shirt i wymięte spodnie dresowe, które nigdy nie widziały siłowni. Nieudacznik. Thorvaldur mógł być pewien, że jest dwakroć bardziej facetem niż nadawca tych idiotycznych wiadomości. Nie będzie więc się tym przejmował. Nic nie powstrzyma go przed kliknięciem tego załącznika i przeczytaniem ostatniego maila. Bo jest silny. Jest zwycięzcą. Uśmiechał się z wyższością, gdy przesunął kursor na ikonę pliku *zdrada.jpeg*, a następnie kliknął w nią.

Zdjęcie wypełniło niemal cały monitor. Thorvaldur zmarszczył brwi. Dwoje dzieci, dziewczynka i trochę od niej starszy chłopiec, patrzyło na niego bez uśmiechu. Nie rozpoznał żadnego z nich, ale też nigdy zbyt uważnie się nie

przyglądał dzieciom innych ludzi i żadne nie zapisało się w jego pamięci niczym szczególnym. Dzieci na zdjęciu były blade, raczej zaniedbane. Nie miały ani rumieńców na policzkach, ani błysku w tępych oczach. Beztroskie spojrzenia jego własnych dzieci ujawniały niepohamowaną radość życia, tutaj widział jakże różne, bardziej dorosłe emocje. Mógłby przysiąc, że to wyrzut.

Thorvaldur wpatrywał się w monitor. Nie potrafił zamknąć załącznika i wrócić do pracy. Im dłużej oglądał te dwie pozbawione wyrazu twarze, tym silniejsze narastało w nim przekonanie, że jest w nich coś znajomego. Tylko skąd mógł znać te nieszczęsne stworzenia? Jak były z nim powiązane? Myśl, do cholery, myśl! Był pewien, że w końcu skądś je skojarzy.

Przeniósł uwagę na tło. Otoczenie nic mu nie mówiło: dzieci stały na zewnątrz przy rogu budynku, za ich plecami ledwie widać było ulicę. Takie zdjęcie można zrobić praktycznie wszędzie na Islandii. Nie umiał też określić daty. Mógł opierać się tylko na ubraniach, te zaś najwyraźniej zostały wybrane wyłącznie po to, żeby zakryć nagość: jedne za luźne, drugie za ciasne, wszystkie mocno sfatygowane.

Nagle go olśniło. Szlag by trafił!

Na chwilę strach, który go opanował wcześniej, ustąpił miejsca uldze. Bogu dzięki, że nie zgłosił tych maili. Bogu dzięki!

Drżącymi palcami kliknął, żeby otworzyć najświeższą wiadomość. Przeczytał ją, a następnie sięgnął po telefon i wybrał numer Æsy.

Masz takie piękne dzieci! Dobrze o nie zadbaj. Są ludzie, którzy mogliby je zdradzić tak, jak tylko Ty potrafisz.

Rozdział 4

– Ten sam charakter pisma. Bez cienia wątpliwości – zawyrokował grafolog. – Wygląda na to, że piszący nie próbuje nawet tego ukrywać. – Oderwał wzrok od monitora, na którym wyświetlał powiększone litery. – Nie widzę objawów wahania ani nadzwyczajnej staranności, możemy więc przyjąć, że chłopiec podpisany jako Thröstur nie próbował naśladować niczyjego pisma.

– Doskonale. – Huldar się wyprostował. Nie musiał już niecierpliwie się pochylać nad biurkiem pismoznawcy. W dawnych czasach nie traciłby czasu na takie wizyty. Zamiast przychodzić tu osobiście, przesłałby tylko tekst do analizy i poprosił o opinię telefonicznie. Ale chociaż cały wydział stanął na głowie z powodu odciętych dłoni, on nadal zajmował się tylko kapsułą czasu. Erla nie przewidziała dla niego żadnej roli w nowym śledztwie i już zaczął się zastanawiać, czy w ogóle dostanie jakiś przydział. Z tego co podsłuchał, mógł wnioskować, że sprawa w zasadzie się nie posunęła do przodu. Dłonie zostały wysłane do identyfikacji, ale nie przyszła jeszcze żadna informacja zwrotna. A przecież w policyjnym śledztwie brak wiadomości nie mógł oznaczać niczego dobrego.

– Warto tracić czas policji na coś takiego? – zapytał grafolog sceptycznym tonem, gdy Huldar wyjaśnił mu, skąd się wzięły analizowane teksty. – Po dziesięciu latach nikt raczej nie realizuje planów, które układał jako czternastolatek, prawda?

– Raczej nie, na szczęście, ale i tak mamy obowiązek zająć się tą sprawą. Ponoć nie ma reguł bez wyjątku.

Ekspert mruknął coś pod nosem, nie dało się jednak ocenić, czy wyraża aprobatę czy potępienie. Huldar miał to już gdzieś.

– Dziękuję. W tym układzie mogę porozmawiać z chłopcem.

– Chyba młodym mężczyzną. Ma dziś dwadzieścia kilka lat.

Huldar nie odpowiedział. Wyszedł, nie zabierając kserokopii listów z kapsuły czasu. Z ulgą stwierdził, że przestało wiać. Szalejąca burza najwidoczniej się już wyszalała. Huldar sięgnął po papierosa. Dawno już

sobie darował próby rzucenia, ale też się nie afiszował z nałogiem. Żadna z jego pięciu sióstr nie mogła o tym wiedzieć, bo wszystkie przeginały, wygłaszając wykłady o szkodliwości palenia – a on nie był teraz w nastroju do wysłuchiwania kazań.

Telefon komórkowy odezwał się, gdy odkładał zapalniczkę. Odebrał, nie sprawdzając, skąd jest połączenie. Ostatnio niewielu wybierało jego numer. Okazało się, że dzwoni sekretarka, żeby z należytą powagą poinformować go, że zwolniła miejsce w kalendarzu dyrektora, może więc on przyjąć Huldera. Punktualnie dziesięć po dziewiątej. Nieco zaskoczony tą dokładnością Huldar podziękował jej i zapewnił, że przyjdzie, zapewne w towarzystwie psychologa dziecięcego, wyłącznie na wszelki wypadek.

Freyja stwierdziła przecież, że warto się temu lepiej przyjrzeć, a mieć w życiu nadzieję to nic złego.

Postanowił, że wróci do komendy, chociaż zdawał sobie sprawę, że nie ma tam do roboty nic oprócz surfowania w sieci. Podczas spotkania z dyrektorem szkoły pozna nazwisko autora niepokojącego listu i będzie mógł z nim porozmawiać. Zapewne się potwierdzi, że wszystko jest w porządku, i sprawa zostanie zamknięta. A jego teczka spraw bieżących pozostanie pusta. Ostatni raz zaciągnął się papierosem i wsunął ręce do kieszeni kurtki.

Wszyscy funkcjonariusze uwijali się jak w ukropie, ale biurko Huldera mogłoby równie dobrze stać na innej planecie. Nikt się do niego nie zbliżał, a jeśli już ktoś przechodził obok, to co najwyżej rzucał Huldarowi przelotne spojrzenie. Odzywał się do niego tylko Gudlaugur, który brzmiał, jakby ze stresu odchodził od zmysłów. Zadanie, które mu przydzielono, ewidentnie przekraczało jego możliwości. Od czasu do czasu Huldar widział wystające nad górną krawędź monitora, pokryte kropelkami potu czoło młodego kolegi. Sytuacja zakrawała na dowcip: on, jeden z najbardziej doświadczonych detektywów w zespole, siedział, kręcąc młynka palcami, a zestresowany nowicjusz załamywał się pod natłokiem obowiązków.

Punkt krytyczny nastąpił, gdy Huldar złapał się na oglądaniu filmów o kotach na YouTube. Wyszedł zza biurka, zapukał do drzwi Erli i otworzył je, nie czekając na reakcję, bo zdawał sobie sprawę, że widzi go przez szklane przepierzenie i najprawdopodobniej nie zaprosi go do środka.

– Muszę porozmawiać. Obiecuję się streszczać. – Kątem oka zauważył

zdjęcie skał Reynisdrangar. Kupił je, żeby ożywić swój nowy pokój. Zostało zdjęte i oparte o ścianę. Prawdę mówiąc, przeleżało na podłodze także niemal przez cały czas jego urzędowania. Nie potrafił się zebrać i go powiesić, żeby nie kusić losu. Oczywiście niedługo po tym, jak zdjęcie zajęło miejsce na ścianie, on stracił stołek. Jeśli wielkie kolumny czarnych skał miały moc sprowadzania pecha na każdego, kto się ośmielił użyć ich jako dekoracji, to Huldar miał nadzieję, że Erla zostawi je tam, gdzie stoją.

Erla starała się zachowywać z nonszalancją, ale błysk w jej oczach sugerował, że oczekiwała awantury. Huldar pośpiesznie rozwiał jej obawy.

– Potrzebuję zajęcia. Nie potrafię siedzieć za biurkiem i stawiać pasjansa, podczas gdy pozostali członkowie zespołu nie wyrabiają się z robotą.

– Nie wyrabiają się? Kto się nie wyrabia? – Zaskoczona mina Erli miała stworzyć wrażenie, że wszystko jest pod kontrolą, ale stosy papierów zawalające jej biurko przeczyły tym słowom.

– Na przykład Gudlaugur.

– Gulli?

– Gudlaugur. Dzieciak siedzi naprzeciwko mnie. Najwyraźniej sobie nie radzi, dlatego mnie kusi, żeby mu pomóc. Oczywiście w ramach dodatkowych zajęć. – Huldar sam przysunął sobie krzesło, ponieważ Erla ewidentnie nie miała zamiaru powiedzieć mu, żeby usiadł. – No i ciekawi mnie, jak idzie śledztwo. Nie ma w tym chyba niczego dziwnego?

– Oczywiście, że nie ma. Ale jestem teraz trochę zajęta. Nie chciałam cię w niczym pomijać. Pomyślałam tylko, że masz dość roboty z tą – zawiesiła głos – jak ona się nazywała?

– Kapsuła czasu – wycedził, ignorując informację, że jest zajęta. – Spodziewam się zamknąć tę sprawę jutro i potem będę zupełnie wolny.

– Ach tak? – Erla nie sprawiała wrażenia szczególnie poruszonej. Jak wiele się zmieniło! Kiedyś przejawiała wręcz żenującą ochotę, żeby z nim pracować, i dla nikogo nie było tajemnicą, że się w nim durzy. Nie tęsknił za tamtymi czasami, ale żałował, że przestała w nim widzieć członka ich zespołu. Nie miał pojęcia, dlaczego się zwróciła przeciwko niemu. Może uznała, że jest rozgoryczony po degradacji, i chciała uniknąć spięcia. Tylko że on nigdy by go nie sprowokował. Jak chce, niech sobie zatrzyma to stanowisko. Jemu zależało wyłącznie na powrocie do dawnych zajęć.

Uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały ponure.

– Dobrze więc, porozmawiam z zastępcą komisarza. Skoro ty nie masz dla

mnie zajęcia, on na pewno coś mi znajdzie. Zapewne też potraktuje moją prośbę jako sygnał, że twój zespół jest nie w pełni wykorzystany, i podrzuci ci jakąś papierkową robotę. Wiem, że zawsze ma do wypełnienia mnóstwo różnych formularzy, których bardzo chętnie się pozbędzie. – Huldar zerknął na papiery zawalające biurko Erli, dostrzegając kilka znajomych tabel, które sam kiedyś mozolnie wypełniał. Zaczął się zbierać do wyjścia. Nie tak wyobrażał sobie rezultat tej wizyty, ale nie miał zamiaru pozwolić, żeby ktokolwiek w pracy robił z niego idiotę. Akurat to doskonale potrafił robić bez niczyjej pomocy.

– Usiądź. – Erła przybrała nowy wyraz twarzy. Patrzyła na niego nie jako szefowa czy ktoś, kto ma do niego żal, ale jak dawna koleżanka. Takiego spojrzenia Huldar nie czuł na sobie od długiego czasu. – Możesz pomóc temu dzieciakowi. Znaczą Gulliemu.

– Gudlaugurowi – poprawił.

– Niech będzie. – Jej niebieskie oczy były przekrwione i zmęczone. – Prawdę mówiąc, nie idzie nam najlepiej. Minęły trzy dni, a nadal nic nie mamy w sprawie tych rąk.

– Nikt nie zadzwonił ze zgłoszeniem, że mu zginęły? – Huldar nie uległ pokusie, żeby swój dowcip zakończyć stwierdzeniem, że właściciel odciętych dłoni mógł mieć problem z wybraniem numeru. Potrzebował więcej czasu, żeby w obecności Erli zachowywać się całkiem swobodnie.

Erła wpatrywała się w monitor, jakby czekała na e-mail z odpowiedziami na wszystkie pytania, które się pojawiły w tym śledztwie.

– Nie, nie było żadnych zgłoszeń. A to nie wróży dobrze.

– No nie. – Huldar zaczął się zastanawiać, czy właściciel odciętych dłoni wolałby umrzeć czy żyć bez nich. On sam nie chciałby stanąć wobec takiego wyboru. – Czyli szukamy zwłok? Zwłok bez dłoni?

– Otóż nie szukamy. Bo niby gdzie mielibyśmy zacząć? Chętnie usłyszę każdą sugestię na ten temat.

– Znaczą, że nadal nie masz pojęcia, czyje to dłonie?

Erła pokręciła głową.

– Sprawdziliśmy odciski palców w bazie danych, ale bez skutku. – Znów spojrzała na swój monitor. Rezultat był tak samo niezadowolający jak poprzednio. – W sumie to byłoby zbyt łatwe. – Przeniosła wzrok na leżące przed nią dokumenty, zatrzymując się dłużej na najbardziej irytujących statystykach, po czym sięgnęła po kilka spiętych kartek leżących w rogu.

Huldar rozpoznał układ rubryk i oficjalny nagłówek na pierwszej stronie. – Właśnie dostałam protokół sekcji zwłok. Nie wygląda ładnie.

– Ładne chyba się nie zdarzają. – Huldar nawet nie próbował ukryć ciekawości. – Co napisali?

Erla sięgnęła po notatki leżące przy protokole. Huldar rozpoznał jej charakter pisma. Czyli nadal miała zwyczaj robić notatki o wszystkim, co zobaczyła, usłyszała i przeczytała. Od dawna jej tego zazdrościł, ale nigdy nie zdołał się zmusić do wyrobienia sobie takiego samego nawyku. Erla wyrecytowała wnioski niemal na jednym oddechu. – Dłonie należały do mężczyzny w średnim wieku. Nigdy nie wykonywał pracy fizycznej, a przynajmniej nie w ostatnich latach. Widoczny ślad po biżuterii na czwartym palcu lewej dłoni, prawdopodobnie obrączka ślubna, która została zdjęta albo przez osobę, która wyrzuciła odcięte dłonie, albo przez właściciela. Nosił również nieco grubszą biżuterię na czwartym palcu prawej dłoni. Też został tylko ślad, który może sugerować, że był to sygnet wręczany absolwentom niektórych uczelni albo na przykład pierścień masoński. Nie ma możliwości ustalenia, co to był za pierścień. Obydwa ślady są tak nieznaczące, że zdaniem patologa w ostatnich dniach mężczyzna mógł nie nosić ani obrączki, ani sygnetu. W każdym razie nie regularnie. – Erla podniosła wzrok. – Mężczyzna żył, gdy odcinano mu dłonie, tak przynajmniej uważa lekarz sądowy, choć opatrzył tę opinię kilkoma zastrzeżeniami.

Huldar skinął głową z obojętną miną. Już wcześniej słyszał, jak koledzy spekulowali na ten temat, choć bez twardych dowodów. Źródłem pogłosek, że ofiarę okaleczono za życia, był zapewne makabryczny charakter tego odkrycia.

– Znamy narzędzie? Nóż? Piła?

– Piła łańcuchowa.

– O kurwa!

– Nie sposób zaprzeczyć.

– I nie da się określić, czy ofiara zginęła po odcięciu dłoni?

Erla pokręciła głową przecząco.

– Nie. Ale patolog uważa, że to prawdopodobne. Mężczyzna mógł się wykrwawić albo wskutek tego... tej amputacji jego organizm doznał wstrząsu, który doprowadził do upośledzenia wielu narządów wewnętrznych, co także doprowadziłoby do śmierci, jednak żyłby dłużej niż w przypadku

wykrwawienia.

– Ale pewności nie ma? Czyli może on jeszcze żyje?

Erla wzruszyła ramionami.

– Teoretycznie tak. Tylko gdzie się podział? Założę się, że nie cierpi w milczeniu.

– No nie. Chyba że jest więziony, nieprzytomny albo pod wpływem narkotyków.

– Racja, jest taka możliwość. – Erla z westchnieniem przeczesła palcami włosy, strosząc je u nasady, przez co wyglądała trochę jak szalona. W końcu taka jest, pomyślał Huldar. – Ale badanie krwi wyszło normalnie.

– Gdzie się kupuje piłę łańcuchową?

– Zapewne w sklepie z narzędziami. Są też wypożyczalnie narzędzi. Zamierzam sprawdzić jedno i drugie. Mam nadzieję, że to do czegoś doprowadzi. Pił łańcuchowych używa się przede wszystkim do ścinania drzew i cięcia gałęzi, czyli zimą wielkiego zapotrzebowania raczej nie ma. Lista nabywców nie powinna być zbyt długa.

– A ten facet od wanny? Ktoś mu się przyjrzał? Musi być jakiś powód, że sprawca wybrał właśnie jego. Wanny nie widać zza ogrodzenia ani od sąsiadów, czyli sprawca nie mógł jej wybrać, bo ją po prostu zobaczył, przejeżdżając obok. Na pewno nie ma żadnych powiązań ze sprawą?

– Benedikt Toft? Sprawdzamy go. Dotychczas nie znaleźliśmy niczego podejrzanego. Wydawał się naprawdę zaskoczony znaleziskiem. Wdowiec, na emeryturze, nie ma kartoteki policyjnej, co raczej nie dziwi, bo był prokuratorem.

– Więc może chodzi o jakąś jego starą sprawę? Zemsta za wsadzenie do więzienia albo coś podobnego?

– Może. Jeszcze go nie przesłuchaliśmy. Najpierw odwlekał wizytę u nas, a teraz przestał odbierać telefon. Jeśli dzisiaj też nie odbierze, to każę go doprowadzić siłą. Ale wątpię, czy coś z tego wyjdzie. Prawdopodobnie zbieg okoliczności. Może sprawca uciekał akurat tamtędy i musiał szybko się pozbyć dłoni. Albo coś podobnego. – Erla zauważyła, że Huldar nie kupuje tej wersji, krew napłynęła do jej policzków. Może przypomniała sobie list, z którego się dowiedzieli o istnieniu tej posesji. Ktoś chciał, żeby znaleźli obcięte dłonie, lokalizacja nie mogła więc być przypadkowa. – W każdym razie Toft wydaje się zupełnie zwyczajnym obywatelem. I naprawdę się wkurzył.

– Zrozumiałe. Mam nadzieję, że po przejściu na emeryturę nigdy nie znajdę czegoś takiego w mojej wannie.

– Nie, tym zupełnie się nie przejął. Domaga się zwrotu za pokrywę, która się złamała. Może nawet wykorzystam to jako pretekst, żeby go ściągnąć tu do nas. Powiem, że chcę porozmawiać o odszkodowaniu za straty.

Huldar oniemiał. Zachowanie ludzi rzadko go już zaskakiwało, ale ta reakcja była co najmniej dziwna.

– Na twoim miejscu dobrze bym mu się przyjrzał. Normalny człowiek potrzebowałby tygodnia, żeby dojść do siebie po takim szoku, zanim w ogóle by pomyślał o odszkodowaniu.

Twarz Erli znów przybrała chłodny wyraz.

– Zdaję sobie z tego sprawę, ale po latach spędzonych w sądzie może mieć grubszą skórę – oznajmiła, krzyżując ramiona na piersi. Wyprostowała się na krześle. – Wiem, co mam robić, Huldar.

Zamiast westchnąć, uśmiechnął się do niej.

– Nie chciałem sugerować, że jest inaczej. Ale pozwól, że ci pomogę. Nie interesuje mnie ten pokój i wszystkie te pierdoły, które się z nim wiążą. – Obydwoje spojrzeli na stertę papierów na biurku Erli. – Możesz mi wierzyć.

Zadzwoił telefon i Erla odwróciła się, nie komentując oferty Huldara. Nie umiał określić, czy uwierzyła w szczerą intencję jego intencji, gdy jednak odprawiła go gestem ręki, nie patrząc nawet w jego stronę, doszedł do wniosku, że jednak nie.

Wrócił do swojego biurka i poinformował Gudlaugura, że dostał rozkaz, żeby mu pomóc. Chłopak aż podskoczył, patrząc na Huldara z rumieńcami na policzkach. W oczach miał podejrzliwość, ale też nie ukrywał ulgi. Pośpiesznie wyjaśnił, nad czym pracuje, wyliczając jedną żmudną rutynę po drugiej. Słuchając go, Huldar musiał sobie przypominać, że albo to, albo kotki w sieci.

Gdy zaczął przesiewać stare sprawy w poszukiwaniu czegokolwiek, co wiązałyby się z odcinaniem dłoni, nie potrafił powstrzymać uśmiechu, myśląc o nadziei, jaką w nim pokładał Gudlaugur. Chłopak regularnie zerkał na niego znad krawędzi monitora, jakby się spodziewał, że lada chwila usłyszy rozwiązanie całej zagadki. Niestety, raczej nie było szansy na spełnienie jego oczekiwań. Huldar miał przeczucie, że to będzie jedna z tych kilku trudnych spraw, jakie rzadko się trafiają islandzkiej policji. Sprawy morderstw oraz przestępstw popełnianych przy użyciu przemocy w Islandii

rozwiązywano zwykle albo tego samego dnia, albo w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Nie miał wątpliwości, że kiedyś rozwiążą także i tę zagadkę, ale do końca dochodzenia czekała ich jeszcze daleka droga.

Rozdział 5

W holu budynku szkolnego przywitały ich wielkie litery na tablicy informacyjnej: *Edukacja dla wszystkich i na miarę każdych możliwości*. Ale Huldar interesował się tylko tym, gdzie urzęduje dyrektor szkoły. Freyja zauważyła tablicę, która znacznie mniejszymi literami informowała przybyszów, którędy dojsć do tego gabinetu – i do toalet. We wskazanym kierunku znajdował się długi korytarz prowadzący do budzącego postrach wszystkich uczniów sanktuarium, gabinetu dyrektora szkoły. Być może umieszczono je na końcu tego korytarza po to, żeby po drodze uczniowie ze strachu nabrali należytego respektu.

Huldar dobrze pamiętał to uczucie ze swoich szkolnych czasów. Natychmiast wróciły urywki wspomnień: piórniki wypełnione wyschniętymi flamastrami, ogryzkami ołówków, temperówką i brudnymi gumkami; szkolny tornister wypchany zadaniami domowymi, które nie mogły doczekać się wykonania; pojemnik na kanapki, a w nim ogryzek po jabłku i okruchy; pełne oślich uszu podręczniki, które tylko się objęły we wnętrzu tornistra, bo nigdy ich nie otwierał.

Oprócz skrzypienia podłogi pod starym linoleum słyszeli tylko echo głosów nauczycieli dobiegających z sal lekcyjnych. Ściany były pokryte kolorowymi rysunkami komórek i ameb, które dzieciaki wykonywały na tanim papierze z recyklingu. Huldar przypomniał sobie, że on też kiedyś rysował takie na biologii. Ale nigdy mu się nie chciało ich kolorować.

Na korytarzu unosiła się mieszanina zapachów wydzielanych przez mokre kurtki, gumę obuwia sportowego, klej uniwersalny i środki czystości. Taka sama, jaką Huldar zapamiętał ze swojej szkoły na wschodzie kraju. Na taśmę produkcyjną trafiła kolejna partia dzieciaków i teraz one muszą się gapić w okno, gdy nauczyciel przynudza o mchach, zarodnikach, przysłówkach i innych niezrozumiałych rzeczach.

Huldar zastanawiał się, czy podobne myśli krążą w głowie Freyi. Ona zapewne była wzorową uczennicą, sumienną jak dziewczęta w jego dawnej

klasie oraz każda z jego pięciu sióstr. Freyja nigdy pewnie nie przynosiła w dzienniczku uwag, po których rodzice się robili sini z wściekłości, a potem wrzeszczeli, że znowu nie słucha i przeszkadza podczas lekcji.

Dyrektor szkoły przyjął ich w swoim gabinecie. Wyglądał mniej więcej tak, jak Huldar się spodziewał: około pięćdziesiątki, patykowate nogi i źle dobrany szeroki krawat, który miał odwrócić uwagę od wielkiego brzucha, ale tego zadania nie spełniał. Dyrektor zerknął na zegar ścienny i z satysfakcją skinął głową, stwierdziwszy, że jest dokładnie dziesięć po dziewiątej. Zaproponował kawę, która się okazała paskudnie wodnistą lurą, i zaprosił ich dalej.

Na krzesłach, które zajęli Huldar i Freyja, widoczne były wgłębienia wysiedziane przez niezliczonych rodziców, którzy zmuszeni byli wysłuchiwać najświeższych przykładów niewłaściwego zachowania własnych pociech i napomnień, że będą musieli się wziąć za wychowanie swoich dzieci. Całe pokolenia siedziały na tych krzesłach jak na rozżarzonych węglach.

Dyrektor oparł dłonie na blacie biurka. Palce miał tak samo długie i chude jak nogi.

– Mam nadzieję, że policja nie uznała mojego zgłoszenia za stratę czasu. Wyszedłem z założenia, że lepiej dmuchać na zimne.

Huldar odpowiedział za nich oboje.

– Zawsze najlepiej zgłosić do nas coś, co się wydaje podejrzane. Postąpił pan właściwie w tych okolicznościach, bez względu na to, czy faktycznie istnieją powody do obaw.

Dyrektor promieniał z zadowolenia. Ślad mleka na jego górnej wardze kazał przypuszczać, że tylko gości zbywał tymi pomyjami, sam zaś pił cappuccino.

– Jak mogę państwu pomóc? Mam ograniczony czas, przejdźmy więc może od razu do rzeczy.

Huldara nie trzeba było dwa razy prosić. Dziwnie się czuł, siedząc w gabinecie dyrektora szkoły po tylu latach.

– Grafolog potwierdził, że list z pogrózkami, że użyję tego określenia, został napisany przez tego samego chłopca, który podpisał swój list jako Thröstur z 9b. Chcę więc prosić, żeby pan nam podał nazwisko tego Thröstura i, jeśli pan go pamięta, przekazał też swoją opinię na temat dawnego ucznia. Jak informowałem telefonicznie, koleżanka jest

psychologiem z Izby Dziecka i pomaga mi podczas tej sprawy. Tajemnica służbowa obowiązuje ją tak samo jak mnie. – Po tych słowach Huldar wyciągnął rękę, chcąc delikatnie klepnąć poręcz sąsiedniego krzesła, ale w tym samym momencie Freyja oparła o nią dłoń, którą natychmiast cofnęła tak gwałtownie, jakby jego dotyk ją sparzył. Dyrektor szkoły był wyraźnie zakłopotany, choć się starał tego nie okazywać.

– Rozumiem – stwierdził, prostując się nieco na krześle, jakby wspomniana przez Huldara tajemnica służbowa przeniosła rozmowę na wyższy poziom. – Sprawdzę listę uczniów w tamtym roku szkolnym, którą już odnalazłem. – Spojrzał na monitor swojego komputera i coś na nim odczytywał, przesuając po blacie muszką. – Thröstur, mówi pan. Thröstur, Thröstur. Mam. Thröstur Agnesarson. Thröstur Agnesarson! Oczywiście, że to on! – Oczywiście?

– Po prostu przypomniałem sobie tego ucznia i nie mam pojęcia, dlaczego wcześniej nie przyszedł mi do głowy. Teraz widzę, że to musiał być on. Wtedy zostałem mianowany na stanowisko i od początku otrzymywałem na niego skargi, chociaż on też był w szkole nowy. Nowi uczniowie zwykle nie sprawiają większych kłopotów. W każdym razie nie od początku. On był wyjątkiem i przypadł mu wątpliwy zaszczyt stać się pierwszym trudnym uczniem, z którym miałem do czynienia jako dyrektor tej szkoły. Po nim było oczywiście wielu innych, ale tych późniejszych raczej nie zapamiętałem tak dobrze jak jego.

– Miał problemy ze swoim zachowaniem? – zapytała Freyja.

– Nie, tak bym tego nie określił. To był inny przypadek. Nie chodziło o ADHD czy ADD. Nie był też zdiagnozowany jako dyslektyk ani dziecko ze spektrum autyzmu. Nie miał zaburzenia opozycyjno-buntowniczego. Proszę pamiętać, że wszystkie te zaburzenia były wówczas znane od niedawna, niewykluczone zatem, że dzisiaj diagnoza byłaby inna. Mamy większe doświadczenie w wykrywaniu różnego rodzaju syndromów i zaburzeń.

– Dlaczego więc łądował u pana tak często? – Huldar wolałby, żeby ich gospodarz naprawdę przeszedł od razu do rzeczy. Nie interesowała go historia ADHD, a nawet gdyby, to Freyja z pewnością wiedziała na ten temat więcej niż dyrektor. Awersja Huldara wynikała po części z przekonania, że prawdopodobnie on sam walczył z takim zaburzeniem jako dziecko, ale nie otrzymał pomocy. Kto wie, czy gdyby się urodził później, nie byłby dziś lekarzem? Chociaż nie, za wysoka poprzeczka. Zwiększona koncentracja

mogłaby przynajmniej mu pomóc utrzymać jakiś trwały związek.

– Dobrze pytanie. – Spojrzenie dyrektora przeniosło się z Freyi na Huldara i z powrotem. – Umiał się koncentrować i nie miał żadnych szczególnych kłopotów z nauką, jeśli oczywiście chciało mu się uczyć. Jego problemy nie wiązały się z pracą szkolną, nie wynikały też z konfliktów z grupą rówieśniczą. To był jakiś problem psychologiczny, z którym nie mogliśmy sobie poradzić. Nauczycielom i mnie wkrótce zabrakło pomysłów, wezwaliśmy więc na pomoc fachowca. Psychologa dziecięcego tak jak pani. – Posłał Freyi pełne zachwyty spojrzenie. Huldar odniósł wrażenie, że było ono zbyt długie. Dyrektor szkoły nie przejawiał żadnych objawów ADHD.

– Co z tego wyszło? – zapytał.

– Nigdy się nie dowiedziałem. Chłopiec spotykał się z psychologiem poza szkołą. Otrzymałem jedną opinię, jeśli dobrze pamiętam, z której wynikało, że chłopiec niedługo powinien się poczuć lepiej. Zawierała też wskazówki, jak sobie z nim radzić, jeśli jednak będzie sprawiał dalsze problemy. Ale chłopiec odszedł od nas przed końcem roku szkolnego, problemy miał więc już inny dyrektor w innej placówce.

– Jak się przejawiały problemy chłopca? – Freyja pochyliła się lekko w prawo, siedząc tak daleko od Huldara, jak tylko się dało.

– Chłopiec był, no właśnie, jak by to określić? Posępny? Ponury? Nigdy się nie cieszył. Nie pamiętam, żeby się kiedykolwiek uśmiechnął. Był obsesyjnie zainteresowany śmiercią i złem. Rysował wyłącznie martwych ludzi, a jego wypracowania były pełne egzekucji i morderstw. Tylu nauczycieli przychodziło tu się na niego skarżyć, że ledwo się drzwi zamykały. Sprawdź, czy zostały jakieś jego rysunki albo wypracowania, to sama pani zobaczy. Zwłaszcza rysunki były niepokojące. Dlatego raczej wątpię, żeby nauczyciele zdecydowali się je przechować.

Zdaje się więc, że na ścianach w korytarzu rysunków Thröstura raczej nie było. Huldar zaczął się zastanawiać, czy można narysować martwą komórkę albo amebę.

– Czy wdawał się w bójkę? Czy krzywdził innych uczniów albo swoich przyjaciół?

– Przyjaciół? Thröstur nie miał przyjaciół. Co dziwne, nie miał też wrogów, którzy by go prześladowali. Początkowo uważałem, że to skutek życzliwości i dobroci pozostałych dzieci, które współczują chłopakowi

i rozumieją, że ma problemy psychiczne. Szybko jednak stało się dla mnie jasne, że nie o to chodziło. Inne dzieci po prostu się go bały. Były zbyt wystraszone, żeby mu dokuczać. To mówi samo za siebie. Ale on nigdy nikogo nie skrzywdził. Ani tutaj, ani nigdzie indziej, o ile mi wiadomo.

– Powiedział pan, że psycholog raczej optymistycznie się wypowiedział na temat polepszenia się stanu chłopca? – Freyja siedziała wyprostowana, żeby widzieć twarz dyrektora szkoły schowaną za monitorem.

– Nie wiem, czy opinia była taka pozytywna. Przesłano mi wtedy nie tyle całą opinię na jego temat, co podsumowanie. Pamiętam, że zachowanie chłopca było związane z jakąś tragedią rodzinną. Nie podano jednak szczegółów. Jego sytuacja rodzinna była względnie zwyczajna, o ile sobie przypominam. Matka wychowywała go samotnie. Miał zdaje się młodszą siostrę, która z jakiegoś powodu chodziła do innej szkoły. Co zrozumiałe, wzmianka o tragedii rodzinnej wzbudziła moją ciekawość, chciałem więc się dowiedzieć czegoś więcej. Wezwałem chłopca do siebie i zadałem kilka pytań na temat sytuacji domowej, ale zupełnie się zamknął w sobie. Niedługo potem zostałem powiadomiony przez jego matkę, że do końca roku szkolnego będzie się uczył w domu, od jesieni zaś przejdzie do innej szkoły. Ponieważ był prawie koniec roku, przymknąłem oko na nieobecności. Bez niego szkoła z całą pewnością funkcjonowała lepiej przez te ostatnie tygodnie.

Huldar ani Freyja nie skomentowali tego. Siedzieli w milczeniu, próbując ukryć odrazę. Tylko dla zaspokojenia własnej ciekawości ten człowiek wezwał chłopca do swojego gabinetu i próbował wyciągnąć od niego informacje o tym, co sprawia mu przykrość. Takie traktowanie raczej nie mogło pomóc temu dziecku i nietrudno było się domyślić, że to ono skłoniło matkę do podjęcia decyzji o zmianie szkoły. Ciszę przerwał Huldar.

– Czy przeniósł się do sąsiedniej szkoły? Wie pan, jak sobie tam radził?

– Och, nie. Jego rodzina się stąd wyprowadziła i straciłem z nimi kontakt. Zdaje się, że nigdzie nie mogli zagrzać miejsca. O ile wiem, w naszej okolicy też się pojawili wraz z rozpoczęciem tamtego roku szkolnego.

Może więc zmiana szkoły nie była skutkiem wypytywania chłopca o problemy rodzinne. Niezadowolenie z miejscowej szkoły często jest jednym z wielu powodów, dla których ludzie się przeprowadzają. Matka chłopca mogła dostać lepszą pracę w innej części miasta albo stracili miejsce zamieszkania. Jako samotna matka zapewne mieszkała w wynajętym,

a najemcy nie mają najlepszej sytuacji w Islandii.

– Czy moglibyśmy zobaczyć tę opinię? – Freyja brzmiała pewnie, jakby miała prawo prosić.

– Niestety nie mogę na to pozwolić. Niemal na pewno tekst był oznaczony jako poufny, musiałbym więc pewnie uzyskać zgodę psychologa, który go sporządził. Najpierw jednak musiałbym go oczywiście odnaleźć, a nie jestem pewien, czy nadal trzymamy go w aktach.

– Może więc proszę mi podać nazwisko tego psychologa.

– Oczywiście, to będzie najprostsze rozwiązanie. Zaoszczędzi mi grzebania w dokumentach. Jestem zavalony robotą, jak się państwo mogą domyślać.

Huldar jednak nie dostrzegł żadnych objawów zapracowania. Biurko dyrektora było puste, a jego telefon nie odezwał się ani razu, odkąd weszli do gabinetu.

Dyrektor spojrzał na monitor.

– Na szczęście trzymam kopię każdego służbowego maila, który otrzymuję. Archiwizuję je chronologicznie, co ułatwia przeszukiwanie – oznajmił, po czym zaczął poruszać myszką tam i z powrotem, wystukując coś na klawiaturze i mrużąc pod nosem. – Jak ona się nazywała? Gudlaug? Gudný? – Zdawał się mówić do siebie, nagle jednak odwrócił głowę do swoich gości. – Jeśli dacie mi państwo minutkę, odnajdę to nazwisko. Zapewne też samą opinię, której oczywiście nie będę mógł przekazać. W każdym razie na pewno powinniście państwo z nią porozmawiać. Jeśli dobrze pamiętam, miała do czynienia z Thrösturem już wcześniej, gdy był młodszy. Nasz wniosek czekał wtedy trochę na realizację, ponieważ ta konkretna psycholog upierała się, że sprawa musi trafić akurat do niej. Na pewno więc będzie wiedziała o nim znacznie więcej niż ja. – Znów się odwrócił do komputera. – Gdzie jest ten mail?

– Proszę się nie śpieszyć. Mamy dużo czasu – zapewnił go Huldar. Na pewno była to prawda, jeśli chodziło o niego, ale przypuszczał, że Freyja miała tak samo. Gdy w końcu się do niej dodzwonił wczoraj po południu, bardzo chętnie przyjęła propozycję wspólnej wizyty w szkole, a ponieważ nie starała się ukryć, że jego towarzystwo jej nie odpowiada, to musiało chodzić o Thröstura, nie o niego. Starał się złapać jej spojrzenie, ale uparcie odwracała wzrok. Gapił się więc na nią, zdecydowany udowodnić, że nie cierpi na nadpobudliwość ruchową. I nie miał z tym trudności: piękny profil

Freyi był miły dla oka, a dodatkową przyjemność sprawiała mu świadomość, że Freyja niespokojnie kręci się pod jego spojrzeniem.

– Ha! Jest! – Dyrektor zerknął na nich. – Mierzyliście czas? Ile mi to zajęło?

Huldar oderwał oczy od Freyi.

– Eee... nie. Ale był pan naprawdę szybki.

Huldar nie miał wątpliwości, że dyrektor szkoły to dziwak, nie na miarę Thröstura Agnesarsona, ale jednak dziwak. Możliwe, że był to skutek tylu lat pracy z dziećmi, które uczył, a często i wychowywał w zastępstwie rodziców, dysponując ograniczonymi środkami do wymuszania dyscypliny. Huldar z pewnością by oszalał, gdyby musiał utrzymywać porządek publiczny, nie mając do dyspozycji całej siły prawa i wymiaru sprawiedliwości.

– Sólveig Gunnarsdóttir, tak się nazywała ta kobieta.

Freyja nie zanotowała. Może miała świetną pamięć, ale Huldar wiedział, że jemu to nazwisko wyleciałoby z pamięci, jeszcze zanim wyszliby ze szkoły.

– Chcesz, żebym zanotował? – zapytał.

– Nie ma potrzeby. Znam ją. Współpracuje z Izbą Dziecka – odpowiedziała, nadal nie chcąc na niego spojrzeć.

Dyrektor szkoły klasnął w dłonie.

– Co za szczęśliwy zbieg okoliczności! Rozumiem, że sprawę mamy załatwioną. Czy może jest coś jeszcze?

– Chciałby pan dostać z powrotem oryginał tego listu? Wspominał pan, że zawartość kapsuły czasu trafi na wystawę, a mnie ten list nie będzie już potrzebny. – Huldar położył niepodpisany list Thröstura na blacie biurka i przesunął w stronę dyrektora. Ten się odsunął, jakby papier był radioaktywny.

– Mój Boże, nie! Dziękuję bardzo! Coś takiego nie może trafić na naszą wystawę. Oszalał pan? Proszę sobie wziąć ten anonim i wyrzucić albo co tam robicie z dowodami, które przestały mieć znaczenie. Przypuszczam, że nie pokażemy także listu, który Thröstur podpisał.

Huldar wzruszył ramionami i wziął list z powrotem.

– Kiedy jest wystawa?

– Otwarcie w przyszłym tygodniu. Obecnie rozwieszamy na ekspozycji listy, w tym kserokopie otrzymane z Ameryki. Będzie wiele zabawy. Przynajmniej dla tych młodych ludzi, którzy dziesięć lat temu je pisali.

Wszyscy zostali zaproszeni na otwarcie.

– Thröstur też? – Głos Freyi był lodowaty. – Nie zdziwi się, że nie ma jego listu? Tego podpisanego?

– On nie dotrwał do końca semestru. Zaprosiłem uczniów według stanu na koniec tamtego roku szkolnego.

Długie palce dyrektora ułożyły się w daszek. Dewiza szkoły „Edukacja dla wszystkich i na miarę każdych możliwości” najwidoczniej nie obowiązywała w tym przypadku.

Głos Freyi ani trochę nie stopniał:

– Jeszcze jedno. Jaką informację otrzymał pan z poprzedniej szkoły, przyjmując ucznia do siebie? Czy skontaktował się pan z nimi, gdy się okazało, że chłopiec ma problemy?

Długie palce dyrektora splotły się w supeł.

– Nie, nie zrobiłem tego. Teraz brakuje mi czasu, a co dopiero w pierwszym roku pracy. Wszystkiego musiałem się uczyć na bieżąco. Zanim się okazało, że Thröstur jest... Że dzieje się z nim coś złego, upłynęły prawie trzy miesiące. To był już wtedy nasz uczeń, a więc i nasz problem. Nie widziałem powodu, żeby pytać, jak poprzednia szkoła sobie z nim radziła, w końcu miałem namacalne dowody, że było to nieskuteczne.

– Czyli na początku się wydawał normalny? Przez prawie trzy miesiące?

– Nie. Ale tyle czasu potrzebowaliśmy, żeby ustalić, że to coś poważniejszego, a nie chwilowe wahnięcie. Był wszak nowym uczniem, w dodatku bardzo zamkniętym w sobie. – Palce dyrektora nagle przestały podskakiwać, nieruchomiejąc na blacie biurka, jakby mężczyzna chciał przeprowadzić inspekcję paznokci. – Niestety będę musiał skończyć to spotkanie. Jestem już spóźniony.

– A rodzice? – Freyja nie zamierzała łatwo się poddawać. – Jakimi ludźmi byli i co mieli do powiedzenia o tym wszystkim? Musiał pan poznać przynajmniej matkę.

– Oczywiście, ale ojca nigdy nie widziałem. Matka wyglądała na zaskarzoną, jeśli dobrze pamiętam. Nie miała czasu, żeby przyjść do szkoły w godzinach urzędowania, a my nie mamy funduszy, żeby pracować wieczorami. Zresztą nie tak to działa. Ale raz przyszła. Odniosłem wrażenie, że się poddała. Poza tym komunikowaliśmy się drogą mailową. – Nie zaproponował, że zacytuje te wiadomości albo wydrukuje ich treść. – Teraz naprawdę muszę już iść. – Wstał z krzesła, zaciskając wargi, jakby chciał

pokazać, że spomiędzy nich nie wydobędzie się już żadna odpowiedź.

Freyja i Huldar podziękowali za rozmowę, po czym się zebrali do wyjścia, zostawiając na biurku dosłownie nietknięte kubki z nienadającą się do picia kawą. Huldar zaproponował, że je zabierze, ale dyrektor szkoły odprawił go gestem, po czym znów usiadł za biurkiem i nic nie wskazywało na to, żeby dokądkolwiek się wybierał.

Dzieci wychodziły na przerwę, gdy Huldar i Freyja opuścili gabinet dyrektora szkoły. Hałas wręcz ogłuszał i nie było sensu rozmawiać, dopóki szli przez korytarz, a następnie dziedziniec.

– Co o tym sądzisz? – zapytał Huldar, gdy dotarli do parkingu. Kątem oka obserwował hordę uczniów, zatrzymując wzrok na kilkorgu dzieciach stojących samotnie na obrzeżach. Dziwak Thröstur byłby zapewne jednym z nich.

– Sama nie wiem. Jestem teraz mniej pewna, niż gdy czytałam te listy. Jeśli dyrektor dobrze pamiętał i Thröstur rzeczywiście chodził do Sólveig, jeszcze przed tym, zanim nastąpił atak depresji, to mój ogląd sytuacji raczej się zmienia. Dzieci nie posyła się na regularne sesje z terapeutą, jeśli problem nie jest poważny. Z chłopcem musiało być coś nie tak. Albo z jego bezpośrednim otoczeniem.

– Zmienia się na tyle, żeby poważnie potraktować groźby z tego listu? Albo uznać, że mógł się dopuścić czegoś równie poważnego?

Freyja zmarszczyła czoło, jakby krytycznie analizując własne myśli.

– Prawdopodobnie nie. Ale chciałabym się z nim spotkać. Po uprzedniej rozmowie z Sólveig. Oczywiście nie będę mogła ci przekazać treści tej rozmowy, a tylko co z niej wynika. I to bardzo ogólnie.

Huldar zapomniał już, jak pięknie Freyja się uśmiecha.

– Jeśli będziesz miał szczęście – dodała. – Bo może się zdarzyć, że nie będę mogła ci powtórzyć niczego, co Sólveig mi powie.

– Jasne. Tyle będzie musiało mi wystarczyć. – Huldar obserwował, jak Freyja szuka w kieszeni kluczyków do samochodu. Uświadomił sobie, że w odróżnieniu od większości kobiet Freyja nie nosi torebki. Ilekroć się spotykały jego siostry, torebki wisały na oparciu każdego krzesła albo leżały na stole. Niezmiennie padała też kierowana do Huldara prośba: „Czy możesz mi podać torebkę?”. Był najmłodszy w rodzinie i siostry nigdy nie przestały traktować go jak swojego chłopca na posyłki. Możliwe, że we Freyi

pociągało go to, jak bardzo się różniła od jego sióstr. Raczej spędziłby resztę życia jako pustelnik, niż się ożenił z kobietą podobną do którejkolwiek z własnych sióstr. – Teraz spróbuję namierzyć Thröstura. Mam wystarczająco dużo informacji, żeby odszukać jego numer ewidencyjny, a reszta powinna być prosta. Chciałabyś mi towarzyszyć, gdy się z nim spotkam?

Zauważył, że Freyja otwiera swój samochód kluczykiem, a nie pilotem. Auto powstało tak dawno, że wtedy jeszcze pilotów nie wprowadzono.

– Pewnie – odpowiedziała. – Chciałabym przy tym być. Najpierw jednak sprawdź, czy Thröstur ma policyjną kartotekę. To mogłaby być ciekawa lektura.

Nie wyjaśniając, co ma na myśli, Freyja siadła za kierownicą i zatrzasnęła drzwi.

Huldar obserwował, jak odjeżdża, po czym wszedł do swojego samochodu, zastanawiając się nad jej słowami i poważną miną, która towarzyszyła słowom.

Rozdział 6

Gdy po wizycie w szkole Freyja wróciła do Izby Dziecka, wpatrywała się w okno, obserwując pogodę. Kolejny dzień, kolejna burza. Rano zaczęła od wypuszczenia Molly do zaniedbanego ogródka za blokiem. Mieszkanie było własnością jej brata Baldura i chociaż początkowo Freyja zamierzała korzystać z niego tylko tymczasowo, minął już prawie rok, a jej nadal nie udało się znaleźć niczego lepszego. Wyglądało więc na to, że szukając w tym tempie, nie wyrobi się do końca odsiadki Baldura, choć ostatnio przedłużono ją o dwanaście miesięcy. Miało to swoje dobre i złe strony: uwalniało ją od problemów z wynajmowaniem mieszkania na niełatwym rynku, ale też skazywało na życie wśród ludzi z marginesu społecznego. Jej sąsiadom nie zależało na wypielęgnowanym ogródku ani na czystości śmietnika czy innych powierzchni wspólnych. Mieli ważniejsze sprawy, na przykład zdobycie kolejnej działki – cokolwiek, byle nie sięgnąć po odkurzacza, miotłę albo ścierkę.

Ostatnio Freyja zauważyła przyczepioną do ściany w korytarzu żółtą kartkę, która się okazała terminarzem sprzątanego na jakiś nieokreślony rok, który niewątpliwie już dawno upłynął. Ponieważ bałagan naprawdę ją wkurzał, postanowiła zacząć sprzątać w dni przypisane do mieszkania Baldura, mając nadzieję, że może pozostali mieszkańcy się zawstydzą i pójdą za jej przykładem. Myślała też, że może w ten sposób ich do siebie przekona, ponieważ mało kto mówił jej dzień dobry i miała wrażenie, że byliby najszczęśliwsi, gdyby się stamtąd wyprowadziła. Ale plan nie wypalił. Gdy wzięła się za sprzątanie, sąsiedzi jeden po drugim wyglądali na korytarz, żeby sprawdzić, co się, do cholery, dzieje. Widok odkurzacza w jej rękach wywoływał na ich twarzach zdumienie, a nawet oburzenie lub współczucie dla odmiany. W każdym razie na pewno nie zyskała sobie ich uznania za podjęty wysiłek. Nikt też nie docenił czystego korytarza ani porządku w komorze zsypowej. Mimo to Freyja była zdeterminowana trzymać się rozpiski sprzed lat i sprzątać w te dni, w które wypadała jej kolej.

Gdyby wiosną zabrała się za porządkowanie ogrodu, sąsiedzi straciliby resztki szacunku, jakie dla niej żywili. Ale przynajmniej ona i Molly miałyby kawałek trawy tylko dla siebie. Pozostali mieszkańcy budynku za dnia zwykle siedzieli w domu. Mogłaby wystawić tam stół i krzesła, a potem się pławić w promieniach słońca nad filiżanką kawy, podczas gdy Molly obwąchiwałaby okolicę w poszukiwaniu najlepszego miejsca na załatwienie psich spraw. Siedząc tyłem do budynku, Freyja mogłaby nawet wmówić sobie, że mieszka w innym, przyjemniejszym miejscu.

Ale na lato przyjdzie jej jeszcze długo czekać, oczywiście przy założeniu, że w ogóle będzie lato, a siedzenie na zewnątrz o tej porze roku nikomu by do głowy nie przyszło. Freyja nieomal skakała z radości, gdy Molly skończyła, bo mogła się zbierać do pracy. W Izbie Dziecka było przynajmniej ciepło i miała dobrą kawę. Przez nieszczelne okna w mieszkaniu Baldura strasznie wiało, a jego ekspres stracił wszelką zdolność parzenia kawy. Gdyby nie ta straszna pogoda, wybrałaby się do sklepu po nowy. Jakim cudem chciała wykrzesać z siebie energię i odmienić swoje życie, skoro pozwalała, żeby wiatr i odrobina śniegu stanęły między nią a dobrą kawą?

Drzwi wejściowe się otworzyły i w korytarzu rozbrzmiały głosy, które niemal natychmiast ucichły. Freyja uznała, że to będzie dobry moment, żeby podjąć kolejną próbę rozmowy z Sólveig. Gdy próbowała zaraz po powrocie, koleżanka miała sesję z jakimś dzieckiem. W odróżnieniu od niej Freyja mogła się zająć co najwyżej drobiazgami typu czytanie kwestionariuszy oceny i tabele do podsumowania rocznej działalności Izby Dziecka. Złościło ją, że prośba Huldara o pomoc była dla niej jak wygrany los na loterii. Huldar to ostatni człowiek na świecie, z którym chciałaby się zadawać, ale wszystko było lepsze od siedzenia i gapienia się w okno. Musiała mieć coś do roboty, jakiś cel w życiu. Czyszczenie powierzchni wspólnych w bloku raz na kilka tygodni nie wystarczało.

Zastała Sólveig przy biurku. Fakt, że pracująca w niepełnym wymiarze godzin koleżanka miała większy i lepiej urządzony pokój od niej, był trudny do przeoczenia, ale Freyja starała się to zignorować, przypominając sobie, po co przyszła.

– Czy mogę zamienić z tobą dwa słowa? Chodzi o chłopca, który został skierowany do ciebie dziesięć lat temu i prawdopodobnie także wcześniej.

– Dziesięć lat? – Sólveig uniosła brwi, tworząc na czole trzy głębokie

bruzdy. Jak zwykle jej siwiejące włosy były zebrane w ścisły kok, ale nic innego w jej wyglądzie nie mogło choćby sugerować surowości. Miała krzywo zapięte guziki bladożółtej bluzki, a długi brązowy sweter nierówno opadał z szerokich ramion. – Mój Boże, nie sięgam pamięcią aż tak daleko. – Machnęła ręką, zapraszając Freyję do środka. Nad dłonią szczęknęły bransolety. – Ale usiądź. Muszę przyznać, że mnie zaciekawiałaś.

Bluzka Freyi była równo zapięta, a ubranie dobrze się na niej układało. Przy Sólveig czuła się wymuszkana jak własnoręcznie wysprzątany korytarz; jak nudziarz, który bierze życie zbyt poważnie, przez co traci wszystko, co w nim najfajniejsze. Psychologiczna natura kazała jej się zastanowić, czy to mogła być prawda. Może już czas, żeby przestała się tak najeżać, choć w przeszłości każda próba wyluzowania źle się dla niej kończyła. Pora się oswobodzić, choćby tylko po to, żeby zaszaleć. Tak, nadchodzący weekend spędzi inaczej. Wyciągnie do klubu swoje koleżanki, a następnego dnia w towarzystwie solidnego kaca uda się do sklepu po nowy ekspres. Pierwszy krok na drodze do nowego życia. Potem z filizanką porządnej kawy usiądzie na kanapie z kolanami podciągniętymi pod brodę i zacznie przeglądać ofertę studiów podyplomowych na najbliższy rok akademicki.

– Możesz o tym nie wiedzieć, ale zostałam poproszona o pomoc policji w sprawie związanej z tym chłopcem. – Opowiadając Sólveig tę smutną historię, Freyja patrzyła, jak bruzdy na czole rozmówczyni się pogłębiają. Było ewidentne, że Sólveig nie wiedziała o niczym, to zaś sugerowało, że dyrektorka zmilczała o całej sprawie. Dziwne, ponieważ zazwyczaj sprawy prowadzone przez członków zespołu były dość otwarcie omawiane w murach Izby Dziecka.

Może sprawy prowadzone przez nią nie były już godne uwagi. Dopiero co podbudowana planami na weekend pewność siebie nieco osłabła. Freyja zmusiła się do koncentracji.

– Według dyrektora szkoły, do której chodził Thröstur, chłopiec został skierowany do zdiagnozowania przez ciebie. Mężczyzna miał też wrażenie, że kontaktowałaś się z tym chłopcem już wcześniej, a może nawet go prowadziłaś, choć nie miał na ten temat żadnych informacji.

– Och, to było tak dawno temu. – Sólveig pokręciła głową. Wyglądało, jakby grzebała w pamięci, chcąc przypomnieć sobie, o którego chłopca chodzi. Zmrużyła oczy i wykrzywiła usta. – Nie, nie pamiętam żadnego Thröstura. – Niespodziewanie się uśmiechnęła. – Chyba więc nie było to nic

poważnego. Trudne przypadki zwykle zostają mi w pamięci, a błahe sprawy, jeśli można użyć tego określenia, umykają. To cud, że wszyscy nie jedziemy na antydepresantach. – Sólveig znów się uśmiechnęła, na chwilę pokazując dalekie od doskonałości zęby. Sam uśmiech zresztą też pozostawiał wiele do życzenia, ponieważ nie widać go było w jej oczach.

Freyja odsłoniła zęby z taką samą nieszczerością.

– Czy w tamtych latach szkoły kierowały do ciebie wielu uczniów?

– Zależy, jak definiować „wielu”. – Sólveig zrezygnowała z fałszywego uśmiechu, by okazać zmęczenie całym światem.

Freyja straciła rachubę, ile razy widziała podobne zachowanie swoich kolegów, tylekroć doprowadzało ją ono do szału: mina, którą robili, najwyraźniej nieświadomie, ilekroć ze sobą rozmawiali, miała podkreślić, jak dużo pracy muszą wykonywać za tak marne wynagrodzenie. Może więc powinna zabrać ze sobą część z nich, gdy się zapisze na studia, żeby zgłębiać tajniki transakcji finansowych?

– Oczywiście nawet jedno dziecko z problemami to o jedno za dużo – dodała Sólveig z zatroskaną miną.

– Problemy będą zawsze – stwierdziła Freyja z werwą, nie chcąc jej wtórować. – Dużo dzieci wtedy leczyłaś?

Sólveig zdawała się nie przejmować opryskliwością Freyi.

– Tak, można chyba tak powiedzieć. – Nieszczery uśmiech powrócił. – Miałam własną praktykę i prowadziłam konsultacje psychologiczne w czterech szkołach. Ale stawiałam tylko wstępne diagnozy dzieci i młodzieży z problemami wychowawczymi. Jeśli się okazywało, że potrzebują pomocy, odsyłałam je na leczenie, zazwyczaj na oddział psychiatrii dziecięcej. Miałam z nimi raczej pobieżny kontakt, nie dziwi mnie więc, że nie pamiętam tego Thröstura.

– Naprawdę? Z rozmowy w szkole zrozumiałam, że wcześniej go leczyłaś. Nie było co prawda mowy, ile miał wtedy lat, ale to musiało być coś więcej niż tylko wstępna diagnoza.

– Widocznie po prostu nie pamiętam. Chyba się starzeję. – Na ustach Sólveig zagościł ten irytujący uśmieszek, zniknął jednak, gdy się okazało, że Freyja nie zaprzeczy temu przypuszczeniu. – Jeśli coś mi się przypomni, dam ci znać.

– Będę wdzięczna. – Freyja zaczęła się zbierać do wyjścia. – Przypuszczam, że policja będzie chciała porozmawiać z tobą o tym chłopcu.

Interesuje ich tamten okres jego życia. Może powinnaś zerknąć do intranetu i przejrzeć dokumentację. Nadal współpracujesz ze szkołami, prawda?

– Tak. Ale bardzo wątpię, czy tamta opinia jeszcze istnieje. – Odpowiedź wydała się Freyi zbyt gładka. – W każdym razie byłabym zdziwiona, gdyby jeszcze istniała.

– Naprawdę? – Freyja jednak nie wstała z krzesła. – Czyli dokumentacja jest niszczone po jakimś czasie?

– Nie. – Sólveig unikała jej wzroku. – To znaczy nie wiem. – Wydawała się podenerwowana. Niezręcznie próbowała uratować sytuację. – Już dziesięć lat to kawał czasu, a co dopiero wcześniejsze sprawy. Jest oczywiście możliwe, że dokumentacja tego chłopca się zachowała gdzieś w systemie, że ktoś ją wprowadził. Ale biorąc pod uwagę olbrzymią liczbę pacjentów, których przyjmujemy, wydaje mi się to mało prawdopodobne. To właśnie miałam na myśli.

– Rozumiem. – Freyja zastanawiała się, czy przedłużyć tę rozmowę, czy wracać do swojego pokoju, by skończyć to, co zostało jej do zrobienia, i przez resztę dnia surfować w sieci. Mogłaby założyć konto na Tinderze, do czego od dawna namawiał ją brat. On poznał tam całkiem sporo kobiet, którym najwyraźniej nie przeszkadzało, że przebywa za kratkami. Ona, wolna jak ptak, na pewno by kogoś znalazła. Zamiast jednak wstać i wyjść, Freyja postanowiła, że tak łatwo nie odpuści. Nie pozwoli, żeby Sólveig wciskała jej te bzdury. – Chociaż nie, właściwie to nie rozumiem. Co liczba pacjentów ma do dokumentacji? Opinie są trzymane w aktach, podobnie jak historie choroby. Przez ten czas zdigitalizowano dokumentację, ale to nie znaczy, że wcześniejsza kartoteka zniknęła.

– Oczywiście, że nie znaczy, głupoty gadam. Dokumentacja sprzed lat musi gdzieś być. Nie jestem na bieżąco z systemem. Wgrywam moje raporty i opinie, ale nie wiem, co się dalej z nimi dzieje. Szkoła nie zachowała swojego egzemplarza?

– Dyrektor twierdzi, że nie otrzymał opinii końcowej, tylko jej streszczenie. Bardzo ogólne. Nie wydaje ci się to raczej nietypowe? Szkoły nie mają dostępu do dokumentów o stanie zdrowia psychicznego swoich uczniów?

– Oczywiście, że nie mają. Dyrektor dostał zapewne zwięzłe omówienie tego, co się wiąże z funkcjonowaniem szkoły, jeśli chłopiec wymagał specjalnego traktowania. Mój mózg jeszcze chyba się nie obudził.

Przepraszam, że jestem roztrzepana. Miałam raczej trudny poranek. Przykro mi, że nie mogę ci pomóc. – Sólveig westchnęła, a na jej twarzy znów się pojawiła utrudzona mina. I znów Freyja udała, że jej nie zauważa.

– Może więc mogłabyś upoważnić mnie do zapoznania się z tym omówieniem? Dyrektor szkoły twierdzi, że powinien je odszukać. Dopóki nie odnajdą się inne dokumenty, będzie musiało mi wystarczyć.

Sólveig była zaskoczona jej prośbą, choć próbowała to ukryć. Freyja miała wrażenie, że koleżanka rozpaczliwie szuka jakiejś wymówki, żeby odmówić, ale jej się nie udaje.

– Tak, oczywiście. Pewnie. Myślę, że mogłabym to zrobić. Ale chciałabym najpierw odświeżyć sobie w pamięci przypadek tego chłopca. Żeby mieć pewność, że nie łamię klauzuli tajności. Czy może być pod koniec tygodnia?

Freyja podniosła się z krzesła.

– Zdaje się, że musi. Przypuszczam, że policja wystąpi do ciebie o dokumentację tego chłopca. Albo się zwróca prosto do oddziału psychiatrii dziecięcej. Ktoś w szpitalu musi wiedzieć, jak funkcjonują archiwa i jak się do nich dostać. Oczywiście policjanci nie będą sami analizować historii choroby. Prawdopodobnie poproszą o to ciebie albo znowu przyjdą do mnie.

– Czas pokaże. – Bransolety zabręczały znowu, gdy Sólveig przeniosła mięsiste dłonie nad klawiaturę swojego komputera. – Dziękuję, że mnie powiadomiłaś.

Uwagę Freyi przykuł jednak wiatr uderzający w okno. Kłębiąca się burza dobrze odzwierciedlała obecny stan jej umysłu.

Freyja nie znalazła na Tinderze nikogo dla siebie, z wyjątkiem jednego, który – jak się okazało – nie wchodził w grę. Od razu trafiła na jego profil, a on natychmiast odwzajemnił zainteresowanie. Ale ostatecznie atrakcyjny trzydziestolatek okazał się dziewiętnastoletnim chłopcem. W pierwszej wiadomości zapytał, czy Freyja jest mamuszką, która lubi młodych chłopców. Bo jeśli tak, to on byłby chętny.

Nie polepszył jej się od tego nastrój. Zamiast odpisać mu kąśliwie, żeby do niego dotarło, że kobieta po trzydziestce nie jest aż tak zdesperowana, po prostu usunęła jego wiadomość. Właściwie sama była sobie winna, że najfajniejsi faceci w całej Islandii nie ustawiali się do niej w kolejce. Profil, który założyła, był zupełnie nijaki: zamieściła opis ściągnięty niemal słowo w słowo od jakiejś kobiety, dodając zdjęcie, które skopiowała ze służbowego

intranetu. Zepsuł jej się aparat w telefonie, a wszystkie swoje selfie zgrała, żeby zwolnić trochę pamięci. Dlaczego nieszczęścia zawsze chodzą parami?

Jej rozważania przerwał sygnał wiadomości, że ktoś polubił jej zdjęcie. To na chwilę rozpogodziło jej minę, dopóki nie zobaczyła, że to Huldar. Jak, do cholery, mogło się to stać? Dlaczego nie sprawdziła, czy Huldar ma konto na Tinderze, zanim założyła swoje? Powinna była się domyślić! Westchnęła. Jakie są szanse, że będzie pierwszym facetem, na którego wpadnie, gdy w weekend pójdzie do klubu? Rozdrażniona tą myślą, usunęła profil i zamknęła aplikację. Powinna chyba w ogóle wyjść z sieci.

Nie uległa jednak temu impulsowi. Naburmuszona wpatrywała się w monitor, szukając jakiegoś zajęcia, które nie rozwścieczyłoby jej jeszcze bardziej. Miała pustkę w głowie. Pejzaż, który ustawiła jako tapetę, był ledwie widoczny zza ikon wszystkich dokumentów, które zapisała na pulpicie wbrew zaleceniom działu IT. Wszystkie te pliki były już dla niej bezużyteczne, ponieważ sprawy, których dotyczyły, dawno zostały zakończone. Miała do wyboru odwiedzić te co zwykle witryny internetowe z nadzieją, że każda kolejna strona załaduje się szybciej, niż ona zdąży przeczytać poprzednią, albo wbić wzrok w ekran i zastanawiać się, dlaczego sama sobie zmarnowała życie. Ale była też trzecia możliwość: zastanowić się nad dziwnym zachowaniem Sólveig.

Trzecia opcja wygrała. Nie tracąc czasu na dywagowanie, czy nie przekracza swoich kompetencji, Freyja zalogowała się do intranetu Agencji Ochrony Dzieci. Najpierw wpisała numer identyfikacyjny Thröstura Agnesarsona. Chociaż nie miała pojęcia, czy opinie i raporty psychologów szkolnych trafiały do agencji, nie zaszkodziło sprawdzić. Jeśli jej obawy dotyczące tego chłopca miały uzasadnienie, to najprawdopodobniej został on poddany dalszemu leczeniu, a wtedy powinien figurować w systemie.

Doskonale wiedziała, że jej kwerenda zapisze się w logach, oczekiwała więc pytania, po co sprawdzała stare dokumenty dotyczące chłopca, który nie był nawet jej pacjentem. Ale nie musiała się niczego obawiać. Bycie na samym dole służbowej hierarchii miało tę zaletę, że nie dałoby się już spaść niżej. Poza tym zawsze mogła się zasłonić dochodzeniem policyjnym. Nikt też nie musiał wiedzieć, że nie proszono jej o sprawdzenie czegokolwiek, a jeśli dobrze odczytała intencje Huldara, to mogła być pewna, że ją wesprze.

Nagle pożałowała, że zamknęła profil na Tinderze, zamiast po prostu polubić zdjęcie Huldara, a zaraz potem wysłać mu uprzejmą wiadomość, że

nie jest zainteresowana. Ale było za późno.

Po wprowadzeniu numeru identyfikacyjnego chłopca na ekranie pojawiły się jego imię i nazwisko oraz informacja, od kiedy figuruje w kartotece. Data pasowała do relacji dyrektora szkoły: grudzień 2005 roku, czyli pierwszy semestr nauki chłopca w nowej szkole. Widząc drugą pozycję, Freyja uniosła brwi, uznając, że to jakaś pomyłka. Wpis pochodził z 2001 roku i dotyczył nie Thröstura Agnesarsona, lecz Thröstura Jónssona. Ale numer identyfikacyjny się zgadzał. Czyli między 2001 a 2005 rokiem chłopiec przestał używać nazwiska po ojcu i zaczął funkcjonować pod nazwiskiem swojej matki.

Dyrektor szkoły miał zatem rację: Thröstur był pacjentem znacznie wcześniej, od stycznia 2001 roku, a więc od ósmego roku życia. Dobrze byłoby wiedzieć, czy Sólveig prowadziła jego sprawę także wtedy, czy tylko za drugim razem. Nie bez podniecenia Freyja wyświetliła listę dokumentów powiązanych z numerem identyfikacyjnym Thröstura. Z rozczarowaniem stwierdziła, że folder jest pusty. Chyba więc Sólveig miała rację: dawne dokumenty, nawet zdigitalizowane, mogły zniknąć.

Freyja bez celu przesuwiała kursor na ekranie. Jak mogła dotrzeć do tych dokumentów? W głowie zaświtała jej pewna myśl. Nieuzasadniona i krzywdząca, ale jednak uporczywa. Czy Sólveig zalogowała się do systemu po ich dzisiejszej rozmowie i usunęła najpierw dokumentację, a potem opinię, którą sama napisała, ze wszystkich miejsc, gdzie można było je znaleźć? Nie, to niemożliwe...

Freyja założyła słuchawki i nawiązała połączenie z dyżurnym informatykiem Urzędu do spraw Nieletnich. Czekając, aż odbierze rozmowę, bezmyślnie się gapiła na jego zdjęcie, które trafiło do sieci, ponieważ urząd chciał, żeby pracownicy rozpoznawali się nawzajem, choć pracowali w różnych miejscach porozrzucanych po całej wyspie. Ktoś zamierzał zapewne w ten sposób uświadomić pracownikom, że przez komunikator rozmawiają z prawdziwym żywym człowiekiem. Jakby mogli rozmawiać z nieprawdziwym albo martwym. Odniosła wrażenie, że zdjęcie informatyka zrobiono zniechęca. Miała nadzieję, że chłopak nie używał tego zdjęcia na Tinderze, jeśli oczywiście korzystał z tej aplikacji.

– Usunęłaś już ikony zapisane na desktopie? – zapytał mężczyzna, odbierając połączenie niemal natychmiast.

– Tak – skłamała bez chwili wahania. – Jak wygląda sytuacja

z dokumentacją pacjentów w naszym systemie? Czy te pliki można usunąć zdalnie?

– Tak, można. Ale po co ktoś miałby je usuwać? – Informatyk zawiesił głos. – Skasowałaś coś przypadkowo?

– Nie, nic podobnego. Po prostu szukałam plików, które powinny być w systemie, ale najwyraźniej zniknęły.

– Jesteś pewna, że były?

– Tak, musiały być. W systemie jest numer identyfikacyjny pacjenta, powiązано z nim dwa rekordy, ale nie ma żadnych plików. Ani jednego. Czy to nie dziwne?

– Tak, raczej tak. Chyba że pliki nigdy nie istniały.

– Musiały istnieć, jestem pewna. – Zamilkła na chwilę, po czym dodała: – Mógłbyś sprawdzić, czy z tymi rekordami były wcześniej powiązane jakieś pliki? Na przykład wczoraj?

– Wczoraj?

– Tak, na przykład. Może być w zeszłym tygodniu albo w zeszłym roku, wszystko jedno. Jak ci wygodnie. Ale wczoraj byłoby najlepiej – wyjaśniła, po czym podała mu numer identyfikacyjny Thröstura.

– W porządku, sprawdzę to. Daj mi chwilę.

Freyja była zaskoczona, jak łatwo udało jej się nakłonić go do pomocy.

– Dziękuję. Mam wobec ciebie dług wdzięczności.

– Daj spokój. Pracuję w IT. Płacą mi za spełnianie głupich próśb.

Freyja nie dała się sprowokować. W ramach zemsty przejrzała wszystkie pliki, które zapisała na pulpicie, szczerze zadowolona, że ich nie usunęła. Nawet drobne zwycięstwa poprawiają nastrój.

– Nie. Wczoraj nie było tu żadnych plików. Mam sprawdzić, czy były wcześniej?

– Nie, dziękuję.

Skrzywdziła Sólveig swoimi podejrzeniami. Były niesłuszne. Ale to nie zmieniało faktu, że w całej tej sprawie coś śmierdzi. Freyja wiedziała, że coś jest nie tak.

Rozdział 7

Na parapecie w pokoju dziennym stał rząd tanich plastikowych doniczek. Æsa straciła nadzieję, że zdoła oszukać zasiane rośliny. One jakby wiedziały, że wiosna jeszcze nie nadeszła. Sprawdziła i było dokładnie tak, jak się spodziewała: żadnej zmiany, nic oprócz gołej brunatnej ziemi. Ale może to i lepiej. Gdyby rośliny postanowiły kiełkować, mogłoby się okazać, że nie ma co z nimi zrobić, kiedy wyrosną z małych doniczek. Zima ani myślała odpuszczać, Æsa nie mogłaby więc posadzić ich w ogrodzie. O ogrodnictwie wiedziała tyle co nic. Zapaliła się do tego pomysłu, słysząc rozmowę dwóch koleżanek z pracy, które opowiadały, ile to nie zaoszczędzą, hodując z nasion kwiaty do ogródka. Zarażona ich entuzjazmem, nie widziała przeciwwskazań, żeby zacząć tuż po Nowym Roku. Nie bez znaczenia było zmęczenie koszmarną zimą: myśl o bratkach i nagietkach podnosiła na duchu. Zeszłego lata nie było jej stać na kwiaty, które ożywiłyby małe ogródki. Ale zdaje się, że kupując te nasiona, także wyrzuciła pieniądze w błoto.

Æsa zastukała w szybę dużego okna, po czym uchyliła mniejsze, żeby zawołać dzieci: „Pora wracać! Kolacja czeka!”. Odwróciły się do niej, ale zobaczyła tylko rumiane policzki, gdyż reszta skrywała się pod szalikami, czapkami i kapturami. Między dziećmi wznosiła się śniegowa górka, prawdopodobnie bałwan, którego zaczynały lepić.

– Chodźcie szybko, bo wystygnie! – dodała, na wypadek gdyby miał ją usłyszeć któryś z sąsiadów. Nie przygotowała ciepłego posiłku, chyba że za taki uznać tosty. Nie było sensu gotować czegoś ambitniejszego: dzieci i tak by tego nie doceniły, a w przedszkolu miały przecież obiad. Na kolację jadły pieczywo, do tego skyr oraz pasztetową, a ona nie widziała powodu, żeby to zmieniać, skoro i dzieciom, i jej to odpowiadało. Miała dość postępowania według cudzych reguł przez długie lata spędzone z Thorvaldurem, który niezmiennie krytykował wszystko, co robiła ona i dzieci. Pewnie mu dobrze, że został sam i może żyć po swojemu, nie licząc się z innymi.

Karlotta i Dadi niechętnie opuszczali niewielki zaśnieżony trawnik. Ze zwieszonymi rękami i bryłami śniegu przyklejonymi do wełnianych rękawiczek dzieciaki szły w kierunku drzwi do pokoju dziennego. Właśnie ze względu na ogródek przydomowy Æsa zdecydowała się na to mieszkanie, choć znacznie przekraczało jej możliwości finansowe. Zarobki miała takie sobie, a odkąd została sama, ze względu na dzieci nie mogła brać nadgodzin. Rozsądniej byłoby kupić mieszkanie na pierwszym albo drugim piętrze nie tylko z powodów finansowych, ale żeby ciągle się nie bać, że złodziejowi wystarczy tylko rozbić szybę, żeby się dostać do środka. Chociaż lubiła świeże powietrze nocą, odkąd zamieszkała w nowym miejscu, nie mogła spać przy otwartym oknie. Ilekroć zamykała oczy, wyobrażała sobie rękę wsuwającą się do środka, żeby otworzyć haczyk. Ale przed zakupem nie przyszło jej to do głowy. Myślała tylko o tym, że podczas zabawy na świeżym powietrzu Karlotta i Dadi będą tuż pod jej oknem.

Gdy otworzyła drzwi, żeby ich wpuścić, uderzyła ją ściana zimna. Zaraz potem chodnik przed drzwiami od strony pokoju pokrył się śniegiem, gdy dzieci się otrzepały po wejściu, a że robiły to niezgrabnie, sporo śniegu wylądowało też na parkiecie. Æsa jednak nie pozwoliła sobie na zdenerwowanie. Dawniej Thorvaldur stałby nad nimi, narzekając na tworzące się kałuże. I oczywiście nie kiwnąłby palcem, żeby jej pomóc.

To jej przypomniało, że Thorvaldur dzwonił do niej dzisiaj. Pięć razy, czyli musiało mu chodzić o coś ważnego. Była w pracy i nawet do głowy jej nie przyszło, żeby odebrać połączenie, ponieważ telefony od byłego męża rzadko się kończyły spokojnie. Nie potrafiła znieść myśli, że koleżanki i koledzy z pracy usłyszą ich utarczki.

– Idźcie umyć ręce, a potem wróćcie na kolację – poleciła, przenosząc stertę mokrych ubrań do przedpokoju, żeby tam powiesić je na kołkach. Odsunęła na bok buty, by nie skapywał do nich topniejący śnieg. Telefon zawibrował, gdy rozglądała się w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogłaby powiesić czapkę z pomponem, którą Thorvaldur kupił dla Dadiego w sklepie z gadżetami Manchester United, gdy pojechał na konferencję do Wielkiej Brytanii. Miesiąc później oznajmiła mu, że chce rozwodu. Czapka była przetarta i wypłowiata, ale Dadi nie chciał nosić żadnej innej.

– Mamo! Twój telefon dzwoni! Może to tata? – Dadi mówił podnieconym głosem, ale trudno było określić, czy to radość, że ojciec chce z nimi porozmawiać, czy napięcie wywołane perspektywą wysłuchiwania kolejnej

kłótni. Raczej to drugie, ponieważ ani on, ani Karlotta nie słyszeli słów ojca. Może i lepiej. I bez tego mieli dość powodów do stresu.

– Nie odbieraj! – Æsa wetknęła czapkę do kaptura kurtki, która wisiała najbliżej, i rzuciła się pędem do kuchni, żeby dobiec do telefonu przed Dadim i Karlottą. Ale było za późno. Gdy weszła do kuchni, Dadi trzymał telefon przy uchu z miną, jakby parlament właśnie uchwalił prawo zakazujące obchodzenia jego urodzin.

– Daj mi ten telefon, Dadi. Ale już! – Natychmiast pożałowała, że podniosła głos, gdy zobaczyła, że syn jeszcze bardziej się przestraszył. Podał jej telefon.

– Jemy kolację, Valdi. Czy to nie może poczekać? – Æsa starała się mówić spokojnym głosem. Dzieci nie odrywały od niej oczu. Stały obok siebie, nie mając najmniejszej ochoty sięść do stołu, choć marna kolacja już czekała. Ze zdenerwowania użyła zdrobnienia, którym dawniej określała męża, choć po rozwodzie postanowiła, że zawsze będzie go nazywać Thorvaldurem, nawet w myślach.

– Gdybyś odebrała któryś z moich wcześniejszych telefonów, nie musiałbym dzwonić teraz. – Thorvaldur mógł sobie pozwolić na wyładowanie złości, bo dzieci go nie słyszały. Ale Æsa nie była pewna, czy potrafiłby się powściągnąć, gdyby dzieci stały tuż przed nim. W każdym razie dotychczas mu się to nie zdarzało. Na szczęście chyba nie zwrócił uwagi na zdrobnienie. Jeszcze czego, żeby sobie pomyślał, że Æsa ciągle coś do niego czuje.

– Byłam w pracy. Wiesz, że nie lubię odbierać prywatnych telefonów w biurze.

– Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że dopiero teraz wróciłaś do domu? – Sarkazm w jego głosie znała aż za dobrze.

Nie zamierzała dawać mu satysfakcji, wyliczając wszystko, co musiała zrobić, odkąd wyszła z pracy: najpierw pobiegła do przedszkola, żeby uniknąć połajanek za późne odbieranie dzieci, potem zrobiła zakupy, oczywiście jak najtaniej, przez cały czas pilnując obydwójga w zatłoczonym supermarkecie, a następnie dotaszczyła do domu sprawunki i dzieci, pomogła dzieciom się rozebrać, rozpakowała zakupy, dała dzieciom pić, pomogła im się ubrać i wypuściła je do ogrodu, wstawiła pranie i przygotowała kolację. Nie miała nawet chwili, żeby do niego oddzwonić. Ale wzmianka o jej problemach z życiem codziennym byłaby muzyką dla jego uszu, uznała więc,

że lepiej zagryźć wargi.

– Czego chcesz, Thorvaldurze?

– Czego chcę? Chcę się dowiedzieć, czy wszystko jest w porządku. Oczywiście nie mam na myśli ciebie, bo przestałaś mnie obchodzić. Pytam o dzieci. Czy wszystko w porządku z Karlottą i Dadim?

Æsa uświadomiła sobie, że Thorvaldur ma zmartwiony głos. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek czymś się zmartwił. To ją zaniepokoiło.

– Co ty pleciesz? Oczywiście, że wszystko w porządku. Dlaczego pytasz? Coś się stało?

– Nie, nic. Po prostu chciałem wiedzieć. – Thorvaldur na chwilę zamilkł, po czym kontynuował błagalnym tonem, który wręcz do niego nie pasował. – Będziesz ich chronić, prawda?

– Co się dzieje, Thorvaldune? Musisz mi powiedzieć. – Powinna była uważać, co mówi. Karlotta i Dadi wpatrywali się w nią szeroko otwartymi oczami. Spróbowała uratować sytuację, dodając spokojniejszym głosem: – U nas nie dzieje się nic złego. Absolutnie nic.

– Obiecuj, że będziesz na nich uważać.

Co się stało ze starym Thorvaldurem? Aroganckim mężczyzną przyzwyczajonym do wydawania poleceń, zawsze skupionym na sobie, któremu do głowy by nie przyszło, żeby kogokolwiek o coś prosić?

– Zawsze to robię. Nie muszę w tym celu składać żadnych obietnic. – Wybiegła z kuchni, zostawiając dzieci, i dokończyła szeptem, żeby jej nie słyszały. – Co się dzieje? Ktoś groził, że je skrzywdzi? – Od razu przyszło jej do głowy, że Thorvaldur otrzymał pogróżki od jednego z przestępców, którego wsadził za kratki. – Jeśli tak, to musisz mi o tym powiedzieć! – Teraz ona mówiła błagalnym tonem.

– Nie ma o czym mówić. – Thorvaldur bezskutecznie próbował brzmieć normalnie. – Nie ma. Po prostu powiedz im, że nie wolno rozmawiać z nieznajomymi ani chodzić nigdzie z kimś, kogo nie znają. – Znów na chwilę zamilkł, po czym jego apodyktyczny sposób zachowania powrócił. – I następnym razem odbieraj moje telefony. Twoja praca nie jest aż taka ważna, żebyś nie mogła poświęcić kilku minut na rozmowę ze mną.

Rozłączył się.

Kolacja przebiegła w milczeniu. Æsa ucinała podejmowane przez dzieci próby ustalenia, czego chciał ich ojciec, a ponieważ nikomu nie przyszedł do

głowy żaden inny temat, niewiele było do powiedzenia. Ona sama zbyt się zaniepokoiła, żeby rozładować atmosferę. Karlotta i Dadi nie mieli apetytu, jak zawsze pod wpływem stresu, i Æsa musiała ich strofować, żeby opróżnili talerze. Dzieci urodziły się chude, nigdy potem nie były pyzate jak ich rówieśnicy, brak dziecięcego tłuszczu zaś oznaczał, że nie mogły sobie pozwolić na opuszczenie żadnego posiłku. Zupełnie jak ich ojciec. Gdyby nie różne charaktery, można by pomyśleć, że spłodził własne kopie. Ale dzieci były łagodne i rzadko wpadały w gniew, co je od ojca odróżniało. Chociaż kto wie, może i on był rozkosznym dzieckiem?

– Dobranoc. – Æsa sięgnęła do wyłącznika, stając w drzwiach. Wcześniej wkręciła czerwoną żarówkę do lampki na stoliku między łózkami Karlotty i Dadięgo, żeby zasypiali przy świetle. Delikatna poświata oświetlała wyglądające spod kołder twarze z oczami wciąż szeroko otwartymi.

– Dobranoc, mamusiu. Obiecujemy nie wsiadać do samochodu ze złym panem – zapewniła ją Karlotta, blado się uśmiechając. – Dadi też obiecuje.

Æsa odpowiedziała jej uśmiechem. Chyba jednak nie powinna przed snem wspominać dzieciom, żeby uważały na obcych. Nie zdziwiłaby się, gdyby w nocy obudziły je koszmary. Ale mówi się trudno, jeśli to konieczne, żeby wzięły sobie przestrogi do serca. – To może być nie tylko zły mężczyzna, kochanie. Są też złe kobiety. Musicie o tym pamiętać. – Nie widziała potrzeby wspominać, że prawdopodobieństwo doznania krzywdy z rąk złej kobiety jest znacznie mniejsze niż z rąk złego mężczyzny, którego już sobie wyobraziły. Muszą być ostrożni wobec wszystkich obcych: i mężczyzn, i kobiet. – Nie zawsze da się powiedzieć, czy ktoś jest dobry czy zły, gdy się na niego patrzy. – Oczy dzieci zrobiły się jeszcze większe. – Ale dość już o tym. Śpijcie dobrze.

Wyszła, zostawiając lekko uchylone drzwi. Gdy nabrała pewności, że dzieci zasnęły, sięgnęła po telefon, żeby zadzwonić do Thorvaldura. Miała prawo wiedzieć, co się dzieje. Ale Thorvaldur nie odebrał. Niewątpliwie ukarał ją w ten sposób za to, że wcześniej nie odebrała ona. Spróbowała jeszcze kilka razy, ale nic to nie dało. Położyła się więc, wiedząc tyle, ile wiedziała, gdy były mąż się rozłączył.

Ale sen nie przychodził. Im bardziej była zmęczona, im dłużej się przewracała z boku na bok, tym mocniej się martwiła. Dwa razy wstawała z łóżka, żeby się upewnić, czy okna są dobrze zamknięte. Za drugim razem zauważyła zaparkowany na ulicy samochód, którego nigdy wcześniej tam nie

widziała. Nie było go też pół godziny wcześniej, gdy sprawdzała okna pierwszy raz. W ciemności wydawał się czarny albo granatowy, jeden z modeli, które rozpoznają tylko fani motoryzacji. Gdyby miała go opisać, jej opis przypominałby autka z dziecięcych rysunków: cztery koła, czworo drzwi, maska i bagażnik. To jednak nie kolor czy kształt wywołał jej niepokój, tylko przekonanie, że ktoś siedzi za kierownicą. Nie była pewna, ale wyobraźnia podpowiedziała to, czego po ciemku nie dało się dojrzeć, i zanim w końcu zasnęła, była już pewna, że mężczyzna w samochodzie wpatrywał się w jej okno. Albo nawet gorzej, bo w okno pokoju Karlotty i Dadięgo.

Gdy nieco później się przebudziła i poszła sprawdzić okna po raz trzeci, samochodu już nie było.

Rozdział 8

Dwóch nie najlepiej wyglądających mężczyzn schodziło po schodach komendy policji w kierunku ulicy Hverfisgata. Jeden trochę zażenowany, w pogniecionym, niezmiennym od wczoraj garniturze, drugi w zwyczajnym ubraniu, które dawno miało za sobą dobre czasy. Ani jeden, ani drugi nie był ubrany stosownie do pogody, po wyjściu z posterunku trzęśli się więc z zimna w cienkich kurtkach. Po latach spędzonych w służbie patrolowej Huldar wiedział, że o tej porze wypuszcza się delikwentów, którzy noc spędzili w areszcie. Żadnego ze zwalnianych mężczyzn nie znał z widzenia, zgadywał jednak, że ten w brudnych dżinsach to stały klient, podczas gdy ten w garniturze trafił do aresztu pierwszy i ostatni raz, bo był to dla niego tak wielki szok, że w przyszłości zapanuje nad piciem. A przynajmniej takie sprawiał wrażenie, ukradkiem rozglądając się na boki, jakby chciał sprawdzić, kto jest świadkiem jego upokorzenia. Mężczyzna w dżinsach ewidentnie miał to gdzieś. Przystanął nawet na schodach, żeby wyjąć z kieszeni papierosa i podpalić.

Po chwili obydwaj zniknęli w gęsto padającym śniegu.

Huldar zgasił papierosa i ruszył po tych samych stopniach w górę. Nie musiał pytać o drogę policjanta w recepcji, przywitał się z nim tylko skinieniem głowy i wszedł do środka. Człowiek, z którym zamierzał się spotkać, Guðmundur Lárusson, zajmował ten sam pokój, w którym urzędował, gdy Huldar wstąpił do policji, i niewątpliwie miał w nim pozostać do emerytury, która zapewne się zbliżała. Drzwi były otwarte, ale Huldar z grzeczności zapukał.

– Wybrałem zły moment?

Huldar był zszokowany, gdy Guðmundur podniósł głowę. Jak on się postarzał! Przez rzadkie siwe włosy prześwitywała pokryta ciemnymi znamionami skóra. Plamy wątrobowe miał też na twarzy. Grube ciemne brwi, które kiedyś nadawały jego twarzy charakteru, teraz były siwe i krzaczaste.

– Jasna cholera! Huldar! Bynajmniej. Wejdz, wejdz – zaprosił, rozsiadając

się w fotelu.

– Młodszy z roku na rok. – Śmiejąc się do swojego dawnego szefa, Huldar zajął krzesło.

– Gówno prawda. O tobie też bym tego nie powiedział. Jak cię traktują w biurze komisarza?

– Wykańczają mnie. – Huldar wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Jeśli tak dalej pójdzie, będziemy mieli tyle samo lat.

Guðmundur prychnął.

– To przyjacielska wizyta? Powinienem cię poczęstować kawą? Czy może przyszedłeś w sprawach służbowych? Jeśli tak, sam sobie przynieś kawę.

– Przyszedłem służbowo. Trochę mnie tu nie było, ale jeszcze pamiętam, jak głównianą kawę macie. Więc się nie musisz martwić.

– Martwię się różnymi rzeczami, ale twoją kawę mam gdzieś. – Guðmundur splótł dłonie za głową. – Mów, o co chodzi. Jak mogę ci pomóc?

– Dobre pytanie. – Huldara nudziło już opowiadanie historii o kapsule czasu i powodach policyjnego śledztwa w tej sprawie, streścił ją więc możliwie najszybciej. Siwe brwi Guðmundura coraz wyżej wspinały się na jego czoło, ale Huldar nie potrafił określić, czy to reakcja na opowiadaną historię, czy zdumienie faktem, że doświadczony policjant traci czas na coś takiego. Miał nadzieję, że jednak nie to drugie. – Ustaliłem, że chociaż Thröstur nie jest notowany, to miał kłopoty z prawem wcześniej, jako małoletni. Sprawa z grudnia dwutysięcznego roku, skończył wtedy ledwie osiem lat. To trochę dziwne. W każdym razie tak wynika z wpisu w policyjnym systemie informacyjnym, do którego nie mogę się dostać. Odmowa dostępu. Przy tym zakładam, że to ten sam człowiek. Używał wtedy nazwiska swojego ojca, a nie matki tak jak teraz. W każdym razie numer identyfikacyjny jest ten sam. Nigdy wcześniej system nie odmówił mi dostępu. Prawdopodobnie muszę wystąpić o zgodę na przejrzanie tych akt. Może w grę wchodzi to, że był wtedy małoletni, nie mam pojęcia. Uzyskanie takiej zgody oznacza wypełnianie kwitów, dlatego przyszedłem prosić, żebyś zaoszczędził mi biurokracji i sprawdził te dane. Funkcjonariusz na twoim stanowisku powinien mieć do nich dostęp.

Przysługa, o którą prosił, nie była taka prosta, jak mogło się wydawać. Niedawno kilku policjantów stanęło przed sądem pod zarzutem nieuzasadnionego korzystania z bazy danych komendanta policji. Zostali uniewinnieni, ale od tamtej pory ludzie niechętnie sięgali do baz danych, o ile

naprawdę nie musieli.

Guðmundur skinął głową, nad czymś się zastanawiając.

– Sam mógłbyś to zrobić, gdybyś nie został zdegradowany.

– Wiem o tym, ale przecież nic na to nie poradzę. Zresztą tylko wtedy, gdy wypadnie coś takiego, tęsknię za stanowiskiem. Trochę. – Huldar miał nadzieję, że jego szczerłość była oczywista.

Jego dawny szef wzruszył ramionami.

– Mam nadzieję, że się nie obrazisz, ale byłem trochę zaskoczony, gdy mi powiedziano o twoim awansie. Ale wiadomość o tym, że zleciałeś ze stołka, już mnie nie zaskoczyła. Chociaż oczywiście nie przyszłoby mi do głowy, że się utrzymasz tak krótko. Wiesz, że pobiłeś rekord Islandii, a prawdopodobnie też Europy? Może nawet rekord świata. To całkiem niezły wynik. – Uśmiech zniknął z jego zmęczonej twarzy. – Ze wstydem myślę, jak wielu bydlaków tutaj miało z tego radochę. A przecież kiedyś z tobą pracowali. Ale ja nie byłem jednym z nich.

– Nawet by mi to do głowy nie przyszło. – Huldar nie sprawdził się może jako menedżer, ale umiał całkiem nieźle oceniać ludzkie charaktery. Potrafiłby na jednym oddechu wyliczyć nazwiska tych, którzy się ucieszyli z jego upadku. – Sprawdzisz dla mnie te dokumenty?

Guðmundur przekrzywił głowę. Przez chwilę milczał, zastanawiając się, co zrobić.

– Wiesz, że każde logowanie do systemu jest rejestrowane? Co powiem, jeśli mnie zapytają, po co zaglądałem do tych akt?

– Prawdę. Że poprosiłem cię o pomoc w sprawie, którą prowadzę, bo w moim wydziale wszyscy mają tyle roboty, że nikt z pełnym dostępem do danych nie miał dla mnie czasu. Bo tak właśnie jest.

– Przez obcięte dłonie?

– Zgadza się. – Huldar poprawił się na krześle. Było niewygodne, a jego data przydatności do użytku dawno już minęła. Guðmundur nie był typem funkcjonariusza, który poprosiłby o nowe meble do pokoju. Co więcej, wyglądało na to, że nie zatroszczył się też o wymianę koszuli mundurowej, chociaż niedawno wprowadzono nowy model. – Ktoś wie?

– W kantine aż huczy.

– Pewnie nie dało się tego uniknąć – westchnął Huldar. Skoro tak, to o sprawie niebawem się dowiedzą media, co miało i dobre, i złe strony. Złe dla Erli, która zostanie obsadzona w roli niekompetentnego śledczego, jeśli

sprawa nie będzie rozwiązana przez kilka najbliższych dni. Dobre dlatego, że ujawnienie informacji może doprowadzić do ustalenia, czyje to ręce. W zasadzie sami powinni skorzystać z pośrednictwa mediów. – Skoro sprawa już wyciekła, to gdybyś musiał się tłumaczyć, nikt raczej nie będzie się czepiał wyjaśnienia o przepracowaniu. Oczywiście jeśli wyświadczysz mi tę przysługę.

– Czyż nie powinniśmy się trzymać razem? Nas dwóch przeciwko całej reszcie? – Guðmundur wybuchnął krótkim jak szczeknięcie śmiechem, ale nie wyglądał na rozbawionego. – Nie wydaje mi się, żeby to było coś złego. Ale niczego nie wydrukuję. Będziesz musiał czytać z monitora.

Huldarowi to wystarczyło. Odczytał numer identyfikacyjny Thröstura i patrzył, jak były szef wpisuje kolejne cyfry. Na ekranie pojawiło się nazwisko, ale bez jakichkolwiek danych ani dokumentów, które można by otworzyć. Zamiast nich widniał napis „Brak dostępu” – taki sam, jaki wcześniej się pojawił na monitorze Huldara. – Spróbuj ponownie. – Rezultat był taki sam. Huldar się wyprostował. – To komunikat, który wyświetlił się u mnie.

– Dziwne. Nigdy mi się coś takiego nie zdarzyło. Sprawdziłeś w rejestrze?

Rejestr był bazą danych zawierającą ogólne informacje o wszystkich zgłoszeniach, które napłynęły do policji. Był krytykowany przez niektórych ze względu na brak odpowiednich zabezpieczeń. W odróżnieniu od oficjalnego systemu informacji policyjnej rejestr nie miał specjalnych procedur dostępu, kwerendy nie zapisywały się w systemie, a tylko przypadek decydował o tym, jakie informacje zostały w nim zawarte i czy podjęto w zgłaszanych sprawach dalsze działania. Rejestr zawierał nazwiska nie tylko przestępców, ale też świadków i wszystkich, którzy składali zeznania. Niczego stamtąd nie usuwano, w rejestrze figurowało więc ponad trzysta tysięcy osób, w tym wiele nieżyjących. Huldar sprawdził tam nazwisko Thröstura, ale bez skutku. Wyglądało na to, że ponure domysły Freyi na temat przestępczej przeszłości chłopaka były niesłuszne.

– Niczego nie znalazłem. Może więc jednak nie ma go w naszym systemie.

– Niemożliwe. W takim przypadku system zwraca informację, że wpis nie znaleziono. Wygląda na to, że chłopak jest znany policji, ale coś się schrzaniło. Może podczas migracji danych. Odkąd Thröstur skończył osiemnaście lat, było kilka nowych wersji.

– Czyli co, jego dokumenty zaginęły?

Z zaciśniętymi wargami, Guðmundur ograniczył wyszukiwanie tylko do imienia Thröstur, ale wynik był taki sam.

– Przypuszczam, że gdzieś istnieje jego teczka, ale żeby ją dostać, nie unikniesz wypełniania dokumentów. Nikt, nawet na najwyższym stanowisku, nie może tak po prostu wejść do archiwum, żeby sobie przejrzeć dokumenty. A przynajmniej ja nie mogę. – Odchylił się na oparcie fotela. Zmarszczył brwi i nagle zaczął wyglądać jak wiele lat temu. – Coś mi tu śmierdzi. Zastanawiam się właśnie, czy te dokumenty nie zostały zablokowane celowo.

– Kto miałby to zrobić?

– Nie mam pojęcia. Nazwisko tego chłopaka z niczym mi się nie kojarzy. Gdyby trafiał do nas częściej albo był zamieszany w coś poważnego, albo uczestniczył w sprawie, która wymagała zapewnienia anonimowości, na pewno bym rozpoznał nazwisko. Ale nie rozpoznaję.

– Mnie też nic nie mówi. – Huldar przecesał palcami włosy i zdał sobie sprawę, że przydałoby się je ostrzyć. Odnotował w pamięci, że musi się tym zająć, zanim Erla wyśle go do fryzjera. Nie byłoby mu przyjemnie, jej też pewnie nie. – Chyba rzeczywiście muszę wystąpić z oficjalnym wnioskiem o udostępnienie akt.

– Tak, ale to potrwa, jak sam wiesz. Zaczynam dochodzić do wniosku, że obsługa archiwów jest trochę ociężała, oczywiście umysłowo. – Guðmundur zamknął okno bazy danych. – Na twoim miejscu złożyłbym temu młodemu człowiekowi wizytę. Zadaj mu kilka pytań i skieruj rozmowę na jego przeszłość. W ten sposób dowiesz się wszystkiego znacznie prędzej, niż otrzymasz akta.

Huldar przytaknął skinieniem głowy. Wolałby wiedzieć więcej o przeszłości tego chłopaka, zanim się do niego wybierze, ale nie było na to szans. – Dziękuję za pomoc.

– Szkoda, że niewiele mogłem zrobić. Niestety ostatnio trafia mi się to coraz częściej. – Guðmundur chwycił pióro i pochylił się nad biurkiem. Nie podnosząc wzroku, dodał: – Informuj mnie na bieżąco. Ciekawe sprawy rzadko już ładują na moim biurku.

Huldar obiecał, że da mu znać, pożegnał się i wyszedł. Nie wszystko było jeszcze stracone. Może Freyi udało się znaleźć coś w dokumentacji Urzędu do spraw Nieletnich.

Zniszczony budynek skojarzył się Huldarowi z paskudnym blokiem,

w którym mieszkała Freyja, ale nie powiedział tego głośno. Ona tego podobieństwa chyba nie dostrzegła. Nikt by się nie domyślił, że Freyja mieszka w takim podłym miejscu. Jej wygląd nie wskazywał na to, że cierpi na brak pieniędzy. Blond włosy zebrane w kucyk wysoko z tyłu głowy lśniły od płatków śniegu. Nie było nawet śladu psiej sierści na ubraniu, które leżało na niej naprawdę dobrze. Tak dobrze, że Huldar wręcz się zmuszał, żeby nie oblepiać jej wzrokiem. Wiedział, że nie byłoby to mile widziane. Jego zaczepka na Tinderze prawdopodobnie skłoniła ją do usunięcia profilu. Nie pytał o to, ona też nic nie wspomniała. O niektórych rzeczach lepiej nie rozmawiać. Zadowolili się więc tym, że tak chętnie się zgodziła towarzyszyć mu podczas wizyty u Thröstura, choć mogła przecież zasugerować, żeby poszli później albo jutro. Zapewne nie zaszkodziło, że zaczął rozmowę od opowiedzenia jej historii brakujących dokumentów, ponieważ jak wyjaśniła zaraz potem, akta Thröstura zniknęły także z komputerowej bazy danych Urzędu do spraw Nieletnich.

Chyba zatem Guðmundur miał rację, że coś w tej sprawie śmierdzi.

– A więc mieszka tu z matką i siostrą? – Freyja wpatrywała się w trzypiętrowy budynek. Pytanie było raczej retoryczne; Huldar poinformował już Freyję o warunkach życia Thröstura. Młody człowiek nie miał ochoty się z nimi spotkać, ale ostatecznie ustąpił. Huldar był nieco zaskoczony, że Thröstur nie zapytał go, o co chodzi, za to spontanicznie przekazał informację, że tak wcześnie matki ani siostry nie będzie w domu, powinien więc przyjść w porze obiadu, jeśli chciał porozmawiać także z nimi. Być może się okaże, dlaczego chłopak uznał, że policję mogłaby interesować rozmowa z jego rodziną.

– Wygląda na to, że nie wiecie im się najlepiej. – Freyja odwróciła się do Huldara. – Dziwne, że nie wolał przyjść do komendy. Ja bym tak zrobiła.

Huldar uśmiechnął się głupawo. Naprawdę nie zdawała sobie sprawy, że jej blok nie jest lepszy.

– Powiedział, że nie ma samochodu. Pewnie nie chciało mu się jechać autobusem w taki śnieg.

Freyja zadarła głowę i spojrzała na zachmurzone niebo.

– Przecież nie pada.

Huldar podszedł do domofonu. Mosiężna płytką z małymi czarnymi przyciskami niemal na pewno pamiętała lata sześćdziesiąte i przez chwilę Huldar wątpił, czy działa. Może Thröstur wcale nie zamierzał ich wpuścić?

Przy większości numerów nie było oznakowania, tylko przy jednym zobaczył poślisk kartkę z imionami Thröstura, jego matki Agnes i siostry Sigrún. Huldar zadzwonił dwa razy i czekał. Już miał spróbować ponownie, gdy zabrzączał zamek w drzwiach.

Hol i klatka schodowa wyglądały tak, jak można było się spodziewać: pomarszczone linoleum i brudne ściany. Czuć było zapach kociego moczu, który się nasilał, gdy wchodzili po schodach, ale na szczęście trochę złagodniał, gdy Thröstur otworzył im drzwi na drugim piętrze.

Nie przedstawił się ani nie przywitał ich w konwencjonalny sposób.

– Będziecie musieli się pośpieszyć, bo niedługo wychodzę. – Minę miał ani przyjazną, ani wrogą. – Za piętnaście minut. Nie dam wam ani sekundy dłużej. Na grzbiecie dłoni miał czarny tatuaż z inskrypcją wykonaną ozdobnym gotykiem, której Huldar nie potrafił odczytać do góry nogami, ale zdawało mu się, że to łacina, pewnie więc jakiś klasyczny cytat, którego autor nie mógł mieć pojęcia, że jego słowa ponad dwa tysiąclecia później ozdobią jakiegoś Islandczyka. Gdy Thröstur wpuszczał ich do środka, Huldar zauważył podobny tatuaż także na drugiej dłoni. Pasował do reszty: obcisłe czarne dzinsy i podkoszulek z anarchistycznym symbolem, który dodatkowo podkreślał szczupłość sylwetki, wielkie tunele w uszach, kolczyki w jednym nozdrzu i w środku nosa. Na szesanych do przodu czarnych włosach, luźno zwisających po obydwu stronach twarzy, widać było ślady grzebienia utrwalone dzięki dużej ilości żelu. Huldar dość w życiu widział różnych wariacji takiego stylu, żeby wiedzieć, że służy on cherlakom do udawania twardzieli.

Huldar nie wyciągnął ręki, wiedząc, że tamten i tak jej nie uściśnie.

– Jestem Huldar, a to Freyja. Będziemy się śpieszyć.

Thröstur poprowadził ich w głąb mieszkania, nie proponując, żeby się rozebrali. Freyja i Huldar spojrzeli na siebie porozumiewawczo i bez słowa zdjęli buty, chociaż wygląd brązowych płytek podłogowych wyraźnie wskazywał, że po powrocie do domu będą musieli zmienić skarpetki. Wzorzysty chodnik leżący dalej zdawał się potwierdzać te obawy. Wyglądał na równie stary jak podłoga, w wytartych miejscach prześwitywała osnowa, z bliska jednak okazało się, że został odkurzony. Z tanich regałów i poobijanych kredensów też ktoś niedawno stał kurz. Huldar mógłby się założyć, że o dom dbała matka albo siostra Thröstura: odkurzacz ani miotełka do kurzu nie pasowały do obrazu punka z odzysku.

– Możecie tu usiąść, jeśli chcecie, ale nie wiem, czy w ogóle warto. – Thröstur zrobił dla nich miejsce na kanapie naprzeciwko olbrzymiego telewizora płaskoekranowego, zrzucając z niej rzeczy na podłogę, po czym usiadł na fotelu obok. – Wiem o wszystkim, ale nie mam pojęcia, co chcecie osiągnąć. Powstrzymać mnie przed zrobieniem czegoś głupiego? Niby jak mielibyście tego dokonać? Odpowiedź brzmi, że nie ma takiej możliwości.

Huldar usiadł, zastanawiając się, jak ma na to odpowiedzieć. Nie brał pod uwagę, że Thröstur mógł pamiętać list sprzed tylu lat. Może ktoś mu przypomniał? Huldarowi przychodził do głowy tylko dyrektor szkoły, który mógł przypadkiem spotkać chłopaka i zapytać o list. Thröstur nie mógłby chyba pamiętać daty wykopania kapsuły? Chyba że żałował napisania tego listu i sumienie go gryzło przez wszystkie te lata. Zdarzały się przecież przypadki, gdy ktoś, kto skłamał w sądzie, wyznawał prawdę dużo później. Może tutaj było podobnie.

– Przyszliśmy zapytać, dlaczego napisałeś ten list i kim są ludzie, którzy się znaleźli na twojej czarnej liście.

– List? – Zdziwienie Thröstura musiało być autentyczne. – O czym ty, kurwa, mówisz?

– O liście, który napisałeś dziesięć lat temu, w dawnej szkole. Potem wsadziłeś go do kapsuły czasu, która właśnie została wykopana. Wylicza inicjały osób, które mają umrzeć w tym roku.

– Ja. – Thröstur urwał, po czym otworzył usta, jakby chciał coś dodać, ale zaraz je zamknął.

Freyja odchrząknęła i spojrzała na Huldara, zanim się włączyła do rozmowy.

– Zdajemy sobie sprawę, że wiele lat temu pisałeś pod wpływem złości i twoje groźby nie były poważne. Jestem psychologiem dziecięcym i wiem, że dzieci często mówią, piszą i robią rzeczy, które... – Nie zdołała dokończyć.

Thröstur ścisnął poręczę fotela tak silnie, że pobieleły mu dłonie i czarne tatuaże stały się jeszcze wyraźniejsze. Huldar zdołał odcyfrować słowo *ultio* na lewej i *dulcis* na prawej. Nic mu to nie mówiło.

– Psycholog dziecięcy?! – wybuchnął Thröstur z taką wściekłością, że z jego ust trysnęły przy tym kropelki śliny. – Chyba nie z Urzędu do spraw Nieletnich?

Freyja nie okazała zaniepokojenia jego wybuchem. Zapewne była

przyzwyczajona do takich reakcji.

– Jestem z Izby Dziecka, która podlega Urzędowi do spraw Nieletnich. Nie przyszłam tu w jego imieniu, ale żeby pomóc policji.

Jej słowa nie uspokoiły Thröstura.

– Wynoś się – wrzeszczał. – Nie mam ci nic do powiedzenia. Ty – wskazał na Freyję długim szczupłym palcem – i wszyscy inni psychologowie i obrońcy nieletnich jesteście bandą jebanych cip. Gdybym mógł, obciąłbym wam wszystkim łby i naszczał do gardeł.

Huldar szybko się podniósł.

– Chodź, Freyjo. – Odwrócił się do młodego mężczyzny, któremu ciekła z ust piana. – Jeszcze jedno takie zachowanie i cię skuję. Chcesz spędzić noc w areszcie policyjnym? – mówił mocnym, ale opanowanym głosem.

Nozdrza Thröstura rozszerzyły się od impetu wydychanego powietrza.

– Wynocha! Nie mam wam nic do powiedzenia.

Huldar ocenił, że uspokajanie go na nic się nie zda. Wezwie go zatem do komendy i dopiero tam przesłucha. Ponieważ wściekłość Thröstura skierowała się przeciwko psychologom, Huldar wyprowadził Freyję z pokoju i siedł, trzymając się między nią a młodym człowiekiem. Nie bał się ciosu pięścią ani kopniaka od tego chuderławego sukinsyna, ale po drodze do drzwi przyszło mu do głowy, że w takim stanie Thröstur mógłby się na nich rzucić z nożem. „Jeśli twój miecz jest za krótki, to podejdź krok do przodu”. Może łacińskie motto z jego tatuażu znaczyło coś podobnego? W każdym razie wyglądało na to, że groźby w liście powinno się potraktować poważnie.

Dopiero gdy Freyja włożyła buty i wyszła na klatkę, Huldar się odprężył. Wyszedł za nią, ale zauważył, że Thröstur chce trzasnąć drzwiami, i wyciągnął rękę, żeby do tego nie dopuścić. Zachowując spokój głosu, zapytał.

– Czego oczekiwałeś po naszej wizycie?

Z twarzą purpurową od wściekłości i wysiłku Thröstur warknął:

– Jak ten idiota pomyślałem, że gliniarze mogą się o nas martwić, bo on wyszedł. Powinienem się skapnąć!

Odpowiedź zaskoczyła Huldara, chłopak zaś to wykorzystał, rzucił się całym chudym ciałem na drzwi i zatrzasnął mu je przed nosem.

O czym ten chłopak mówi, do cholery? Kim jest „on”?

W tej samej chwili Huldar usłyszał dzwonek swojego telefonu. Na wyświetlaczu pokazał się numer policyjny.

– Halo, mówi Guðmundur. Dzwonię, żeby cię ostrzec. Coś się dzieje w związku z tym Thrösturem, o którym rozmawialiśmy wcześniej. Właśnie musiałem się tłumaczyć, po co chciałem sprawdzić jego kartotekę. Zaledwie kilka godzin po tym, jak u mnie byłeś! Na twoim miejscu nie chwaliłbym się tym, że chcesz z nim porozmawiać. I bądź ostrożny, jak do niego pójdziesz. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego traktują go w białych rękawiczkach, ale zgaduję, że powód nie jest zbyt przyjemny.

– Dziękuję za ostrzeżenie, ale jest już za późno. Właśnie stoję przed jego drzwiami. Wyrzucił nas chwilę po tym, jak weszliśmy. Myślę, że masz rację. Coś w tej sprawie śmierdzi. Zadzwoń później, jeśli można.

Skończyli rozmowę i Huldar wsunął telefon z powrotem do kieszeni. Przez chwilę patrzył na schodzącą z drzwi farbę, po czym pobiegł na dół za Freyją.

Co się, do cholery, dzieje?

Rozdział 9

Dzieciństwo Freyi i Baldura było dalekie od typowego. Pierwsze lata życia spędzili z młodą matką, która się do tej roli nie nadawała, niemniej robiła, co było w jej mocy, żeby dzielić energię między dwa swoje priorytety: dzieci i zabawę. Ta ostatnia doprowadziła ją w końcu do przedwczesnej śmierci, po której Baldura i Freyję umieszczono u dziadków. Dziadkowie jednak też nie dawali sobie rady. Nie tylko byli z natury wyniośli i nieustępliwi, ale obydwójce przeszli już na emeryturę, dlatego nie mogli sobie pozwolić na utrzymywanie dwojga dzieci. Ojcowie Baldura i Freyi byli typowymi ojcami na weekend. Starali się wywiązywać z obowiązków, ale dzieci szybko zrozumiały, że poczucie obowiązku nigdy nie zastąpi bezwarunkowej miłości. Po śmierci matki nie zaznały jej od nikogo. Oprócz siebie nawzajem. Wyrosli jednak na zupełnie różnych ludzi: Baldur był zuchwały i nie szanował zasad ani władzy, Freyja zaś sumienna i skoncentrowana. Fakt, że mieli różnych ojców, mógł na to wpłynąć, ale Freyja wiedziała, że to nie takie proste. Człowiek jest produktem zarówno genów, jak i wychowania, a wpływu każdego z tych czynników nie sposób przewidzieć. Ona i Baldur byli jednak do siebie podobni pod jednym względem: wytrzymałość i odporność mieli większą niż rówieśnicy i nie zrażali się przeciwnościami, z którymi życie kazało im się borykać.

Freyja była więc zupełnie nieprzygotowana na swoją reakcję. Wciąż nie potrafiła się otrząsnąć po wizycie u Thröstura. Chociaż niejedno w życiu przeżyła, nie była przyzwyczajona do przemocy. Spodziewała się, że swój wybuch wściekłości Thröstur zakończy kopaniem i biciem. Jej serce nadal pracowało szybciej niż normalnie i miała wrażenie, że w malutkim pokoju brakuje powietrza, choć okno otworzyła na całą szerokość. Siedziała mimo przeciągu. W zimnym strumieniu powietrza karteczki przyklepione do monitora łopotały jak małe żółte flagi.

Przydałby jej się drink. I to mocny.

Wybuch gniewu nastąpił zupełnie niespodziewanie. Ledwie zdążyła się

odezwać, gdy chłopak wyszedł z siebie. Zanim trafiła do Izby Dziecka, często uczestniczyła w rozmowach z trudnymi nastolatkami, które traciły nad sobą kontrolę. Ale zawsze wcześniej dostrzegała sygnały alarmowe: dzieci zaczynały szybciej oddychać, czerwieniały na twarzy, podnosiły głos i wierciły się na krześle. Miała czas, żeby się przygotować. Thröstur zachował się inaczej. Ekspłodował jakby za przyciśnięciem guzika. Poznawszy wybuchowy charakter chłopaka, uznała, że istnieją solidne podstawy, żeby poważnie potraktować jego list. I choć było nieprawdopodobne, że ten choleryk zacznie ścigać i mordować ludzi z listu sprzed dziesięciu lat, Freyja nie chciałaby odpowiadać za to, co mogłby zrobić, gdyby się nadarzyła okazja.

W każdym razie człowiek, o którym Thröstur mówił „on”, powinien na siebie uważać. Zanim się dziś rozeszli, Huldar obiecał sprawdzić, kim jest ów „on”, i dać jej znać. Freyja bez przerwy zerknęła na telefon i już dwa razy się upewniała, że aparat nie jest wyciszony. Nie potrafiła się skoncentrować na fragmencie raportu rocznego Izby Dziecka, który miała przygotować, ciągle tracąc wątek w pół zdania, jej myśli bowiem uciekały do Thröstura oraz jego listu. Sólveig nadal nie udzieliła jej upoważnienia, co znaczyło, że Freyja nie mogła się zapoznać z opinią ze szkoły. Oczywiście sprawdzała, ale w pokoju Sólveig było ciemno i pusto. Brak wiedzy o przeszłości Thröstura frustrował ją tak bardzo, że nie potrafiła myśleć o niczym innym.

Jeśli nie zacznie pracować szybciej, spędzi w pracy pół nocy. Raport musiał być gotowy na jutro i lepiej, żeby nie przekraczała tego terminu. Dość miała kłopotów i bez odpowiedzialności za opóźnienie publikacji. Co gorsza, w domu czekała Molly, którą trzeba wyprowadzić i nakarmić. Jeśli Freyja się spóźni, to pies pożre drugą poręcz kanapy. Pierwsza ucierpiała, gdy Freyja pracowała do późna któregoś dnia jesienią.

Na myśl o Molly Freyja westchnęła. To nie było życie, które sobie wymarzyła jako dziecko. W młodzieńczych fantazjach nie było rocznych raportów, oficjalnych pouczeń ani trudności z koncentracją. I chociaż znalazło się w nich miejsce na psa, to był małym słodkim zwierzątkiem, a nie cętkowaną brązową bestią, która budziła w niej lęk.

Telefon w końcu zadzwonił i z podekscytowania Freyja niemal go upuściła.

– Freyja – przedstawiła się jednym tchem.

– Czy nazwisko Jón Jónsson coś ci mówi? – bez żadnych wstępów zapytał

Huldar.

– Jón Jónsson? To żart? Czy dałoby się znaleźć bardziej oklepane islandzkie imię i nazwisko?

– Nie, chyba nie.

– Znam kilku Jónów, a nawet więcej, jeśli drugie imię też się liczy. Ale nie pamiętam wszystkich nazwisk. Jeden z nich musi się nazywać Jónsson.

– Nie chodzi mi o osobistą znajomość. Pytam, czy nazwisko Jón Jónsson coś ci mówi w związku z pracą w Izbie Dziecka albo w ogóle sprawami zawodowymi.

– Co? – Pytanie ją zdumiało. – Nie, chyba nie. – Ledwie skończyła mówić te słowa, gdy pewna myśl zaświtała jej w głowie. Poczowała ciarki wzdłuż kręgosłupa. – Nie chodzi ci chyba o...

Huldar przerwał.

– Tak. Został wypuszczony z więzienia niespełna tydzień temu. – Wziął głęboki oddech, który zaszeleścił sucho w słuchawce. – Jest ojcem Thröstura.

– Co? – Freyja była tak osłupiała, że nie potrafiła wydusić z siebie niczego rozsądniejszego. Jón Jónsson, o którego chodziło, był pedofilem. Pedofilem najgorszego gatunku. Miał na sumieniu nie tylko seksualne wykorzystanie małej dziewczynki, ale też jej zabójstwo. Nie było łatwo dorastać jako syn kogoś takiego. Nic dziwnego, że Thröstur zmienił nazwisko.

– Znasz tę sprawę?

– Nie. Jeszcze wtedy nie podjęłam pracy. Studiowałam. – Po chwili dodała: – Czy on naprawdę wyszedł? Przecież dostał szesnaście lat.

– Naprawdę. Czas ucieka. Odsiedział zwyczajowe dwie trzecie wyroku, dziesięć i pół roku. Dostał zwolnienie warunkowe.

– Zwolnienie warunkowe? – Freyja zamknęła oczy i potarła je dłonią, próbując opanować buzującą w niej wściekłość. Jej bratu konsekwentnie odmawiano prawa do zwolnienia warunkowego, a przecież krzywda, którą Baldur wyrządził innym, dotyczyła straty majątku, której nie da się porównać do straty dziecka.

– Owszem. Tak działa system, gdybyś nie wiedziała. Prawdopodobnie dobrze się zachowywał podczas odbywania kary.

Freyja parsknęła.

– Zgwałcił i zamordował dziecko. Kogo obchodzi, jak się zachowywał, odkąd został złapany?

– Możesz mi wierzyć, że mnie o zdanie nie pytali. – Huldar westchnął ze

znużeniem. – Thröstur zapewne uważał, że przyjdziemy, żeby powiadomić rodzinę i omówić z nimi, jak mają reagować, gdyby chciał nawiązać kontakt. W tym układzie nie dziwię się chłopakowi, że wpadł w szal, gdy się okazało, że jesteśmy tam z zupełnie innego powodu.

– Czy tak się postępuje w podobnych przypadkach? – Freyja przełożyła telefon do lewej ręki. Chciała odświeżyć sobie pamięć na temat Jóna Jónssona, najlepszym sposobem było przejrzanie internetu. To nie mogło czekać, aż skończą rozmowę.

– Nie. Gdy więźniowie kończą wyrok, Służba Więzienna przejmuje za nich odpowiedzialność. W przypadku zwolnień warunkowych monitorują zwolnionego, ale o ile mi wiadomo, nie zajmują się rodziną, chyba że rodzina ich o to poprosi.

Freyja mruknęła coś w odpowiedzi, wpisując do wyszukiwarki nazwisko Jóna Jónssona. Otrzymała około dwóch milionów wyników, te na górze nie były związane z pedofilem. Minęło dużo czasu, odkąd trafił na czołówki gazet. Zawęziła datę do 2004 roku i wyszukała ponownie.

– Czyli wy nie macie na oku tych ludzi? To znaczy policja. Wiesz, jak wielkie jest ryzyko, że ponownie popełnią przestępstwo? Nie ma lekarstwa na pedofilię, są tylko terapie, które raczej ze średnim sukcesem uczą ich, żeby nie poddawali się nienaturalnym popędom. Ale tych terapii nawet nie stosuje się w Islandii.

– Nie jestem ekspertem. Założyłem, że informacje o zwolnieniu trafiają do opieki społecznej, która monitoruje, gdzie mieszkają i tak dalej. W końcu to wasza działka. – Dodał pośpiesznie: – To znaczy chodzi mi o skutki ich działań, czyli ofiary.

– Nie dostajemy żadnej informacji. Możesz mi wierzyć, że bym usłyszała. – Linki odsyłające do tekstów na temat tego Jóna Jónssona wyświetliły się na ekranie. Freyja wybrała skan artykułu z tygodnika, który już nie istniał. Pamiętała ten tekst, był bardzo kontrowersyjny. Po jego publikacji wszyscy twierdzili, że redakcja nie powinna była zamieszczać wywiadu z więźniem i zrobiła to tylko po to, żeby podbić pogarszające się wyniki sprzedaży. Faktycznie, mimo oburzenia sprzedał się cały nakład, ale artykuł nie sprawił oczekiwanego cudu i kilka tygodni później ogłoszono bankructwo tygodnika.

– No dobrze, ale co teraz? – zapytała Freyja. – Spróbujemy ponownie porozmawiać z Thrösturem? Przynajmniej coś już o nim wiemy. I oczywiście

to wyjaśnia problemy z dzieciństwa. Inicjały „JJ” w liście z całą pewnością odnosiły się do ojca. Od zamordowania dziewczynki upłynęły wtedy niecałe dwa lata, a to niewiele, żeby sobie poradzić z tak traumatycznym doświadczeniem.

– Obawiam się, że nie ma mowy o kolejnej wizycie.

Na ekranie wyświetliło się zdjęcie Jóna Jónssona. Siedział wpatrzony w wąskie okno celi widzeń więzienia Litla-Hraun, którą Freyja natychmiast rozpoznała. Wyglądał, jakby dźwigał na ramionach wszystkie troski świata. Ale jeśli Freyja dobrze pamiętała, z wywiadu jasno wynikało, że ciężar wyrzutów sumienia raczej jednak go nie przygniata, a poza, którą przyjął do zdjęcia, uderzyła ją jako prostacko sztuczna. Trudno było sobie wyobrazić, jak musieli się czuć rodzice dziewczynki, czytając ten wywiad, szczególnie fragment, gdy Jón mówił o dacie wyjścia na wolność. Skandaliczna niesprawiedliwość: on mógł odliczać dni do opuszczenia więzienia, a mała Vaka Orradóttir otrzymała wyrok śmierci. Freyja oderwała się od tych myśli.

– Powiedziałaś, że nie planujesz następnej rozmowy z Thröstorem? A co z listem? Nie powinienes doprowadzić tej sprawy do końca?

– Nie. Kazano mi na razie ją odłożyć. Toczy się w tej chwili pilniejsze postępowanie. Może będę mógł do niej wrócić, gdy się zakończy.

Freyja nie umiała określić, co Huldar sądził o tej decyzji, ale przypuszczała, że skoro poważne śledztwa są większym wyzwaniem, to zapewne dają większą satysfakcję niż drobne sprawy, jak ta z listem.

– Rozumiem – oznajmiła, wpatrując się w profil Jóna Jónssona. Zeskanowane zdjęcie było nieostre, ale i tak nie miała wątpliwości, jak określić minę tego człowieka. Natychmiast przyszło jej na myśl słowo „oblesny”. Odpychająco oblesny. Oderwała oczy od ekranu, próbując się skupić na rozmowie. – Czyli sprawa nie potoczy się dalej?

– Nie. Nie teraz. Dam ci znać, jak sytuacja trochę się uspokoi, jeśli mogę. – Zawahał się. – Ale prawdę mówiąc, myślałem też, że może znajdziesz chwilę w ten weekend.

Nie pozwoliła mu dokończyć.

– Zadzwoń, jak sprawa listu zostanie wznowiona. Do usłyszenia.

Rozłączyła się, zanim zdążył podjąć kolejną próbę. Zamierzała gdzieś wyjść w ten weekend, ale nie z nim. Absolutnie, zdecydowanie nie. Nie zastanawiając się dłużej nad tym, żeby nie poczuć wyrzutów sumienia, że tak ostro ucięła rozmowę, Freyja zabrała się za czytanie wywiadu. Fakt, że

policja odstawiła sprawę listu na boczny tor, nie oznaczał, że tak samo ma postąpić ona. Może lektura ożywi jej umysł i będzie mogła zebrać myśli, żeby skończyć raport roczny.

Gdy przebiegała wzrokiem tekst zeskanowanego artykułu, natychmiast wróciły wspomnienia poprzedniej lektury. Czuła, jak twarz wykrzywia jej grymas obrzydzenia. Nic, co się stało, nie było z jego winy. Przez cały wywiad powtarzał, że jest alkoholikiem, i przestrzegał czytelników przed niebezpieczeństwami picia. Freyja uśmiechnęła się cynicznie. Alkohol miał swoje złe strony, ale nie zamieniał ludzi w przestępców seksualnych, a co dopiero pedofilów. Ale z tego co mówił Jón, można by wyciągnąć wniosek, że to alkohol zawinił: picie doprowadziło go do stanu, w którym się upił i stracił kontrolę nad sobą. Przecież nigdy wcześniej czegoś takiego nie zrobił i nigdy więcej nie zrobi. Zapewniał, że nie pamięta chwili popełnienia przestępstwa. Nie posunął się do stwierdzenia, że jest niewinny, ale niewiele brakowało. Zapewne wciąż by się wszystkiego wypierał, gdyby nie twarde dowody. Nie było cienia wątpliwości, jeśli Freyja dobrze pamiętała: próbki DNA pobrane z pochwy dziewczynki, do tego zsinienia na jej szyi albo ślady na ustach w miejscach, gdzie ją zadławił albo udusił. Freyja nie kojarzyła już, którą metodę wybrał.

Potem zapewniał, że przechodzi resocjalizację i odnalazł Boga. I byłby szczęśliwy, gdyby po wyjściu na wolność mógł dzielić się swoimi doświadczeniami, żeby pomagać innym. Freyja poczuła mdłości. Ani słowa żalu, ani śladu wyrzutów sumienia po tym, co zrobił, ani jednej wzmianki o rodzicach zamordowanej dziewczynki. I oczywiście ani słowa o ofierze, której najpierw odebrał niewinność, a potem życie. Był za to długi wywód, że Bóg mu wybaczył i chce go uczynić swoim narzędziem. Właśnie dlatego, jak zapewniał, zaczął pracować dla Boga. Jeśli naprawdę tak było, to Bóg powinien chyba zrewidować swoją politykę przebaczenia, pilnie zainwestować w wykrywacz kłamstw oraz zwolnić kadrowego, jak już się tym zajmie.

Mimo wściekłości, która w niej narastała, Freyja czytała dalej. Nie pamiętała, czy mężczyzna wspominał o swojej rodzinie. Jeśli tak, to mogła znaleźć jakieś informacje o Thrösturze. Była też ciekawa, czy żona przestępcy utrzymywała z nim kontakt, gdy przebywał w więzieniu. Okazało się jednak, że ani dziennikarz nie zapytał o rodzinę, ani Jón o niej nie wspominał.

Po skończonej lekturze Freyja czuła niesmak. Była przekonana o trzech rzeczach. Po pierwsze, mężczyzna udawał nowo odkrytą pobożność. Sposób, w jaki opowiadał o Bogu, po prostu nie brzmiał prawdziwie. Nie był pierwszym, który ukrywał swoją prawdziwą osobowość za nagłym nawróceniem na chrześcijaństwo. Wystarczyło zapamiętać kilka odpowiednich cytatów i w kółko je klepać. Nie szkodziło też nosić przy sobie Biblię i od czasu do czasu rzucać tęskne spojrzenia w niebo, zwłaszcza gdy promienie słońca przebijały się przez chmury.

Po wtóre, nie należało wierzyć w zapewnienia o trzeźwości. Bo niby jak miałyby dalej pić za kratkami? Musiał odstawić alkohol. Ponadto spotkania AA dawały mu przyjemną odskocznnię od szarej codzienności w Litla-Hraun i nawet ci, którzy nie mieli problemu z piciem, zapisywali się na spotkania po prostu po to, żeby urozmaicić monotony dzień.

Po trzecie, Freyja była pewna, że Jónsson kłamał, gdy zapewniał, że wtedy po raz pierwszy i jedyny uległ pożądaniu do dzieci. Skłonności pedofilskie nie ujawniają się nagle w średnim wieku. Mężczyzna taki jak on, ciągle nadużywający alkoholu, wręcz musiał wykorzystywać dzieci wcześniej. Freyja, znając wiele innych przygnębiających przykładów, mogła się domyślać, kto padł jego ofiarą. Oczywiście dziecko, które zawsze było pod ręką, co znaczyło albo Thröstura, albo jego siostrę Sigrún. Może obydwójce. Zapewne z tego powodu opieka społeczna interweniowała w sprawie Thröstura, gdy chłopiec miał osiem lat. Ale to nie wyjaśniało, dlaczego zniknęły wszystkie dokumenty związane z tą sprawą. Ani dlaczego Sólveig, która wtedy prowadziła chłopca, zachowała się tak dziwnie. Biorąc pod uwagę, o czyjego syna chodziło, Freyja była pewna, że Sólveig musiała pamiętać Thröstura. Nieświadomość dyrektora szkoły była bardziej prawdopodobna, ponieważ matka chłopca z pewnością ukryła tożsamość swojego męża. Zapewne chciała razem z dziećmi zacząć wszystko od nowa, zostawiając przeszłość za sobą. To tłumaczyłoby też częste przeprowadzki.

Żeby poznać więcej szczegółów, wyszukała relacje z procesu. Raport roczny mógł jeszcze poczekać. Molly też.

Rozdział 10

– Zaraz tu zamarznę. Chodźmy już stąd! – Thröstur ciaśniej owinął się kurtką. Chociaż suwak był zepsuty, w kurtce jeszcze się dało chodzić, nie widział więc potrzeby, żeby bulić za nową. Zresztą totalny brak wyboru na tej cholerniej wyspie sprawiał, że nigdzie by pewnie nie kupił równie fajnej. Szczekał zębami, a morderczy wiatr chyba złośliwie trafiał akurat na dziury w nogawkach spodni. Za te dziury specjalnie zapłacił więcej, nie były skutkiem zużycia materiału. Teraz jednak ukazywały tylko gęsią skórę.

Był skończonym idiotą! Zapomniał, jaki jest dzień, i ubrał się tak, żeby wyglądać, a nie się chronić przed wiatrem. Choć gdyby pamiętał, niewiele by to zmieniło, bo praktycznie nie miał odpowiednich ubrań. Włożył jedyną przyzwoitą parę butów – czarne, sznurowane do łydki – ale go ziębiły, zamiast grzać, bo zapomniał o skarpetach. Nie były to prawdziwe martensy, ale wystarczająco podobne, żeby ludzie się nabrali. Taką przynajmniej miał nadzieję.

Obrażanie się na pogodę nie miało sensu, po prostu powinien wracać.

– Jest kurewsko zimno, Sigrún. Może powinniśmy przyjść jutro. – Gdyby tylko potrafił ponownie wzbudzić w sobie wściekłość, która rozgrzała jego żyły, gdy ten cholerny gliniarz i jego suka psycholożka wypaplali, o co im chodzi, mógłby stać nago pośrodku śnieżycy, nie czując zimna.

Jego siostra pokręciła głową.

– Zaczekajmy. Jutro to nie będzie to samo.

Otuliła się tak bardzo, że ledwo widział jej twarz. Spojrzał na dłonie. Miała na nich stare rękawiczki. W prawej dawno temu odcięła dwa ostatnie palce i zaszyła dziury. Dlaczego przestała nosić rękawiczki z jednym palcem, które maskowały kikuty, nie potrafił zrozumieć. Ale nigdy nie zapytałby siostry o cokolwiek, co się wiąże z jej palcami, chociaż nie bardzo wiedział, czy chroni w ten sposób ją czy siebie.

Sięgnął do kieszeni po papierosy. Słyszał gdzieś, że podczas palenia kurczą się naczynia krwionośne, co teoretycznie powinno sprawić, że człowiekowi jest cieplej. Równie dobrze mógł sprawdzić to teraz. No i miał

cholerną ochotę na szluga. Ostatni raz palił, gdy czekali na przystanku. Między innymi z powodu jego nałogu pieniądze z zasiłku kończyły się tak szybko.

– Nie pal. – Sigrún machnęła rękami w powietrzu, jakby jej brat już zaczął. – Jeśli zobaczą dym, mogą się zorientować, że tu jesteśmy. Niepotrzebnie zwrócisz na nas uwagę.

Papieros był już w połowie poza paczką, ale Thröstur wepchnął go z powrotem do środka. Gdyby zignorował prośbę siostry, tylko by ją zestresował. Poza tym miała rację. Sigrún była ekspertką w unikaniu czyjejkolwiek uwagi. W odróżnieniu od jego postawy „pierdolić wszystko” ona wolała za wszelką cenę nie rzucać się w oczy, pozostać prawie niewidzialną. Zachowywała się w ten sposób, odkąd pamiętał: rozpaczliwie przemykała się poza zasięgiem radaru, jakby w chwili gdy ktokolwiek ją zauważył, miał się rozpocząć atak. Nigdzie nie czuła się bezpiecznie: w szkole ani w domu, w klubach ani na meczach, w żadnej sytuacji, w której uczestniczyły inne dzieci. Co prawda dokuczanie i szyderstwa osłabły z upływem czasu, ale Sigrún nadal odczuwała ich skutki. Nie patrz na mnie. Nie zauważaj mnie. Mnie tutaj nie ma.

Chęć nierzucania się w oczy była też widoczna w jej ubiorze. Obcy ludzie, jeśli w ogóle ją zauważali, musieli dochodzić do wniosku, że Sigrún ze wszystkich sił stara się o siebie nie dbać. Patrząc na jej bure, za długie i zbyt obszerne ubrania, można by dojść do wniosku, że jest amiszką. Włosy dopełniały całości obrazu: długie, kręcone i mysie. Nigdy nie używała tuszu do rzęs ani szminki, więc choć za diabła by się do tego nie przyznał, Thröstur spędzał przed lustrem więcej czasu niż ona.

Wiedział dlaczego. Pozwalał jej więc przemykać się pod ścianami, nigdy tego nie komentując. Taka była jej metoda. On stosował diametralnie różną. Metalowe tunele, z powodu których tak bardzo marży mu teraz uszy, były jednym z jej przejawów.

– Jak długo będziemy tu czekać?

– Niedługo. – Sigrún wyjrzała zza rogu dużego białego kościoła. – Na pewno zaraz już wyjdą. – Znów przywarła do ściany, ale Thröstur nie mógł pójść za jej przykładem, bo beton był zbyt zimny. W lewej, nieokaleczonej ręce trzymała kwiaty, które kupili w supermarkecie po drodze na autobus do Fossvogur. Były przywiędnięte i nieciekawe, jak można się spodziewać po tanim bukiecie. Ale trudno. Bukiety z kwiaciarni kosztują trzy razy tyle

i głupio byłoby wydawać wszystkie pieniądze, jakie mieli, na trupa. Liczyła się pamięć. Sigrún ponownie zerknęła za róg. – Jak tylko pójdą, możemy się stąd ruszyć.

Thröstur ugryzł się w język i nie zaprotestował. Coroczne wizyty na tym grobie były ważne dla jego siostry, on natomiast uważał je za stratę czasu. Umarli to umarli i nie zrobią się ani trochę mniej martwi, żeby nie wiadomo ilu ludzi przyszło na ich grób. W sumie Sigrún nieczęsto prosiła go o przysługę, dlatego nie mógł jej odmówić. Zresztą i tak nie miał nic lepszego do roboty. Jak co dzień. Był bezrobotny od sześciu miesięcy i już się zaczynał nudzić, ale wolał nudę od codziennej bezsensownej harówki. Dotychczas każda jego praca też była nudna, do tego bezcelowa i źle opłacana. W sumie więc niewiele gorzej miał na zasiłku, a niezrywanie się z łóżka o świcie uznawał za wielki plus. Na pieniądzach jednak mu nie zbywało: ostatnio zatrudnił się na pół etatu i dopiero gdy stracił zatrudnienie, zdał sobie sprawę, że to obniża zasiłek. Ale przeszłości się nie zmieni, a zasiłek wystarczał na pokrycie niezbędnych wydatków, dawało się więc przeżyć. Z drugiej strony trudno zaprzeczyć, że przydałaby się nowa para martensów. I nowa kurtka.

– Zaraz mi odmarzną jaja – rzucił i natychmiast pożałował swoich słów. Spojrzenie, które mu posłała zza niechlujnej grzywki opadającej na twarz, było zbolące i pełne niepokoju. Powinien był to przewidzieć.

Pośpiesznie się wycofał:

– Ale co tam. Oni na pewno zaraz sobie pójdą. Jak długo można wytrzymać w taką pogodę? – Zauważył, że siostra nieco się odprężyła. Niestety małżonkowie byli tak samo dobrze przygotowani na złą pogodę jak Sigrún: kobieta miała na sobie metalicznie połyskującą kurtkę ze skórzanym kołnierzem, mężczyzna ubrał się równie ciepło, choć mniej kolorowo. Szlag by trafił! Mogliby się położyć i zdrzemnąć na grobowcu, gdyby przyszła im na to ochota, z pewnością by nie zmarzli. Ale wtedy on umarłby z zimna i skończył we własnym grobowcu. Mimo iż tylko żartował, przeszedł go dreszcz. To chyba efekt cmentarza. Chociaż miał dopiero dwadzieścia cztery lata i raczej nie czekała go rychła śmierć, poczuł niepokój na myśl, że pewnego dnia także jego imię pojawi się na płycie nagrobnej.

Pomyślał, że Sigrún będzie jedyną osobą, która odwiedzi jego grób, i zrobiło mu się jeszcze bardziej ponuro. Matka raczej nie ma czasu na takie rzeczy. Pracuje całymi dniami, a jak już wraca do domu, zwykle się zamyka

w swoim pokoju kompletnie wykończona. To pewnie nigdy się nie zmieni. Jego zdaniem matka była beznadziejna, choć jego siostra tak nie uważała. Sigrún kochała matkę tak, jak powinno kochać dziecko, on zaś nie umiał matce wybaczyć. Sigrún przekonywała, że nie ma czego wybaczać. Według niej matka nie mogła się zachować inaczej. Padła ofiarą okoliczności. Thröstur nie miał zrozumienia dla tego rodzaju ofiar, współczuł tylko prawdziwym ofiarom, takim jak on i jego siostra.

Nie żywił nienawiści do matki, chociaż jej nie kochał. Przez lata nie czuł do niej nic oprócz złości, ale z upływem czasu ich potworna przeszłość stawała się coraz bardziej odległa i Thröstur złapał się na tym, że jest mu jej żal. Wtedy jedyny raz zakiełkowało w nim coś w rodzaju uczucia dla niej.

Nie sposób było jej nie żałować, widząc tak gówniane życie. Nie liczyło się nawet to, że sama wybrała dla nich tę opłakaną egzystencję. Sama chciała się izolować i zaharowywać na śmierć, daremnie próbując odpokutować decyzje, których się nie dało cofnąć. Nie miała dość odwagi, żeby dokonać samospalenia, popełnić harakiri albo się wybatożyć jak ludzie w innych kulturach. W ramach pokuty sama siebie sprowadziła do roli popychadła. I pociągnęła za sobą ich dwoje, choć zapewne nie zdawała sobie z tego sprawy. Prawdopodobnie myślała, że się dla nich poświęca, płaca w ten sposób swoje długi. Ale nie mogłaby chyba bardziej się mylić.

Gdy tak się zastanawiał nad ich marnym, pozbawionym korzeni życiem, znów poczuł ochotę na papierosa. Wszyscy inni zdawali się mieć jakieś zabezpieczenie, jakąś kotwicę – oprócz jego i Sigrún. Gdy ich tak zwany ojciec trafił do więzienia, przez pięć kolejnych lat co roku zmieniali miejsce zamieszkania. Wystarczyło, żeby współpracownicy matki zaczęli coś szeptać, natychmiast szukała sobie nowej pracy, przenosząc się z jednego kiepsko opłacanego miejsca do drugiego. Trwało to, dopóki nie znalazła zatrudnienia w zakładach rybnych i nie odkryła, że pracujące razem z nią przy taśmie produkcyjnej emigrantki nie mają bladego pojęcia o jej przeszłości. Dała im do zrozumienia, że nie potrzebuje przyjaźni, i zostawiły ją w spokoju.

Ale zarobki w zakładach rybnych nie wystarczały na utrzymanie ich trojga, dodatkowo matka sprzątała więc biurowce – wieczorami, gdy wszyscy inni poszli już do domu. Puste budynki dawały wytchnienie od spojrzeń i szeptów, a matce zdawało się to odpowiadać, chociaż chroniczne zmęczenie było widać po wymizerowanej twarzy oraz obwisłych ramionach. Potem, gdy po dziesiątej klasie Thröstur rzucił szkołę i zaczął pracować, matka mogła

trochę odpuścić, ale nie chciała. Powiedziała, żeby odkładał pieniądze w banku, na przyszłość. Wieczna męczennica. Skwapliwie przyjął jej propozycję, ale pieniądze trwoniał w takim samym tempie, jak je zarabiał.

Sigrún dobrze sobie radziła w szkole, ale też musiała ją rzucić po skończeniu obowiązkowej liczby klas. Najpierw dołączyła do matki w zakładach rybnych, ale marnie jej tam szło. Nie w pełni sprawna z powodu dwóch brakujących palców nie nadążała z pracą i ciągle słyszała reprimendy, chociaż pracowała najciężej jak mogła. Ale i tak, jak to ona, wytrzymała rok, zanim złożyła wypowiedzenie.

Później zatrudniła się jako pracownik biurowy w firmie ubezpieczeniowej i pracowała w niej do teraz, szczęśliwie schowana w pokoju na zapleczu, gdzie siedziała tylko w towarzystwie dokumentów do archiwizacji. Wykonywała swoją pracę tak dobrze, że stała się wręcz niezbędna, lecz jej zarobki tego nie odzwierciedlały. Ale też nigdy nie prosiła o podwyżkę ani nie stawiała innych żądań. Co robiła z pieniędzmi, było dla niego zagadką. Nie wydawała praktycznie na nic. Może wpłacała wszystkie do banku, jak matka radziła Thrösturowi, co by znaczyło, że do dzisiaj musiała uzbierać niezłą sumkę. Zawsze ją namawiał, żeby dała spokój z tym idiotycznym skąpstwem i sprawiła sobie trochę przyjemności. Niezmiennie miała zawstydzoną minę, gdy ją pytał, na co do cholery oszczędza. Może marzyła o podróży dookoła świata, żeby odjechać od swoich korzeni tak daleko, jak tylko pozwolą ludzkie możliwości? Potrafił to zrozumieć.

Thröstur przestępował z nogi na nogę, bezskutecznie próbując przywrócić krążenie w palcach.

– Cii! Chyba idą. Mam zerknąć? – Sigrún zsunęła kaptur z jednego ucha i nasłuchiwała. Gdy Thröstur przestał tupać, też usłyszał skrzypienie śniegu oraz szczątki rozmowy. To musieli być oni. Nareszcie! Przy odrobinie szczęścia pójda prosto do samochodu i się stąd zabiorą. Raczej nie będą tu stać i wdawać się w pogawędkę.

Gdy on i Sigrún dotarli na miejsce, jeden samochód stał już zaparkowany, drugi zaś właśnie wjeżdżał. Kierowcy wysiedli, przywitali się raczej chłodnym skinieniem głowy, a przynajmniej tak wyglądało, i wymieniali szybki uścisk dłoni po przełożeniu kwiatów do lewej ręki. Ich bukiety były wielkie i nieporęczne, w odróżnieniu od żalosego pęku, który trzymała Sigrún. Ani kobieta, ani mężczyzna nawet nie spojrzeli w ich kierunku, po czym Sigrún i Thröstur weszli za róg kościoła, żeby nie przyciągać ich

uwagi.

Thröstur z pewnością nie opisałby siebie jako sentymentalnego, ale nawet on nie mógł się oprzeć refleksji nad losem rodziców tej dziewczynki. Kiedy pierwszy raz przyjechał tu z Sigrún, tych dwoje przybyło jednym samochodem i weszło na cmentarz, mocno się obejmując. Nie lubił myśleć o dniu pogrzebu, na którym wydawali się jeszcze bliźsi sobie. Szli za małą białą trumną i na ich twarzach pojawiło się identyczne przerażenie, gdy spostrzegli Thröstura, Sigrún i ich matkę. Wcześniej matka wybrała miejsce w ostatniej ławce, gdzie jej zdaniem mieli siedzieć niezauważeni.

Wszystkie głowy co do jednej odwróciły się w ich stronę, gdy małżonkowie stanęli jak sparaliżowani, wpatrując się w nich troje. Ta chwila trwała wieczność. Potem kobieta osunęła się na męża. Wokół oczu miała rozmazane czarne smugi od łez, które ciągle kapały jej po policzkach. Twarz męża była czerwona i pełna złości. Mokre oczy pozostałych żałobników uporczywie się w nich wpatrywały. Przeważenie intruzów stało się oczywiste dla wszystkich, gdy matka leżącej w trumnie dziewczynki zaczęła wyć, a oczy żałobników odprowadzały przepychających się do wyjścia matkę z dwojgiem dzieci uciekających przed pełnym smutku i udręki lamentem.

Thröstur otrząsnął się ze wspomnień.

Napędzały tylko smutek i złość. Dlaczego nie można cofnąć życia i odmienić przeszłości? Gdyby jego matka była wtedy w domu, nie tkwiłby teraz w pułapce przykrych wspomnień o tamtym zdarzeniu, o jego konsekwencjach nie wspominając.

Podobnie jak za wiele innych rzeczy, za incydent na pogrzebie winił matkę. On i Sigrún byli zaledwie dziećmi, ale matka powinna była wiedzieć lepiej. Jemu nie przyszło do głowy, że rodzice dziewczynki będą ich winić za śmierć swojej córki, ale osoba dorosła powinna była to przewidzieć. Gdy Sigrún naciskała, żeby iść, matka mogła się nie zgodzić, ale ona jak zawsze ustąpiła natychmiast. W jej naturze nie było ani krzty stanowczości, zupełnie jakby ktoś usunął jej kręgosłup. On zachowywał się zupełnie inaczej. Chociaż to, co się wtedy stało na pogrzebie, było koszmarne, to miało też jedną dobrą stronę. Tamtej nocy, gdy leżał w łóżku, słuchając stłumionych szlochów siostry, Thröstur postanowił, że zawsze będzie się bronił, a ilekroć zobaczy niesprawiedliwość, stawia jej czoło. Ludzie nie mają czasu dla męczenników. W każdym razie nie przed upływem kilkuset lat, a nawet wtedy ludzki podziw jest prawie żaden.

Niespodziewanie wiatr ucichł. Pozbawione emocji pożegnanie pary odbywało się tuż obok miejsca, gdzie stali Thröstur i Sigrún. Chłopak wyrzał ostrożnie za róg kościoła i zobaczył, jak tamci dwoje wymieniają krótki uścisk dłoni, ewidentnie nie patrząc sobie w oczy. Potem weszli każde do swojego samochodu i odjechali. Przez kłęby spalin zobaczył czerwone światła, gdy auta przyhamowały, by zniknąć za zakrętem. Perspektywa rozgrzewającego spaceru trochę ożywiła Thröstura.

– Chodź. Pojechali.

Sigrún musiała sama sprawdzić, zanim dała się wyciągnąć z za rogu, a po drodze na cmentarz raz po raz zerknęła za siebie, jakby się spodziewała, że para wróci. Mogli zostawić coś przy grobie. Thröstur nie odezwał się ani słowem, choć to neurotyczne postępowanie go irytowało. Czy ona musi tak się zachowywać? Wiedział jednak, że nie ma sensu krytykować siostry. Jej zdenerwowanie tylko by się nasiliło, gdyby dał jej poznać, że je zauważył.

Drogę znali na pamięć, ponieważ pokonywali ją przez jedenaście ostatnich lat. Pierwszy raz rok po śmierci dziewczynki, a potem co roku w jej urodziny. Jak goście przychodzący na przyjęcie z poczucia obowiązku. Dziś miałyby dwadzieścia lat, gdyby żyła. Sigrún niespodziewanie to sobie uzmysłowiła w drodze na cmentarz. Odwróciła się wtedy raptownie do niego i wypowiedziała na głos tę liczbę. Znacznie głośniej niż zazwyczaj; na tyle głośno, żeby jedyna oprócz nich pasażerka autobusu odwróciła się i spojrzała na nią z zaskoczeniem. Sigrún się zaczerwieniła i zaczęła z wyjaśnieniem, aż starsza pani znów spojrzy przed siebie. Gdyby pamiętała, że to takie ważne urodziny, wybrałaby droższy bukiet. Chciała nawet wracać do supermarketu, żeby kupić nowe kwiaty, ale Thröstur, który napawał się ciepłem wnętrza autobusu, zdołał ją od tego odwieść. Jak się potem okazało, postąpił idiotycznie, ponieważ w rezultacie dotarli na miejsce w tym samym czasie co rodzice i omal nie umarł z zimna. Przekonywał, że już zabulili za kwiaty i bilety autobusowe, a zamieszanie w związku z wyimaginowanymi dwudziestymi urodzinami martwej dziewczynki nie ma sensu. Może dlatego Sigrún była teraz taka podenerwowana, choć nie zawsze łatwo mu było odgadnąć, jak działa umysł siostry.

Zajęła miejsce przed grobowcem i stała w milczeniu z opuszczonym wzrokiem. Po chwili oderwała podbródek od piersi i położyła na płycie kwiaty, które przy dwóch okazałych, opartych o płytę nagrobną bukietach wydawały się małe i byle jakie. Thröstur musiał odwrócić wzrok: marny

bukiet wydał mu się symbolem ich dwojga, jego i Sigrún.

W odróżnieniu od swojej siostry nie zachowywał się tak samo podczas każdej wizyty. Dreptał dookoła, czytając napisy na sąsiednich grobach, paląc papierosy albo kopiąc śnieg. Musiał czymś się zająć, podczas gdy Sigrún medytowała czy cokolwiek tam uskuteczniała nad grobem. Nigdy się nie zdobył na odwagę, żeby zapytać, o czym wtedy myślała.

Tym razem stanął trochę z boku, milcząco i nieruchomo jak ona. Myślał o tym, jak bardzo są samotni i jak bardzo wszyscy ich zawiedli. Od zawsze. Zastanawiał się, jak Sigrún zareaguje na wiadomość, że ich ojciec wyszedł na wolność; jak najlepiej przekazać jej tę informację, zanim usłyszy ją w pracy albo trafi na tego bydlaka gdzieś na ulicy; jak powstrzymać go przed ponownym wtargnięciem w ich życie. Wszystko to przywiodło go z powrotem do myśli, która prześladowała go, odkąd pamiętał: nikt im nigdy nie pomoże.

To on musiał chronić swoją siostrę. I nie zamierzał jej zawieść.

Rozdział 11

Podziemny parking był teraz pusty – w odróżnieniu od poranka, gdy Kolbeinn znalazł tylko kilka wolnych miejsc, oczywiście tych najmniej wygodnych. Spóźniony do pracy z powodu dużego ruchu na drodze z Hafnarfjörður musiał zaparkować tuż przy kolumnie. Wjechanie tam tyłem wymagało szczególnych umiejętności, ale przecież nabrał już sporej wprawy, odkąd kupił to auto. Gdyby pogoda była lepsza, Kolbeinn zaparkowałby na zewnątrz; zawsze trochę się niepokoił, zostawiając swoje nowe cacko tu, na dole. Wielu innych użytkowników tego garażu jeździło poobijanymi starymi gratami i małe zgniecenie w tym czy innym miejscu karoserii byłoby dla nich niczym. On jednak nie zniósłby tej myśli, choć przestał już notować numery rejestracyjne samochodów zaparkowanych na sąsiednich miejscach, na wypadek gdyby pod koniec dnia znalazł jakieś zarysowanie. Porzucił ten zwyczaj, gdy jeden z kolegów przyłapał go na nim i krzywo na niego spojrział. Później tego samego dnia Kolbeinn, przechodząc obok automatu z kawą, słyszał, jak ten mężczyzna ze śmiechem opowiada o swoim spostrzeżeniu grupce kolegów. Kolbeinn nie znosił, gdy ktoś się z niego śmiał. To było nawet gorsze niż strach przed zadrapaniem nowego samochodu.

Odgłos jego kroków niósł się echem, a spod jednej z rur biegnących przy suficie kapąła woda. Oprócz tego panowała cisza. Lampy sufitowe budziły się do życia jedna po drugiej, gdy przechodził obok czujników ruchu, chyba że któraś się przepaliła. Mógłby przysiąc, że jeszcze rano świeciło ich więcej.

Sześć miesięcy temu w ramach cięcia kosztów etat dozorczy zredukowano do połowy i budynek zaczął już odzwierciedlać skutki tej decyzji, zwłaszcza w miejscach, gdzie sprzątanina nie uznawano za najwyższy priorytet. Podziemny parking był niewątpliwie jednym z takich miejsc. Ale kiedyś do księgowości dotrze faktura za ubytki oświetlenia, usunięcie wyczuwalnej wszędzie wilgoci i wywiezienie stert śmieci rosnących w każdym roku. Kolbeinnowi jednak nawet nie przyszło do głowy, żeby to komentować.

W ciągu prawie czternastu lat pracy w firmie zdążył się nauczyć, że chociaż dyrekcja zachęca pracowników do wygłaszania opinii, to ci, którzy faktycznie zgłaszają skargi, długo się nie utrzymują. Ci, którzy liczyli na awans, znacznie lepiej wychodzili na pochlebstwach. W każdym razie taka właśnie taktyka ułatwiła jego własną wspinaczkę po szczeblach kariery, chociaż nie miał formalnych kwalifikacji jako księgowy ani prawnik. Niedawno usłyszał nawet komplement od samego prezesa, który powiedział mu, że miał pewne wątpliwości, czy Kolbeinn się nadaje do tej pracy, gdy wiele lat temu zatrudnił go z polecenia jednego ze znajomych, ale już dawno się przekonał, że były nieuzasadnione. Szkoda, że prezes zbliżał się do wieku emerytalnego. Nie było gwarancji, że jego młodszy następca również doceni talenty Kolbeinna. I co się z nim stanie, jeśli w firmie przeprowadzą restrukturyzację?

W odległym końcu garażu światła w ogóle przestały się zapalać. Kolbeinn z dezaprobatą pokręcił głową. Ale potem podniósł wzrok i zobaczył, że świetlówki zostały rozbite. Przystanął i zaczął nasłuchiwać. Kapanie tak się już nasiliło, że brzmiało niemal jak deszcz. Stał, nadstawiając uszu, i miał wrażenie, że słyszy ciche skrobanie od strony samochodu – przy założeniu, że samochód nadal tam był. Nie podobało mu się to, co widział. Kto, jeśli nie złodzieje, roztrzaskałby świetlówki? Na pozbawionym okien parkingu nie było innego źródła światła, a ciemność pozwala najlepiej się ukryć. Jeśli miał rację, celem złodziei był z pewnością jego samochód. Innych atrakcyjnych wokół nie było. Dyrektorzy parkowali na oznakowanych miejscach tuż przy wjeździe albo obok wind. I zawsze wyjeżdżali z pracy znacznie wcześniej. O tej porze podziemny garaż był pusty jak grobowiec.

A jeśli złodzieje nadal tu byli? Jeśli zastał ich podczas próby włamania do jego samochodu? Czy rzuciliby się na niego? Odpowiedź była oczywista: tak, jasne, że by się rzucili. Raczej nie odeszliby stąd jak gdyby nigdy nic. *Ojej, przepraszamy.* Znow rozległo się skrobanie. Kolbeinn zakasłał absurdalnie głośno, mając nadzieję odstraszyć ewentualnych złodziei. Najlepiej, gdyby uciekli. Nie rzuciłby się za nimi w pogoń, i tak by ich później złapali. Gdyby zamiast wiać, chcieli go pobić, mógłby im pokazać kamery monitoringu i mieć nadzieję, że ich odstraszą. Kolbeinn znow zakasłał, jeszcze głośniej niż poprzednio. Mógłby przysiąc, że skrobanie też się zrobiło głośniejsze. Już chciał zakasłać trzeci raz, gdy sobie uzmysłowił, że złodzieje i bez tego musieli wiedzieć o jego obecności. Nie mogli nie zauważyć świateł, które się

zapalały, gdy szedł w głąb garażu.

Jesteś człowiekiem czy myszą? Kolbeinn nadał policzki i powoli wypuścił powietrze. Nie miał wyboru. Musiał podejść do samochodu. W hallu nie było już żadnych ochroniarzy, również w wyniku polityki oszczędności. Dozorca poszedł do domu wiele godzin temu, a Kolbeinn nigdy by nie poprosił nikogo z nielicznych pozostałych jeszcze w budynku ludzi, żeby go odprowadził do samochodu. Dopiero mieliby z czego się śmiać! Jeśli po spotkaniu ze złodziejami pojawi się w pracy z podbitymi oczami i złamanym nosem, przynajmniej zasłuży na ich szacunek.

Ruszył z miejsca. Serce waliło mu w tempie, które nie mogło oznaczać niczego dobrego, ale mimo wszystko przyśpieszył kroku. Najlepiej mieć to za sobą. Z ciemności wyłonił się przód auta widoczny na tle tej cholernej kolumny, która idealnie wręcz ukryłaby złodziei, gdyby faktycznie jacyś tu byli. Czuł, jak jego serce się obija o żebra, jakby w piersi trzepotała mu jaskółka walcząca o życie. W ciemności na pewno ktoś się czaił, może więcej niż jeden. Przecież ten hałas nie bierze się znikąd. Im bliżej podchodził, tym głośniejsze stawało się drapanie, któremu teraz towarzyszył metaliczny zgrzyt i coś, co określiliby jako mamrotanie. Przyszło mu do głowy, że złodzieje omawiają między sobą, jak wciągnąć go w pułapkę. Ale im bliżej podchodził, tym hałas mniej przypominał ludzkie głosy, a bardziej brzmiał jak piski zwierzęcia. Może więc jednak złodzieje okażą się myszami albo szczurami.

Nikt się na niego nie rzucił podczas tych kilku ostatnich kroków do samochodu ani gdy drżącymi palcami przyciskał guzik na pilocie, żeby odblokować auto. Trzęsąc się ze strachu, ostrożnie obszedł maskę, po czym z ulgą stwierdził, że po drugiej stronie nikogo nie ma. Ale niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Nie dając sobie ani chwili wytchnienia, pobiegł do drzwi kierowcy. Zanim się wsunął za kierownicę i po omacku znalazł przycisk blokujący drzwi, pośpiesznie zerknął do tyłu, żeby się upewnić, czy nikt się nie czai z tamtej strony. Tuż za bagażnikiem wznosił się wysoki do pasa betonowy mur, odgradzający parking od zjazdu na niższy poziom garażu. Złodzieje mogli się za nim ukryć, co było bardzo prawdopodobne, ponieważ podejrzane dźwięki dochodziły właśnie stamtąd. Mur był co prawda zwieńczony balustradą ze stalowych prętów, którą przestępcy musieliby przeskoczyć, żeby dopaść do Kolbeinna, ale to niewiele zmieniało. Wskoczył do auta. Trzask elektrycznych zamków blokujących drzwi był jednym

z najprzyjemniejszych dźwięków, jakie w życiu usłyszał. Nie miał jednak czasu, żeby się nim delectować. Wsunął kluczyk do stacyjki. Dopiero gdy przyjemne dudnienie silnika i ryk głośników zagłuszyły te dziwne dźwięki, Kolbeinn zaczął oddychać spokojniej.

Tym razem zrezygnował z ostrożności podczas opuszczania miejsca parkingowego, może dlatego, że metaliczny grzechot za samochodem jeszcze się nasilił, gdy auto ruszyło. Instynktownie nacisnął na pedał gazu, ignorując ryzyko, jakie niosła ze sobą szybka jazda w podziemnym garażu. Za chwilę znajdzie się na zewnątrz i wyruszy w drogę do domu.

Ale jego radość nie trwała długo. Poczłł gwałtowne szarpnięcie, jakby z tyłu ktoś w niego uderzył przy pełnej prędkości, co było niemożliwe, bo ciągle miał za sobą murek. Rzuciło nim o kierownicę i gdyby nie pasy bezpieczeństwa, uderzyłby głową w przednią szybę. Natychmiast nadepnął na hamulec, chociaż samochód zachowywał się dziwnie i praktycznie nie szedł do przodu.

Gotowy na wszystko zerknął w lusterko wsteczne, a po chwili odwrócił głowę, żeby spojrzeć przez tylną szybę, próbując zrozumieć, co zobaczył.

Huldar bardzo współczuł Erli, choć tego nie okazywał. Nerwy zaczynały jej puszczać i trudno było zgadnąć, co akurat mogłoby ją wyprowadzić z równowagi. Wyglądało na to, że dosłownie nic nie pójdzie zgodnie z planem. Media już się dowiedziały i fotografowie rozpoczęli obłęzenie, oślepiając fleszami każdego, kto otworzył drzwi. Jakby tego było mało, policjanci czekali na przenośne reflektory, ponieważ ta część garażu, od której powinni zacząć oględziny, tonęła w półmroku. Lampy sufitowe zostały rozbite i nikt nie miał wątpliwości, że miało to związek z tym, co się wydarzyło.

Huldar oparł się o ścianę i podpalił papierosa. Jak większość palaczy uznawał garaż za teren poza budynkiem. Przestał ukrywać, że wrócił do nałogu, bo i tak zdradzał go zapach, a jego zdrowie nikogo z kolegów nie obchodziło. Zaciągnął się pierwszy raz, po czym wydmuchał strumień dymu w kierunku zamkniętych drzwi. Było mało prawdopodobne, że ktoś zaprotestuje, bo roboty mieli aż nadto. Zresztą przygotował wymówkę: gdyby wyszedł na zewnątrz, obskoczyliby go dziennikarze i gapie, którzy się zebrali w nadziei na obejrzenie czegoś ekscytującego. Zastanawiające, że ludzie tak się garną do tragedii i niepowodzeń. Miał wrażenie, że szybko

straciliby entuzjazm, gdyby musieli oglądać takie widoki jak ten. Ponownie napełnił płuca dymem. Akurat wtedy, gdy burza byłaby im na rękę, nastąpił piękny, bezwietrzny wieczór. Zła pogoda odstrasza fotografów i obserwatorów.

W idealnym świecie siedziałby teraz w domu, z piwem w ręku oglądając mecz. Ale nie żałował, że mecz go ominął. Będą następne, a ostatnio prawie wszystkie wieczory ma wolne. Praca po godzinach była teraz raczej wyjątkiem niż regułą. Wezwano go dzisiaj, ponieważ jako jeden z nielicznych nie miał żadnych nadgodzin od wielu miesięcy. Powiedziała mu to Erla, żeby sobie nie pomyślał, że wrócił do łask. Kątem oka zauważył, że właśnie idzie do niego z ponurą miną. Szybko zaciągnął się ostatni raz i zgasił papierosa, choć wypalił dopiero połowę. Żeby miała mniej powodów do zrzędzenia.

– Czy tu nie ma zakazu palenia? – Erla rozejrzała się z irytacją w poszukiwaniu odpowiedniej tabliczki, ale chociaż było ich wiele, wszystkie wskazywały drogę do wyjścia albo do wind.

Huldar wiedział, że nie chodzi o palenie. Ignorując jej komentarz, zapytał:

– Co nowego? Przyjechali technicy?

Erla westchnęła i oparła się o ścianę obok niego.

– Ponoć są w drodze. – Pokręciła głową. – Co za burdel! Lekarz nie chce podejść, dopóki nie przywiozą tych pieprzonych reflektorów. Dozorca jest strasznie upierdliwy i uparcie twierdzi, że nie płacą mu za przychodzenie o tej porze, a większej cipy niż ten cały Kolbeinn Ragnarsson chyba w życiu nie widziałam.

– Tak? – Huldar zerknął na mężczyznę nieustannie łypiącego nad ramieniem policjanta, który go przesłuchiwał. Wyraźnie skupiał uwagę na czymś w głębi garażu, zapewne własnym samochodzie. – Może to zwykły szok.

– Nie tyle szok, co obawa, że ubezpieczenie nie pokryje kosztów naprawy. Tylna oś jest prawie oderwana.

– Nic dziwnego. To musiało być cholernie silne szarpnięcie. – Łańcuch został przymocowany do tylnej osi auta, a jego drugi koniec owijał w pasie zwłoki mężczyzny leżące na miejscu parkingowym. Przyjęli założenie, że początkowo ofiara znajdowała się po drugiej stronie betonowego muru. Gdy Kolbeinn Ragnarsson ruszył, łańcuch szarpnął ją do góry, przyciskając do stalowych prętów balustrady. Ale tylko na chwilę. Siła była tak duża, że

ofiara została zgięta w pół i przeciągnięta na drugą stronę. Huldar, który zmierzył odległość między stalowymi prętami, poczuł mdłości, gdy się okazało, że wynosi ona niewiele ponad trzydzieści centymetrów. Miał nadzieję, że mężczyzna był już wtedy martwy, ale to raczej mało prawdopodobne. Knebel sugerował, że sprawca chciał uniemożliwić ofierze wezwanie pomocy. Nie byłby potrzebny, gdyby przywiązany do łańcucha mężczyzna nie żył. Martwi nie krzyczą.

– Może to było samobójstwo? – Ton Erli nie pozostawiał wątpliwości, że to tylko pobożne życzenie.

– Myślę, że odpowiedź musi brzmieć nie. Ktoś, kto chce się wykończyć, ma do dyspozycji niezliczenie wiele łatwiejszych metod. I każda byłaby chyba lepsza niż to. – Huldar wciągnął powietrze przez zęby i cmoknął. Wolałby o tym nie myśleć, ale czuł się w obowiązku odpowiedzieć, skoro Erla chociaż raz chciała z nim porozmawiać. Zgięte zwłoki były jednym z najgorszych widoków, jakie miał nieszczęście oglądać. Dzięki Bogu twarz zmarłego była niewidoczna. – Wyobrazasz sobie, co musiał czuć, czekając? Nikt by sobie nie zafundował czegoś takiego. Założę się, że ten biedak oddałby wszystko, żeby się udusić, zanim auto ruszyło.

– Może. Byłoby lepiej dla niego, gdyby nie wiedział, co go czeka. Ale mam przeczucie, że sprawca się postarał, żeby mu o tym powiedzieć. To śmierdzi sadyzmem. Ktokolwiek go wykończył, mógł przebierać w sposobach, musiało więc chodzić o to, żeby ofiara cierpiała. Miejmy nadzieję, że sekcja coś wyjaśni. – Erla wyjęła z kieszeni telefon i sprawdziła godzinę. – Gdzie oni są, do kurwy nędzy?

Huldar leniwie się zastanawiał, jaka część zadawanych przez nią pytań jest retoryczna. Prawdopodobnie znaczna. Erla doskonale wiedziała, że on nie zna odpowiedzi.

– Przynajmniej przed wszystkim sprawdziłem, czy denat ma obydwie dłonie – oznajmił. – To morderstwo jest takie groteskowe, że pasowałoby do znaleziska w jacuzzi. Nie wiem, czy poczułem ulgę czy rozczarowanie, gdy się okazało, że przynajmniej jedna jest na miejscu. Mam przeczucie, że te sprawy są powiązane. Obydwe są równie obrzydliwe. I nie podoba mi się myśl, że na wolności grasuje dwóch psychopatów. A twoim zdaniem?

– Nie mam pojęcia. Może coś się wyjaśni, gdy patolog i technicy kryminalistyczni wreszcie ruszą dupę i będziemy mogli zidentyfikować tego biedaka. Może miał przy sobie portfel albo chociaż kartę kredytową.

Cokolwiek. Szkoda, że nie możemy ruszać zwłok, bo tak jak leżą, nie da się ich dokładnie obejrzeć. – Erla westchnęła tak ciężko, że był to niemal jęk. Potem odepchnęła się od ściany i wróciła na miejsce zbrodni, nie mówiąc już ani słowa.

Huldar stał jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, czy wypalić do końca połówkę papierosa, ostatecznie jednak poszedł za Erlą, przewyciężywszy olbrzymią niechęć. Nie chodziło o nią, ale o potworny widok złożonych jak serwetka, przywiązanych łańcuchem do samochodu zwłok. Z trudem go znosił.

Sytuacja się nie polepszyła, gdy w końcu dotarli na miejsce technicy kryminalistyczni, którzy rozstawili reflektory. W bezlitosnym blasku lamp trudno było się powstrzymać przed odwróceniem głowy. Dopiero po przybyciu lekarza Huldar się zmusił, żeby dokładnie obejrzeć zwłoki. Natychmiast tego pożałował, ponieważ lekarz poprosił go o pomoc w ich rozprostowaniu, a właściwie „rozłożeniu”, bo tak się wyraził. Włożyli rękawiczki, po czym chwycili z obydwu stron leżący płasko na nogach tułów, ostrożnie go unieśli i położyli płasko na podłodze. Nawet przez ubranie Huldar czuł połamane żebra, pogruchothane kręgi i zmiżdżone mięśnie – tak wyraźnie, jakby gołymi rękami dotykał nagiego ciała. Walczył z mdłościami i już prawie je pokonał, gdy lekarz usunął knebel i tkaninę zakrywającą usta zmarłego.

Huldar podniósł się i stanął, lekko przekrzywiając głowę, żeby lepiej widzieć twarz.

– Erla! Zobacz!

Erla w zamyśleniu patrzyła na twarz mężczyzny.

– Mamy dowód. Obydwie sprawy są powiązane.

Nie ukrywała zdenerwowania.

– O cholera. Jasna cholera. Kurwa mać! – Przeczesała włosy palcami. – Ale fuszera!

Huldar z ulgą myślał, że nie jest na jej miejscu. Taka sytuacja nie zostanie dobrze przyjęta przez najwyższe szarże, najdelikatniej rzecz ujmując. Jedyne świadek w sprawie obciętych dłoni nie żył. Na betonowej podłodze garażu podziemnego leżał Benedikt Toft, emerytowany prokurator i właściciel posesji, na terenie której znaleziono obcięte dłonie. I teraz już na pewno go nie przesłuchają.

Rozdział 12

Krzyki wciąż rozbrzmiewały w uszach Huldara, choć podniesione głosy ucichły jakiś czas temu. Ludzie przy biurkach zamarli, ponieważ każde słowo, każda obelga i przekleństwo były wyraźnie słyszalne zza szklanej ściany pokoju Erli. Awantura skończyła się równie źle, jak się zaczęła, gdy dwaj wyżsi oficerowie wypadli stamtąd jak burza, trzaskając za sobą drzwiami i zostawiając Erlę samą. Huldar siedział zbyt daleko, żeby widzieć jej twarz, ale się domyślał, że teraz czeka, aż czerwone policzki trochę zbledną, zanim wyjdzie porozmawiać z całym zespołem.

Nikt się nie odezwał nawet słowem. Większość detektywów udawała, że pracuje, ukradkiem zerkając w kierunku pokoju szefowej. Niewątpliwie wielu z nich podejrzewało, że Erla schowa twarz, opierając głowę na biurku, i wybuchnie płaczem, ale Huldar za dobrze ją znał. Wolałaby wyskoczyć przez wąskie okno i spaść cztery piętra w dół, niż zdradzić choćby najmniejszy objaw słabości.

– Myślisz, że ją wyrzucą?

Huldar podniósł wzrok, żeby spojrzeć na głowę Gudlaugura wystającą znad monitora.

– Nie. – Rozparł się na krześle, zadowolony, że ma szansę ukrócić domysły, przynajmniej u jednego członka ich zespołu. – Często tak się dzieje, gdy śledztwo nie postępuje dostatecznie szybko. Ci z góry zaczynają się trząść i schodzą tutaj, żeby się na kimś wyżyć. Następnym razem będą wrzeszczeć na nas wszystkich jak na rekrutów.

– Aha. – Taka perspektywa bynajmniej nie napawała Gudlaugura entuzjazmem.

– Mogło być dużo gorzej. – Huldar wstał z miejsca, zerkając w stronę pokoju Erli. Nie odzywając się już ani słowem do Gudlaugura, ruszył w tamtym kierunku. Ktoś musiał wziąć sprawy w swoje ręce, zanim dojdzie do impasu, bo Erla będzie zbyt dumna, żeby przełamać lody, a pozostali zbyt przerażeni, żeby się odezwać do niej, a także do siebie nawzajem, bo

mogłaby uznać, że obgadują ją za plecami.

Huldar zapukał delikatnie, po czym otworzył drzwi, nie czekając na odpowiedź. Wtykając głowę do środka, napotkał wściekły wzrok Erli. Jej głos był tak samo odpychający jak spojrzenie.

– Czego chcesz?

– W sumie niczego. Chciałem tylko powiedzieć, żebyś się nie przejmowała tymi bydlakami. Prawdopodobnie chwilę wcześniej dostali z góry taki sam opierdół i przyszli się wyżyć. – Huldar wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi. – Przyszedłem się zgłosić jako worek treningowy, gdybyś potrzebowała kogoś skopać.

Erla przyglądała mu się spomiędzy zmrużonych powiek.

– A ty kogo skopiesz? Swojego psa?

– Nie mam psa. Gudlaugur będzie musiał wystarczyć.

Uśmiech Huldara nie został odwzajemniony.

– Nie musisz się martwić. Poradzę sobie.

– Zdaję sobie z tego sprawę, Erlo. Dobrze o tym wiesz. – Huldar zawiesił głos, ale Erla nie zrobiła nic, by przerwać ciszę, mówił więc dalej. – Nieważne, co myślą na górze. Obydwoje wiemy, że nie dało się tego przewidzieć. Benedikt Toft był naprawdę oszołomiony, gdy odkryłem te dłonie. Kto mógł przypuszczać, że ma z tą sprawą jakiś związek? – Erla zdawała się trochę mniej spięta. – Ale nie przyszedłem rozmawiać o tych baranach. Zastanawiałem się, czy mamy już jakieś ustalenia i czy mogę coś zrobić. Na razie skompilowałem tę listę. – Wcześniej zaoferował, że zweryfikuje nazwiska wszystkich ludzi, którzy mieli jakieś powiązania z denatem, żeby sprawdzić, czy nadal żyją i mają obydwie dłonie. Do części z nich dotarł, do pozostałych nie było już sensu wydzwaniać. Posłał Gudlaugura do miejsca zamieszkania każdego z nich, żeby ustalił, choćby zaglądając do ich skrzynek na listy, czy są na miejscu, czy wyjechali.

Gdy Erla znów się odezwała, mówiła już w miarę normalnie – nadal szorstko i bez humoru, ale nie brzmiała tak źle jak na samym początku.

– Może powinniśmy rozszerzyć tę listę? To musiał być ktoś, kogo znał. Byłoby to zrozumiałe.

Huldar wzruszył ramionami.

– Albo Benedikt widział, jak przestępca wrzuca dłonie do jacuzzi. – Były prokurator nie przyznał się do tego podczas przesłuchania. Erla uważała, że jego zeznania były wiarygodne. Konsekwentnie twierdził, że nie zauważył

niczego niezwykłego, ale oczywiście sprawca nie mógł tego wiedzieć. – Załóżmy, że Benedikt mówił prawdę, gdy się zarzekał, że niczego nie widział. Czy to możliwe, że czegoś nie skojarzył? Choćby samochodu przed domem? Może sprawca postanowił się pozbyć potencjalnego świadka, ponieważ nie chciał ryzykować?

– Może. Ale metoda działania sprawcy jest tu zbyt wyrachowana. Czy nie byłoby prościej włamać się do domu Benedikta i zasztyletować go albo zatłuc? Decydując się na garaż, sprawca ryzykował, że wpadnie. Zabijanie człowieka w taki sposób nie ma sensu, chyba że celem jest udręczenie. – Erla westchnęła. – No i jest jeszcze ten list, który dostałam na samym początku, informujący nas o interesującym znalezisku w ogrodzie Benedikta. Mogę go interpretować tylko tak, że ten, kto podrzucił dłonie do ogrodu, nie był pewien, czy Benedikt nas powiadomi. Bo o co innego by mu chodziło? Tylko wtedy trzeba przyjąć, że Benedikt miał coś na sumieniu. Każdy normalny człowiek natychmiast by zadzwonił na policję, widząc odcięte dłonie w swojej wannie. Toft musiał więc wiedzieć, kto je tam włożył, a jego zapewnienia o niewinności były błagą. Ale oczywiście to tylko domysły. Jak wszystko inne w tej sprawie.

Tak jak pozostali funkcjonariusze zaangażowani w to śledztwo, Huldar dużo myślał o metodzie zabójstwa. Doszedł tylko do wniosku, że jest skrajnie dziwaczna. Niecierpliwie czekali na wynik sekcji zwłok, chociaż Huldar nie miał nadziei, że znajdzie się wśród pierwszych, którzy go zobaczą.

– Przysłali ci już zapis kamer monitoringu z garażu?

Erla parsknęła.

– Nie będzie żadnego zapisu. Koncertowo to spieprzyli. Niewiarygodne zjeby.

– Jak to? – W garażu zauważył dwie kamery monitoringu, chociaż żadna nie była skierowana na samochód Kolbeinna Ragnarssona: jedna obejmowała wjazd, a druga tę część garażu, w której doszło do zabójstwa. Zakładając, że zabójca nie wyskoczył ze studzienki ściekowej, musiał zostać nagrany, gdy podchodził do auta. Huldar założył, że sprawca zasłonił twarz, ale nawet sama sylwetka pozwalała wnioskować o wieku i budowie ciała. Nagranie mogło też pokazywać, jak się dostał do garażu. Zgodnie uznawano, że wjechał tam samochodem, bo jak inaczej dostarczyłby na miejsce ofiarę? Chociaż nie mogli wykluczyć, że sprawca zwabił Benedikta do środka, trudno było sobie wyobrazić, jak miałby tego dokonać. Huldar oczekiwał, że

nagranie pomoże to rozstrzygnąć raz na zawsze. Ale jeśli był jakiś problem z zapisem obrazu, to ich szanse wyglądały marnie: czekała ich kupa roboty, żeby przesłuchać wszystkich, którzy tego dnia korzystali z parkingu podziemnego i mogli widzieć mordercę. – Kamery nie były podpięte? – Był pewien, że nie zamalowano ani nie zasłonięto soczewek, ponieważ sam je sprawdzał i z ulgą odnotował, że są czyste.

– Owszem, były podpięte. Ale komputer, który miał rejestrować nadawany przez nie obraz, zepsuł się wiele miesięcy temu, administracja zaś uznała, że nie będzie kupować nowego, bo same kamery i tak będą działały odstraszająco. Tak przynajmniej twierdzi dozorca. – Erla wetchnęła z obrzydzeniem. – Również z oszczędności zredukowali czas pracy dozorczy o połowę.

Huldar przekrzywił głowę i zamknął oczy. Wszystko jakby się sprzysięgło przeciwko nim.

– Wiemy, kiedy Benedikt zaginął? Albo skąd został uprowadzony?

Erla pokręciła głową.

– Nie. Przeczესujemy jego dom centymetr po centymetrze, ale nie znaleźliśmy niczego użytecznego z wyjątkiem telefonu. Nie był używany od dwóch dni, ale nie wiadomo, czy to ma znaczenie. Denat był emerytem i wdowcem, jego syn mieszka za granicą z żoną oraz dziećmi. Poprzednie billingi pokazują, że nieczęsto wykonywał albo odbierał połączenia. Nie udało nam się dotrzeć do nikogo, kto widziałby go przez dwadzieścia cztery godziny poprzedzające morderstwo. Jedyne szczątki dowodu, jakim dysponujemy, to znaleziona w salonie poranna gazeta, która może sugerować, że był u siebie rano w dniu morderstwa. – Z jękiem skryła twarz w dłoniach i energicznie ją potarła. – Nic się kupy nie trzyma. Oby na łańcuchu i kneblu zostały jakieś odciski. Jeśli nie, wszystko działa przeciwko nam. Wszystko. Nikt sobie nie przypomina, żeby w ostatnim czasie sprzedał albo wypożyczył piłę łańcuchową, kolejnym krokiem jest więc przebadanie wszystkich pił łańcuchowych w kraju w poszukiwaniu śladów krwi z obciętych dłoni. Samo ustalenie, kto posiada piłę łańcuchową i gdzie ją przechowuje, zablokuje nam wszystkich ludzi na wiele dni.

– A Ragnarsson? Ten od samochodu. Co wyniknęło z przesłuchania?

– Nic. – Erla znów parsknęła lekceważąco. – Twierdzi, że nie ma pojęcia, dlaczego padło akurat na jego samochód. Nigdy przedtem nie widział ofiary, a jej nazwisko nic mu nie mówi. Dotychczas nie odkryliśmy żadnych

powiązań między nimi. – Erla zaczęła szukać czegoś w papierach na biurku. – Mam tu gdzieś jego zeznanie. Jest niemal identyczne jak wcześniejsze zeznanie Tofta. Co jest niepokojące za względu na to, co się stało ze starszym panem.

– Może nie mieć żadnego powiązania. Jego samochód był zaparkowany na tyłach garażu i ma bardzo mocny silnik. Gdybym planował coś takiego, prawdopodobnie też bym go wybrał. W każdym razie sprawca musiał poczekać, aż większość samochodów wyjedzie, zanim wszystko przygotował. Pytanie, jak długo czekał. Czy wiemy coś więcej niż na początku?

Erla pokręciła głową.

– Nie. Mam nadzieję, że sekcja pozwoli nam ustalić jakieś ramy czasowe. Po ranach na dłoniach denata musi się dać określić, jak długo był skrępowany.

– Protokół sekcyjny nadejdzie lada moment, prawda? – Huldar miał nadzieję, że ta nadzwyczaj długa rozmowa oznaczała powrót do przyjacielskich relacji między nimi, że wreszcie zostanie zaakceptowany jako pełnoprawny członek wydziału dochodzeniowo-śledczego. Wystarczająco długo był na lodzie. – Dasz mi znać, jak przyślą?

Erla delikatnie zmarszczyła brwi.

– Zobaczymy.

Huldar uznał, że to dobry moment, żeby wyjść. Teraz rozmowa mogła już tylko wygasnąć.

– Zmierzam napić się kawy. Pójdiesz ze mną? – Rzucił tę propozycję w nadziei, że Erla ją przyjmie: gdy tylko wyjdzie ze swojego pokoju, wspomnienie o opierdolu, który dostała od przełożonych, zacznie się zacierać w pamięci jej podwładnych. Wiedział, że to będzie trudny krok, ale prędzej czy później musiała go uczynić. Owszem, jego pozycja w zespole była niska, ale lepiej, żeby wyszła stąd z nim, choćby dlatego, że będzie mogła się skupić na jego słowach, ignorując resztę obecnych.

– Nie, dziękuję. Muszę przygotować kilka rzeczy na dzisiejszą odprawę.

– Oczywiście, rozumiem. – Huldar patrzył, jak Erla się pochyła nad dokumentami. Zanim wyszedł, dodał: – Złapiemy go, Erlo. To tylko kwestia czasu, zanim odnajdziemy jakiś trop. – Mówił to z pełnym przekonaniem. Tak rozwiązuje się większość spraw. W przypadku konwencjonalnych zabójstw policja zwykle wpada na jakiś trop zaraz po przybyciu na miejsce zbrodni, ponieważ dotychczas niewielu islandzkich zabójców podejmowało

próby zacierania swoich śladów. Niektórzy byli wręcz jeszcze na miejscu z narzędziem zbrodni w ręku. Ta sprawa zapowiadała się inaczej, ale Huldar nie wątpił, że w końcu trafią na jej rozwiązanie.

Gudlaugur opadł na swoje krzesło. Był zaczerwieniony, tym razem raczej z zimna niż ze wstydu.

– Nic. Sprawdziłem wszystkich z listy.

Huldar przesunął się w bok, żeby widzieć twarz młodego kolegi.

– Wszyscy byli w domu?

– Trzy osoby otworzyły drzwi, gdy zapukałem, i zdaje się, że po prostu nie zdążyły odebrać, gdy dzwoniłeś, bo są zbyt powolne. Jedna leży w szpitalu, a przynajmniej tak twierdzi sąsiadka, a ostatni facet z listy jest na morzu. W domu zastałem żonę.

Huldar przesunął krzesło z powrotem na miejsce. Przypadkiem spojrzął na kserokopie listów z kapsuły czasu i jego myśli powędrowały do Freyi. Chociaż był szczęśliwy, że może pracować nad poważną sprawą, to jednak żałował, że stracił pretekst, żeby do niej zatelefonować. Może niedługo trafi na nieletniego świadka, którego Freyja będzie musiała przesłuchać? Raczej nie było to prawdopodobne. I z pewnością by nie chciał, żeby czyjekolwiek dziecko było zamieszane w taką potworność. Przysunął fotokopie do siebie i ponownie odczytał list z zapowiedzią śmierci. Sprawa morderstwa w końcu się wyjaśni i będzie mógł wrócić do kapsuły czasu, znów się spotkać z Freyją, a może nawet przekonać ją do siebie. Kto wie, być może z tej znajomości coś będzie? Chyba z nikim nowym się nie związała, co było dużym plusem.

– Dlaczego się uśmiechasz? – Głowa Gudlaugura wysunęła się nad monitor.

– Bez powodu. – W jednej chwili Huldar zmienił wyraz twarzy. – Jak brzmią nazwiska ludzi, których jeszcze nie sprawdziliśmy?

Głowa zniknęła, by po chwili pojawić się ponownie.

– Ævar Einarsson i Haraldur Jóhann Gudnason. Dlaczego pytasz?

– Bez konkretnego powodu. – Nie miał ochoty wyjaśniać, zresztą żadne z tych nazwisk i tak nie pasowało do inicjałów wymienionych przez Thröstura. Niedawno Huldarowi przyszło do głowy, że między sprawami może istnieć jakiś związek. Do myślenia dały mu inicjały Benedikta Tofta: w liście z kapsuły czasu znajdowały się inicjały BT, ale to mógł być czysty

przypadek. Nie poinformował o tym Erli z obawy, że go wyśmiej, zwłaszcza gdyby dodał, że K mogło oznaczać Kolbeinna, a JJ Jóna Jónssona. Nikt nie traktował poważnie śledztwa w sprawie kapsuły czasu, a wobec braku powiązań między Thrösturem a ofiarą morderstwa toczyłby raczej przegraną bitwę, próbując przekonać kolegów. Zresztą sam był sceptycznie nastawiony. Ale chociaż jego teza była beznadziejnie naciągana, to nie mógł przestać się zastanawiać nad Thrösturem, a właściwie atakiem szału, w który ten wpadł, gdy się zorientował, po co przyszli.

Ponieważ Erla nie przydzieliła mu żadnego nowego zadania, a do odprawy zostało jeszcze pół godziny, Huldar postanowił szybko przyjrzeć się ojcu Thröstura.

Czytał akta związane z zamordowaniem Vaki Orradóttir ze ściśniętym gardłem. Mężczyzna, jeśli można go nazywać mężczyzną, zgwałcił dziewczynkę na łóżku swojej córki, potem udusił poduszką. Nie potrafił wyjaśnić swojego czynu, jeśli nie liczyć stwierdzenia, że był zbyt pijany, żeby wiedzieć, co robi. Jego córka Sigrún, która chodziła do jednej klasy z zamordowaną dziewczynką, zamknęła się w kredensie i tam znaleźli ją policjanci, którzy przybyli na miejsce. Mimo podejmowanych prób nie udało im się uzyskać od niej spójnej relacji. Zakładano, że dziewczynka nie była bezpośrednim świadkiem zgwałcenia ani morderstwa, lecz schowała się do kredensu albo zanim doszło do zbrodni, albo gdy się stało oczywiste, że do niej dojdzie. Psycholog, która leczyła Sigrún, doszła do wniosku, że dziewczyna w końcu coś powie, ale ponieważ się boi ojca, jest mało prawdopodobne, by nastąpiło to, zanim sprawa trafi do sądu. Z kolei jej brat Thröstur, który miał wówczas dwanaście lat, nie bał się przedstawić swoją wersję wydarzeń. Gdy doszło do tragedii, był w szkole. Wrócił do domu, poszedł prosto do swojego pokoju i zamknął się w środku, zupełnie nieświadomy, że w pokoju za ścianą leży martwa dziewczynka. W porze kolacji zrobił się głodny, zszedł po schodach do kuchni, nasypał sobie trochę płatków Cheerios i zjadł na sucho, co nie było niczym nadzwyczajnym. Jego matka pracowała jako sprzątaczką i recepcjonistką w domu starców, zmianę zaczynała w południe, a kończyła o ósmej wieczorem. Ponieważ jeździła do pracy autobusem, nigdy nie wracała przed dziewiątą wieczorem. Ojca nigdzie nie widział, co według chłopca też nie było niczym dziwnym. Mężczyzna zawsze był pijany i albo przysypiał na sofie w pokoju dziennym, albo zgarbiony trząsał się nad przepelnioną popielniczką w kuchni. Agnes, czyli

matka dzieci, wróciła do domu około dziewiątej wieczorem niezwykle zmęczona, a przynajmniej tak twierdziła, ponieważ dokuczało jej przeziębienie. Badanie lekarskie przeprowadzone dwa dni później ani nie potwierdziło, ani nie zaprzeczyło jej słowom, ponieważ wtedy już temperatura ciała była normalna i nie stwierdzono żadnych objawów chorobowych. Kobieta zeznała, że jej mąż siedział na dole, gdy weszła. Vaka leżała martwa w pokoju ich córki od ponad pięciu godzin i powstawało już stężenie pośmiertne. Mężczyzna śmierdział wódką i miał wyjątkowo paskudny nastrój, co tłumaczyła faktem, że nie przyniosła mu żadnego alkoholu, choć nie obiecywała, że to zrobi. Jakby ten szczegół miał jakiegokolwiek znaczenie! Mąż zareagował wściekłością i zadał jej cios tak mocno, że się przewróciła, uderzając głową w ścianę, przez co prawie straciła przytomność. Potem mężczyzna wypadł z domu, zostawiając ją na podłodze. Te same oględziny, które nie potwierdziły przeziębienia, wykazały, że kobieta ma obrażenia w postaci znacznej opuchlizny na prawej okolicy skroniowej oraz zasinienia rozciągającego się od lewego policzka w dół do szczęki, co pasowało do jej zeznań. Po wyjściu męża kobieta zdołała się podnieść z podłogi i zajrzała do pokoju dzieci. Najpierw stwierdziła, że córka śpi przykryta kołdrą, potem zamieniła kilka słów z synem i poszła spać. Obudziła się dopiero po przybyciu policjantów następnego ranka. Thröstur zadzwonił na policję, gdy znalazł ciało Vaki. Poszedł obudzić Sigrún i zastał ją leżącą z poduszką na twarzy. Gdy podniósł poduszkę, zobaczył obcą twarz. Podczas rozmowy telefonicznej chłopiec prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy, że dziewczynka nie żyje: mówił, że w łóżku jego siostry leży chora dziewczynka i nie może jej obudzić. Jest zimna, dziwna w dotyku i śpi z otwartymi oczami. Sigrún nigdzie nie widział.

Fotografie z miejsca zbrodni były przerażające. Przedstawiały dziewczynkę leżącą w porwanej, brudnej pościeli, w zaniedbanym i nędznie umeblowanym pokoju. Na zdjęciach, wykonanych przed oględzinami miejsca zbrodni, kołdra była podciągnięta pod szyję dziewczynki, która wpatrywała się w sufit szklistymi, przekrwionymi oczami typowymi dla ofiary uduszenia. Jej jasnobrażowe włosy rozchodziły się od głowy niczym promienie, jakby zostały ułożone szczotką. Wargi miała niebieskie, a w jednym kąciku ust zostało małe pióro z poduszki, którą odebrano jej życie. Sama poduszka znajdowała się obok głowy, choć według zeznań chłopca wcześniej leżała na twarzy, uniemożliwiając rozpoznanie ofiary, co

potwierdzało wersję opowiedzianą przez matkę.

Zdjęcia zrobione po usunięciu kołdry były wręcz zatrważające i Huldar mimowolnie cofnął się na krześle. Dziewczynka była rozebrana od pasa w dół: odwrócone na lewą stronę spodnie zwisały zaczepione o jedną stopę razem z kolorowymi dziecięcymi majtkami. Nogi dziewczynki były rozchylone, a między nimi znajdowała się czarna strużka zaschniętej krwi. Huldar wyczytał w protokole, że na prześcieradle znaleziono krwawe plamy także w innych miejscach, co sugerowało, że wcześniej ofiarą napastowania przez zboczonego ojca padła Sigrún. Huldar przypomniał sobie, co mówiła Freyja: Vaka prawdopodobnie nie była pierwszą ani jedyną ofiarą Jóna Jónssona. Z akt sprawy wynikało, że podjęto próbę przesłuchania Thröstura i Sigrún na tę okoliczność, ale żadne nie chciało odpowiadać. Niechęć do rozmowy wytłumaczono strachem przed ojcem.

Huldar zamknął akta policyjne i przeszedł do sądowych, te jednak nie zawierały żadnych dodatkowych informacji. Jón Jónsson został skazany na karę szesnastu lat pozbawienia wolności przez sąd okręgowy i wyrok został potwierdzony przez Sąd Najwyższy. Nic zaskakującego. Ale w aktach sądowych Huldar znalazł jeszcze jedną, starszą sprawę. Wtedy Jónsson został uniewinniony. Nie odnotowano żadnych szczegółów ani podstaw uniewinnienia. W systemie widniała tylko informacja, że zarzut dotyczył seksualnego wykorzystania osoby małoletniej, a rozprawa się toczyła z wyłączeniem jawności. Huldar przeszukał policyjną bazę danych, lecz nie znalazł żadnych wpisów o śledztwie, które doprowadziło do postawienia tego zarzutu. Niewiele wiedział o rozprawach z wyłączeniem jawności, nie umiał więc powiedzieć, czy wpis dotyczący tej sprawy jest krótszy niż zwykle. Zaintrygowany wrócił do treści lapidarnego werdyktu, mając nadzieję, że zdoła odczytać coś między wierszami.

Okazało się jednak, że nie musi. Zobaczył nazwisko prokuratora i skoczył na równe nogi: Benedikt Toft. Ten, który zginął w garażu podziemnym.

Rozdział 13

W Parku Rodzinnym dzieci tłoczyły się wokół wielkiego dymiącego grilla. Æsa podeszła bliżej i zapach pieczonego nad ogniem mięsa wzmógł jej poczucie głodu. Nie była odosobniona. Po drodze przez ogród zoologiczny widziała wiele tłoczących się przy ogrodzeniach zwierząt, które węszyły w powietrzu.

Ze ścieżki dobrze było widać tłum, poszukała wzrokiem Karlotty i Dadiego. Wszędzie widziała małe głowy w kolorowych czapkach. Na wieść o obchodach rocznicy przedszkola organizowanych przy grillu w Parku Rodzinnym przy zoo dzieci popadły w ekscytację, o czym się przekonała na własnej skórze. Rano jej pociechy nie mogły się zdecydować, co chcą założyć. Karlotta przebierała się trzy razy, a Dadi dwa. Ale dziecięca radość z tej prostej wycieczki była tak autentyczna, że Æsa nie miała serca ich poganiać. W końcu nic się w pracy nie zawali tylko dlatego, że dziś ona przyjedzie trochę później.

Im bliżej podchodziła, tym wrzawa dziecięcych głosów robiła się głośniejsza i Æsa miała wrażenie, że weszła w środek kolonii ptaków morskich. Wołanie Karlotty i Dadiego po imieniu byłoby bezcelowe w tym harmidrze, szła więc powoli przez tłum, obserwując twarze. Dzieci nieustannie krążyły tam i z powrotem, idąc do grilla z pustymi rękami, a wracając z pełnymi. Przez cały czas musiała więc uważać, żeby któreś z nich nie wysmarowało jej ubrania keczupem albo sosem remuladowym. Udała się więc prosto do najbliższej stojącej nauczycielki i jakoś zdołała dotrzeć do niej bez żadnych incydentów.

– Witam! – Młoda kobieta uśmiechała się tak szeroko, że odsłaniała zęby trzonowe. Było to standardowe powitanie, ilekroć Æsa przychodziła po dzieci albo zostawiała je w przedszkolu. Wylewna życzliwość nieproporcjonalna do okazji.

– Dzień dobry. – Æsa starała się odpowiedzieć tym samym. – Przyszłam po Karlottę i Dadiego. Nie widziała ich pani?

– Och! – Skrajna wesołość natychmiast ustąpiła miejsca równie przesadnemu smutkowi wyrażającemu się wygięciem ust w komiczną podkówkę. – Nie mogą wyjść tak wcześniej! Przecież grill dopiero się zaczął.

– Oczywiście, niech jeszcze zjedzą hot doga. Nie śpieszy mi się. Chciałam tylko dać im znać, że już jestem.

Ostatnie słowa utonęły we wrzasku chłopca, któremu z bułki wypadła frankfurterka. Młoda nauczycielka poszła go uspokoić, a następnie zaprowadziła do grilla. Æsa została sama, nadal nie mając pojęcia, gdzie są jej dzieci. Rozglądała się dookoła, ale nigdzie ich nie spostrzegła. Zaczęła się niepokoić, ciągle mając w głowie dziwne ostrzeżenie Thorvaldura, chociaż od tamtej pory już nie dzwonił, a ona też nie próbowała się z nim skontaktować. Bardzo chciała się dowiedzieć czegoś więcej, ale nie zamierzała go o to prosić, przede wszystkim dlatego, że to sprawiłoby mu satysfakcję. Teraz była jego kolej, żeby oddzwonić.

To najlepiej pokazywało, jak toksyczna się stała ich relacja. Nawet informacja, od której mogło zależeć bezpieczeństwo dzieci, znaczyła mniej niż bitwa wygrana w małej wojnie, którą ze sobą toczyli. Æsa przeklinała własną głupotę, ostrożnie przechodząc przez tłum do miejsca z lepszym widokiem. Może Karlotta i Dadi znaleźli sobie ławkę albo jakiś kamień, żeby zjeść na siedząco. Ale nigdzie nie było ich widać. Jej niepokój już się zaczynał zamieniać w lęk, gdy spostrzegła Betę, koleżankę Karlotty, biegnącą od toalet w stronę grilla. Oczywiście, na pewno poszli zrobić siku. Ilekroć się zachciało jednemu, drugie biegło do toalety zaraz potem.

– Beta! – Æsa krzyknęła do dziewczynki, która zamachała ubraną w rękawiczkę ręką, gdy Æsa ruszyła w jej kierunku. – Czy Karlotta jest w toalecie?

Beta pociągnęła nosem. Chociaż nie wiało, to jednak dzień był chłodny i wiele dzieci miało katar.

– Nie. Ona odeszła. – Dziewczynka znów pociągnęła nosem.

– Odeszła? – Æsa miała ochotę chwycić ją za ramiona i potrząsnąć. – Jak to odeszła?

– Odeszła stąd. – Beta się uśmiechała, najwyraźniej nieświadoma znaczenia wiadomości, którą dysponowała.

– Stąd dokąd? – Ochota, żeby potrząsnąć dziewczynką jeszcze się nasiliła i Æsa musiała wsunąć ręce do kieszeni.

– Po prostu odeszła. Powiedziała, że będą oglądali pieski.

– Pieski? – Æsa uświadomiła sobie, że powtarza słowa wypowiedziane przez dziecko. Przynajmniej zyskiwała chwilę, żeby się zastanowić. – Gdzie są te pieski?

– Nie wiem. Nie mogłam iść.

– Dlaczego nie mogłaś iść?

– Karlotta tak powiedziała. Ten pan mówił, że tylko oni mogą zobaczyć pieski. – Beta zaczynała chyba rozumieć, że nie wszystko jest dobrze. Strzelała oczami na boki, jakby w poszukiwaniu drogi ucieczki.

Æsa usiłowała wyglądać spokojnie. Wiele ją to kosztowało.

– Czy ten pan pracuje w zoo? Czy pieski są tutaj?

– Nie.

Æsa sama się prosiła o dwuznaczną odpowiedź, zadając dwa pytania naraz.

– Czyli ten pan nie pracuje w zoo?

– Nie wiem. Nie widziałam go. Tylko Karlotta widziała. – Beta się zawahała. – I może Dadi. Ale nie ma psów w zoo. Ten pan miał pieski w samochodzie. – Beta z ufnością przysunęła się do Æsy. Nie zdawała sobie sprawy z powagi sytuacji. Przedszkole zorganizowało zabawę: nic złego nie mogło się stać. – On powiedział, że nie wolno mówić nauczycielom.

Æsa ucieszyła się w duchu, że trzyma ręce w kieszeniach, ponieważ chęć potrząśnięcia dziewczynką stawała się nie do wytrzymania. Ale nie potrafiła już ukryć desperacji, gdy znów się odezwała.

– Dokąd poszli? W którą stronę?

– Tam. – Ozdobiona pomponikiem rękawiczka z jednym palcem wskazała w kierunku, z którego przyszła Æsa. – Poszli w tamtą stronę.

Wiedząc, że nie ma sensu pytać małego dziecka, ile czasu upłynęło, odkąd jej dzieci zniknęły, Æsa zaczęła biec. Nie traciła cennych minut na alarmowanie nauczycieli. Niewiele by pomogli w tych okolicznościach. Przede wszystkim musiała dobiec do parkingu, bo jej dzieci mogły jeszcze tam stać. Albo siedzieć w którymś z samochodów z człowiekiem, który z całą pewnością nie miał dobrych zamiarów. Uczepiła się nadziei, że nie zdążył jeszcze ich porwać. Ani wyrządzić im krzywdy. Nie mogła znieść tej myśli.

Usłyszała, że ktoś ją woła, przekrzykując wrzaski dzieci. Na pewno któraś z nauczycielek zaskoczona jej zachowaniem. Zaczęła biec jeszcze szybciej. Nauczyciele będą musieli się zadowolić wyjaśnieniami Bety. Myśl o tym, jak

będzie im przykro, gdy się zorientują, że zgubili Karlottę i Dadię, dodała jej jeszcze energii. Ale szaleńczy pośpiech sprawił, że się potknęła o kamień, upadając na kolano. Dwa konie popatrzyły na nią obojętnie. Nie zwróciła uwagi na ból ani dziurę w spodniach, które dopiero co kupiła, choć nie stać jej było na kolejne. Strużka ciepłej krwi ściekająca po nodze też nie miała znaczenia. Natychmiast się podniosła i resztę drogi pokonała, utykając.

Gdy wreszcie zobaczyła parking, nie miała tchu, żeby krzyknąć. Imiona wypowiedziała tak cicho, jakby dzieci stały tuż przy niej. Nic dziwnego, że nie usłyszała odpowiedzi. Wciąż zadyszana, z trudem weszła na prawie pusty parking, tym razem krzycząc nieco głośniej, ponieważ trochę już odzyskała oddech, zaglądając do wszystkich samochodów po kolei. Ani śladu dzieci, a co dopiero mężczyzny z pieskami. Do sprawdzenia zostały jej tylko trzy samochody, gdy usłyszała, że ktoś ją woła. Tym razem nie był to dorosły głos. To była jej córka!

– Mamo!

Æsa odwróciła się z niedowierzaniem. Musiała się przesłyszeć. W parku były setki dzieci. Na pewno jakaś inna mała dziewczynka krzyczała do swojej mamy.

Z nieopisaną ulgą zobaczyła, jak Karlotta i Dadi biegną po ścieżce wzdłuż wjazdu na parking, ewidentnie wracając z głównej drogi. Dzieci machały do niej, promieniejąc radością. Było oczywiste, że nie stało się im nic złego. Nie miały też pojęcia, że postąpiły niewłaściwie. A przecież tyle razy im powtarzała, że nie wolno nigdzie chodzić z obcymi ludźmi. Ogarnęła ją wściekłość. Nic złego się nie stało, ale mogło dojść do tragedii.

Z trudem ruszyła w ich stronę i spotkali się przy wejściu. Dzieci, zbyt małe, żeby właściwie odczytać sytuację, zapytały, czy mogą iść po hot doga. Jakby nic się nie stało.

Wpadła w taką wściekłość, że się jąkała.

– Gdzie byliście? Ile razy wam mówiłam, że nie wolno nigdzie chodzić z obcymi? Co sobie myśleliście?

Karlotta i Dadi patrzyli oszołomieni. Ich uśmiechy zniknęły.

Æsa wzięła głęboki oddech, próbując się uspokoić.

– Jak mogliście się odłączyć od reszty dzieci? Zwłaszcza że wam zabraniałam. I to wiele razy.

– Tak, ale. – Karlotta nie skończyła zdania. Skrzywiła się, szukając właściwych słów. Dadi stał wpatrzony w siostrę, bojąc się spojrzeć w oczy

matce. Miał dopiero trzy lata i chował się za pięcioletnią Karlottą, ilekroć coś poszło nie tak.

– Żadnych ale. Natychmiast mi powiedz, co się stało i dlaczego mnie nie posłuchałaś. – Wściekłość Æsy ustępowała z każdym krokiem. Oczy Karlotty, tak strasznie podobne do oczu Thorvaldura, patrzyły na nią spod jasnych rzęs i połyskiwały od napływających łez, które po chwili zrobiły się na tyle ciężkie, by skapnąć na zaczerwienione policzki.

– To nie był... zły... pan – zapewniła, powstrzymując szlochanie. – On miał... pieski. To... na... nawet nie był pan.

Złość minęła i Æsa zaczęła żałować, że się odezwała tak ostro. Przykucnęła, ignorując ból kolana, i starła łzy z policzków córki. Jej czuły dotyk jakby przerwał tamę i łzy Karlotty zaczęły płynąć nieprzerwanie. Æsa przytuliła ją i Dadięgo.

To mogło się skończyć o wiele gorzej.

Æsa wstała, zaprowadziła dzieci do samochodu i ruszyła w drogę do domu. Nie przyszło jej do głowy, żeby przedtem powiadomić nauczycieli, że jednak wszystko jest w porządku.

W drodze do domu emocje opadły. Powoli, ale zdecydowanie Æsa wyciągnęła od Karlotty, co zaszło, Dadi jednak ani razu się nie odezwał. Zamiast nieustannie przerywać córce swoimi pytaniami, Æsa pozwoliła jej opowiedzieć całą historię po swojemu, choć trwało to dłużej. Potem myślała tylko o tym, że musi się skontaktować z Thorvaldurem. Teraz już była pewna, że miał powody prosić ją o szczególną opiekę nad dziećmi.

Żeby wynagrodzić dzieciom tak raptowny koniec świętowania, Æsa zabrała je na hot doga. Usadziwszy obydwójce na stołkach barowych przy wysokim stoliku, wyszła na zewnątrz. Chciała porozmawiać z Thorvaldurem nie w obecności dzieci. W domu zawsze istniało ryzyko, że usłyszą podniesiony głos. Żeby mieć pewność, że zareaguje, wysłała mu SMS: *Jesli sie nie odezwiesz dzwonie na policje. Chodzi o karlotte i dadięgo.*

Zadzwoił natychmiast.

– Co ty wyprawiasz, do diabła? Oszalałaś do reszty?

Æsa zignorowała tę żalosalną próbę udawania, że nic złego się nie dzieje. Zdradził go strach w głosie.

– Jakiś mężczyzna właśnie zwałił Karlottę i Dadięgo do swojego samochodu. Musisz mi powiedzieć, dlaczego dzwoniłeś do mnie

z ostrzeżeniem i co się dokładnie dzieje.

– Jak to zwabił? Nie słuchałaś tego, co mówiłem? Jesteś nienormalna? Nie umiesz nawet się zająć dziećmi? – Jego reakcja niewiele się różniła od jej własnej nieco wcześniej, gdy dzieci się znalazły.

– Zamknij się! – Æsa zrobiła pauzę, żeby sprawdzić, czy jej słowa odniosły skutek. W słuchawce słyszała tylko jego oddech. – Oczywiście, że je ostrzegałam. Setki razy. Ale ten cały twój znajomy mnie przechytrył. Przebrał się za Świętego Mikołaja i powiedział im, że ma pieski. Dla nich Święty Mikołaj nie liczy się jako mężczyzna, a co dopiero zły mężczyzna. Uznały, że będą bezpieczne, i poszły. Mimo ostrzeżeń.

Thorvaldur przez chwilę ciężko oddychał, po czym zapytał:

– Widziały jego twarz?

– Nie. Przecież mówiłam. Miał strój Świętego Mikołaja. Z białą brodą i całą resztą. Tak też go opisały. Wygląda na to, że równie dobrze mogła to być kobieta, choć raczej nie sędzę.

– O Jezu!

– Tak, Thorvaldurze. O Jezu. Chyba nie muszę ci wyjaśniać, jak to się mogło skończyć. Na szczęście nic im nie zrobił, ale kto wie, co się stanie następnym razem. – Odchrząknęła i kontynuowała zdławionym głosem: – Jeśli będzie następny raz.

– Co konkretnie zrobił ten Święty Mikołaj? – Thorvaldur był zły, przestraszony i zdumiony zarazem.

– Zasadził się na nie podczas imprezy przedszkolnej w Parku Rodzinnym. Zwabił je do swojego samochodu, gdy wysiadły z autobusu i czekały na resztę dzieci. Stanął autem przy wejściu do parku. Powiedział im, żeby wróciły, gdy nikt nie będzie patrzył, to pokaże im małe pieski. Miały nikomu o tym nie mówić i nie przyprowadzać ze sobą innych dzieci. Bo pieski chciał pokazać tylko im.

– I zrobiły to, co kazał?

– Tak. Zrobiły to, co kazał. – Æsa potarła czoło. Mogła się spodziewać, że po takim dniu dopadnie ją migrena. – Przecież są dziećmi. A to był Święty Mikołaj. Święty Mikołaj z pieskami. Oczywiście, że go posłuchały.

– Na pewno opisały samochód.

Æsa zaśmiała się drwiąco.

– Oczywiście, że opisały. To był samochód. Nie czerwony. To tyle, jeśli chodzi o szczegóły. Możesz mi wierzyć, że próbowałam. – Zamknęła oczy,

po czym je potarła. Nie pomogło. Migrena się nasilała i teraz tylko silny środek przeciwbólowy mógł ją uratować. – Wsiadły do samochodu. Wtedy ruszył. Pieski miały być blisko, ale za daleko, żeby iść piechotą. Potem się zatrzymał, oznajmił, że nie pamięta, gdzie są pieski, dlatego będą musiały zobaczyć je później. I wypuścił dzieci z samochodu.

– I?

– Nic. Wsiadły, pożegnały się i wróciły do parku, gdzie omal nie dostałam zawału, wszędzie ich szukając. – Æsa chciała już skończyć tę rozmowę. Jeszcze chwila, a ból głowy uniemożliwi jej prowadzenie samochodu. – Gdy się pożegnały, kazał im przekazać pozdrowienia. Dla ciebie.

– Dla mnie? – Thorvaldur nagle ochrypl.

– Tak. – Jej głos nie brzmiał lepiej. – Karlotta miała cię pozdrowić od Vaki. – W słuchawce usłyszała gwałtowny wdech. – Kim u diabła jest Vaka, Thorvaldurze? – Gdy odpowiedziało jej milczenie, mówiła dalej, dopóki jeszcze mogła mówić. – Dzwonię na policję. Nie oglądając się na twoją opinię. Im na pewno wyjaśnisz, skąd znasz tego człowieka i kim jest Vaka.

Rozłączyła się. Przez barowe okno widziała Karlottę i Dadięgo z niedojedzonymi hot dogami. Dzieci machały nogami na wysokich stołkach. Wyglądały, jakby nie miały apetytu. Poczowała, że po policzkach spływają jej łzy, ale nie była pewna, czy to skutek bólu głowy, potłuczonego kolana czy ulgi, że mimo wszystko dzieci wróciły bezpieczne.

Rozdział 14

Baldur był tak samo pewny siebie, beztroski i optymistyczny jak zawsze. Rozsiadł się na wąskim, przyśrubowanym do podłogi łóżku, które zajmowało większą część pomieszczenia. Widzenia w Litla-Hraun odbywały się w starej, nieużywanej części więzienia. Freyja miała nadzieję, że cela, w której jej brat spędzał dzień po dniu, była większa, nowocześniejsza i lepiej wyposażona niż te klaustrofobiczne pudełka po butach, ale nigdy nie miała odwagi zapytać, bojąc się rozczarowania. Budynki więzienne nosiły banalne nazwy Dom 1, Dom 2 i tak dalej, nie spodziewała się więc nie wiadomo czego.

Bezskutecznie próbowała wygodnie się usadowić na jedynym krześle, które się mieściło w celi. Baldur nie miał lepiej. Ciągłe przesuwiał swoje długie nogi, próbując znaleźć mniej niekomfortową pozycję. Ponieważ odwiedzała go tutaj więcej razy, niż mogłaby spamiętać, dobrze wiedziała, że mu się to nie uda. Czasem, jak teraz, siedziała na krześle, a czasem na łóżku. Zawsze pozwalała mu wybrać.

– Czy nie należy ci się już przepustka jednodniowa? – Przez wąskie okno widziała niską zabudowę Eyrarbakki. Zastanawiała się, czy okna celi Baldura wychodzą na to miasteczko, na morze czy na główną drogę. Woląla wyobrazić sobie, że brat może się cieszyć widokiem morza, niż usłyszeć, że całymi dniami musi patrzeć na wąski strumień pojazdów podróżujących do Selfoss i z powrotem.

– Chyba tak. Nie sprawdzałem, ale powiedzieli, że dostanę raczej prędzej niż później. – Baldur ziewnął, wyraźnie niezainteresowany perspektywą jednodniowej wolności. Niechęć do rozmowy o tym mogła wynikać z czasowej utraty tego przywileju po przedłużeniu wyroku. Freyja miała poczucie, że dla niego ten temat jest jeszcze bardziej krępujący niż dla niej. Wcześniej kilka razy traciła cenny czas widzeń na powtarzanie, jak bardzo jej przykro z powodu tego przedłużenia, zmuszając go tym samym, żeby marnował kolejne minuty i zapewniał, że nie ma do niej o to żalu. –

Przynajmniej mam więcej czasu, żeby zaplanować, jak spędzę ten dzień.

– Daj mi znać, jak tylko się czegoś dowiesz, żebym zdążyła wziąć wolne – poprosiła Freyja. – No wiesz, żeby cię przywieźć i tak dalej – dodała pośpiesznie, aby nie pomyślał, że zamierza ograniczać jego swobodę.

Baldur skinął głową.

– Dam. Nie mam zamiaru iść do miasta piechotą. – Puścił do niej oko, po czym znów ziewnął. Jego zainteresowanie przepustką wyczerpało się do cna. Zupełnie jakby mu nie przeszkadzało, że wsadzili go do takiego pudełka na wiele lat, pozwalając tylko na dwugodzinny codzienny spacer. Jak spędzał pozostałe godziny, było dla Freyi tajemnicą. Chociaż oczywiście wykorzystywał limit odwiedzin przysługujący każdemu więźniowi i nie miałyby problemu z pozyskaniem większej liczby odwiedzających, gdyby regulamin kiedyś złagodzone. Freyja miała szczęście, że w ostatniej chwili trafiła jej się ta wizyta; normalnie musiałaby znowu czekać dwa tygodnie. Jego obecna dziewczyna miała pierwszeństwo, co zrozumiałe, ponieważ po jej odwiedzinach mógł się spodziewać więcej niż po rozmowie z siostrą. Ale teraz miała gripę i nie mogła wyjść z domu, co Freyja interpretowała jako oznakę, że ich związek przejdzie niebawem do historii. Entuzjazmowi i niefrasobliwości Baldura nie sposób się oprzeć, gdy się jest przy nim, ale z dala od niego czar szybko pryska. Im mniej czasu z nim, tym słabszy jego wpływ.

– Mógłbyś mi coś powiedzieć o takim jednym więźniu, Jónie Jónssonie, który właśnie wyszedł na wolność? Był skazany za zgwałcenie i zamordowanie dziewczynki.

Oczy Baldura zrobiły się szerokie.

– Dlaczego się interesujesz tą kupą gówna? – Odwinął z papierka toffi wyjęte z torebki, którą przyniósł ze sobą. Ostatnio zakazano przynoszenia skazanym słodyczy. W zamian mogli je zamawiać, płacąc z własnej kieszeni. Dzięki temu życie Freyi stało się łatwiejsze, ponieważ trudno jej było nadążyć za zachciankami Baldura. Jednego dnia był wegetarianinem, drugiego weganinem, potem się przerzucił na surową dietę, by po jakimś czasie zostać fanatykiem sportu i jeść niemal wyłącznie odżywkę białkową, ale bywało też, że chciał dostawać wyłącznie mięso i słodycze. Teraz paczki, które mu przynosiła, mogły zawierać tylko rzeczy niejadalne, jak książki, ubranie, gry komputerowe i inne formy rozrywki, czasem mniej niż przyzwoitej. Nigdy nie przychodziła z pustymi rękami, choć jej paczki

docierały do Baldura długo po tym, jak go pożegnała. Wybór prezentu nigdy nie był problemem, ponieważ ciągle miał obsesję na jakimś punkcie, choć te obsesje, podobnie jak jego kolejne dziewczyny, szybko przemijały. Baldur wrzucił cukierek do ust i żując go, zapytał:

– Zdążył już coś zmalować?

Freyja zadrżała.

– Boże, nie. Przynajmniej taką mam nadzieję. – Odmówiła wzięcia cukierka. – Policja poprosiła mnie o pomoc w sprawie, w której się pojawia jego nazwisko. Czytałam relację z procesu, ale to niewiele mówi o samym Jónssonie, pomyślałam więc, że spytam ciebie. Na pewno go tu spotkałeś. Dopiero co wyszedł.

Toffi wydawało się płatać Baldurowi język. Mówił niewyraźnie.

– Toksyczny gość. Nie wiem, jak inaczej go opisać. Gdy był obok, łapałem się na tym, że wstrzymuję oddech. – Jego przystojną twarz wykrzywił grymas obrzydzenia. – Na szczęście niedługo siedziałem z nim na tym samym oddziale.

– Naprawdę był taki potworny? Czytałam, że w więzieniu odnalazł Jezusa. W każdym razie tak twierdził w wywiadzie. – Freyja była równie pewna jak przed laty, że Jónsson tylko udawał religijność.

Baldur cmoknął lekceważąco.

– Nie on jeden odstawia ten teatrzyk. Ale jako jeden z niewielu staje się przez to jeszcze bardziej odrażający. Nigdy nie widziałem gorszego aktora. Podczas lektury Biblii ludzie zazwyczaj przesuwiają wzrok, ale jego oczy nawet nie drgnęły. Założę się, że zamiast czytać, snuł te swoje chore fantazje o dzieciach. – Znów się skrzywił.

– Na pewno. – Freyja nie była zaskoczona opisem Baldura. Ponieważ chyba raczej nikt nie kupował pieprzenia Jónssona o jego nawróceniu, nie mogła zrozumieć, dlaczego w ogóle zadawał sobie trud, żeby odgrywać tę szopkę. Skazanym za morderstwo nie należało się zwolnienie po odsiedzeniu połowy wyroku, nie mógł to więc być motyw. – Czy ludzie tego typu mają spokój w więzieniu? Może to robił, żeby uniknąć przemocy ze strony innych więźniów?

Baldur się roześmiał.

– Poważnie? To jakieś wielkie nieporozumienie, że pedofile i gwałciciele są dociskani za murem. Nikt sobie nimi nie zawraca dupy. Może są bardziej izolowani niż normalnie, ale to wszystko. Dlaczego mielibyśmy brać na

siebie karanie tych typów? Jeśli nas nakryją, mamy obcinane przywileje i ryzykujemy przedłużenie wyroku. Nie, jak ludzie chcą ostrzejszych kar dla tych bydlaków, niech to sobie sami załatwiają.

Zapadła cisza, która stała się niezręczna z powodu odgłosów pary uprawiającej seks w celi obok. Baldur szeleścił torebką toffi, a Freyja wierciła się na krześle w nadziei, że mebel zacznie skrzypieć. Nie mogła się doczekać, kiedy brat wyjdzie. Chciała się z nim spotkać gdzieś, gdzie można by odetchnąć. Na ławce w centrum miasta, albo nawet lepiej na wrzosowisku. Ale w najbliższym czasie nie było na to szansy.

– Po co więc ta maskarada?

– Pewnie znasz odpowiedź lepiej ode mnie. Myślałem, że na co dzień pracujesz z takimi ludźmi jak on.

Baldur nie mógł pojąć, w jaki sposób Freyja zarabia na życie ani dlaczego wybrała pracę, w której musi się stykać ze smutkiem i nieszczęściem. Było to dla niego taką samą zagadką jak dla niej jego kariera przestępcza. Zawsze starał się unikać konfliktów, ponieważ nie pasowały do niepoahamowanego optymizmu, który był główną cechą jego charakteru.

– Pracuję z ich ofiarami, z nimi samymi się nie spotykam, dzięki Bogu. Ale można powiedzieć, że sprzątam po nich.

– Niech tak zostanie. I trzymaj się z daleka od tego popierdoleńca.

– Nie martw się. – Freyja nie zamierzała nawet podchodzić do tego człowieka. Interesował ją jego syn. Agresywny wybuch Thröstura już się zatarł w jej pamięci i Freyja zaczynała dochodzić do przekonania, że chłopak nie stanowi zagrożenia. Chyba że dla swojego ojca, ponieważ wymienione w liście inicjały JJ prawdopodobnie oznaczały właśnie jego. O pozostałych inicjałach trudno było coś stwierdzić, chyba że odnosiły się do pedofilów działających wspólnie z ojcem Thröstura. Albo po prostu oznaczały inne dzieci, które chłopiec uznawał za swoich wrogów w tamtym czasie. Nie sądziła, że osoby wymienione na liście mają się czego obawiać – oprócz Jóna Jónssona. Thröstur i jego siostra Sigrún niemal na pewno padli ofiarą odrażających skłonności swojego ojca, pewnie więc po wypuszczeniu Jónssona z drzeniem serca czekają na jego kolejny krok. Może nie ze względu na siebie, ale z obawy o inne potencjalne ofiary. Co będzie, jeśli ich ojciec znów zacznie pić i straci samodyscyplinę, której mógł się nauczyć w więzieniu? Niewątpliwie bały się, że znów będą żyć z piętnem dzieci potwora, którego nazwisko pojawia się we wszystkich mediach. Zapewne nie

przypadkiem Thröstur przewidział te morderstwa na rok, w którym jego ojciec wyjdzie z więzienia. W chwili skazania rodzinę poinformowano z pewnością, że Jónsson ma prawo starać się o zwolnienie po odbyciu dwóch trzecich zasądzonej kary. Może Thröstur wpadł na szalony pomysł, że się stanie aniołem zemsty i wyeliminuje pedofilów. Freyja zanotowała w myślach, żeby porównać inicjały wymienione w liście chłopca z nazwiskami osób w podobnym czasie skazanych za seksualne wykorzystywanie nieletnich.

Byłoby tragedią, gdyby Thröstur spełnił groźby zawarte w tym liście. Sądy nie miałyby dla niego litości. Wymiar sprawiedliwości nie lubi, gdy ludzie biorą sprawiedliwość we własne ręce.

– Myślisz, że Jónsson znowu to zrobi?

– Celowo trzymałem się od niego z daleka, więc nie mam pojęcia, co zrobi, a czego nie. Ale nie byłbym zaskoczony.

– Ja też nie. – Freyja postanowiła nie rozvodzić się na temat skuteczności resocjalizacji osób z pociągami seksualnym do dzieci. Mogłoby to doprowadzić do rozmowy na temat skuteczności resocjalizacji przestępców w ogóle, a przed nią siedział doskonały przykład faceta, który nie chciał poprawić swojego zachowania, choć oczywiście jego przestępstwa były zupełnie innej natury. – Wiesz, czy go skierowali do Vernd? – Przyszło jej do głowy, że może się skontaktować z szefem ośrodka resocjalizacji i zapytać, gdzie przebywa Jónsson.

– Nie wiedziałaś? Nie kiblował w Vernd. Część wyroku, którą normalnie by tam spędził, odsiedział tutaj, ponieważ komisja uznała, że się tam nie nadaje. Jej decyzje są ostateczne. Innymi słowy nie spodobał się im, chociaż podobno jest taki święty.

Doskonale rozumiała tę decyzję.

– A odwiedziny? Czy ktoś do niego zaglądał? Żona albo dzieci na przykład?

– Nie wiem. O ile pamiętam, nikt do niego nie przychodził, gdy siedzieliśmy na tym samym oddziale. Nigdy też się na niego nie natknąłem w skrzydle dla odwiedzających. To nie znaczy, że nie miał żadnych odwiedzin, ale na pewno nie były częste. – Baldur szperał w pustej już chyba torebce po cukierkach. – Ale dostawał listy. To pamiętam. – Odpakował kolejne toffi, wrzucił je do ust i starannie poskładał papierek. – Kto dzisiaj dostaje listy?

– Ja. Ty. Wszyscy dostajemy. Tak myślę. Ale najczęściej z banku albo urzędowe. Jesteś pewien, że to były listy prywatne? Nie zawiadomienia z urzędu podatkowego albo coś w tym stylu?

Baldur pokręcił głową.

– Nie. Były pisane odręcznie.

– Może od dzieci?

– Za bardzo wyrobione. To wyglądało na pismo dorosłego.

– Jego dzieci są już oczywiście dorosłe – powiedziała Freyja właściwie do siebie. Baldur wyprostował się i oparł plecy o ścianę wyciągając nogi poza krawędź łóżka. Jak zawsze był nienagannie ubrany. Dzięki Freyi miał stroje bardziej na czasie niż większość mężczyzn. Ponieważ czynsz za wynajem mieszkania, który mu płaciła, był żałośnie niski, a on nie chciał nawet słyszeć o większych pieniądzach, kompensowała mu stratę, kupując ubrania i inne potrzebne jej zdaniem drobiazgi. Obydwoje mieli tę cechę, że chcieli zawsze wyglądać nienagannie, i pobyt w więzieniu nie stanowił wyjątku. Nie potrzebowałyby dyplomu z psychologii, żeby wiedzieć, że to skutek dorastania w otoczeniu, które nieustannie nazywało ich „biednymi, osieroconymi przez matkę maleństwami”. Żadne dziecko nie chce być biednym maleństwem, obydwójce więc szybko odkryli, że najlepszym sposobem na przekonanie wszystkich wokół, że nie dzieje się z nimi nic złego, było udawanie silnych. Wygląd w tym pomagał. Ta metoda działała nadal, choć oboje dawno już dorośli.

– Ciekawiły mnie te listy, bo zawsze był dziwnie spięty, jak przychodziły, i chciałem wiedzieć dlaczego. Ale ciekawość nie była aż tak wielka, żebym zaczął węszyć. Potem przenieśli mnie na inny oddział, więc nie wiem, czy dalej je dostawał.

– Kiedy to było? – Listy mogły być od Thröstura, choć Freyja raczej w to wątpiła. Chyba że chłopak przysyłał groźby. Ale wtedy ten bydlak zapewne pokazałby listy władzom więzienia w nadziei, że wywoła współczucie albo przynajmniej zyska ochronę po wyjściu na wolność. Nie ma mowy, żeby taki typ poświęcał się dla swoich dzieci.

– Jakies półtora roku temu. – Baldur zamilkł na chwilę, a jego oczy zrobiły się rozbiegane. – Skoro mowa o listach. – Pochylił się do przodu, żeby sięgnąć do tylnej kieszeni spodni. – Ja dostałem ten. – Wręczył Freyi złożoną kartkę, po czym spojrzał w szare niebo za oknem.

Freyja odczytała treść dokumentu i chociaż nie rozumiała wszystkich

szczegółów opisywanego badania, wniosek do niej dotarł. Nagle wszystkie pytania, które dotyczyły Jóna Jónssona, wydały jej się nieistotne, uznała je za skutek szukania sobie czegoś do roboty. Przed sobą miała sprawę naprawdę ważną.

– Pewniejszego rozstrzygnięcia chyba już nie ma? – Tabela podsumowywała wyniki ustalenia ojcostwa. – Dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

Spuściła wzrok i ponownie odczytała każde słowo oraz każdą cyfrę. Nie po to, żeby się lepiej zapoznać z treścią pisma, ale żeby zyskać trochę czasu. Nie wiedziała, czy się cieszyć, czy smucić. Siedziała, w osłupieniu patrząc na dokument. Uderzyło ją, że przedstawia rodzący się dramat. Chociaż dziecko wydawało jej się nierealne i nie czuła do niego żadnych rodzinnych uczuć, to myśl o tym, że Baldur zostanie weekendowym ojcem, naprawdę ją bolała. Weekendowym ojcem, który więcej czasu spędza w więzieniu niż poza nim. Weekendowym ojcem funkcjonującym tak samo jak jego własny i dlatego niezasługującym nawet na to określenie. Pamiętając, jak ciężko Baldur znosił w młodości brak bliskich relacji z ojcem, miała nadzieję, że brat zrobi wszystko, żeby się zachować inaczej. Tylko jakim sposobem miałyby to zrobić zza krat? Niesamowite, jak często dobre intencje spełzają na niczym. Podniosła w końcu wzrok.

– A matka? Kontaktujesz się z nią? To miła kobieta? – Ton pytań zaprzeczał ich szczerości. Czuła przemożną chęć, żeby chwycić brata za ramiona, potrząsnąć nim i ze złością zapytać, co on, do jasnej cholery, sobie myślał. Że prezerwatywa by go zabiła?

– Nie, nie jesteśmy w kontakcie. Prawdę mówiąc, nigdy nie byliśmy. Odwiedziła mnie tylko dwa razy. Ale daty pasują.

– Dziewczynka jest ochrzczona? Znasz jej imię? – Dokument informował tylko o płci i numerze identyfikacyjnym dziecka. Miało pewnie teraz dziesięć miesięcy, chociaż Freyja była zbyt przejęta, żeby ufać swoim wyliczeniom.

– Ma na imię Saga.

– Saga. – Freyja zwróciła bratu dokument i w końcu spojrzała mu w oczy. – Ładne imię.

– Tak, jasne. Chociaż nie miałem w tej sprawie nic do powiedzenia. – Baldur odwrócił wzrok. – O jej istnieniu dowiedziałem się dopiero trzy miesiące temu, gdy mnie zabrano na pobranie krwi. O ile wiem, było nas dwóch, nie chodziło więc tylko o uznanie dziecka. Dla dziewczynki byłoby

lepiej, gdyby ojcem okazał się ten drugi.

Freyja wyczuła, że Baldur podziela jej obawy. Jakim ojcem będzie? O tym zadecyduje nie łut szczęścia czy kaprys losu: odpowiedzialność ciążyła wyłącznie na nim. Będzie musiał do końca odsiedzieć ten cholerny wyrok, zacząć nowe życie i zrobić wszystko, żeby zostać cholernie dobrym ojcem. Może to przekona Baldura, żeby odmienił swoje życie. Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy.

– Pomogę wam obojgu, na ile będę mogła. Dopóki tu siedzisz. – Freyja zmusiła się do uśmiechu. – Jak wyjdiesz też, oczywiście. Wygląda na to, że w najbliższym czasie ja sama nie przyczynię się do przedłużenia gatunku ludzkiego. Skoro się zaopiekowałam Molly, to możesz sobie wyobrazić, o ile ważniejsza będzie dla mnie twoja córka. – Słowa brzmiały dziwnie. Baldur został ojcem. Będzie to dla niej bardziej realne, gdy zobaczy dziecko. Dopiero wtedy przestanie być dla Freyi jakimś dzieckiem bez twarzy, jak teraz, a stanie się dziewczynką z krwi i kości. Dziewczynką o imieniu Saga. – Możesz na mnie liczyć, Baldurze.

Pierwsze wątpliwości zaczęły ją opadać, gdy wjechała na pustą oblodzoną drogę nad przełęczą Threngsli. Czar roztaczany przez Baldura prysł jeszcze przed Hellisheidi. Oczywiście, że zamierzała dotrzymać obietnicy, którą złożyła, ale to nie było takie proste. Co z matką jego dziecka? Baldur niechętnie o niej mówił, co by oznaczało, że nie można za wiele się spodziewać. To nie był dobry znak. Ale nawet gdyby między nimi dobrze się układało, czy tamta kobieta zgodzi się na ingerencję siostry ojca jej dziecka?

Niebo pociemniało, gdy przejechała przez góry. W śnieżycy, która się rozpełtała, Freyja musiała utrzymywać iście żółwie tempo. Obiecała zadzwonić do matki Sagi natychmiast po powrocie do domu. Dzięki złej pogodzie mogła odwlec to koszmarnie zadanie.

Rozdział 15

Freyja przemykała się zygzakiem między biurkami w pozbawionym ścianek działowych pomieszczeniu wydziału dochodzeniowo-śledczego aż do odległego końca, w którym siedział Huldar. Kilku detektywów spojrzało znad biurka; nie co dzień pojawiała się u nich młoda kobieta. Część, rozpoznając ją ze śledztwa, które sprawiło, że Huldar wypadł z łask, szybko opuściła wzrok. Huldar mógłby przysiąc, że widział złośliwy uśmiešek na kilku twarzach. Podniósł się i pomachał, z radością przyjmując okazję, żeby patrzeć na kogoś innego niż Gudlaugur, którego głowa nieustannie wyskakiwała nad monitor, żeby zadać jakieś pytanie. Erla kazała chłopakowi porozmawiać z kobietą, która twierdziła, że jej dzieci zostały porwane przez Świętego Mikołaja, a on najwyraźniej bał się tej rozmowy. Ćwiczył na głos pytania, czym doprowadzał Huldara do szału. Odwiedziny Freyi były więc przyjemną odskocznią.

– Dobrze, że przyszłaś. – Huldar obdarzył ją swoim najszerszym uśmiechem i pożałował, że znów się nie umówił na wizytę u fryzjera, którą ciągle odkładał. W odróżnieniu od niego Freyja była jak zawsze wypoczęta i schludna. Szeroki uśmiech Huldara zwężił się nieco, gdy zauważył Erlę. Stała pochylona nad czymś biurkiem, ale na widok Freyi się wyprostowała i omiotła ich dwoje ponurym spojrzeniem. Huldar zdołał wyciągnąć od niej zgodę na zbadanie możliwych powiązań między listem z kapsuły czasu a morderstwem w garażu podziemnym, ale nie przyznał się, że zamierza ponownie współpracować z Freyją. Erla nie okazała zainteresowania wiadomością, że Benedikt Toft uczestniczył w pierwszym procesie ojca Thröstura. Zamiast zapłonąć entuzjazmem, jak oczekiwał, odpowiedziała chłodno, że Islandia to mały kraj i powiązania występują wszędzie. Był to argument powtarzany w kółko przez polityków przy okazji mianowania na urzędy publiczne przyjaciół i krewnych. Tak samo irytował usłyszany podczas rozmowy, jak odczytany w gazecie.

Podczas wczorajszej odprawy Erla nie powiedziała ani słowa o możliwych

tropach, omówiła tylko badane obecnie wątki oraz wyliczyła te, które okazały się bezproduktywne. Huldar nie miał wątpliwości: mógł się uważać za szczęściarza, bo pozwoliła mu działać, nawet jeśli zrobiła to tylko dlatego, że w tej sprawie nadal błędzili po omacku. Nie łudził się, że Erla pokładała jakiegokolwiek nadzieje w jego propozycji, a teraz, gdy zobaczyła Freyję, było więcej niż prawdopodobne, że cofnie wcześniejsze pozwolenie i w zamian wręczy mu do sprawdzenia listę właścicieli pił łańcuchowych.

Od pierwszego spotkania przed rokiem Freyja i Erla za sobą nie przepadały. Huldar podejrzewał wówczas, że Erla widzi we Freyi konkurentkę do jego uczuć. Nie wiedziała co prawda, że między nim a Freyją do czegoś doszło, ale to niewiele zmieniało. Erla uparcie trwała przy swojej niechęci, a i Freyja wyraźnie nie pozostawała dłużna. Potem jednak Huldar doszedł do wniosku, że ich wzajemna antypatia nie ma nic wspólnego z nim. One po prostu za bardzo się od siebie różniły. Przeklinał się w duchu, że nie zorganizował spotkania z Freyją poza wydziałem.

– Może usiądziemy w sali konferencyjnej? – Kątem oka Huldar widział, że Erla zamierza ruszyć w ich kierunku, i jedyne, co przyszło mu do głowy, to odciągnąć Freyję. Niestety, salka konferencyjna nie dawała gwarancji bezpieczeństwa. Najlepiej byłoby wyjść z budynku, ale na gorąco nie potrafił wymyślić żadnego pretekstu, pod którym mogłoby to zaproponować. – Tam jest ciszej – dodał nieprzekonująco. Wziął z biurka jakieś papiery i pióro, w którym skończył się atrament, o czym przypomniał sobie, gdy już było za późno. Nieważne, musiał zabrać ich dwoje w bezpieczne miejsce, zanim dotrze do nich Erla. Freyja była szczerze zdziwiona, gdy niemal siłą poprowadził ją w kierunku najkrótszej drogi między biurkami a salą konferencyjną.

Trzymając otwarte drzwi, wepchnął ją do środka z takim samym pośpiechem. Zaraz potem ukradkiem się obejrzał, by z ulgą stwierdzić, że Erla stoi na środku sali pogrążona w rozmowie telefonicznej. Zamknął za sobą drzwi.

– Przepraszam za to zamieszanie. Trochę u nas nerwowo. – Widząc, że przeprosiny nie zdołały jej udobruchać, dodał: – Pojawiła się nowa okoliczność i zrobiło się tak, jakby ktoś wsadził kij w mrowisko. Jak wiesz, kazano mi odłożyć śledztwo w sprawie listu Thröstura, uznając, że to może poczekać. Ale sytuacja się zmieniła.

– Z jakiego powodu? – Freyja wybrała krzesło najbardziej oddalone od

Huldara. Wolałby mieć ją bliżej siebie, ale widok Erli po drugiej stronie szyby skłonił go do zmiany zdania.

– Niewykluczone, że list łączy się z jeszcze jedną sprawą. To niezbyt prawdopodobne, ale możliwe. – Huldar opowiedział o morderstwie w garażu oraz powiązaniu między ofiarą tego morderstwa a Jónem Jónssonem oraz odciętych dłoniach, które znaleziono w jacuzzi Benedikta Tofta. Poprosił przy tym o zachowanie tajemnicy, chociaż była to czysta formalność, ponieważ media już się o wszystkim dowiedziały. Relacje były drastyczne, czego zresztą się spodziewał, i nic dziwnego. Freyja nie mogłaby chyba dołożyć czegokolwiek do krążących już w prasie opowieści i spekulacji. – Miałem nadzieję, że wybierzesz się ze mną na kolejne spotkanie z Thröstem, tym razem w obecności jego siostry i matki. Chcę też porozmawiać z Jónem Jónssonem i byłbym wdzięczny, gdybyś mi towarzyszyła jako psycholog, a następnie przekazała swoje spostrzeżenia. Na przykład czy znanym już jego problemom towarzyszy agresja i tym podobne. Bardzo możliwe, że jest powiązany z tym morderstwem albo nawet, że to on zamordował.

– Jak mówiłam, nie jestem ekspertką w zakresie przestępców seksualnych. Pracuję z ich ofiarami. – Zdjęła szalik i położyła go na kolanach. – Mogę iść z tobą, ale wątpię, czy będę potrafiła pomóc. Trochę poczytałam na temat Jónssona. Dotarłam nawet do opinii Sądu Najwyższego, tylko że to niewiele wniosło. Nie ma dokumentów na temat tej sprawy w Izbie Dziecka, ale ona wtedy ledwie co powstała i trzeba było trochę czasu na przekonanie sądów i śledczych, żeby traktowali ją poważnie. Omijali nas szerokim łukiem, jak zresztą wszyscy inni w pierwszych latach naszego działania. Szkoda, bo gdybyśmy uczestniczyli w sprawie Jónssona, to dzieci zostałyby poddane badaniu. Akta sugerują, że tak się nie stało. Były przesłuchiwane w sądzie, ale zaprzeczyły, że je molestował.

– To by coś zmieniło? Sędzia musi się trzymać aktu oskarżenia, a ponieważ wykorzystywanie seksualne rodzonych dzieci nie było w nim ujęte, nie miał powodu, żeby komplikować postępowanie. Domyślam się, że przesłuchanie dzieci dopuścił na wniosek obrony, która chciała wykazać, że postępowanie wobec Vaki było wyjątkiem, nie regułą. Jónsson musiał wiedzieć, że dzieci zeznały na jego korzyść, i mieć pewność, że nie zmienią zeznania, gdy staną przed sądem.

Freyja się skrzywiła.

– Jest też inny wyrok, o kilka lat wcześniejszy, Sądu Rejonowego dla Reykjanes – kontynuował Huldar. – Mogę dać ci kopię. Nie znajdziesz go w internecie, ponieważ nazwisko Jónssona zostało usunięte po uniewinnieniu. Niewiele też można się dowiedzieć z wersji, którą zdobyłem, bo nie zawiera żadnych szczegółów. Złożyłem wniosek o dostęp do pełnych akt. Wiem tylko, że zarzut dotyczył seksualnego wykorzystania osoby małoletniej.

– To ci dopiero niespodzianka – prychnęła Freyja. – Jeszcze jedno. Byłam na widzeniu u mojego brata. Mówi, że Jón Jónsson miał niewielu gości, ale dostawał masę listów pisanych ręcznie przez osobę dorosłą. Może były od dzieci albo żony. Chociaż trudno mi sobie wyobrazić, żeby chcieli do niego pisać.

– Kiedy je dostawał? – Huldar sięgnął po pióro, żeby zanotować datę, i dopiero wtedy sobie uświadomił, że atrament się wypisał. – Listy do więźniów są cenzurowane, zwłaszcza listy do skazanych za pedofilię. Zadzwoń tam i zapytam, czy ktoś sobie przypomina ich treść.

Przez szklaną ścianę pomieszczenia Huldar zauważył, że Erla chowa telefon do kieszeni. Ich spojrzenia się spotkały. Nie wyglądała na uszczęśliwioną. Już miała się ruszyć z miejsca, gdy telefon znów zadzwonił. Ratunek w ostatniej chwili.

– Czy Jónssona w sprawie o morderstwo oskarżał prokurator, który został zamordowany, ten Benedikt Toft?

– Nie. On był oskarżycielem w tej wcześniejszej sprawie, gdy Jónssona uniewinniono.

Freyja uniosła brwi.

– I uważasz, że Jónsson go zabił? A nie syn Jónssona?

– Niczego nie uważam. Po prostu chcemy ustalić, czy istnieją podstawy, żeby bliżej się przyjrzeć Jónssonowi. Kariera prokuratorska Benedikta Tofta była długa. Oskarżał w wielu sprawach, które mogłyby wywołać w kimś żądę zemsty. Analizujemy je obecnie, ale moim zdaniem ta jest najbardziej prawdopodobna. Toft żył spokojnie, dopóki Jónsson nie wyszedł na wolność. Byłby to dziwny zbieg okoliczności, poza tym ja w zbiegi okoliczności nie wierzę.

– Ale dlaczego miałyby zabić prokuratora, skoro został uniewinniony? Czy większego sensu nie miałyby zemsta na tym, kto posłał go do więzienia?

– Owszem, ale gdy się nad tym zastanowić, właściwie się nie liczy, kto

oskarża w danej sprawie. Mogłaby to robić twoja Molly. W tym kraju oskarżeni o morderstwo nigdy nie są uniewinniani. – Po drugiej stronie szyby Erla skończyła rozmawiać przez telefon i już zmierzała w ich stronę. Raczej nie mógł oczekiwać, że jakaś siła wyższa zechce ją powstrzymać po raz trzeci. Gwałtownie otworzyła drzwi i z paskudnym błyskiem w oku stanęła w progu, ostentacyjnie ignorując Freyję.

– Otrzymaliśmy zawiadomienie z cmentarza w Hafnarfjörður. Wandale zniszczyli jeden z grobów. Zniszczenia są znaczne. Pojedziesz to obejrzeć.

– Ja? – Huldar był zbity z tropu. Nastawiał się na reprimendę za sprowadzanie gości bez pozwolenia, ale nie coś takiego. – Nie może tego zrobić ktoś inny? Ktoś, kto nie jest zaangażowany w śledztwo dotyczące morderstwa?

– Wszyscy są zaangażowani w to śledztwo, o czym powinieneś wiedzieć. Różnica jest taka, że oni badają ważne wątki, a nie tracą czas na szukanie wiatru w polu.

Twarz Huldara pociemniała. Nieczęsto ponosiły go nerwy, ale gdy już się tak działo, z ledwością nad sobą panował. Gdy był zły, to na całego. – Wiatru w polu, po który mnie posłałaś, dając zielone światło? Zapomniałaś? – Powściągnął się jednak, by nie dodać, że owe ważne wątki okazują się ślepymi uliczkami. Nie należało ujawniać tego rodzaju szczegółów w obecności osoby postronnej.

– Jedź do Hafnarfjörður. – Wargi Erli zamieniły się w cienką kreskę. – Jeszcze jedno. Wolałabym, żebyś nie sprowadzał tu każdego Toma, Dicka i Harry'ego bez konsultacji ze mną. – Z wściekłością zwróciła głowę w kierunku Freyi, nadal jednak na nią nie patrząc, po czym na odchodne warknęła: – Cmentarz Hafnarfjörður. Natychmiast!

Po drodze na cmentarz Freyja nie szczędziła Erli słów potępienia. Huldar przekonał młodą psycholożkę, żeby mu towarzyszyła, bo chciał dokończyć rozmowę o sprawie Jóna i Thröstura, ale też wolał nie dopuścić do tego, żeby wróciła prosto do Izby Dziecka i zaczęła się awanturować. Choć też był wkurzony na Erle, wolałby już bardziej z nią nie zadzierać.

– O co tej kobiecie chodzi? Czy ja kiedyś zrobiłam jej coś złego? Była niemiła wobec mnie, już gdy się poznałyśmy, jeszcze zanim zdążyłam się odezwać.

Huldar wyjąkał coś wymijająco, wjeżdżając na pusty parking. Widać w dni

powszednie zmarli nie mieli wielu gości. Zaparkował przy budynku gospodarczym, gdzie umówił się z zarządcą cmentarza. Nie chcąc, żeby ten odniósł wrażenie, że policja nie traktuje sprawy poważnie, Huldar starał się nie myśleć o tym, jak idiotyczne jest to zadanie w sytuacji, gdy czekają na niego o wiele pilniejsze sprawy. Nie umiał się jednak otrząsnąć z niezadowolenia. Dlaczego nie mogła się tym zająć policja z Hafnarfjörður? Erla po prostu się na nim mściła.

Po wyjściu z samochodu Freyja nadal pomstowała. Huldar kiwał głową od czasu do czasu, ale w duchu bardzo się ucieszył, gdy zamilkła po wejściu do budynku. Ani słowem nie wspomniała też o Erli, gdy Huldar przedstawił ich zarządcy cmentarza oraz gdy mężczyzna prowadził ich do zbezczeszczonego grobu, zapewne skrepowana jego obecnością, ale też pewnie pod wpływem smutnego widoku niekończących się rzędów krzyży i płyt nagrobnych. Patrząc na te symbole przemijalności życia, Huldar nie mógł się oprzeć myśli, jak trywialne są jego codzienne problemy.

– To tutaj. Jak pan widzi, szkoda rozciąga się daleko poza sam grób. – Mężczyzna wskazał ręką na ślady kół, które żłobiły teren, i ziemię porozrzucaną wszędzie dookoła. Przewrócona płyta nagrobna leżała płasko na ziemi i napis skierowany był w niebo: osoba, którą upamiętniał, mogła spojrzeć w dół i go odczytać, gdyby chciała. – Nie mam pojęcia, po co ktoś chciałby zrobić coś takiego. Nawet najgorsi wandalie nas zwykle omijają.

Huldar przykucnął, żeby lepiej się przyjrzeć, choć do oglądania nie było nic oprócz porozrzucanej ziemi i gruzu. Po chwili się podniósł.

– Kto odkrył zniszczenia? – Śnieg na ścieżce prowadzącej do tego miejsca był niemal nieskazitelny, jedyne widoczne ślady stóp pozostawił sam grabarz, jak przyznał. Ponieważ nocą opady były niewielkie, pojazd, który spowodował tę szkodę, musiał nadjechać z innego kierunku. Krzyżujące się ścieżki cmentarne były wystarczająco szerokie. Uważnie oglądając otoczenie zniszczonego grobu, Huldar zauważył ślady gąsienic prowadzące w przeciwnym kierunku.

– Ja. Zawsze rano robię obchód cmentarza, żeby sprawdzić, że wszystko jest w porządku. Nieczęsto coś odkrywam. Czasem jakiś stary krzyż się przechylił, ale zwykle widzę tylko rozbite wazony przewrócone przez wiatr.

– Nie macie kamer monitoringu? – zapytał Huldar, choć potrafił przewidzieć odpowiedź. Nie zauważył żadnych kamer ani na cmentarzu, ani na parkingu. Zrobił kilka zdjęć telefonem, na wypadek gdyby policja podjęła

działania, choć wydawało się to mało prawdopodobne.

– Nie. Uznano, że nie ma takiej potrzeby. Jak mówiłem, zwykle jest tu spokojnie.

Huldar skinął głową.

– Rozumiem. – Zastanawiał się, co może zrobić oprócz opisanie sytuacji w notatce i spisania zeznań zarządcy. – Czyli wandalizm, który pan zgłaszał, to zniszczenia w tym miejscu? Przewrócony kamień nagrobny oraz powierzchniowe uszkodzenie terenu?

Mężczyzna wydawał się zaskoczony.

– Nie, nie tylko to. Zniszczona została też maszyna, której używamy do kopania grobów. Po odstawieniu koparki wandal nie zamknęli prawidłowo drzwi, potem wiatr je otworzył i wyleciała szyba. Nigdy nie zamykamy koparki, a kluczyk jest zwykle w stacyjce, ale nie popełnimy już tego błędu. Przejdźmy, to pokażę panu koparkę. Stoi zaparkowana za budynkiem. Odstawili ją tam z powrotem, choć to dziwnie brzmi.

Zniszczona koparka. Huldar zauważył, że Freyja unosi brwi, i go to nie zaskoczyło. Było jasne, że tracą tu czas.

– Oczywiście, obejrzę ją, choćby po to, żeby opisać szkody. Przykro mi to mówić, ale są niewielkie szanse, że sprawcy tego incydentu zostaną ustalen. Prawdopodobnie jacyś pijacy uznali wczoraj wieczorem, że będzie fajnie się przejechać po cmentarzu ukradzioną koparką, i wpadli na jeden z grobów. Może zaryli w błocie i rozkopali ziemię, próbując uwolnić pojazd.

Grabarz się rozejrzał, marszcząc brwi.

– Nie wierzę, że zjechali ze ścieżki przypadkiem. – Wskazał na sąsiedni grób, który pokrywały świeża ziemia i żwir. – Z całą pewnością używali tu maszyny.

Huldar wpatrywał się w ślady pozostawione przez czerpak niewielkiej koparki, próbując zachować poważną minę. Ten bałagan nie sprawiał, że incydent na cmentarzu trafi na listę stu największych zniszczeń w historii kryminalistyki.

– Nie wiadomo, co ich do tego skłoniło ani co usiłowali osiągnąć, ale z pewnością schwytanie odpowiedzialnych za to chuliganów będzie niemal niemożliwe.

– Tak pan uważa? – Grabarz zrobił zdeglustowaną minę. – Nie możecie zdjąć odcisków palców z koparki? Może mieli gołe ręce. Wtedy będzie łatwiej ich znaleźć.

Huldar zakasłał, żeby zdławić śmiech.

– Takie ślady zabezpiecza wydział kryminalistyki, ale jego pracownicy są w tym momencie zajęci, wątpię więc, żeby mieli czas kogoś tu przysłać. Muszą ustalać priorytety. Skoro wandale odstawili koparkę na miejsce, to raczej nie są przestępcami, którzy by figurowali w naszych kartotekach, jak przypuszczam. Inaczej albo ukradliby pojazd, albo go porzucili, gdy przestał ich bawić. – Huldar zrobił jeszcze kilka zdjęć, żeby grabarz poczuł się usatysfakcjonowany. – Potrzebuje pan pomocy przy podniesieniu kamienia?

Grabarz się zawahał. Był wyraźnie niezadowolony, ale oferta Huldara wydała mu się kusząca.

– Zmierzałem podjechać koparką, żeby to zrobić, ale we troje powinniśmy dać radę. Zwłaszcza że przejechaliście taki kawał drogi, a żadnego pożytku z tego nie ma.

Huldar zignorował te słowa.

– Dobrze, zabieramy się za to? – zaproponował nadal przyjacielskim tonem. – Zanim ktoś przyjdzie odwiedzić ten grób.

– On nie ma odwiedzających. Ten mężczyzna jest tu pochowany od lat. Smutek z czasem się zaciera, jak wszystko inne. – Grabarz przywdział rękawice robocze. – Ale nigdy nie wiadomo.

Przeszli do przewróconej płyty i ustawili się w najdogodniejszy sposób. Freyja nie wydawała się zachwycona, że kazano jej stanąć w błocie i dźwigać kamień nagrobny. Miała na sobie czerwone rękawiczki, które nie nadawały się do tego rodzaju prac.

– Myślicie, że to ma sens?

Ani Huldar, ani grabarz nie odpowiedzieli. Byli zbyt zajęci dźwiganiem. Stękali z wysiłku. Płyta miała imponujące rozmiary, zmarły był więc pewnie kimś ważnym. Zbyt ważnym na prosty drewniany krzyż. Gdy w końcu pomogła im Freyja, udało się unieść płytę, choć trzeba było rozkopać trochę ziemi u podstawy, żeby stała prosto.

Dyszząc, podziwiali efekt swoich wysiłków. Huldar stwierdził, że ten Einar Adalbertsson jest im winien przysługę, choć prawdopodobnie nie wyrówna rachunku zbyt szybko. Ani grabarz, ani Freyja nie lubili jednak tego typu żartów i do miejsca postoju koparki szli w milczeniu. Tam Huldar zrobił jeszcze kilka zdjęć, po czym się pożegnali i wrócili do samochodu.

Telefon Huldara odezwał się, jeszcze zanim odbicie nekropolii zniknęło z lusterka wstecznego. Dzwoniła Erla, była trochę bardziej podekscytowana

niż zazwyczaj, ale poza tym zachowywała się normalnie, jakby nie padły między nimi żadne ostre słowa.

– Jesteś na cmentarzu?

– Nie. Już w samochodzie, właśnie stamtąd odjechałem. Nie trwało to długo, co zapewne cię nie zaskakuje.

– Zawróć.

– Po co?

– Pojawiły się nowe okoliczności.

Huldar wysłuchał, co ma mu do powiedzenia, po czym zawrócił na najbliższym skrzyżowaniu. Gdy Freyja zapytała, co się dzieje, powiedział jej tylko, że musi coś sprawdzić, zanim wróci do miasta. Nie zadawała kolejnych pytań, oznajmiła tylko, że tym razem zostanie w samochodzie.

Nie towarzyszyła mu więc, gdy pytał zarządcę cmentarza, jak głęboko się zakopuje trumny, ani gdy prosił o pożyczenie metalowego pręta, którym zamierzał nakłuwać ziemię na grobie Einara Adalbertssona.

Rozdział 16

Na wysypisko śmieci firmy Sorpa w Álfsnes co dzień trafiało trzysta ton odpadów, tak przynajmniej twierdził pracownik stojący obok Hul dara. Większość przywożono w postaci sprasowanych bel, które układano w sterty, te zaś następnie były przysypywane ziemią. Ci, którzy o tym nie wiedzieli, nigdy by się nie domyślili, jak powstaje tamtejszy krajobraz. Teraz jednak było to zupełnie oczywiste. Chmara mew krążyła nad kolorowym stoki em w poszukiwaniu jedzenia. U stóp powstającego wzgó rza stały dwie olbrzymie koparki, ale ich długie ramiona wisiały nieruchomo w pozycji zaparkowanej, zatrzymane z powodu niedawnego znaleziska. Tymczasem góra bel przywożonych z sortowni w Gufunes ciągle rosła. Nie wolno było ich ustawiać na miejsce, dopóki policja nie skończy oględzin terenu, i operator dźwigu się martwił, że nie zdążą nadrobić zaległości.

Mieszkańcy Reykjavíku nie przestali wyrzucać śmieci tylko dlatego, że na wysypisku znaleziono trumnę.

– Ktoś musiał ją przywieźć w nocy. Nie ma mowy, żebyśmy wczoraj ją przeoczyli. Pracujemy w tym rejonie i zaręczam, że nie widzieliśmy żadnej trumny ani żaden z nas jej tu nie postawił. – Operator koparki miał na imię Geiri. To on zgłosił odkrycie. Stał z założonymi rękami, opierając je na wystającym brzuchu. Jego potężne cielsko było wciśnięte w kurtkę odblaskową, która ledwo się na nim dopinała. Wyglądał, jakby ktoś go wsadził do torby próżniowej. – Nie zauważyliśmy jej po rozpoczęciu pracy, bo była przykryta śniegiem, ale jak tylko zaczęło wiać, zaraz zrobiła się widoczna.

– Kto ją pierwszy zauważył? – Hul dar wsunął ręce do kieszeni kurtki, żeby je chronić przed przenikliwym wiatrem.

– Stebbi. – Geiri wskazał na mężczyznę przyglądającego się im z miejsca, w którym z kubkiem dymiącej kawy w ręku stał oparty o barak socjalny. To on zaczął biec ku nim, gwałtownie machając rękami, żeby wygonić ich z terenu wysypiska, gdy Hul dar nieoznakowanym samochodem policyjnym

wjechał na drogę dojazdową. Trochę się uspokoił, po tym jak Huldar mu się przedstawił, ale i tak podejrzliwie zerkał w kierunku siedzącej na fotelu pasażera Freyi, która nie mogłaby chyba mniej się kojarzyć z wyglądem funkcjonariuszki. Została w samochodzie ze względu na smród, chociaż w sumie naprawdę szybko przestawało się zwracać na niego uwagę. Jak poinformował Huldara operator koparki, w Álfsnes dokładano starań, żeby nieprzyjemny zapach możliwie najbardziej ograniczać, ze względu na skargi mieszkańców pobliskiego osiedla, dlatego latem używali specjalnych chemikaliów. Zimą jednak takich luksusów nie było. Być może dlatego mewy tak bardzo wrzeszczały.

– Stebbi natychmiast przestał pracować. Jego koparka nadal stoi tam, gdzie ją zostawił.

Huldar skinął głową.

– Jest pan pewien, że trumny nie przywieziono dziś rano i że nie zrobiła tego ani osoba postronna, ani pracownik firmy Sorpa? Nie może to być trumna, którą ktoś po prostu wyrzucił?

Rzędy beli piętrzyły się stopniami niczym ziggurat. Trumny nie dało się przeoczyć; stała na jednej z półek, od wielokolorowych śmieci odróżniając się czernią i zabłoceniami. Geiri odwrócił się od góry odpadów w stronę Huldara.

– Wszystkie odpady przechodzą przez sortownię, zanim do nas trafią. Trumien się tutaj nie przewozi, ta nie mogła być wyjątkiem, a nie ma mowy o tym, żeby ktoś postronny ją zostawił, po tym jak zaczęliśmy pracę dziś rano.

Geiri wyglądał, jakby chciał coś dodać, potem jednak zamknął usta. Huldarowi ulżyło: przy byle okazji operator zaczynał wykład na temat statystyk związanych z odpadami trwałymi i rozwodził się na temat znaczenia pracy wykonywanej przez niego i Stebbiego.

– Czy nocą pracuje tu dozorca?

Geiri prychnął.

– Dozorca? A po co? Nikt nie ukradnie odpadów. W sortowni odseparowano już wszystko, co ma jakąkolwiek wartość.

– A monitoring? – Huldar nie zauważył żadnych kamer ani na samym wysypisku, ani przy drodze dojazdowej, odpowiedź Geiriego nie była więc dla niego zaskoczeniem. Czyli nadal nie dysponował nagraniem człowieka albo ludzi, którzy ubiegłej nocy wykradli trumnę z grobowca na cmentarzu

Hafnarfjörður.

– O której zamykacie?

– O piątej. Zaczynamy o ósmej.

Złodziej cmentarny musiał dokonać swojego czynu raczej w środku nocy niż zaraz po zamknięciu. Najpierw wykopał trumnę, starając się, żeby nikt go nie dojrzał, ale ponieważ grobowca nie było widać z przycmentarnych ulic, nie musiał się martwić o przejeżdżające samochody. Huldar nie wątpił, że trumna, na którą patrzy, zniknęła z grobu Einara Adalbertssona. Niemożliwe, żeby miał do czynienia z dwoma niepowiązanymi przypadkami: znikającej trumny i innej trumny materializującej się następnego dnia. Grabarz nie mógł znaleźć odpowiedniego pręta, ale po zebraniu ziemi koparką szybko ustalił, że grób jest pusty. Wandale okazali się więc złodziejami: uruchomili koparkę, dokopali się do trumny i wyciągnęli ją na wierzch, po czym wypełnili pusty grób ziemią, żeby ukryć kradzież. Bóg wie, co nimi kierowało.

– Ciekawe, czy porzucili trumnę po to, żeby została odnaleziona, czy po to, żeby się jej pozbyć? – zapytał.

– Co? – Jak można było się spodziewać, Geiri nie od razu pojął sens tego pytania, ponieważ Huldar myślał na głos, szybko jednak zrozumiał, w czym rzecz. – Mogę tylko powiedzieć, że gdybym ja robił coś takiego, miałbym nadzieję, że ją znajdą. Nie ma mowy, żeby jej nie wyhaczyć między belami. Ale to nie byłem ja i dałbym głowę, że nikt inny tutaj. Nie chcę nawet myśleć, co próbowali osiągnąć ludzie, którzy wyrzucili tę trumnę.

Słońce wyjrzało zza chmur i chociaż wisiało nisko na niebie, Huldar musiał zasłonić oczy.

– Jest pan pewny, że w środku znajduje się ciało?

– Czy pewny, to nie wiem. Ale razem ze Stebbim trochę ją unieśliśmy i pusta nie jest. Wieko ma nienaruszone, więc woleliśmy wezwać policję, niż je otwierać. Przedtem pracowałem w sortowni. Przyzwyczaiałem się, że ludzie wyrzucają różne dziwne rzeczy, ale to przebija wszystko.

– Wierzę. – Przez ponad dziesięć lat w policji Huldar nigdy nie był wzywany na cmentarz, a co dopiero do trumny z ciałem w środku. Korciło go, żeby sprawdzić tego Einara Adalbertssona. To musi być coś więcej niż głupi kawał. Porzucenie zwłok tego człowieka na miejskim wysypisku musiało być symboliczne: ktoś uznał, że nie zasługiwał na to, żeby leżeć w poświęconej ziemi. Ale dziwne, że pozwolił mu leżeć w niej tak długo.

Z napisu na płycie grobowej wynikało, że zmarł jedenaście lat temu. Dlaczego wykopano go dopiero teraz?

– Kiedy będziemy mogli wrócić do pracy? Nadgodziny nie są tu mile widziane. – Geiri wskazał głową na kolejną ciężarówkę zrzucającą ładunek odpadów.

– Niech pan do nich zadzwoni, żeby wstrzymali dostawy. – Bele zsunęły się ze skrzyni ładunkowej i wylądowały na ziemi. Niektóre stoczyły się ze sterty, omal nie uderzając w samochód Huldara od strony pasażera. Freyja nie wyglądała na rozbawioną. Dzień, który się zaczął tak obiecująco, potem się popsuł tak, że gorszy być już nie mógł. Zamiast zabrać Freyję na rozmowę z Thrösturem i być może Jónem, Huldar zaciągnął ją najpierw na cmentarz, a potem na wysypisko śmieci. Jeszcze chyba tylko brakowało, żeby zabrał ją w odwiedziny do jednej ze swoich sióstr. Dawno przestał przedstawiać im kandydatki na swoje dziewczyny, ponieważ jakimś cudem siostronom za każdym razem udawało się wspomnieć, że jako noworodek Huldar miał wielką głowę. Najbardziej lubiły porównywać ją do dyni. Żadnej z dziewczyn, które usłyszały tę historię, nie udało mu się później nakłonić, żeby poszły z nim do łóżka.

– No to problem spadnie na nich, bo nie mają dość miejsca, żeby trzymać bele u siebie.

Za chwilę mogłoby dojść do tego, że Huldar musiałby nakazać mieszkańcom Reykjavíku, aby do odwołania nie wyrzucali śmieci. Powtórzył swoje polecenie uprzejmym, ale stanowczym tonem.

– Proszę wstrzymać dostawy. Technicy kryminalistyczni są już w drodze i dotrą tu lada moment. – Zerknął na sprofanowaną trumnę. Kropelki wilgoci na zniszczonym wieku lśniły jak diamenty. – Nie wydaje się, żeby tracili dużo czasu na szukanie śladów. – Na całym terenie leżały porozrzucane luźne śmiecie. Nie dałoby się określić, które należały do złodziei cmentarnych, nawet gdyby zostawili po sobie ślady. Poranna wichura zmiotła cienką warstewkę śniegu nie tylko z trumny, ale także z bel wokół niej, niszcząc wszelkie ślady stóp. Technikom kryminalistycznym zostanie więc pewnie tylko włożenie strojów ochronnych i zniesienie trumny ze sterty. – Czy po odkryciu trumny zauważył pan jakieś odciski stóp albo inne widoczne ślady?

Geiri pokręcił głową.

– Nie. Śnieg już zaczynał znikać. Najpierw zwiąło go z wieka, bo jest gładkie. Ale gdybym miał zgadywać, tobym obstawiał, że trumnę postawiono

tam, zanim śnieg zaczął padać albo jak jeszcze sypało.

– Domyśla się pan, jak wylądowała na górze? – Stopień, na którym leżała trumna, znajdował się jakieś trzy metry nad ziemią. Z drugiej strony, dwóch albo trzech ludzi mogłoby ją tam wnieść bez większego trudu.

– Podejrzewam, że użyli liny. Kawałki liny wystają spod spodu. Wciągnąć ją to nie byłaby trudna robota.

– Dla dwóch ludzi? Trzech?

– Nie wiem, ale myślę, że trzech to byłoby aż za dużo, dwóch w sam raz, a w sumie nawet jeden człowiek dałby radę ją tam wciągnąć, tylko silny.

Samochód wydziału kryminalistyki zjechał z drogi dojazdowej i zaparkował przy aucie Huldara. Dwaj mężczyźni, których Huldar znał z widzenia, wysiedli i zmarszczyli nosy, gdy dotarł do nich smród śmieci. Ale nie takie rzeczy już wachali, szybko więc wzięli się w garść. Huldar liczył, że nie będą go długo trzymać na miejscu. Miał już naprawdę dość tego dnia.

Freyja odsuwała się od Huldara najdalej jak się dało. On niepostrzeżenie przywykł do nieprzyjemnego zapachu i było mu wszystko jedno. Zresztą Freyja już wcześniej robiła wszystko, żeby się od niego trzymać jak najdalej. Nie potrzebowała do tego smrodliwych woni. Z ociąganiem wracał do samochodu, bo spodziewał się, że usłyszy od niej parę przykrych słów o marnowaniu czasu, ale nic takiego się nie stało. Zamiast ganić, zarzuciła go pytaniami i zdawała się uważnie obserwować pracę techników kryminalistycznych. Ani razu nie zapytała, jak ma się wytłumaczyć szefowej z tego, co robiła cały dzień.

Ale był haczyk. Zastrzegła, że po drodze będzie musiał się zatrzymać przy sklepie z ubrankami dziecięcymi, żeby mogła kupić prezent. Huldar nie widział powodu, żeby nie wyświadczyć jej tej przysługi, jeśli dzięki temu będą kwita. Moment, w którym ona pójdzie po zakupy, da mu okazję, żeby zatelefonować do Erli i przedstawić jej sytuację. Poleciał technikom kryminalistycznym, aby przewieźli trumnę do Szpitala Narodowego, gdzie patomorfologicy mieli sprawdzić, czy w środku jest ciało, a jeśli tak, czy należy ono do człowieka, którego nazwisko figurowało na grobie. Sprawcy mogli też zostawić w trumnie jakieś dowody przestępstwa, chociaż nic nie wskazywało, że ktoś manipulował przy wieku.

– Gdy ty przeczesywałeś wysypisko, ja szukałam informacji na temat

Einara Adalbertssona.

– I? – Huldar musiał się zatrzymać na czerwonym świetle właśnie wtedy, gdy ruch uliczny wreszcie nabierał rozpędu.

– Zdaje się, że był wzorowym obywatelem. Przewodniczący rady miejskiej Hafnarfjördur, prezes różnego rodzaju stowarzyszeń i tak dalej. Nic nie wskazuje, że zasłużył na takie upokorzenie. – Freyja przeglądała informacje w telefonie. – Ale to wszystko wzięłam z jego nekrologów, a tam trudno oczekiwać wyliczenia win. Równie dobrze mógł być skończonym dupkiem. Poza tym niewiele informacji w sieci. Krótkie wzmianki o działaniach rady miasta sprzed lat i zdjęcia, na których podpisuje kontrakty albo stoi za ludźmi, którzy to robią.

– Może ktoś wybrał na chybił trafił – stwierdził Huldar, znów ruszając. – Chociaż to mało prawdopodobne. Przeniesienie przypadkowego gościa z cmentarza na wysypisko to dużo zachodu jak na głupi kawał. Nie wiem, kto mógłby uznać, że coś takiego jest zabawne albo pomysłowe. – Samochody wlekły się centymetr za centymetrem. – Co z rodziną? Miał żonę? Dzieci? Może są zamieszani albo ktoś to zrobił, żeby się na nich zemścić.

Freyja przesuwiała palcem po wyświetlaczu, dopóki nie znalazła właściwego miejsca w nekrologu.

– Tak. Jedna córka i jeden syn z pierwszego małżeństwa. Drugie małżeństwo bezdzietne, żona zmarła przed nim. Wygląda na to, że jego syn też zmarł, miał tylko osiemnaście lat. Ale córka i pierwsza żona żyją, a przynajmniej żyły, gdy publikowano nekrolog.

– Spróbuj ich poszukać.

Freyja znów się zajęła telefonem, w milczeniu patrząc w ekran. Po chwili podniosła wzrok.

– Córka żyje, ale jej matka, czyli pierwsza żona, umarła pięć lat temu. Córka mieszka w Norwegii, gdzie prowadzi przedszkole. Czyli raczej żadna z nich tego nie zrobiła.

– Chyba że córka jest właśnie w Islandii. Może to spóźniona zemsta na ojcu za porzucenie matki. – Huldar sam nie wierzył w to wytłumaczenie, ale też nie istniało żadne logiczne wyjaśnienie sprawy, z którą mieli do czynienia.

Freyja znów skupiła uwagę na telefonie.

– Nie. Jej profil na Facebooku jest publiczny. Wczoraj wrzuciła zdjęcie z grupką dzieci w przedszkolu. Czy to dozwolone?

– Nie wiem, nie jestem ekspertem od prywatności. – Huldar zmienił pas i skręcił do centrum handlowego Kringlan. Niemal zaboląły go od tego ramiona. Unikał centrów handlowych jak ognia. Odwiedzał je tylko pod przymusem podczas przygotowań do Bożego Narodzenia, snując się od sklepu do sklepu w poszukiwaniu prezentów dla rodziny. W końcu i tak zdawał się na łaskę sprzedawców, przez co jego siostry zapewne zostały posiadaczkami okazałej kolekcji towarów, które wciśnięto naiwnemu facetowi, bo nikt inny nie chciał ich kupić. – Chyba powinienem do niej zadzwonić. Licho wie, może nam powie, kto miał pretensje do ojca. Zresztą i tak pewnie trzeba będzie ją poinformować. Jest jego najbliższą krewną. – Freyja nie słuchała, skoncentrowana na poszukiwaniach w sieci. – Znalazłaś coś ciekawego? – zapytał więc.

– Poczekaj, sprawdzam drugą żonę. Może coś znajdę.

– Mało prawdopodobne, skoro nie żyje, a nie mieli dzieci.

– Mogła zostawić męża dla Einara. Były mąż miałby motyw.

Huldar nie mógł sobie wyobrazić, że emeryt rozkopuje grób i dźwiga taki ciężar. Kto by mu pomógł? Kolega z domu starców?

– Chryste! – Freyja się cofnęła, jakby znalazła coś obrzydliwego. – Spróbuj zgadnąć, co odkryłam.

– Poddaję się. – Huldar wjechał do Kringlan, z drzeniem myśląc o ryczącej muzyce i niekończących się wystawach sklepowych. Przed nimi znajdował się sznur samochodów czekających na miejsce do zaparkowania. Najwyraźniej śnieg nie zniechęcał klienteli do ulubionej rozrywki.

– Druga żona Einara miała już syna, zanim się pobrali. Zdaje się, że nie była po ślubie z jego ojcem, przynajmniej w nekrologu nie ma wzmianki o pierwszym mężu.

– No i?

– Syn nazywa się Jón Jónsson. – Freyja położyła telefon na kolanach. – Jej wnuki mają na imię Thröstur i Sigrún. – Zdumiona spojrzała na Huldara. – Coś takiego!

Dłonie Huldara zacisnęły się na kierownicy, bo gotowy był opuścić kolejkę, ale Freyja odgadła jego zamiar i zaczęła nalegać, żeby dotrzymał obietnicy. Uparła się też, że ma wejść z nią do środka, widocznie podejrzewając, że Huldar czmychnie. Prawdę mówiąc, jej podejrzania nie były nieuzasadnione.

Huldar rozważał najróżniejsze teorie na temat możliwej roli Jónssona

w kradzieży trumny, musiał jednak co chwila przytakiwać skinieniem głowy, wyrażając nieszczerą opinię na temat wielu dziewczęcych ubranek, które Freyja podtykała mu pod nos. Za każdym razem mówił coś w rodzaju: „ładne, kupiłbym”, ale niestety nie działało. Ostatecznie wybrała coś, nie pytając go o zdanie, i mogli wyjść.

Na świeżym powietrzu jego myśli się skryształizowały.

Po pierwsze, musi natychmiast odnaleźć Jóna Jónssona i wezwać go na przesłuchanie.

Po drugie, nie ma pojęcia, co może się stać potem.

Był jednak pewien, że coś się stanie.

Rozdział 17

Freyja nie mogła wyjść ze zdumienia: córka Baldura wyglądała zupełnie jak przedstawiony na robiącym właśnie zawrotną karierę w internecie zdjęciu Zły Kot. Pamiętając fotografie z dzieciństwa swojego brata, spodziewała się gęstych jasnych loków, niebieskich oczu i słodkiego uśmiechu, nie mogła jednak bardziej się mylić w swoich oczekiwaniach. Nieustannie myślała o tej setnej części procenta możliwości, że Baldur jednak nie jest ojcem tego dziecka. Saga miała oliwkową cerę, a jej różane wargi zwracały się kącikami do dołu w grymasie, który według jej matki gościł na jej twarzy zawsze. Tylko urocze pyzate policzki były takie jak u małego Baldura. Ale Freyja nie odważyła się ich dotknąć. Oczy dziewczynki śledziły każdy jej ruch, a wykrzywione w podkówkę usta wskazywały, że się spodziewa najgorszego. Freyja bała się ją poklepać, żeby dziewczynka nie zaczęła ryczeć. A wizyta i bez tego przebiegała marnie.

Freyja przypominała sobie wszystkie wizyty, które razem z Baldurem składali u dziadków. Zmuszano ich wówczas do zabawy z innymi dziećmi, żeby dorośli mogli spokojnie porozmawiać. A te zabawy niezmiennie się kończyły zażenowaniem, gdy padły wszystkie oczekiwane w takiej sytuacji pytania: Do której szkoły chodzisz? Grasz w nogę? Macie psa? Moment, w którym zapadała niezręczna cisza, wyznaczało zwykle pytanie, jaką mają konsolę do gier. Pozostałe dzieci po prostu nie mogły się zadawać z kimś, kto nie posiadał czegoś takiego.

Tym razem nie musiała czekać na konkretne pytanie, żeby zrobiło się niezręcznie. Było tak, odkąd przeszła przez próg. Fanney, matka Sagi, początkowo się wahała, czy ma ją wpuścić, gdy wreszcie podjęła decyzję, nie była pewna, jak ma się zachować. Raz była wyjątkowo miła i przyjacielska, a chwilę później lodowata i oschła. Choć przecież sama się zgodziła na wizytę: Freyja nie pojawiła się tutaj ni z tego, ni z owego, wciskając jej prezent z nadzieją, że zostanie wpuszczona do środka. Sprezentowana sukienka była zbyt kolorowa dla Sagi, która prawdopodobnie lepiej

wyglądałyby w stonowanych kolorach, na przykład w odcieniach szarości albo w żałobnej czerni. Na pewno nie pasowała do niej sukienka w truskawki z bąbelkową spódnicą, na którą, jak zaczynała teraz myśleć, namówił ją Huldar.

Sukienka gryzła się też z wystrojem wnętrza. W mieszkaniu było jak w pudełeczku: każda rzecz miała swoje miejsce, otoczone co najmniej metrową strefą ochronną. Wyglądało zupełnie jak mieszkania niektórych koleżanek Freyi, które na eksponowanych miejscach umieszczały wszystko, co było kosztowne albo modnej marki, bez różnicy: dzbanek do śmietanki czy wyciskarka do cytryn. Na jednej półce stała tylko torebka. Nie było ani śladu dziecięcych zabawek i Freyja mogła tylko mieć nadzieję, że dziecięcy pokój nachmurzonej Sagi znajduje się gdzieś w głębi mieszkania. Podejrzewała jednak, że pozostałe pomieszczenia też charakteryzuje minimalizm.

– Ty nie masz dzieci? – Fanney wypła łyk kawy z filiżanki Royal Copenhagen. Freyja mogłaby przysiąc, że celowo przeciągnęła ten moment, aby dłużej było widać znak firmowy.

– Nie. Jestem singielką. Obecnie. – Posłała kobiecie szeroki uśmiech, który natychmiast zniknął. Wolałaby, żeby rozmowa zeszła z jej prywatnego życia.

– Nawet lepiej, bo nie muszę sprawdzać twojego męża ani chłopaka. – Fanney delikatnie odstawiła filiżankę na piękny spodek. – Wydajesz się miła, a ponieważ jesteś psychologiem dziecięcym, to zakładam, że można ci ufać, jeśli chodzi o kontakty z dziećmi. A przynajmniej taką mam nadzieję. A ponieważ nie masz partnera, ryzykuję tylko raz, nie podwójnie. Muszę przyznać, że to wielka ulga. Czuję się znacznie lżej. Oczywiście także dlatego, że cię poznałam osobiście.

Freyja uśmiechnęła się z zakłopotaniem. Nie miała pojęcia, o czym ta kobieta mówi, w dodatku ciągle wracała myślami do sprawy, w którą Huldar ją wplątał. Odpowiedziała tak wymijająco, jak się dało.

– Ja też się cieszę.

– Baldur zapewniał mnie, że twoje mieszkanie jest odpowiednie. Czy mogę mu ufać, czy mam przyjechać i sama sprawdzić?

– Myślę, że możesz mu ufać. – Freyja nie miała zamiaru wpuszczać tej kobiety do siebie. W porównaniu z tym apartamentem mieszkanie Baldura przypominało sklep z używanymi meblami. Ale to pytanie ją zaintrygowało,

choć Fanney wydawała się usatysfakcjonowana odpowiedzią i nie należała na wizytę, czy raczej inspekcję.

– Przepraszam, ale chyba czegoś nie rozumiem. Dlaczego miałabyś sprawdzać moje mieszkanie?

Fanney zrobiła zaskoczoną minę.

– Chyba nie zakładałaś, że się przeniesiesz tutaj?

Mała Saga siedziała na podłodze, sumiennie zwracając głowę na tę z nich, która akurat mówiła, przez co wyglądała jak kibic na meczu tenisowym. Nagle zmarszczyła brwi i jej mina stała się jeszcze bardziej zagniewana. Choć była zbyt mała, żeby rozumieć, o czym rozmawiają, miała wystarczającą wrażliwość, żeby wyczuwać nastrój: wyraźnie działo się tu coś ciekawego.

– Nie, ani przez chwilę nie zakładałam, że się tu przeniosę. Choć muszę przyznać, że nie bardzo rozumiem, o czym mówisz.

– Nie?

Fanney podniosła Sagę z podłogi i posadziła sobie na kolanach. Freyja ze zdziwieniem stwierdziła, że dziewczynka nie jest podobna także do matki. Można by pomyśleć, że ktoś ją podmienił.

– Mówię o ojcowskich weekendach – wyjaśniła – które obiecałaś odbywać za Baldura, dopóki on jest... no wiesz – kładąc dłonie na uszach córeczki, dokończyła szeptem – w więzieniu. – Po chwili zabrała dłonie. – Przynajmniej co drugi tydzień muszę mieć wolny na naukę. Nie wiem, czy Baldur przekazał ci takie szczegóły, ale po Bożym Narodzeniu zaczęłam studia i nadal pracuję. To jednak trudniejsze, niż przypuszczałam. Byłoby mi łatwiej, gdybym miała choć kilka dni w miesiącu, żeby się skupić na nauce. – Mocniej uścisnęła Sagę. – Ale nie możesz jej zatrzymać na noc. Tylko w ciągu dnia, kiedy się uczę.

Jakimś cudem Freyja zdołała nie pokazać po sobie, co myśli. Baldur zobowiązał się za nią do czegoś, nie pytając jej o zdanie! Choć oczywiście jej to nie zaskoczyło.

– Tak, jasne. Przepraszam, nie skojarzyłam. – Ewidentnie Baldur znał swoją siostrę lepiej, niż ona sama znała siebie. Nie mogła zaprzeczyć, że złożyła taką obietnicę, bo zapewne natychmiast zobaczyłaby drzwi z drugiej strony. A za tymi drzwiami została jej dziwna, nachmurzona bratanica z buzią w podkówkę, której mogłaby nie zobaczyć aż do końca wyroku Baldura.

Poza tym co ważniejszego miała do roboty w co drugi weekend? Życie było wystarczająco okrutne dla tej małej kruszyny, nawet gdyby Baldur faktycznie się zmienił, bo nie jest łatwo dorastać jako dziecko skazanego przestępcy. Pod jego nieobecność Freyja ma reprezentować rodzinę ze strony ojca. I zrobi to bez wahania, oczywiście po tym, jak obedrze Baldura ze skóry za to, że zwałił na nią swoje ojcowskie obowiązki, nawet nie pytając jej o zdanie. – Nie ma alergii na psy, prawda?

– Nie, nie jest uczulona na nic. Masz psa? – W głosie Fanney pobrzmiwały wątpliwości. – Dużego?

– Och, nie jest taka duża. – W sensie, w którym takie duże nie są słonie. – Ale oczywiście będę ją trzymać z dala od Sagi. – Jeśli okaże się to za trudne, na dane weekendy Molly powędruje do hotelu dla psów. – Jesteś pewna, że Saga będzie chciała ze mną zostawać? Czy jest nieśmiała? Zdaje się, że nie przypadłam jej do gustu. – Freyja pomyślała właśnie, że dziewczynka robi taką minę, bo jej nie ufa. To byłby koszmar spędzać cały dzień z płaczącym dzieckiem. Może normalnie jest cała w uśmiechach?

– Nie przypadłaś jej do gustu? Ależ jest tobą zachwycona! – Fanney wyciągnęła szyję, żeby spojrzeć na twarz swojej córeczki, po czym podniosła wzrok na Freyję. – Nie widzisz?

Patrząc w marsowe oblicze Sagi, Freyja się uśmiechnęła. Grymas niezadowolenia nie ustąpił. To było prawdziwe wyzwanie. Postanowiła, że przywoła uśmiech na twarz tej małej dziewczynki żeby nie wiem co.

Ostatecznie połajanka, której wysłuchał od niej Baldur, nie była nawet w części tak ostra, jak zamierzała. Zostawiła mu wiadomość, żeby oddzwonił, po czym złamała ograniczenie prędkości, żeby zdążyć do domu przed telefonem od niego. Podłączyła aparat do ładowarki, rzuciła się na kanapę i poczuła, że jej oburzenie słabnie. Robiła wszystko, żeby brzmieć groźnie, ale on co chwila przerywał jej pytaniami o swoją córkę, i złość minęła jej do reszty. Freyja opisała więc małą dziewczynkę, choć pominęła przyklejony do jej buzi grymas, zdając sobie powoli sprawę z tego, że wychwała Sagę pod niebiosa i robi to z pełnym przekonaniem.

Baldur szybko wyczerpał swój repertuar pytań, zdradzając tym, jak niewiele wie o małych dzieciach. Widać zdawał sobie z tego sprawę, bo zmienił temat.

– Posłuchaj, rozmawiałem z kolesiem, który siedział w celi z tym

pedofilem.

– Naprawdę? – Freyja zdążyła już się rozłożyć na zniszczonej sofie, ale słysząc te słowa, znów się poderwała.

– Wypytałem go o wszystko, co moim zdaniem mogłoby cię zainteresować. No więc gość jest bardzo podejrzliwy. Uważał na słowa, jakby myślał, że ktoś usłyszy albo cela jest na podsłuchu. Ale to typowe dla takich jak on. Obsesyjnie starają się wyglądać normalnie, przez co są ciągle spięci. Tobie pewnie nie muszą tego mówić, ale oni uznają swoje potrzeby za naturalne i nie potrafią zrozumieć, dlaczego reszta z nas się z tym nie zgadza.

Baldur miał rację: nie musiał jej o tym mówić.

– A ten człowiek, z którym rozmawiałeś, zauważył coś ciekawego?

– Pewnie. Ale bez rewelacji. – Baldur ziewnął do telefonu, jakby dla podkreślenia prawdziwości swoich słów. – Ten mój znajomy twierdzi, że listy nie były od żony. Zerwała z nim wszelkie kontakty, gdy został aresztowany. Do wyroku trzymali go w areszcie i wtedy dostał papiery rozwodowe. Żona skorzystała z pierwszej okazji, żeby się go pozbyć. Nie czekała nawet na potwierdzenie, czy jest winny czy nie. Chociaż to było oczywiste. I nigdy go nie odwiedziła, kiedy siedział.

– Zrozumiałe. Musiała skakać z radości, gdy zniknął z jej życia. Założę się, że traktował ją okropnie. To zawsze tak działa. Sytuacja prowadzi do psychicznego złamania takich kobiet. Dopiero gdy zostaną odizolowane od brutalnego męża, zaczynają widzieć rzeczy w prawdziwym świetle. – Freyja zamknęła na chwilę oczy, nagle czując zmęczenie. – A dzieci? Zakładam, że poszły za jej przykładem i zerwały kontakty? Wiem, że obydwoje używają nazwiska matki, nie jego.

– Tak? A kolega mi powiedział, że przynajmniej jedno przyszło go odwiedzić.

– Co?

– Ale z tego co wiedział, tylko raz. Jónsson był w doskonałym nastroju po tych odwiedzinach, czyli wszystko musiało dobrze pójść. Możliwe, że wizyt było więcej, ale ten mój znajomy wyszedł na wolność, a kiedy później znów dostał wyrok, trafił na inny oddział.

– Czy wspomniał, kiedy te odwiedziny miały miejsce? Tuż przed wypuszczeniem Jónssona czy wcześniej?

– Chyba mówił, że jakieś dwa lata temu.

Sigrún miała wtedy osiemnaście lat, a Thröstur dwadzieścia dwa. Może

dziesięć lat wystarczyło, żeby jedno z nich zapomniało, jak potworny to był czyn, i doszło do wniosku, że ojciec nie jest aż taki zły. Albo może chcieli poznać jego plany, bo 2014 rok był tuż przed terminem, w którym mógł się starać o przeniesienie do ośrodka resocjalizacyjnego. Skąd mieliby wiedzieć, że ojciec nie otrzyma tej szansy?

– A listy? Co mówił o listach? Mogły być od dzieci?

– Nie miał pojęcia, co było w tych listach ani kto je przysyłał, chociaż go to ciekawiło. Jak mnie i wszystkich innych. Może jednak były od dzieci.

Freyja nie wspomniała, że Huldar zamierzał zwrócić się do władz więzienia z pytaniem o treść tej korespondencji. Policjanci nie należeli do ulubieńców Baldura.

– Pytałeś, czy zdaniem tego kolegi Jónsson mógł znowu skrzywdzić jakieś dziecko? Albo szukać zemsty?

– Zemsty? – Ton Baldura sugerował, że nie potrafi wybrać między zaskoczeniem a oburzeniem. – Za co, do cholery? Jeśli ktoś miałby szukać zemsty, to rodzice zmordowanej dziewczynki. Albo jego była żona. On poszedł siedzieć z własnej winy i nie mógł za to winić nikogo innego.

– Wiem, Baldurze. Wszyscy inni to wiedzą, ale on niekoniecznie. Może uważa, że jest ofiarą całej sprawy. – Dyskusja była bezcelowa, ponieważ nie mogła mu zdradzić, co się dzieje, dlatego uznała, że powinna ją zakończyć. I tak przekroczyli już limit rozmowy telefonicznej dla więźniów. Podziękowała mu zatem i się pożegnała, najpierw jednak poprosił, żeby jeszcze raz opowiedziała mu, jak bardzo słodka jest jego córeczka. Gdy się rozłączyła, pomodliła się w duchu, żeby Saga zamieniła się w uroczonego bobaska, zanim Baldur wyjdzie z więzienia.

Freyja znów podłączyła telefon do ładowarki, po czym wstała i poszła do kuchni, żeby nakarmić psa. Molly pochłaniała nieapetyczne psie żarcie, jakby podano jej najlepszy kawałek wołowiny krzyżowej. Chwilę po tym, jak opróżniła miskę, pobiegła do drzwi, po drodze zahaczając o wszystko w małym przedpokoju, ogłupiała z radości, że przyszła pora na spacer. To była część ich codziennej rutyny: najpierw kolacja, a potem wspólne wyjście. Bez względu na pogodę i samopoczucie Freyi. Wszystko było jednak lepsze od sprzątnięcia po psie w mieszkaniu.

Freyja włożyła już buty i kurtkę, gdy usłyszała dzwonek telefonu. Chciała wrócić do pokoju dziennego, ale Molly pisnęła ostrzegawczo. Freyja uznała więc, że lepiej będzie oddzwonić później.

Okazało się, że dzwonił Huldar i zostawił wiadomość. Chciał poprosić o jej opinię w jakiejś sprawie i pytał, czy może przyjechać. Z butelką czerwonego wina. Albo dwiema. Ku swojemu zaskoczeniu chciała się zgodzić niemal natychmiast. Próbowwała się oszukiwać, że chodzi o ciekawość, co się dzieje w śledztwie, ale w końcu musiała sama przed sobą przyznać, że zależy jej na spotkaniu z Huldarem.

Zanim odpisała, zdołała się opamiętać. Widocznie brak seksu źle na nią działał. Coś z tym zrobi w weekend, jak planuje od dawna. Potem przypomniała sobie o swojej nowej roli weekendowego ojca. Wzdychając, sięgnęła po odłożony telefon. Niektórych rzeczy po prostu się nie da uniknąć: egzaminów, błota pośniegowego, próchnicy, podatków i, wszystko na to wskazywało, Huldara. Ale nie pozwoli, żeby to spotkanie stało się pierwszym krokiem na drodze do odnowienia ich intymnej znajomości. O nie! Wyraźnie da mu do zrozumienia, że taka możliwość nie wchodzi w grę.

Rozdział 18

Ponieważ specjaliści od identyfikacji ani trochę się nie zbliżyli do odkrycia, czyje dłonie zostały znalezione w jacuzzi, policja postanowiła zaapelować do mieszkańców w nadziei, że ktoś rozpozna przekazany w komunikacie opis. Spodziewali się licznych telefonów w tej sprawie, ponieważ opis był na tyle nieprecyzyjny, że mógł pasować do tysięcy mężczyzn. Ofiara miała nie mniej niż pięćdziesiąt, ale nie więcej niż siedemdziesiąt lat. Stanu cywilnego nie znali, ponieważ ślad po obrączce na palcu lewej dłoni był niewyraźny, co sugerowało, że mężczyzna mógł być rozwiedziony, ale też mógł po prostu przestać nosić obrączkę. Prawdopodobnie wykonywał jakąś pracę biurową, ale równie dobrze mógł być emerytem lub bezrobotnym. Miał grupę krwi zero plus jak połowa ludzi w kraju, ale to nie wykluczało obcokrajowca. Prawdopodobnie był członkiem jakiejś organizacji, na przykład masonerii. Na tym opis się kończył.

Huldar usłyszał o komunikacie pod koniec porannej odprawy zespołu śledczego. Centrum koordynacyjne było tak zapchane, że niektórzy z obecnych musieli stać. Erla poinformowała o postępach prac nad poszczególnymi wątkami, nie wspomniała jednak o kapsule czasu ani trumnie znalezionej na wysypisku. Napomknęła jednak po raz pierwszy o możliwym powiązaniu z Jónem Jónssonem, choć nie przedstawiła szczegółów. Huldar wolałby, żeby opisała list z kapsuły, ujawniła powiązania Jónssona z zamordowanym prokuratorem Benediktem Toftem oraz zakomunikowała, że trumnę wykopano z grobu ojczyma Jóna Jónssona. Zamiast tego Erla napomknęła przy okazji, że nazwisko Jóna Jónssona przypadkiem pojawiło się w związku ze śledztwem. Huldar pocieszał się, że może więcej na ten temat padnie podczas jutrzejszej odprawy, bo jeśli nie, trudno mu będzie osiągnąć jakieś postępy. Zbadanie ewentualnych dalszych powiązań tego wątku ze śledztwem znacznie przekraczało jego możliwości. Przejmował się zwłaszcza inicjałem K, który pasował do Kolbeinna, kierowcy samochodu z garażu podziemnego, ale Erla nie podzielała jego

obaw.

Najlepszym sposobem, żeby się dowiedzieć, czy litera K to inicjał Kolbeinna, czy też oznacza zupełnie inną osobę, byłoby wyduszenie tej informacji z Thröstura. W końcu to on napisał list zapowiadający zgony. Gdyby to zależało od Hul dara, dałby pierwszeństwo właśnie temu przesłuchaniu, oczywiście oprócz rozmowy z Jónssonem. Ten człowiek już pokazał, że potrafi się posunąć do ostateczności, co czyniło z niego prawdopodobnego kandydata na mordercę.

Mimo przebiegu odprawy Hul dar był w tak świetnym nastroju, że nie mógł się złościć na Erlę. Tego ranka był życzliwie nastawiony do całego świata, ponieważ wczorajszy wieczór nie mógłby się zakończyć lepiej.

Hul dar nie miał pojęcia, co w końcu zdaniem Freyi zrobił dobrze. Naprawdę nie rozumiał kobiet, choć mężczyzn też chyba nie. Nie umiał sobie wyobrazić, co się dzieje w kobiecej głowie. Bez względu na powód Freyja zgodziła się z nim spotkać, i to wcale nie tylko po to, żeby porozmawiać o morderstwie albo molestowaniu dzieci. Zaprosiła go do siebie i na początku była raczej przygaszona, jakby żałowała swojej decyzji. Ale się postarał, żeby nie miała okazji do uprzejmego zakończenia jego wizyty. Jeśli chodzi o relacje z płcią przeciwną, Hul dar był prawdziwym weteranem zarówno w maratonach, jak i biegach z przeszkodami. W końcu Freyja poczuła się swobodnie albo dzięki czerwonemu winu, albo dzięki niewyczerpanym zasobom policyjnych anegdot, którymi dysponował. Zresztą nieważne dlaczego. Gdy opróżnili drugą butelkę czerwonego wina i Freyja zaczęła mamrotać o weekendowych ojcach i opiece nad małymi dziećmi, choć kompletnie nie rozumiał dlaczego, usiadł tuż przy niej, po tym jak przez cały wieczór się przysuwał coraz bliżej. Nie odepchnęła go – a po chwili już nie potrafiłby powiedzieć, które z nich chętniej zrzucało ubranie.

W tym momencie Hul dar doznał olśnienia. Jeśli chciał osiągnąć z tą kobietą coś więcej niż jednorazowy numerek, to seks po alkoholu na kanapie z brakującą poręczą nie był najlepszym początkiem. Zamiast więc wykorzystać swoją przewagę, cofnął się, oznajmiając Freyi, że lepiej będzie, jak już pójdzie. Szklistymi oczami patrzyła na niego zdumiona i speszona zarazem, ze szminką rozmazaną wokół ust. Na chwilę jego determinacja osłabła, ale postanowił zignorować ból między nogami. Chropawym głosem podziękował jej za miły wieczór, ubrał się i wyszedł.

Gdy czekał na taksówkę, zerknął w stronę bloku. Freyja stała w oknie,

patrząc za nim. Uznał to za potwierdzenie, że choć raz postąpił właściwie. Zazwyczaj kobiety, z którymi spał, następnego dnia budziły się tak skacowane, że nie miały siły nawet podnieść ręki, żeby mu pomachać na pożegnanie. Ten widok był tak mało zachęcający, że zwykle już się do nich nie odzywał, a one także się z nim nie kontaktowały, ponieważ jego twarz zapewne już na zawsze kojarzyła im się z wymiotami i przeszywającym bólem głowy, a przyjemność z nocnego seksu stawała się mglistym wspomnieniem.

Erla zwróciła na siebie uwagę, z hukiem odkładając pilot od rzutnika.

– Nie słuchasz? – Zmarszczyła brwi. Tak jak Huldar miała cienie pod oczami, ale u niej były wynikiem zmartwienia i przepracowania, podczas gdy on się nabawił swoich od czerwonego wina oraz wåtpliwości, czy postąpił dobrze, które go opadły potem. – Jeśli nie potrafisz się skupić na pracy, to pojedzie ze mną ktoś inny.

– Tak. To znaczy nie. Na chwilę się zamyśliłem. Przepraszam. – Huldar zmusił się do koncentracji. – Czy możesz powtórzyć ostatnią część swojej wypowiedzi?

Erla cmoknęła z irytacją, ale spełniła jego prośbę. W pomieszczeniu znajdowali się tylko oni. Wcześniej powiedziała mu, żeby po odprawie został na krótką rozmowę, i Huldar oczekiwał, że albo go przeprosi za wczorajszy wybuch, albo da mu opierdol. Nieprzewidywalna jak zawsze, nie zrobiła ani tego, ani tego.

– Jadę do szpitala, żeby przesłuchać Kolbeinna. No wiesz, tego, który przeciągnął tego biednego sukinsyna między stalowymi prętami. Lekarze dali nam zielone światło. Jedziesz ze mną?

– Tak, oczywiście. – Huldar był nieco zaskoczony, ale tego nie okazał. Przesłuchanie Kolbeinna było ważne. Pierwsza próba – podjęta w czasie gdy Huldar przebywał na wysypisku – zakończyła się taką katastrofą, że Erlę i jej kolegę wykopano ze szpitala, zabraniając wracać, dopóki pacjent nie wyzdrowieje. Choć podczas incydentu mężczyzna nie odniósł obrażeń fizycznych, to przeżył, co zrozumiałe, wielki szok. Gdy wieczorem tego dnia dotarł do domu, doznał ataku serca i został skierowany na pilną plastykę naczyń. Dzień później Erla pojechała do szpitala, żeby go przesłuchać, i znów omal nie wylądował na stole operacyjnym.

– Wpuszczą nas? – zapytał Huldar.

– Tak. Rozumieją, jak to dla nas ważne, żeby z nim porozmawiać. –

Unikając jego wzroku, Erla zaczęła zgarniać dokumenty, których używała podczas odprawy. – Musiałam poprosić panów piętro wyżej, żeby porozmawiali z dyrektorem szpitala. Lekarze nie odbierali moich telefonów. To znaczy odebrali raz i jakaś pielęgniarka przywołała mnie do porządku. Jakbym chciała rozmawiać z Kolbeinnem po to, żeby dostał kolejnego zawału.

Huldar nagle zaczął wszystko rozumieć. Więc to dlatego Erla zabierała go ze sobą! Raz omal nie zabił człowieka podczas przesłuchania, oczywiście niechcący, ale do tego samego się sprowadzało. Stało się to podczas feralnego śledztwa, które kosztowało go stanowisko. Gdyby więc także tym razem coś poszło nie tak, wszystko wskazywałoby na niego. Dobry nastrój trochę osłabł, ale Huldar bardzo się starał, żeby go zachować. Czy to naprawdę miało znaczenie, dlaczego zabierała go ze sobą? Przynajmniej osiągnie tę przewagę, że z pierwszej ręki pozna zeznania mężczyzny i będzie miał szansę, żeby go zapytać o powiązania z Jónem Jónssonem. Ponieważ nie były one oczywiste, jak zdążył ustalić. Jeśli Erla sobie wyobrażała, że potulnie i milcząco przesiedzi cały ten czas na niewygodnym szpitalnym krześle, a potem weźmie winę na siebie, jeśli facet padnie trupem w środku przesłuchania, to się grubo myliła.

Przynajmniej raz panowała piękna zimowa pogoda. Niebo było bezchmurne, ucichł dokuczliwy wiatr, a śnieg lśnił nieskazitelną bielą. Chociaż szczypały ich policzki, mroźne powietrze było ożywcze. Resztki kaca zniknęły, gdy Huldar otworzył okno samochodu, wystawił głowę i napełnił płuca. Odetchnął jeszcze raz, by się upewnić, że efekt jest trwały, po czym zasunął szybę. W takie dni jak ten miał ochotę poszusować, mimo iż nigdy nie posiadał własnej pary nart ani nawet ich nie wypożyczał. W dzieciństwie mógł dostać je w spadku po siostrze, ale były różowe i pokryte nalepkami z króliczkiem, prędzej by więc umarł, niż się w nich pokazał.

Prawie nie rozmawiali po drodze do szpitala. On nie chciał zaczynać rozmowy, żeby przypadkiem się nie wygadać, że przejrzał jej pozornie przyjacielski gest, a ona prawdopodobnie to wyczuła, bo skupiła się na prowadzeniu samochodu, mimo to zaliczyła wszystkie czerwone światła po drodze.

Gdy wyszli z auta, Huldar podziwiał stary biały budynek szpitalny, który został zaprojektowany tak, by zaspokoić potrzeby kraju w najbliższej

przyszłości. Masa brzydkich dobudówek i aneksów świadczyła, jak nieuzasadniona była tamta pewność. Huldar spojrział na fryz wykonany przez Guðmundura z Middelut. Pamiętał, że pokazywała mu go babka, gdy przyjeżdżał z nią do Reykjavíku na badania. Powiedziała mu, że praca nosi tytuł „Opieka i leczenie”. Jako dziecko nie bardzo rozumiał, co to znaczy, teraz jednak podziwiał pokorę artysty, który dostrzegał, jak ograniczone są ludzkie możliwości ingerowania w trudny cykl życiowy. Nie wszystkich można uratować, czasem da się tylko ulżyć w cierpieniu. Niezliczone pobyty w szpitalu niewiele dały w przypadku jego babki.

Ponieważ Erla była tu już wcześniej, nie zatrzymali się, żeby pytać o drogę, tylko ruszyli prosto do wind. Towarzyszył im pacjent we frotowym szlafroku podłączony do przenośnej kroplówki. Miał na głowie wełnianą czapkę i śmierdział dymem papierosowym. Huldar chciał zaproponować mężczyźnie gumę do żucia, ale ten nie dał mu takiej szansy, wysiadł bowiem na pierwszym piętrze. Wykład o szkodliwości palenia usłyszy zapewne od pierwszego napotkanego pracownika szpitala.

Huldar mógłby przysiąc, że siedząca w przeszklonej dyżurce, monitorująca ruch na korytarzu kobieta zeszywniała na widok Erli. Skoczyła na równe nogi i zniknęła na zapleczu, prawdopodobnie po to, aby uprzedzić lekarza, że wróciła detektyw, która wczoraj omal nie zabiła jednego z pacjentów. Huldar miał nadzieję, że lekarz został poinformowany o zgodzie, którą Erla ponoć otrzymała. Inaczej będzie to nie tylko strata czasu, ale i wstyd jak cholera. Nie miał ochoty stąd wylecieć na oczach ciekawskich pacjentów, którzy im się przyglądali, nie mając nic lepszego do roboty.

Ale nikt ich nie wygonił i bez przeszkód weszli do sali Kolbeinna. Najwyraźniej szpital uznał, że nie wystarczy zasłona między łózkami i trzeba go odizolować od pozostałych pacjentów. Sprawiał zbyt wiele zamieszania na sali ogólnej, bo po traumatycznym przeżyciu krzyczał przez sen.

– Uff, znowu pani. – Kolbeinn sięgnął po dzwonek. Był błydy i wychudzony, przypięty nie tylko do kroplówki, jak mężczyzna w windzie, ale też do kilku pikających urządzeń. Mały monitor pokazywał pracę jego serca. – Chcecie mnie wykończyć? Myślałem, że policja ma wyjaśniać, a nie powodować zgony.

Huldar podszedł i odsunął przycisk dzwonka, zanim Kolbeinn zdążył wezwać pomoc.

– Nikt nie przyjdzie. Mamy zgodę, żeby tu być. Obiecuję, że będziemy

ostrożniejsi niż poprzednio. – Schylił się, żeby po omacku odnaleźć dźwignię pod łóżkiem, i podniósł Kolbeinna do pozycji siedzącej. Nie da się przesłuchiwać kogoś, kto leży na plecach i gapi się w sufit. A już na pewno nie w sytuacji, gdy trzeba obserwować najdrobniejsze zmiany w wyrazie jego twarzy. Mając w pamięci, jak kategorycznie Benedikt Toft twierdził, że obcięte dłonie w jego ogrodzie nie mają z nim nic wspólnego, spodziewali się, że także Kolbeinn może mataczyć na temat powiązań z mężczyzną, którego nieumyślnie zabił w garażu podziemnym. Ta sprawa była wyjątkowo dziwna, ale nikt nie popełnia takich przerażających zbrodni bez powodu. Jeśli ustalą, co się za nimi kryje, reszta będzie prosta, a przynajmniej prostsza.

Erla przystawiła krzesło do łóżka, Huldar przyniósł kolejne spod ściany i usiadł obok niej. Przeszła prosto do rzeczy. Zapewne się obawiała, podobnie jak Huldar, że lada moment może interweniować personel szpitala.

– Niestety muszę to zrobić. Żałuję, że pańskie zdrowie jest takie delikatne, ale nie możemy wstrzymywać śledztwa, aż pan wyzdrowieje. Jest pan kluczowym świadkiem.

– Ja? – Kolbeinn przewrócił oczami, próbując usiąść wygodniej. – Jeśli ja jestem kluczowym świadkiem, to chyba macie problem. Nie widziałem niczego oprócz... tego mężczyzny, który... który zginął. Nie było nikogo, gdy szedłem po mój samochód, i nikogo, gdy zostawiałem go na parkingu tamtego ranka.

– Czyli nadal pan uważa, że to był przypadkowy wybór? – Głos Erli ociekał sarkazmem i Huldar postanowił jej przerwać przy pierwszej okazji. Jeśli stan tego mężczyzny chociaż trochę się pogorszy, to upłynie wiele czasu, zanim znów go przesłuchają. Na to żadną miarą nie mogli sobie pozwolić.

– Owszem. Nie tylko tak myślę. – Na wykresie pracy serca nastąpił wyraźny skok, któremu towarzyszył wzrost wyświetlanych na ekranie cyferek. – Ja to wiem. – Odczyt się uspokoił. Czy to możliwe, żeby kardiomonitor sprawdzał się także jako wykrywacz kłamstw?

– No dobrze. – Huldar przechylił się w stronę łóżka. – Ale nawet ludzie, którzy są czegoś pewni, po namyśle mogą dojść do wniosku, że się mylili. Dlatego zadamy panu kilka pytań i zależy nam, żeby odpowiedzi były jak najdokładniejsze. Jeśli trzeba, proszę się bez pośpiechu zastanowić. To nie jest wyścig z czasem.

Kolbeinn był wyraźnie zadowolony, że może się zwrócić do Hul dara. W każdym razie odczyty na monitorze znów opadły.

– Nie mogę wam pomóc. Zaparkowałem auto rano, a poszedłem je zabrać po skończonej pracy. Nie mam nic wspólnego z tym, co się stało, i nie znam nikogo, kto byłby zdolny zrobić coś takiego. Nie mogę odpowiedzieć inaczej, choćbym przeczesał pamięć nie wiem jak długo. Jestem w tej sprawie ofiarą. Wybraną na ślepo.

Hul dar kontynuował natychmiast po tym, jak mężczyzna skończył mówić.

– Niech pan mi coś powie. Miał pan trochę czasu, żeby się zastanowić, a nie wierzę, że nie myślał pan o człowieku, który zginął. Nie pamięta pan, czy coś was mogło łączyć? Może to był jakiś dawny klient albo znajomy z dzieciństwa? Benedikt Toft to nietypowe nazwisko.

Kolbeinn uniósł głowę ze śnieżnobiałej poduszki tylko na tyle, żeby nią pokręcić.

– Nie, nie i jeszcze raz nie. To był zupełnie obcy mężczyzna. Nigdy go nie znałem i o ile mi wiadomo, nigdy nie był naszym klientem. Choć oczywiście nie znam wszystkich po nazwisku. Obsłużyliśmy już ponad tysiąc klientów. – Ani jeden z tych tysiąca klientów nie zadał sobie trudu, żeby mu przysłać kwiaty, czekoladki albo chociaż kartkę. Stolik przy łóżku był pusty, jeśli nie liczyć złotego plastikowego kubka.

– Nie był ich klientem – zwróciła się do Hul dara Erla wyraźnie rozdrażniona. Planowała sama prowadzić to przesłuchanie. – Oczywiście to sprawdziliśmy. – Spojrzała na Kolbeinna, który nieco się skrzywił, widząc, że ponownie przejęła inicjatywę. Linia na wykresie znów straciła na regularności, choć powodem była raczej obawa przed kolejnym atakiem serca niż wzmianka o Benedyku Tofcie. – Niech pan zapomni o pracy. Sprawdziliśmy też, czy wasze drogi skrzyżowały się z powodu wykonywanego przez niego zawodu prokuratora. Też niczego nie znaleźliśmy. Ale z drugiej strony, nie mamy możliwości sprawdzenia tej części pańskiego życia, która jest poza protokołem. Na przykład ofiara była masonem. Czy pan jest albo był masonem? – Podczas odprawy Erla zrobiła z tego wielki problem, ponieważ masoneria jako jeden z nielicznych elementów łączyła Benedikta z właścicielem odciętych dłoni. Ta teoria była jednak trochę naciągana: ślad na palcu wcale nie musiał być odciśnięty przez pierścień wolnomularzy. Mimo to lepsza taka poszlaka niż żadna, dlatego policjanci sprawdzali właśnie masonskich znajomych Tofta w poszukiwaniu

kogoś, kto ostatnio zaginął. Dotychczas bez rezultatu.

Blade policzki Kolbeinna jakby się trochę ożywiły.

– Nie. Nie jestem i nigdy nie byłem masonem. – Odkaszlnął, po czym dodał pogardliwie: – Nie mówi pani poważnie, prawda? Nie myślicie chyba, że człowiek skończył w taki sposób tylko dlatego, że był masonem?

– Nie, oczywiście, że nie. – Głos Erli nie stracił ani odrobiny rozdrażnienia. – Po prostu próbujemy ustalić możliwe powiązania między wami.

– Albo potwierdzić, ku naszemu zadowoleniu, że takich powiązań nie ma. – Huldar się uśmiechnął, udając, że nie zauważa wyrazu twarzy Erli. – Powiem panu coś, co być może zachęci pana do odrobiny wysiłku, żeby nam pomóc. Powinien pan wiedzieć, że mężczyzna, który zginął przywiązany łańcuchem do pańskiego samochodu, kilka dni temu znajdował się w sytuacji bardzo podobnej do pańskiej. Twierdził, że nie ma o niczym pojęcia, a my mu uwierzyliśmy. Zamiast natychmiast go przesłuchać, poprzestaliśmy na jego zapewnieniach. I został zamordowany. Być może nic panu nie grozi, ale byłoby lepiej mieć pewność. Nie sądzi pan?

– Niby kto chciałby mnie zabić? Nikomu nie zrobiłem nic złego i... – Kolbeinn zawiesił głos. – Przysięgam. Absolutnie nic o nim nie wiem.

Erla wyjęła z kieszeni zdjęcie Benedikta Tofta. Pokazała je Kolbeinnowi.

– Tak wyglądał. W garażu widział pan na jego twarzy maskę pośmiertną, zniekształconą bólem. Wątpię, czy własna matka by go poznała. Czy to pomoże panu odświeżyć pamięć?

Kolbeinn wziął od niej zdjęcie i uważnie je oglądał. Wydawało się, że naprawdę próbuje sprawdzić w pamięci, czy znał tego mężczyznę. Huldar zauważył jednak, że trzyma zdjęcie w taki sposób, żeby nie mogli obserwować jego twarzy. Ale może był to przypadek.

– Nie. Przysięgam, że nigdy go nie widziałem. Chociaż na tym zdjęciu jest stary, nie mogę więc wykluczyć, że gdzieś się na niego natknąłem lata temu. Ma taką pospolitą twarz, zupełnie nie do zapamiętania. – Kolbeinn oddał zdjęcie Erli. – Mówicie poważnie? Naprawdę uważacie, że osoba, która przywiązała go do mojego samochodu, teraz poluje na mnie? – Strach w jego głosie brzmiał autentycznie. Jak złość, która zapłonęła zaraz potem. – Jeśli jestem w niebezpieczeństwie, to dlaczego przed moją salą nie ma ochrony policyjnej? Co się z wami dzieje, ludzie? – Odczyty na monitorze znów podskoczyły, nawet wyżej niż przedtem.

– Czy ma pan piłę łańcuchową? – Huldar nauczył się przez lata, że jednym ze skutecznych sposobów na uspokojenie ludzi jest zabicie ich z tropu pytaniem, którego się nie spodziewali. Zadziało.

– Piłę łańcuchową? O co panu chodzi? Co miałbym robić piłą łańcuchową?

– Na przykład ścinać drzewa w ogrodzie. Ma pan tę piłę czy nie?

– Oczywiście, że nie. W moim ogrodzie nie ma drzew. Mam kilka krzewów, które trzeba przycinać, ale nie atakowałbym ich piłą łańcuchową! Nawet nie wiem, jak się ją obsługuje.

– Rozumiem. W takim razie nie będzie pan miał nic przeciwko, żebyśmy się rozejrzeli po pańskim domu? – Erla znów przejęła pałeczkę i wreszcie pracowali jako drużyna. Przesłuchanie trzeba prowadzić w tandemie, chociaż oponent zwykle występuje pojedynczo. Mało kto z przesłuchiwanym prosił o obecność adwokata.

– Przeszukać mój dom? Chcecie przeszukać mój dom? – Znów reakcja mężczyzny wydawała się autentyczna. Tym razem było to autentyczne zaskoczenie. Ale nie należało przywiązywać do tego większej wagi. Nie tylko aktorzy wiedzą, jak grać. Ludzie postawieni pod ścianą potrafią przywołać całą gamę ukrytych talentów i możliwości, włącznie z siłą fizyczną, której normalnie nie mają.

– Nie nabałaganimy – uspokajająco zapewnił Huldar. – Pan i pańska żona nawet nie zauważycie naszej obecności. Zwłaszcza pan, oczywiście, ponieważ nie będzie pana w domu.

– Nie mam nic do ukrycia. Ale nie podoba mi się pomysł, żeby obcy ludzie szperali w moich osobistych rzeczach. Wcale mi się nie podoba.

Erla cmoknęła.

– Trudno. – Posłała mu przelotny uśmiech. – Wystąpimy o nakaz rewizji. Większość ludzi woli tego uniknąć, ponieważ sprawa trafia do sądu i tak dalej. Ale oczywiście to pańska decyzja.

Dłużej Kolbeinna nie trzeba było przekonywać. Pozwolił im przeszukać dom, jeśli obiecują, że nie będą w to mieszać sędziego ani sądów. Wyraźnie zależało mu na unikaniu sytuacji, które rzuciłyby choćby najmniejszy cień na jego reputację. Prawdopodobnie ze względu na pracę: to nie byłaby najlepsza rekomendacja dla pracownika dużego biura rachunkowego, że trafił do sądu w związku ze sprawą poważnego przestępstwa, bez względu na charakter, w jakim wystąpił. Huldar zanotował w pamięci ten słaby punkt Kolbeinna.

Grillowali go jeszcze na każdy temat, który przyszedł im do głowy, ale nie przyniosło to niczego konkretnego. Kolbeinn sprawiał wrażenie wzorowego obywatela, który prowadzi raczej monotonne życie, nigdy nie podejmując żadnego ryzyka ani niewłaściwych kroków. Należał do ludzi, którzy co rano czytają gazetę od deski do deski i z całą pewnością oburzała go w niej co najmniej jedna wiadomość, ale wolałby umrzeć, niż skomentować artykuł w sieci albo jakkolwiek inaczej się wychylić. Pił herbatę, mimo że miał ochotę na kawę, był pełen uprzedzeń wobec mniejszości, ale nigdy nie ujawniłby tych poglądów w towarzystwie. Chociaż Huldar też nie powiedziałby na głos, co o nim sądzi. Jego instynktowna awersja do tego mężczyzny nie miała żadnych konkretnych podstaw.

Erla zbierała się do wyjścia, gdy Huldar zadał ostatnie pytanie. Oczy utkwili w twarzy Kolbeinna.

– Czy zna pan Jóna Jónssona?

– Jóna Jónssona? Możliwe. To popularne nazwisko. – Twarz Kolbeinna nie zdradzała żadnej reakcji, tylko lekkie zmarszczenie brwi, gdy próbował skojarzyć nazwisko.

– Jón Jónsson. Niedawno wyszedł z więzienia po odbyciu kary za zamordowanie małej dziewczynki. Zna go pan? Coś pana z nim łączy?

Kolbeinn nie odpowiedział. Nad dekoltem jego szpitalnej piżamy jabłko Adama uniosło się i opadło, gdy przełykał. Potem wziął głęboki oddech i odrzekł:

– Nie. Nie znam nikogo o tym nazwisku. Absolutnie nikogo. – Ale kolor jego policzków i podnoszący się odczyt na monitorze kardiologicznym opowiadały całkiem inną historię.

Tym razem to nie Erla mu przerwała. Drzwi się otworzyły, do sali wpadł lekarz z pielęgniarką. Oznajmił policjantom, że czas odwiedzin się skończył i muszą zbadać pacjenta, a widząc odczyt na monitorze, natychmiast wyprosił ich z sali. Ulga Kolbeinna była widoczna, i to dosłownie: gdy tylko detektywi ruszyli do wyjścia, cyfry na monitorze zaczęły się szybko zmniejszać.

W drzwiach Huldar jeszcze się obejrzał. Wykres wyglądał teraz tak jak w chwili, gdy on i Erla weszli do sali.

Skurczybyk. A więc coś go wiązało z Jónem Jónssonem.

Rozdział 19

Tykanie zegara ściennego w gabinecie Sólveig doprowadzało Freyję do szału. Miała nieznośny ból głowy po wczorajszym winie i musiała się bardzo skupiać, żeby rozumieć przebieg rozmowy. Nadal nie umiała powiedzieć, co się stało, dlaczego wieczór tak się zakończył, dlaczego Huldar nagle się pożegnał i wyszedł akurat w chwili, gdy ona wreszcie chciała, żeby został. Owszem, była zadowolona, że nie będzie musiała kontaktować się z nim służbowo po tym, jak wylądowała z nim łóżku. Ale to nie była jej decyzja. O co mogło mu chodzić?

– Czyli to on okaleczył swoją siostrę? – Freyja zwalczyła nagłą ochotę, żeby ścisnąć głowę dłońmi. – Gdy miał osiem lat? – Była zaskoczona, gdy tego ranka zaraz po przyjściu do pracy usłyszała, że Sólveig woła ją do siebie. Spóźniła się pół godziny, a i tak wyglądała, jakby robiła sobie makijaż na tylnym siedzeniu samochodu kierowanego przez ucznia podczas pierwszej lekcji jazdy. Zamiast powiedzieć, że jest zajęta, i umówić się na rozmowę później, gdy trochę dojdzie do siebie, Freyja poszła natychmiast. Teraz musiała udawać, że nic złego się nie dzieje, choć miała wrażenie, że w głowie wyrosło jej drugie serce, które bije w rytmie pierwszego.

– Właśnie. Dlatego do mnie trafił. – Sólveig wyglądała jeszcze bardziej niechlujnie niż zwykle. Koszulka widoczna nad dekoltem jej hipisowskiej sukienki bez rękawów była włożona na lewą stronę, metką do wierzchu. Sólveig musiała się ubierać po ciemku albo w pośpiechu. Ale o biżuterii nie zapomniała: na swoim miejscu znajdowały się bransolety, naszyjniki i ciężkie kolczyki, które wydłużały jej płatki uszne o kilka milimetrów. To nie mogło być wygodne. – Nie pamiętam, jak do tego doszło, jeśli w ogóle to wiedziałam. Dziewczynka straciła dwa palce. Albo trzy, nie jestem pewna. Przez pewien czas leżała w szpitalu i nawet mogło się to skończyć śmiercią.

– I tak nagle sobie to wszystko przypomniałaś?

– „Nagle” to nie jest dobre słowo. Musiałam trochę pogrzebać w pamięci, ale przy pomocy starych notatników, bo zawsze notuję wszystkie ważne

informacje, które padną podczas moich sesji, udało mi się jakoś to poskładać. Przy czym dokumentacji nie znalazłam. – Sólveig spojrzała na Freyję, zaraz jednak odwróciła wzrok. – Możesz to przekazać policji. Jeśli będą woleli porozmawiać ze mną osobiście, to powinnam znaleźć wolną chwilę, chociaż mam dużo pracy. – Ostatniemu zdaniu towarzyszyło westchnienie tak przesadzone, że nadawałoby się do radiowego słuchowiska.

– Policja się nie umawia. Oni po prostu przychodzą. – Freyja nie mogła sobie uświadomić, dlaczego ta kobieta tak ją drażni. Może to przez kaca. Ale nie, to nie był tylko kac, raczej przekonanie, że Sólveig nie jest z nią szczerą. – Zobaczmy, co powiedzą. Bardziej interesują mnie dzieci. Brat okalecza siostrę, ewidentnie nieprzypadkowo. A potem co? Zostajesz wezwana, żeby zdiagnozować chłopca i go leczyć. Dobrze zrozumiałam? – Biorąc pod uwagę stan, w jakim się znajdowała, Freyja była z siebie dumna, że udało jej się to wyartykułować bez przekręcania faktów.

– Tak. Zajmowałam się wtedy kwestiami ochrony dzieci na zlecenie ratusza w Hafnarfjörður, dlatego po incydencie skierowali chłopca do mnie. Jeśli moje notatki są ściśle, a takie są, to spotkałam się z tym chłopcem pięć razy. Tyle trwała cała terapia. Potem zaczęłam własną praktykę i wygrałam przetarg na usługi specjalistyczne dla szkół. Nie wiem, co się działo, gdy odeszłam. Ale chłopak znów trafił do mnie jako nastolatek z powodu nienormalnego zachowania w szkole. Sprawa była mniej poważna, ale rozpoznałam nazwisko i poprosiłam, żeby został przydzielony na terapię do mnie.

– Jaką diagnozę postawiłaś za pierwszym razem? Co skłoniło chłopca do okaleczenia siostry?

– Jak mówiłam, nie znalazłam dokumentacji Thröstura z tamtego okresu, mogę więc się opierać tylko na tym, co pamiętam.

– To lepsze niż nic.

– Tak, oczywiście. Jeśli więc dobrze pamiętam, chłopiec przejawiał niezdrową zazdrość o swoją siostrę. Sam był dzieckiem, które nie wzbudzało ciepłych uczuć otoczenia, ale ją wszyscy uwielbiali. Jako młodsza niewątpliwie skupiała na sobie większą uwagę rodziców. Chłopiec łatwo też wpadał w złość, której nie kontrolował. Te dwie cechy dały raczej niedobrą mieszankę.

Nawet na kacu Freyja nie mogła jej tego przepuścić.

– Czy jest możliwe, że o czymś zapomniałaś?

– O czym?

Freyja pochyliła się do przodu.

– Skoro już wiesz, kto jest jego ojcem, nie widzisz żadnego powodu, żeby powątpiewać w swoją analizę? Nie wydaje ci się możliwe, że jego złość wynikała z czegoś znacznie poważniejszego niż problemy z samokontrolą? Moim zdaniem to bardzo nieprawdopodobne, by okaleczył siostrę, bo chciał w ten sposób zwrócić na siebie uwagę rodziców. Czy sprawdzono jego sytuację domową?

Sólveig nie odpowiedziała od razu. Jej mięsista dolna warga drżała – jakby wskutek tiku nerwowego.

– Ja za to nie odpowiadałam. Pod tym kątem badała sprawę opieka społeczna w Hafnarfjörður. Otrzymałam od nich informację, że wszystko jest w najlepszym porządku. Ale powtarzam, że polegam tylko na pamięci.

– Żadnego alkoholizmu ani podobnych problemów? Żadnego wykorzystywania?

– Nie. Jestem prawie pewna, że nie było żadnych zastrzeżeń do jego rodziców. A ja nie miałam żadnych podstaw, żeby podważać to stanowisko.

– Ale musiałaś rozmawiać z Thröstem o rodzinie. Pamiętasz, jak opisywał relację z ojcem?

– Nie, nie pamiętam. To było prawie szesnaście lat temu. I tak cud, że cokolwiek wygrzebałam z pamięci.

Freyja postanowiła na tym poprzestać, przynajmniej na razie. Mogła już myśleć tylko o zimnej wodzie. Miała tak sucho w ustach, że język jej sztywniał, i to dosłownie.

– No cóż, dziękuję. Spodziewam się, że policja poprosi ratusz w Hafnarfjörður albo Urząd do spraw Nieletnich o dokumentację tego przypadku, a wtedy wszystko się wyjaśni. Ale będę wdzięczna, jeśli wystawisz mi upoważnienie, żeby dyrektor dawnej szkoły Thröstura mógł mi przekazać to, co ma na jego temat.

Sólveig obiecała, że zrobi to później.

Wstając z krzesła, Freyja czuła lekkie zawroty głowy, ale udało jej się utrzymać równowagę i zwyczajnie wyjść z gabinetu Sólveig. Przy zlewie wypila duszkiem szklankę wody, napełniła ją znowu i poszła do siebie. Niedługo potem usłyszała, jak zamykają się drzwi gabinetu Sólveig, a następnie drzwi wyjściowe. Czyli poszła do domu, chociaż dzień pracy dopiero się zaczynał. Dziwne. I oczywiście żadnego upoważnienia nie

zostawiła ani w przegródce na korespondencję Freyi, ani na swoim biurku.

W porze lunchu Freyja doszła do siebie. Pomogły ibuprofen od pielęgniarki w Izbie Dziecka i hamburger, którego popiła mrożonym koktajlem mlecznym. Gdy zadzwonił telefon z komisariatu w Hlemmur, czuła się już gotowa na wszystko. Policjant przedstawił się jako Guðmundur Lárusson i powiedział, że dostał jej numer od Hul dara, który nie ma czasu, żeby osobiście się tym zająć. Prośba była prosta, ale pilna: aby pomogła policji, przyjeżdżając natychmiast do Hlemmur, żeby porozmawiać z kimś, kto przyszedł z ulicy na posterunek i jest związany ze sprawą, nad którą pracuje Hul dar. Według niego Freyja na tyle dobrze zna tło sprawy, że powinna pomóc uspokoić tę roztrzęsioną kobietę. Potem Guðmundur Lárusson opisał scenę, którą baba urządziła w korytarzu, wrzeszcząc na dyżurnego tak długo, aż ten zadzwonił na górę po pomoc.

Gdy policjant w końcu dotarł do nazwiska tej kobiety i wyjaśnił, jaki ma związek ze sprawą Hul dara, Freyja zerwała się z krzesła, włożyła kurtkę i natychmiast wybiegła do samochodu, wciąż mając w uszach ostatnie słowa policjanta. Osobą, która awanturowała się w komisariacie, była ni mniej, ni więcej tylko Dagmar, matka Vaki, dziewczynki zamordowanej przez Jóna Jónssona.

Ruch był niewielki, a chodniki prawie puste, ale Freyja i tak trafiała na czerwone światło przy każdym przejściu dla pieszych i musiała czekać, niecierpliwie dudniąc palcami w kierownicę. Czy dotrze na miejsce, zanim matka Vaki stamtąd wyjdzie? Nurtowało ją też, dlaczego Hul dar nie zatelefonował osobiście, co doprowadziło ją do ważniejszego pytania o to, dlaczego wyszedł poprzedniej nocy. Ciągle nie umiała tego rozgryźć.

Nie traciła czasu na opłacanie biletu parkingowego przed komisariatem. Jeśli dostanie mandat, to Guðmundur na pewno użyje swoich wpływów, żeby go unieważnić. Dobiegła do wejścia i zadyszana przedstawiła się funkcjonariuszowi dyżurnemu. Zapewne był to ten sam, który wysłuchał tyrady matki Vaki. Nie zdradzał objawów wstrząsu. Prawdę mówiąc, był wyjątkowo niekomunikatywny, choć udało mu się wskazać jej właściwy kierunek.

Guðmundur Lárusson wyszedł jej na spotkanie. Był siwy i wyglądał raczej słabowicie, ale wielka pięść, którą opierał na klamce, świadczyła o jego dawnej sile fizycznej.

– Umieściłem ją tutaj. To coś w rodzaju poczekalni, której rzadko używamy. Odmówiła rozmowy ze mną. Biedna kobieta, chyba jest wyczerpana po tym napadzie szału. Mam nadzieję, że zdoła pani jakoś ją pocieszyć i ustalić, o co jej chodzi, jeśli to możliwe. Może postradała zmysły po tym potwornym przeżyciu z córką. Nie byłby to pierwszy przypadek rodzica w jej sytuacji. Zastanawiam się, czy nie powiadomić jej męża, żeby ją stąd odebrał. Co pani sądzi?

Freyja z roztargnieniem skinęła głową, niecierpliwie oczekując na spotkanie z kobietą. Guðmundur nacisnął klamkę i wpuścił ją do środka, sam jednak nie ruszył się z korytarza, a po chwili zamknął drzwi. Freyja uznała, że poszedł zatelefonować do Orriego, męża Dagmar.

Pozbawionego okien pokoju nie dałoby się chyba urządzić bardziej ascetycznie. Dwie małe kanapy stały naprzeciwko siebie po obu stronach niskiego stolika, na którym piętrzyła się niewielka sarta kolorowych czasopism. To na wierzchu nie miało okładki. Na stole w rogu leżała plątanina kabli komputerowych, które ktoś zapomniał wyrzucić. Kobieta siedziała na kanapie z twarzą skrytą w dłoniach. Najwidoczniej nie zauważyła, że nie jest już sama.

Freyja podeszła bliżej, usiadła na przeciwległej kanapie i odchrząknęła.

– Dzień dobry. Pani Dagmar, prawda?

Kobieta podniosła czerwoną, zapuchniętą od płaczu twarz, na której odmalowało się zaskoczenie.

– Kim pani jest?

– Mam na imię Freyja. Poproszono mnie, żebym z panią porozmawiała. Wiem trochę o sprawie pani córki.

– Sprawie mojej córki? – Dagmar ze złością zmrużyła oczy. – Sprawie mojej córki? Pani żartuje? Moja córka nigdy nie miała żadnej sprawy.

– Przepraszam, źle się wyraziłam.

Freyja milczała, dopóki złość kobiety nie osłabła. Teraz Dagmar obojętnie patrzyła, jakby nie wiedziała, gdzie jest. Zdezorientowana mina sprawiła, że przez chwilę wyglądała jak młodsza wersja samej siebie, wygładziła bowiem zmarszczki na jej twarzy, rozszerzyła zapuchnięte oczy, a lekko rozchylnym ustom nadała odcień naiwności, z której już dawno temu je obrabowano.

– Kim właściwie pani jest, Freyjo? Dlaczego nie nosi pani munduru? – Na jej twarz wróciło niezadowolenie, wykrzywiając górną wargę w szyderczy uśmieszek. Znow się ujawnił jej prawdziwy wiek.

– Nie jestem policjantką. Pracuję w Izbie Dziecka, ale czasem pomagam policji w sprawach związanych z dziećmi.

– Ach tak? – Dagmar parsknęła z obrzydzeniem, przewracając oczy do góry, jakby chciała zapytać siły wyższe, dlaczego zesłały na nią taki gówniany los. – Świetnie. Czyli jest pani socjologiem? Pisze pani artykuł o ludziach, którzy stracili dziecko?

– Jestem psychologiem i nie piszę żadnego artykułu. – Naprawdę nie pisała żadnego artykułu mimo częstych apeli Urzędu do spraw Nieletnich, żeby pracownicy wygłaszali referaty na konferencjach i zgłaszali publikacje do czasopism naukowych. – Przyszłam tylko po to, żeby pomóc pani zrzucić ciężar z piersi. Zakładam, że miała pani jakiś powód, żeby się tu pojawić, ale dotychczas nie zdołała pani go przedstawić. Chyba że chciała pani po prostu wyładować złość. To tak samo dobre miejsce do tego jak inne. Lepiej wyładować złość tutaj niż na mężu.

– Mężu? Nie jestem mężatką.

Czyli nie było sensu, żeby Guðmundur telefonował do Orriego. To nie on powinien zabrać stąd Dagmar. Freyja czasem myślała o rodzicach Vaki, ale nie sprawdziła, co się z nimi stało, gdy stracili córkę. Nie była zaskoczona, że się rozstali: odsetek rozwodów wśród rodziców, którzy doświadczyli tego typu traumy, jest wyższy niż przeciętny, zwłaszcza jeśli dziecko było jedynakiem.

– Nie sądzę, żeby to miało pomóc, ale ja też nie mam męża i wiem, że to czasem nie jest łatwe, zwłaszcza jeśli się ma ochotę wyplakać komuś w rękaw.

– Proszę mi oszczędzić tych sentymentalnych pierdół. Zdaje się, że nie jesteście przyjaciółkami.

Freyja nie przejęła się szorstką reakcją. Dagmar nie była pierwszą osobą, która w taki sposób reaguje. Rodzice odwiedzający Izbę Dziecka rzadko panowali nad swoimi emocjami i często reagowali agresją. Ludzie nadwrażliwi raczej nie utrzymywali się długo w zawodzie psychologa.

– Oczywiście, że nie. Może więc będzie pani chciała mi wyjawić, po co pani tutaj przyszła.

Dagmar usiadła prosto, wygładziła klapy swojego płaszcza i zmarszczki na nogawkach spodni. Była to żałobna próba odzyskania dumy, podobna do tej, którą Freyja i Baldur stosowali w dzieciństwie. Najwyraźniej Dagmar zaczęła żałować swojego zachowania w dyżurce.

– Przyszłam tutaj, żeby powiedzieć policji, co o niej sędzę. Gdy zaczęłam to mówić, przypomniałam sobie, że jestem zdegustowana całym systemem sprawiedliwości, włącznie z ludźmi takimi jak pani, którzy się łudzą, że potrafią skleić coś, co roztrzaskało się na kawałeczki.

– Nie przyszłam, żeby dawać pani rady. Chociaż nie sędzę, żeby sięgnięcie po pomoc miało pani zaszkodzić. Istnieją różne metody przezwycięzania smutku, które mogłyby się sprawdzić w pani przypadku. Smutek nie zniknie, jak pani wie, ale da się sprawić, żeby życie z nim stało się trochę bardziej znośne. Nigdy nie jest za późno, terapię można zacząć nawet wiele lat po stracie.

– Nie jestem zainteresowana. Czy nie wyraziłam się dostatecznie jasno? Pytała pani, po co tu przyszłam, to odpowiadam. Źle się dzieje w tym kraju i chciałam to powiedzieć. Ktoś musi, bo nadal będziecie mieli ludzi trybami tej bezdusznej maszyny w przekonaniu, że wszyscy są z tego zadowoleni. Otóż nie są. Ja z całą pewnością nie jestem.

– Co właściwie ma pani na myśli?

– Jak to możliwe, że mężczyźni, który gwałci i morduje dziecko, pozwala się wyjść na wolność po kilku latach, podczas gdy rodzina tego dziecka dostaje wyrok dożywocia? Jak to jest możliwe? – zapytała łamiącym się głosem i zamilkła, a całe powietrze schodziło z niej jak z przekłutego balona.

– Zgadzam się, to bardzo nie w porządku. Ale tak działa nasz system wymiaru sprawiedliwości i powinniśmy mieć nadzieję, że na pewnym poziomie służy on społeczeństwu. Gdyby tacy ludzie dostawali zawsze dożywocie i nie mieli szansy odmienić swojego życia, popełnialiby zapewne jeszcze gorsze przestępstwa, bo czuliby się osaczeni. Mordercy mogliby zacząć zabijać świadków, ponieważ byłoby im bez różnicy, skoro i tak resztę życia mieliby spędzić za kratkami. Może te argumenty nie brzmią zbyt przekonująco, ale nie ma idealnego systemu wymierzania kar.

Dagmar słuchała. Nie przerywała, nie przewracała oczami, tylko słuchała uważnie ze spuszczoną głową.

– Powinam już pójść. Nie wiem, co ja sobie myślałam.

Zanim zdążyła ruszyć się z miejsca, Freyja postanowiła wykorzystać ostatnią szansę. Inaczej musiałaby przekazać Huldarowi, że nie wydobyla od tej kobiety niczego ciekawego, bo spędziły czas na omawianiu zalet i wad wymiaru sprawiedliwości.

– Minęło dwanaście lat, odkąd pani córka została zamordowana. Była tu

pani wcześniej z tego samego powodu? Jeśli nie, to dlaczego zrobiła to pani akurat dzisiaj?

– Widziałam go. Tego bydlaka. Idącego po tym samym chodniku co ja, oddychającego tym samym powietrzem. – Urwała i pokręciła głową. Pociągnęła nosem i po chwili mówiła dalej. – Wyglądał na szczęśliwego. Jakby wszystkie te lata w więzieniu nic dla niego nie znaczyły. Zanim się rozwiedliśmy, mój były mąż zwrócił mi uwagę, że zaczęłam się garbić. Nie powiedziałam mu wtedy, że on też. Wiem, że nadal tak chodzę. On także.

Freyja usiadła i bez słowa patrzyła na Dagmar. Jej ramiona zadrżały, po czym kilka łez skapnęło na jej kremowe spodnie. Po krótkiej pauzie Freyja zapytała cicho:

– Gdzie to było?

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Może ma, a może nie ma.

Dagmar podniosła wzrok.

– To znaczy, że macie go pod obserwacją?

– I tak, i nie. – Freyja celowo odpowiadała nieprecyzyjnie. Nie chciała rozbudzać nadziei tej kobiety. Co prawda Huldar zamierzał porozmawiać z Jónssonem, ale to przecież nie to samo co trzymanie go na oku.

– Dlaczego nie zostałam poinformowana? Dlaczego? Czy włos by komuś spadł z głowy albo budżet się załamał? – Dagmar wpatrywała się we Freyję, a jej oczy znów się zapełniały łzami. – Chciałabym tylko się przygotować. Czy to aż tak wiele?

Freyja całym sercem pragnęła, żeby w drzwiach stanął Huldar i przejął od niej tę rozmowę. Nawet Guðmundur by wystarczył. Każdy, kto umiałby wytłumaczyć tej kobiecie, dlaczego tak działa system. Czy to faktycznie prawda, że w takich sprawach nikt nie ma obowiązku informowania najbliższej rodziny ofiar? W Islandii było niemal nieuniknione, że prędzej czy później ludzie na siebie wpadną.

– Nie, to nie jest aż tak wiele. Obawiam się, że nie mam informacji na ten temat. Zakładam, że chodzi o ochronę prywatności. – Wzięła głęboki oddech i kontynuowała, zanim Dagmar zdążyła znów się wściec. – Nie ja ustanawiam prawo w tych kwestiach, ale moim zdaniem powinni powiadomić i panią, i byłego męża. I rodzinę Jónssona, ale oni też nie zostali uprzedzeni. Czy to zaniedbanie, czy standardowa praktyka, nie wiem.

Dagmar powoli skinęła głową.

- Mnie to pani mówi?
- Zechce mi pani powiedzieć, gdzie go pani widziała?
- Co to ma za znaczenie?
- Nie wiem, może być ważne.

Dagmar zastanawiała się przez chwilę, jakby chodziło o sekret, którego nie chce ujawnić.

- Szedł na Borgartún. Dziś rano.
- Gdzie dokładnie na Borgartún?
- Przy jednym z biurowców. Sprawiał wrażenie, jakby za czymś węszył. Może zbierał puste puszki, żeby oddać je do skupu. – Zrobiła pauzę, po czym dodała szorstko: – Taką mam nadzieję.

- Czy może było to w okolicy tej dużej firmy rachunkowej?
- Skąd pani to wie, do diabła? – Kruche poczucie zaufania, które zaczynało się między nimi tworzyć, mogło lada chwila prysnąć.

Freyja nie odpowiedziała, choć mogła się domyślać, że kobieta łatwo nie odpuści.

- Zna pani człowieka nazwiskiem Kolbeinn Ragnarsson, który pracuje w tym budynku?

- Nie znam. A powinnam?

Freyja znów pozostawiła jej pytanie bez odpowiedzi.

- A Benedikta Tofta, emerytowanego prokuratora?
- Nie. Co się dzieje? Kim są ci mężczyźni? To pedofile?

Freyja popadła w zakłopotanie.

- Nie, nie są podejrzani o takie przestępstwo. – Porównała inicjały zmieszczane w liście wrzuconym do kapsuły czasu z nazwiskami czynnych pedofilów zarejestrowanych dziesięć lat temu, ale nie znalazła odpowiedników. Żadne z tych inicjałów nie pojawiały się też w żadnej sprawie, którą zajmowała się wówczas Izba Dziecka.

W tym samym momencie otworzyły się drzwi i Freyja została uratowana od wyjaśniania, dlaczego pytała o tych dwóch mężczyzn. W tym momencie żałowała, że to zrobiła, i modliła się w duchu, żeby Dagmar nie zaczęła teraz szukać Kolbeinna, podejrzewając go o powiązania z Jónem Jónssonem. W drzwiach stanął Guðmundur Lárusson.

- Przyjechał po panią mąż.
- Mąż? – Dagmar się poderwała. Była czerwona z wściekłości, nie z zażenowania. – Co wy sobie myślicie, do jasnej cholery?

Około czterdziestoletni mężczyzna przecisnął się obok Guðmundura. Trzymał w obydwu dłoniach kluczyk od samochodu, kręcąc nim jak katolik paciorkami różańca.

– Chodź, Dagmar. Zawiozę cię do domu. – Unikał patrzenia jej w oczy. – Nie wiedzieli, że się rozwiedliśmy, a ja nie wyprowadziłem ich z błędu. Chciałem pomóc.

– Pomóc? – Dagmar poprawiła torebkę na ramieniu i ścisnęła klapy płaszcza, jakby zamierzała zasłonić biust. – Nie potrzebuję od ciebie żadnej pomocy. – Minęła Freyję bez słowa, popchnęła Guðmundura, który nie zdążył zejść jej z drogi, i wypadła na korytarz.

– Proszę jej wybaczyć. – Mąż wyglądał na zawstydzonego, jakby jej zachowanie było jego winą. Może odszedł od niej, gdy ich związek się stoczył na samo dno, nie mogąc żyć z kobietą, która ciągle przypominała mu o tym, co stracili. Może był już gotów, żeby zostawić za sobą przeszłość, a ona jeszcze nie, lub na odwrót. Albo może ich miłość po prostu się wypaliła. – Zwykle taka nie jest. A przynajmniej nie była. – Skinął głową na pożegnanie i pośpieszył za żoną, którą kiedyś kochał.

Nagle Freyja przypomniała sobie, co wywołało frustrację Dagmar i przywiodło ją do komisariatu. Pobieгла za mężczyzną, wołając: – Jón Jónsson właśnie wyszedł z więzienia. To dlatego przyszła tutaj taka wściekła. Pomyślałam, że powinien pan o tym wiedzieć.

Orri stanął jak wryty i powoli się odwrócił. Jego spokój zniknął, a w oczach nagle pojawił się szaleńczy błysk, jakby był granatem, z którego Freyja wyciągnęła zawleczkę. Postawił krok w jej kierunku.

– Co pani powiedziała? – wycedził niskim głosem. Może więc Orri i Dagmar nie różnili się od siebie aż tak bardzo.

Freyja instynktownie się cofnęła o dwa kroki, stając bliżej Guðmundura. Powinna była trzymać język za zębami. Może właśnie dlatego ludzi w ich sytuacji nie informuje się o terminie wypuszczania więźniów.

Rozdział 20

Jak to często bywa, nie jeden duży, ale kilka mniejszych argumentów ostatecznie przekonało Erlę, żeby zmieniła zdanie na temat możliwego związku Jóna Jónssona z morderstwem w garażu i obcięciami dłońmi. Huldar był zbyt zadowolony z tego obrotu sprawy, by zastanawiać się, czemu go zawdzięcza. Erla kierowała śledztwem i bez jej wsparcia byłby uziemiony: do rozwiązania było zbyt wiele splątanych i niejasno zarysowanych wątków, a do załatwienia zbyt wiele rzeczy. Z trudem ukrył satysfakcję. Poczul się tak jak wtedy, gdy zdobył dla swojej klasy zwycięską bramkę w meczu z inną klasą z tego samego rocznika. Wówczas jego problemy nagle się skończyły, a przyszłość stanęła przed nim otworem. Miał zaledwie dziewięć lat, ale nie wątpił, że zwieńczeniem jego zwycięskiej drogi będzie przepustka do kariery zawodowej za granicą, choć jak się później okazało, tamten rok był szczytowym momentem jego piłkarskiej kariery. Teraz też był pewien, że jego zwycięstwo nad uporem Erli doprowadzi do przełomu w śledztwie. Chociaż obydwie cele tak bardzo się od siebie różniły, to poczucie triumfu dawały takie samo. Niewiele brakowało, a uczciłby swój sukces kokosowymi truflami, jak wtedy gdy miał dziewięć lat.

Pierwszy raz Huldar zaczął mieć nadzieję, gdy razem z Erlą stali w korytarzu po wyrzuceniu ze szpitalnej sali Kolbeinna. Być może Erla nie mogła się pochwalić wielką sprawnością w kontaktach z ludźmi, ale była dobrym detektywem i wiedziała, jak odczytywać ludzkie zachowania. Kłamstwo Kolbeinna nie umknęło jej uwagi. Nazwisko Jóna Jónssona z całą pewnością zapaliło lampkę gdzieś w jego głowie.

Kolejnym argumentem był telefon z wydziału patomorfologii. Po przeprowadzeniu oględzin zwłok wyjętych z trumny znalezionej na wysypisku patolog nabrał podejrzeń, że faktyczna przyczyna śmierci Einara Adalbertssona była inna niż wpisana w akcie zgonu. Nie chciał podać żadnych szczegółów przez telefon, ale poprosił Erlę, żeby przyjechała osobiście albo przysłała kogoś w zastępstwie. Detektyw, który tam pojechał,

jeszcze nie zdążył wrócić.

Kolejnym argumentem była telefoniczna rozmowa Erli z córką Einara. Kobieta zupełnie nie zmartwiła się informacją o nieplanowanej podróży zwłok jej ojca na wysypisko. Wypaliła prosto z mostu, że jeśli o nią chodzi, to trumna może zostać tam, gdzie jej miejsce, czyli z innymi śmieciami, a potem się rozłączyła.

Punktem zwrotnym był prawdopodobnie moment, gdy Erla spróbowała namierzyć samego Jóna Jónssona. Nie omieszkała poinformować kolegi, że powodem jest podejrzenie mężczyzny o kradzież trumny ojczyma, ale Huldar wiedział swoje. Erla zaczynała nabierać podejrzeń. Siedział w jej gabinecie, gdy wykonywała jeden telefon za drugim, wszędzie otrzymując taką samą odpowiedź. Nikt nie wiedział, co się stało w Jónssonem. Jego ekszona i dzieci nie odbierali telefonu, a Służba Więzienna nie potrafiła pomóc. Nie inaczej było w Litla-Hraun, w opiece społecznej w Reykjavíku i we wszystkich schroniskach dla bezdomnych: mężczyzna nie zgłosił się po pomoc do żadnej z tych instytucji, a ich pracownicy nie mieli pojęcia, gdzie może się znajdować. Można było odnieść wrażenie, że ziemia zapadła się pod nim natychmiast po tym, jak będąc już wolnym człowiekiem, wysiadł z furgonetki Służby Więziennej, która dowiozła go do centrum Reykjavíku.

Przysłuchując się rozmowom prowadzonym przez Erlę, Huldar odebrał telefon od Guðmundura Lárussona. Jego dawny szef poinformował go, że matka dziewczynki zamordowanej przez Jónssona awanturuje się właśnie w komisariacie w Hlemmur. Huldar uznał jednak, że zostanie z Erlą, żeby kuć żelazo, póki gorące. Ale chciał też wiedzieć, co ma do powiedzenia matka Vaki, poprosił więc Guðmundura, żeby sprowadził do niej Freyję. Żadne z nich nie odezwało się do siebie od tamtej pory. Zamierzał zatelefonować do Freyi, jak tylko sytuacja w wydziale trochę się uspokoi. W głębi duszy wiedział jednak, że prawdziwym powodem, który powstrzymywał go przed skontaktowaniem się z nią natychmiast, była poprzednia noc. Musiał znaleźć dla nagłego pożegnania wytłumaczenie, które postawiłoby go w dobrym świetle, bo na takie we własnym mniemaniu zasługiwał. Nie mógł przecież się bronić argumentem, że chciał im oboju zaoszczędzić konsekwencji jednorazowego numerku po alkoholu, które tak dobrze znał z własnego doświadczenia. Freyja raczej nie przyjęłaby ze spokojem jakiegokolwiek aluzji do długiej i zróżnicowanej listy jego dotychczasowych podbojów. Myśląc teraz o czekającej go rozmowie,

zaczynał wątpić w słuszność swojej decyzji. Z perspektywy czasu wydawało mu się, że jednak mądrzej zrobiłby, zostając i spędzając z nią tę noc. Nie tylko mądrzej, ale i znacznie przyjemniej. Ale było już za późno. Odepchnął tę myśl. Musiał się skupić na Erli i na śledztwie.

Kęś po kęsie, niczym matka swoje młode, karmił Erlę argumentami, które miał na poparcie swojej teorii. Wiedział, że bitwa jest wygrana, gdy kazała mu zlecić porównanie odcisków palców odciętych dłoni z odciskami Jóna Jónssona. Choć wcześniej przeszukano pod tym kątem policyjną bazę danych, gdzie przecież znajdowały się także dane biometryczne Jónssona, to Erla uznała, że warto sprawdzić jego odciski, zwłaszcza że przepadł jak kamień w wodę. Ludzie w wydziale identyfikacji i danych biometrycznych nie byli bardziej nieomylni niż wszyscy pozostali. Szybko się jednak okazało, że natrafili na kolejny problem.

– Oddzwonił, żeby mi powiedziec, że zginęły odciski Jónssona. Nie ma ich w bazie. Jeśli w ogóle były. Podejrzewam, że nie pobrali ich podczas śledztwa w sprawie o morderstwo. Ostatecznie sprawa była oczywista – relacjonował Huldar.

– Jaja sobie ze mnie robisz? – Erla zmarszczyła brwi. – To nie może być prawda.

– Masz rację, że nie może, ale jest. Jego odciski palców zostały znalezione na poduszce, której użył do zaduszenia dziewczynki, może więc pobrano je do porównania, ale potem nie trafiły do bazy danych. Ta sama historia się powtarza z innymi dokumentami dotyczącymi Jónssona i jego syna Thröstura: powinny być, ale ich nie ma. Nie dostałem też jeszcze materiałów z sądu w Reykjanas na temat sprawy, w której został uniewinniony.

– Co się, kurwa, dzieje? – Erla sięgnęła po telefon.

– Możesz sobie darować wysiłek. Facet, z którym rozmawiałem, był pewien. Odcisków nie ma w bazie danych.

– Świetnie! I co teraz zrobimy? – Pytanie nie było skierowane do Huldara. Myślała na głos. – A Litla-Hraun? Może da się z czegoś zdjąć jego odciski w więzieniu? Musiał zostawić tam jakieś swoje rzeczy. Problem w tym, że pewnie wyczyścili już jego celę i zakwaterowali nowego więźnia.

– Warto spróbować.

Erla pokręciła głową.

– Cała ta sprawa to jeden wielki burdel – powiedziała zniechęcona.

Huldar mógł tylko przytaknąć.

– Porozmawiam z nimi. Przy okazji zapytam o listy, które Jónsson otrzymywał w więzieniu. Może będą pamiętać, kto je wysyłał. Ta osoba mogła mu zaoferować dach nad głową. – Erla była daleka od uprzejmości, gdy zadzwoniła do więzienia, żeby wypytać pracowników o Jónssona, i Huldar podejrzewał, że kolejny telefon od niej nie będzie tam mile widziany.

W odpowiedzi mruknęła lekceważąco coś, co postanowił wziąć za przyzwolenie. Wrócił do swojego biurka i z ulgą stwierdził, że naprzeciwko nie ma Gudlaugura. Musiał się skupić, a chłopak ciągle czegoś chciał. Ostatnio jego pytania najczęściej wiązały się z możliwością stworzenia pełnej listy sklepów sprzedających łańcuchy podobne do tego, który wykorzystano do zamordowania Benedikta Tofta.

Okazało się, że w więzieniu Litla-Hraun nie rzucają słuchawką na dźwięk nazwiska Huldara. Podczas rozmowy dowiedział się, że raczej nie ma możliwości, aby odnaleźć rzeczy z odciskami palców Jónssona. Do jego celi został już wprowadzony nowy więzień, a nieliczne rzeczy prywatne, które posiadał, zniknęły razem z nim. Rozmówca obiecał jednak, że to sprawdzi. Na koniec Huldarowi udało się jeszcze zapytać o listy. Mężczyzna musiał odejść od telefonu i skonsultować się z kolegą, zanim udzielił odpowiedzi, która się okazała kolejnym rozczarowaniem. Listy przysyłał adwokat Jónssona, dlatego ich treść nie była cenzurowana: nie wolno otwierać korespondencji z adwokatem ani monitorować rozmów telefonicznych między adwokatem a jego klientem. Także Jónsson wysyłał wiele listów do swojego adwokata, a korespondencja między nimi trwała niemal do ostatniego dnia jego pobytu w więzieniu. Ale lepsza taka wiadomość niż żadna. Prawdopodobnie adwokat będzie wiedział, co się stało z jego klientem, albo może sam zorganizował dla niego zakwaterowanie, co byłoby jeszcze lepsze.

Huldar zakończył rozmowę. Postukał czoło słuchawką, zastanawiając się, czy powinien od razu zatelefonować do tego adwokata, niejakiego Sigurvina Helgasona. Adwokat może oczywiście udzielać tylko takich informacji, których ujawnieniu nie sprzeciwiłby się jego klient, ale Huldar musiał spróbować. Śledztwo stało w miejscu, a przecież ten sukinsyn musiał z kimś rozmawiać po wyjściu z więzienia.

Zanim Huldar zdążył się psychicznie przygotować do wystukania numeru adwokata, zawibrowała jego komórka. Na wyświetlaczu pokazały się dane

Freyi. Siedział, gapiąc się na jej imię, a dzwonek telefonu stawał się coraz głośniejszy i coraz bardziej natarczywy, aż koledzy przy sąsiednich biurkach zaczęli na niego zerkać, nie mógł więc dłużej odwlekać decyzji. Gorączkowo szukał w myślach uczciwego, rozsądnego wyjaśnienia tego, co się stało. Powinien oczywiście powiedzieć, że bardzo chce się z nią przespać, ale ze względu na swoje dotychczasowe doświadczenia wolał z tym poczekać, aż będzie trzeźwa – równocześnie unikając określeń „przespać się”, „dotychczasowe doświadczenia” i „pijana”. Zwłaszcza gdy koledzy nadstawiali uszu.

– Cześć! – Brzmiał absurdalnie optymistycznie, jak przedstawiciel handlowy sprzedający ubezpieczenia zdrowotne. – Dziękuję za wczorajszy wieczór. – To było najlepsze, co przyszło mu do głowy.

Freyja potrzebowała chwili, żeby odpowiedzieć.

– Tak, hm, to ja dziękuję. – Była zakłopotana, co tylko pogarszało sytuację. Rozmowa, podczas której jedna osoba umiera z zakłopotania, jest wystarczająco trudna, ale gdy obydwie jadą na tym samym wózku, sprawa staje się beznadziejna. Jego obawy okazały się jednak nieuzasadnione, ponieważ Freyja szybko odzyskała panowanie nad sobą.

– Ale nie w tej sprawie zadzwoniłam. Chciałam zdać ci relację z mojej wizyty w Hlemmur. Uznałam, że chciałbyś poznać przebieg spotkania z matką Vaki.

– Tak, oczywiście. Oczywiście. – Zachciało mu się śmiać z siebie samego i ulgi, którą poczuł na wieść, że los zaoszczędził mu stąpania po polu minowym wokół ich relacji, albo raczej nierelacji. Jakże nieszczęśliwi są ludzie, że jako jedyne zwierzęta muszą się martwić o takie rzeczy. – O co jej chodziło?

– Przyszła wyładować wściekłość, ponieważ nie powiadomili jej o zakończeniu wyroku Jóna Jónssona. To była reakcja podobna do wybuchu Thröstura. Jej były mąż też się pojawił i też nie wyglądał na szczęśliwego. Wiedziałaś, że się rozwiedli?

– Nie. Prawdę mówiąc, nic o nich nie wiem.

– Ani ja, chociaż spędziłam z nią chwilę. Oprócz tego, że łatwo wpada w złość. On także.

– Skąd się dowiedzieli? – Islandia jest mała, ale Huldarowi trudno było sobie wyobrazić, żeby ktoś z przyjaciół albo kolega z pracy radośnie chwycił za telefon, żeby ich o tym powiadomić.

– Widziała go. I zgadnij gdzie.

– Gdzie? – Nie miał szans, żeby zgadnąć. Podobnie jak wtedy, gdy któryś z siostrzeńców zadawał mu śmieszne pytania: „Zgadnij, jak nazywamy naszego nauczyciela. Zgadnij, co znalazłem na drodze. Zgadnij, o czym myślę”.

– Przy firmie rachunkowej. Tej, gdzie doszło do morderstwa.

– Kiedy to było?

– Dziś rano. A przynajmniej tak twierdziła Dagmar. Nie podała godziny.

– Posłuchaj, będę musiał z tobą porozmawiać. Zadzwoń. – Rozłączył się i pobiegł do gabinetu Erli. Jeśli tej kobiecie się nie przywidziało, to Jón Jónsson żył i miał się dobrze.

– Już przepraszałam i zgadzam się z panią, że system jest beznadziejny pod tym względem. Chyba nie potrafię ująć tego wyraźniej, nawet jeśli powtórzę wszystko od początku. Teraz prosilibyśmy jednak, żeby pani odpowiedziała na pytania, które chcemy zadać. Im szybciej pani to zrobi, tym szybciej damy pani spokój. – Erla wyrzuciła z siebie te słowa niemal na jednym oddechu. Odkąd Dagmar wpuściła ich do domu, konsekwentnie zmieniała temat rozmowy, żeby wciąż od nowa się oburzać na to, jak źle są traktowane ofiary i ich rodziny, gdy agresywny przestępca wychodzi z więzienia. Erla robiła wszystko, żeby ją uspokoić, zgadzając się z każdym jej słowem, ale to nie wystarczało.

Siedzieli w pokoju, który urządzono zgodnie z najnowszymi trendami. Wszystko miało jakiś odcień szarości: ściany, meble, wazon, poduszki, dywany, nawet obrazy. Ilekroć Huldar odrywał wzrok od tej kobiety, czuł się jakby nagle przeniesiony do czarno-białego świata. Myślą przewodnią architekta tego wnętrza musiała być depresja, którą podkreślała jeszcze muzyka klasyczna sącząca się z niewidocznych głośników, zapewne odtwarzana ze składanki o jakimś adekwatnym tytule, na przykład „Wyciskacz łez na pogrzeby”. Zaskoczył go brak zdjęć Vaki. Nastawiał się, że zobaczy je na każdej ścianie i każdej półce. Może smutek tej kobiety był nie do zniesienia i bez zdjęć, które przypominałyby jej o córce, skoro siadała na szarej kanapie, żeby obejrzeć w telewizji czarno-biały film.

– Przepraszam. Bardzo przepraszam. – Dagmar skryła twarz w dłoniach. Wyglądała teraz zupełnie inaczej, niż ją opisała Freyja, bo jej początkowe wzburzenie ustąpiło miejsca zmęczeniu. Była atrakcyjną kobietą, w lepsze

dni może nawet piękną. Twarz miała niezwykle ładną: wysokie kości policzkowe i olbrzymie oczy z ciemnymi rzęsami. Zastrzeżenia mogły budzić tylko usta. Mogłaby być modelką, gdyby nie cienkie bezbarwne usta, które zdawały się niezdolne do uśmiechu. I nic dziwnego. Huldar zwrócił też uwagę na jej oczy: były pozbawione życia, jakby umarła w niej dusza. – Wiem, że to nie wasza wina. Normalnie taka nie jestem. Zwykle nic mnie nie obchodzi. Przestało mi zależeć.

Huldar błądził wzrokiem po wnętrzu, teraz jednak zmusił się do uwagi. Chyba wreszcie coś się zaczynało dziać.

– Nic nie szkodzi.

Dagmar wydała z siebie suchy, wymuszony śmiech, któremu nie towarzyszył uśmiech. Jej usta nawet nie drgnęły.

– Chcę się przenieść do Ameryki. Śmieszne, wiem. Nie mówię nawet dobrze po angielsku i nie mam tam żadnego znajomego. Ale przynajmniej Amerykanie nie wypuszczają na wolność takich odrażających bydląt jak on. – Odwróciła głowę i tępo patrzyła w szarą ścianę. – To po prostu nie jest fair.

– Czy może pani powiedzieć nam coś więcej o dzisiejszym spotkaniu z Jónem Jónssonem?

Spojrzała na nich znużonym wzrokiem.

– Po co? Jakie to ma znaczenie? To samo mówiłam wcześniej tej kobiecie. – Po chwili, nie czekając na ich reakcję, kontynuowała: – Widziałam go na Borgartún około wpół do dziesiątej. Wiem, ponieważ prowadzę salon fryzjerski na tej ulicy, a otwieramy o dziesiątej. Pętał się przy jednym ze szklanych budynków, w którym jest biuro rachunkowe. Miał na sobie kurtkę i dzinsy. Wiele się nie zmienił, chociaż ma rzadsze włosy i oczywiście jest starszy. Ale to dziwne, że nie wyglądał gorzej niż w czasie procesu. Chyba więzienie mu służy. Dacie wiarę?

– Widział panią?

– Nie, nie sądzę. – Dagmar znów odwróciła głowę. – Zabawne. Orri i ja nie opuściliśmy ani jednego dnia procesu. Uważaliśmy, że musimy usłyszeć każde słowo. Przez cały czas się w tego człowieka wpatrywałam, wyobrażając sobie, że wyrwę mu wszystkie kończyny, jeśli tylko nadarzy się okazja. To były koszarne myśli, zapewniam was, ale dzięki nim mogłam jakoś funkcjonować. – Zaśmiała się tym samym zimnym śmiechem, po czym z rezygnacją pokręciła głową. – I co się dzieje, gdy w końcu na niego

trafiam? Uciekam! Myślę, że właśnie dlatego tak mnie poniosło w komisariacie. Bo jestem wściekła na siebie. Po prostu musiałam dać temu upust, obwinić kogoś innego.

– Przemoc nie przychodzi łatwo normalnym ludziom. Powinna się pani cieszyć, że zareagowała pani tak, a nie inaczej. Wcale nie byłoby pani źzej, gdyby go pani zaatakowała. – Uśmiech Hul dara nie skłonił jej, żeby odpowiedziała tym samym.

– Nie byłabym taka pewna. Szczerze mówiąc, jestem przekonana, że czułabym się o wiele lepiej. Czułabym się wspaniale.

Erla wpadła jej w słowo.

– Jak to się stało, że nie poszła pani prosto do komisariatu? Dotarła tam pani dopiero po dwunastej.

– Dopiero wtedy mogłam się wyrwać. Miałam klientów umówionych na czesanie, strzyżenie i koloryzację. Ale coraz bardziej się nakręcałam i ostatecznie wybuchłam w porze lunchu. Wypadłam z zakładu i udałam się prosto na policję. Chciałaby pani znać nazwiska klientów albo pracowników, którzy mnie potem zastąpili? Jestem o coś podejrzana? – Nagle jej twarz pojaśniała. – Czy coś mu się stało? Nie mówcie, że Jónsson został napadnięty! – Nie dało się przeoczyć tego zachwytu. Jej cienka górna warga uniosła się, odsłaniając przednie zęby w uśmiechu, który skojarzył się Hul darowi z hienami w przyrodniczych filmach dokumentalnych, krążącymi wokół ofiary zabitej przez lwa. Hul dar nie wierzył, że Dagmar mogła robić taką minę, gdy jej córka żyła.

– Nic złego mu się nie stało, o ile nam wiadomo. Jest pani pewna, że mężczyzna, którego pani widziała, to był Jón Jónsson? Czy mogła się pani pomylić? – Słowa Erli wygnały z twarzy Dagmar mściwą radość tak skutecznie, jak ryk lwicy odgania krążące hieny.

– Jestem pewna. Na sto procent.

– Czy zna pani kogoś, kto pracuje w firmie rachunkowej, przy której widziała pani Jóna Jónssona? Na przykład Kolbeinna Ragnarssona? Czy to nazwisko z czymś się pani kojarzy? – Hul dar pochylił się, uważnie obserwując kobietę. Chciał mieć pewność, że dobrze odczyta wyraz jej twarzy, wychwytyjąc najdrobniejsze oznaki, które mogłyby świadczyć, że Dagmar rozpoznaje nazwiska, które zamierzał wymienić.

– Pytano mnie już o to wcześniej. Kim jest ten człowiek? – Na jej twarzy malowała się wyłącznie podejrzliwość.

– Jeśli go pani nie zna, to nie ma znaczenia. A Benedikt Toft?

– Kim są ci ludzie? Dlaczego powinnam ich znać? Czy nie mam prawa wiedzieć, z czym próbujecie mnie połączyć? – Gdy ani Erla, ani Huldar nie odpowiedzieli, kobieta wyprostowała się na krześle z pogardliwym wyrazem twarzy. – Na litość boską, jakbym nie mogła ich sobie wyguglować! W którym wieku wy żyjecie?

– Nie możemy pani tego zabronić. Jeśli taka jest pani wola, proszę szukać informacji w sieci. – Huldar również usiadł prosto. Nie znalazł niczego podejrzanego w reakcjach kobiety. Na jej twarzy malowały się tylko pogarda i niechęć, które były znakiem rozpoznawczym Dagmar.

– No to chyba już wszystko. – Erla zerknęła na Huldara. – Chciałbyś jeszcze o coś zapytać?

– Nie.

– Czy mogę coś dodać, zanim pójdziecie? – Wściekłości Dagmar z niczym nie dałoby się pomylić. Jej oczy się zwężyły, a wszystkie mięśnie twarzy tężały w napięciu, jeszcze bardziej uwydatniając kości policzkowe. – Nigdy, ale to nigdy nie wzywajcie mojego byłego męża. Nie jest moją najbliższą rodziną. Nic go już ze mną nie łączy. Absolutnie nic. Rozwiedliśmy się dziesięć lat temu i nie rozumiem, jak mieliście czelność go do tego mieszać. Powinniście się wstydzić. Ciekawe, jak wy byście się czuli odbierani z policji przez byłego partnera. W najgorszym możliwym stanie.

Głupio pokiwali głowami. Żadne z nich nie chciało na to odpowiedzieć, ale ponieważ Huldar czuł się za to bardziej odpowiedzialny niż Erla, postanowił przeprosić za nich oboje.

– Znow może nam być tylko bardzo przykro.

Dagmar rzuciła mu wściekłe spojrzenie, nie przejawiając najmniejszej woli wybaczenia.

– Czy już skończyliśmy? Policji miałam dziś aż za dużo jak na jeden dzień. Wystarczy mi chyba do końca życia.

Huldar stwierdził w duchu, że nigdy w życiu nie spotkał osoby tak pełnej gwałtownych emocji, w dodatku tylko negatywnych. Ta kobieta miotała się między wściekłością, nienawiścią, pragnieniem zemsty i złościwością. Bodaj jedynym łagodnym uczuciem, które się w niej uchowało, był smutek. Rozdzierający smutek, który prawdopodobnie stanowił źródło wszystkich innych uczuć. Huldar się zastanawiał, czy jej były mąż znajdował się w podobnym stanie. Czy strata dziecka także jego życie okradła z wszelkich

przyjemności?

Po drodze do wyjścia Huldar zerknął przez otwarte drzwi prowadzące do sypialni, na co wskazywało duże, starannie posłane łóżko. Ale nie ono zwróciło jego uwagę, lecz ściany, które od podłogi do sufitu przykryte były oprawionymi w ramki fotografiami. Wszystkie przedstawiały małą dziewczynkę w różnym wieku. Zapewne Vake. Chociaż przeszedł obok zbyt szybko, żeby mieć pewność, mógłby przysiąc, że było wśród nich także zdjęcie ślubne Dagmar i Orriego. Nie miał więc już wątpliwości, które z nich odeszło. Wraz z zamordowaną córką ta kobieta straciła wszystko, na czym jej zależało: rodzinę, dziecko i ukochanego mężczyznę. Jón Jónsson miał bardzo dużo na sumieniu.

Rozdział 21

Chociaż na zewnątrz był piątek, Huldar miał wrażenie, że w tym ponurym małym mieszkaniu zaczął się dopiero wtorek. Może zresztą wtorek był tu zawsze. I żadnych piątkowych weekendów. Żadnych świąt ani specjalnych dni, które przerwałyby tę monotonię.

Wszystkie zasłony były zaciągnięte, żeby nikłe światło dnia nie psuło obrazu na wielkim telewizorze z płaskim ekranem. Mimo imponujących rozmiarów telewizor wyglądał na najtańszy model. Od razu wiadomo było, kto odpowiadał za ten zakup: Thröstur wyglądał na typa, który woli wielkość od jakości. Jego siostra i matka z kolei zdawały się należeć do ludzi bez końca wążących zalety i wady planowanych zakupów, żeby na pewno dobrze wydać swoje pieniądze, ale ostatecznie rezygnujących z zakupu. Huldar zauważył też, że w odróżnieniu od niego ta rodzina miała zwyczaj naprawiania tego, co się zepsuło. Dwie sklezione chińskie figurynki, które stały na niskim stoliku, dawały świadectwo temu duchowi gospodarności, chociaż osoba odpowiedzialna za naprawę bardzo się nie postarała: niektóre kawałki się przekrzywiły, a na wierzchu zostały kropelki kleju. Korciło go, żeby zabrać ze sobą te figurynki i po drodze wyrzucić do kosza.

Ta wizyta przebiegała zupełnie inaczej niż poprzednia. Wówczas on i Freyja ledwie zdążyli usiąść, a zostali wyrzuceni za drzwi, tym razem siedzieli tu znacznie dłużej, choć nadal nie udało im się uzyskać odpowiedzi, o które mu chodziło. Freyja zachowywała się nerwowo, nieustannie zerkając w stronę przedpokoju, jakby chciała sprawdzić, czy nie otwierają się drzwi wejściowe. Thröstur nie sprawiał żadnych kłopotów, chociaż trudno byłoby uznać, że jest uprzejmy i gościnnie. Gdy jego matka Agnes zaproponowała, że zrobi im kawę, warknął na nią, natychmiast ją gasząc. Teraz skarcona siedziała na kanapie między swoimi dziećmi.

Wizytę umówił w ostatniej chwili. Erla chciała, żeby ktoś sprawdził, czy rodzina coś wie na temat Jónssona, który zdawał się zniknąć z powierzchni ziemi niczym śnieg spływający wiosną do rynsztoków. Chociaż bliscy

mordercy przecięli wszystko, co ich z nim łączyło, jakby amputowali niechcianą kończynę, policja uznawała za prawdopodobne, że Jónsson się z nimi skontaktował, zapewne w przekonaniu, że już mu wybaczyli, skoro odsiedział swoje, no i odnalazł dzięki temu Jezusa. Chcieliby też od nich dostać cokolwiek z odciskami palców Jónssona, ponieważ policja nie mogła się opierać wyłącznie na oświadczeniu Dagmar, że mężczyzna żyje i ma obie dłonie. Wreszcie też Huldar chciał przycisnąć Thröstura w sprawie inicjałów z jego listu sprzed lat, chociaż wątpił, czy młody mężczyzna będzie chciał rozmawiać na ten temat w obecności matki i siostry. Gdy Huldar zadzwonił, żeby poprosić o to spotkanie, dał im wybór: albo przyjdą do niego do komendy, dobrowolnie lub sprowadzeni przez funkcjonariuszy, albo rozmowa się odbędzie u nich w domu. Thröstur, bo to on odebrał telefon, wybrał tę drugą możliwość.

Erla się zgodziła, żeby Huldar sam z nimi porozmawiał, ponieważ miała w tym czasie przedstawić dowództwu raport o stanie śledztwa. Nie dało się przełożyć wizyty u przełożonych: obecność była obowiązkowa, choćby w szpitalnym szlafroku i z kroplówką w żyłę. Ale nic nie wskazywało, żeby się obawiała tego spotkania, przecież mogła w końcu zameldować o postępach, jakie poczynili. w dochodzeniu. Zwłaszcza że Huldarowi nie zależało na podkreślanu, iż to on znalazł powiązanie między zamordowaniem Benedikta Tofta a Jónem Jónssonem, co jej wyraźnie zaznaczył. Gdyby się jednak okazało, że to fałszywy trop, wówczas wina z całą pewnością spadnie na niego, o co gotów był się założyć.

Nie zamierzał jednak kłopotać się tym teraz. Miał zwyczaj myślenia o problemach wtedy, kiedy się pojawiały. Nie było sensu się martwić na zapas. Mimo to z niepokojem myślał o tym, że gdy tylko to spotkanie się skończy, rozmowa z Freyją będzie nieunikniona. Obydwoje utknęli w piątkowych korkach i zdążył zamienić z nią tylko kilka słów, gdy szli po schodach. I każde z nich tak bardzo chciało skrócić skrępowanie samotnością we dwoje, że wpadli na siebie, równocześnie sięgając do domofonu. Huldar zaczynał żałować, że nie wystarczyło im czasu, bo miałyby to wszystko już za sobą.

– Czyli nikt z was nie miał wiadomości od Jóna Jónssona ani się z nim nie widział, odkąd wyszedł z więzienia? – Tercet na kanapie jednomyślnie zaprzeczył, kręcąc głową. – Wolałbym, żebyście odpowiadali pojedynczo. Zacznijmy od ciebie, Sigrún. – Zanim weszli na górę, Freyja zdążyła mu

powiedzieć, że nie powinien nazywać Jónssona ich tatą. W tych okolicznościach słowo to było zbyt nacechowane emocjonalnie. Poradziła mu też, żeby nie pytał rodzeństwa, czy w dzieciństwie byli molestowani przez ojca. Takie pytania zadaje się bez świadków i w odpowiedniej atmosferze, nie znienacka w ich domu. – Sigrún?

Młoda kobieta podniosła wzrok i szybko spojrzała na Huldara, po czym znów skierowała oczy w dół. Długie myszate włosy opadały na jej twarz, gdy odpowiadała cichym głosem.

– Nie rozmawiałam z nim. Ani go nie widziałam.

– Nie próbował się z tobą skontaktować? Na przykład dzwoniąc na komórkę?

Sigrún pokręciła przecząco głową.

– Proszę, żebyś odpowiadała słowami zamiast kręcić albo kiwać głową.

Sigrún podniosła wzrok i chociaż nie spojrzała Huldarowi w oczy, to przynajmniej widział jej twarz. Po raz kolejny z zaskoczeniem stwierdził, że ta twarz się nie wyróżnia dosłownie niczym. Gdyby zamknął oczy, miałby problem, żeby sobie przypomnieć, jak wygląda.

– Nie mam telefonu komórkowego.

Huldar uniósł brwi z zaskoczeniem.

– Słucham?

Sigrún poczerwieniała i zaczęła bawić się okaleczoną dłonią. Do tego momentu trzymała dłonie przy sobie, jakby chciała ukryć brakujące palce.

– Powiedziałam, że nie mam telefonu komórkowego.

– Przepraszam za to zdziwienie. To dzisiaj rzadkość. – Huldar posłał jej uśmiech, ale to nie pomogło. Thröstur się najeżył, a ich matka wyglądała tak, jakby nie miała pojęcia, co ze sobą zrobić. – Ale to na pewno lepiej dla ciebie. Telefony komórkowe zabierają dużo czasu. – Tercet na kanapie trochę się odprężył. – A ty, Thrösturze? Czy miałeś wiadomości od twojego ojca?

– Nie. – Nawet tak krótki wyraz chłopak zdołał zapełnić nienawiścią. Od ostatniego razu pomalował paznokcie na czarno, ale lakier zaczął się łuszczyć, przez co wyglądały jak brudne i dodatkowo kierowały uwagę na tatuaże: *Ultio dulcis*. Huldar sprawdził znaczenie tych słów i zamierzał zapytać chłopaka, dlaczego postanowił wyryć je sobie na ciele, ale zdążył to jeszcze zrobić później.

– Nie było też sytuacji, że dzwonił, a ty nie odebrałeś?

– Nie. – Thröstur wypiął swoją wątłą pierś, jak tylko zdołał. Dzięki temu

rozprostowała się koszulka, odkrywając głowę mężczyzny z pistoletem przy jednej skroni oraz strumieniem krwi i cząsteczek mózgu przy drugiej. Twarz mężczyzny wykrzywił krzyk. Huldar poczuł nagłą ochotę, żeby zabrać Thröstura na miejsce prawdziwego samobójstwa, pokazać mu, jak to naprawdę wygląda, gdy mózg się rozpryskuje od pocisku. Pewnie by się dwa razy zastanowił, zanim znów sięgnąłby po tę koszulkę.

– Okej. A pani, Agnes? Dostała pani od niego jakiś sygnał?

Kobieta podniosła wzrok, wyraźnie zaskoczona, że przyszła jej kolej. Spojrzała nerwowo na syna, jakby cenzurował jej odpowiedzi, ale chłopak ją zignorował.

– Nie.

– Czy to panią zaskakuje? Że się nie odezwał do żadnego z was?

– Nie. Tak. To znaczy nie wiem. – Matka i córka niewiele się od siebie różniły: obydwie zgarbione, obydwie ze skruszoną miną i niespokojnymi dłońmi. Sigrún wyglądała oczywiście znacznie młodziej od matki, ale Huldar przypuszczał, że za trzydzieści lat będzie jej chodzącym obrazem. Nie umiał odgadnąć wieku Agnes. Wymizerowana, przygarbiona i zbyt wycieńczona, żeby mieć choć trochę werwy, wyglądała pewnie na więcej lat, niż miała. – Chyba nie.

– Kiedy ostatni raz pani z nim rozmawiała?

– Och, wiele lat temu. – Agnes szeroko otworzyła oczy i jej szara twarz na chwilę pojaśniała. – Bardzo wiele.

– Czy może pani powiedzieć, ile tych lat upłynęło?

– Nie rozmawiałam z nim, odkąd to się stało... od aresztowania. Nie wiem dokładnie, ile to lat. Staram się nie myśleć o... o tym wszystkim. – Kobieta zdawała się niezdolna do tego, by spojrzeć Huldarowi w oczy. Jej wzrok błędził na boki, do góry, do dołu, byle nie spocząć na nim. Ale teraz patrzyła na Freyję, co Huldar uznał za dowód dobrego gustu. Na jej miejscu też patrzyłby teraz na Freyję. Podejrzewał, że Agnes czuła się skrępowana w obecności mężczyzny, czemu się nie dziwił: jej mąż, który powinien być dla niej największym oparciem, potraktował swoją rodzinę w sposób nie do opisania. Byliby w lepszej sytuacji, gdyby zamieszkali z pytonem.

Jakby odczytując myśli Huldara, Freyja postanowiła się włączyć. Mówiła spokojnym tonem, bez cienia wyższości.

– A co z alimentami? W pewnym momencie musiała pani omówić te kwestie.

– Nie wystąpiłam o alimenty. Nie chciałam od niego ani grosza. Zależało mi tylko na rozwodzie, i to jak najszybszym. – Po tych słowach Agnes nieco się wyprostowała, może więc mimo wszystko czały się gdzieś w niej resztki dumy. – Chodziło o to, żeby przeciąć wszystkie więzy, które nas z nim łączyły. Nawet gdyby pieniądze trafiły do nas przez opiekę społeczną, i tak byłyby od niego.

– Rozumiem. – Freyja skinęła głową, po czym kontynuowała łagodnym tonem: – Wiemy, że w więzieniu otrzymywał listy pisane odręcznie przez osobę dorosłą. Czy mogły to być listy od pani?

– Żartuje pani? Nie, nigdy do niego nie pisałam.

– Rozumiem. Czy podczas pobytu w więzieniu próbował utrzymać kontakt z panią lub dziećmi? Może na samym początku, zanim się zorientował, że naprawdę chce pani zerwać wszelkie kontakty? Czy przysyłał życzenia na Boże Narodzenie, urodziny albo podobne okazje?

Agnes cmoknęła z oburzeniem.

– Nie. Nic takiego nie miało miejsca. Byłabym zdziwiona, gdyby pamiętał o urodzinach Thröstura i Sigrún, a co dopiero moich. Raczej nie mógł przeoczyć świąt, ale wtedy też zostawiał nas w spokoju.

– Ej, co to za szopka? – Thröstur wychylił się do przodu i jego matka instynktownie się cofnęła. – Boże Narodzenie? Urodziny? Co to, kurwa, za pytania?

Huldar już chciał interweniować, ale tym razem Freyja najwyraźniej nie potrzebowała rycerza w lśniącej zbroi. Oznaki zdenerwowania zniknęły, a w jej odpowiedzi Huldar nie wyczuł ani cienia strachu. Kobiety są nieprzewidywalne, kiedy się obrażą.

– No dobrze, w takim razie coś mi wyjaśnij. – Z jej głosu nagle zniknęła łagodność. – Twierdzisz, że ojciec nigdy się z tobą nie kontaktował. Twierdzisz, że go nie widziałeś i nikt cię nie poinformował, że został zwolniony z więzienia. Ale podczas naszej poprzedniej wizyty wiedziałeś, że wyszedł na wolność. Skąd?

Thröstur zrobił się purpurowy. Jego szorstka skóra podbiegła krwią, a twarz straciła resztki atrakcyjności. Od rozszerzających się nozdrzy drżał kolczyk w jego przegrodzie nosowej.

– Skąd wiedziałem? – Piorunował Freyję wzrokiem, bezskutecznie usiłując ją onieśmielić.

– Tak. Z pewnością to pamiętasz. Wyszedł z więzienia zaledwie tydzień

temu. – Freyja patrzyła na chłopaka z lodowatym spokojem.

– Oczywiście, że pamiętam.

– Och, więc nam to powiedz.

Thröstur zacisnął wąskie wargi w cienką linię, ale zanim Freyja czy Huldar zdążyli go docisnąć, odezwała się jego matka.

– Ja mu powiedziałam. – Jej policzki zabarwił delikatny rumieniec. – Miałam telefon od Służby Więziennej.

– Odnieśliśmy wrażenie, że nie została pani uprzedzona. – Huldar próbował równocześnie śledzić reakcję zarówno matki, jak i syna, ale okazało się to niemożliwe. Skupił się więc na twarzy Agnes, uznając, że jej nerwowość prędzej ją zdradzi.

– Dzwonili do mnie. Nie po to, żeby uprzedzić ani nic takiego. Chcieli potwierdzić jego adres. Ten, który im podał, był niewłaściwy. Znaczy, on tam nie mieszkał. – Agnes wygładziła spodnie i patrzyła przed siebie jak zahipnotyzowana. – Później powiedziałam o tym Thrösturowi.

Chłopak skinął głową i wyszczerzył zęby w uśmiechu, wyraźnie zadowolony z tej interwencji. Huldar zwrócił się do jego siostry. Sigrún sprawiała wrażenie uczciwej, w każdym razie wydawała się zbyt niewinna, żeby skłamać. Ale może ujawnienie prawdy wymagało większej odwagi niż kłamstwo. Może była najgorsza z całej trójki?

– A ty, Sigrún? Czy słyszałaś o tym od matki?

Dziewczyna zerknęła na brata, bezbronna wobec tego nowego ataku. Jej dłonie drgnęły i zaczęła nerwowo pocierać kikuty palców. Zanim jednak zdążyła coś powiedzieć, wyręczył ją Thröstur.

– Nie. Ja jej powiedziałem. Po waszej poprzedniej wizycie. Nie chciałem, żeby się dowiedziała od jakichś głupich dupków.

Mówiąc „głupie dupki”, niewątpliwie miał na myśli Huldara i Freyję. Żadnemu z nich nawet nie drgnęła powieka.

– Czy to prawda, Sigrún? – Freyja znów mówiła spokojnym głosem. Wyglądała też znacznie łagodniej niż podczas wymiany zdań z Thrösturem, niczym pies, który przestaje jeżyć sierść w kontaktach z nieszkodliwymi stworzeniami. – Twój brat cię o tym poinformował?

Zamiast spojrzeć na Freyję, Sigrún żywo się zainteresowała sklejonymi figuрынkami na obdrapanym stoliku.

– Tak. Usłyszałam to od niego.

– Czy pamiętasz kiedy?

– Kilka dni temu. Nie pamiętam dokładnej daty.

Huldar nie wierzył w to ani przez chwilę i zakładał, że Freyja też nie. Powszechnie wiadomo, że ludzie dokładnie zapamiętują moment, w którym dowiedzieli się o czymś wyjątkowo ważnym, a tak właśnie tę wiadomość musiało potraktować każde z nich. Było też jednak jasne jak słońce, że nie uda się wyciągnąć od nich niczego ciekawego w obecności Thröstura. Chociaż Huldar nie miał najmniejszej ochoty, żeby wzywać ich do komisariatu pojedynczo, nie dało się tego uniknąć. Ich rodzina wycierpiała już w życiu naprawdę wiele, ale los nie wyznaczył niestety górnej granicy cierpienia.

– Rozumiem. Zmieniając temat, zapewne nie macie żadnej rzeczy, której mógł dotyczyć Jón Jónsson?

Wszyscy troje podnieśli wzrok i patrzyli na Huldara kompletnie zaskoczeni. Potem siostra i brat odwrócili się do matki, czekając na odpowiedź tak samo niecierpliwie jak Huldar. Widząc wszystkie oczy na sobie, Agnes zdała sobie sprawę, że to ona musi odpowiedzieć.

– Nie. W tym mieszkaniu nie ma niczego, co było jego własnością. Pozostała mi większość jego rzeczy, gdy stało się jasne, że nie wróci do domu, a tych kilka, które jeszcze zostały, wyrzuciłam przed przeprowadzką. Potem odkryłam, że coś jeszcze zostało, ale przeprowadzaliśmy się wiele razy, odkąd zostawiliśmy dom w Hafnarfjörður.

– W każdym razie będę wdzięczny za pilną informację, gdyby mimo wszystko jakaś jego rzecz rzuciła się pani w oczy. – Huldar zwrócił się do jej dzieci: – Jak rozumiem, jedno z was odwiedziło go w więzieniu przynajmniej raz. Czy tak?

Thröstur poczerwieniał, zaprzeczając gestem głowy. Niewiele był wart jako kłamca, żadne z nich nie umiało kłamać. Może to cecha rodzinna.

– Nie. Sigrún nigdy tam nie była. Ja też nie.

– Czy to prawda, Sigrún? Z naszych źródeł wiemy co innego.

Jej głos zabrzmiał jak cienki pisk.

– Thröstur mówi prawdę.

Huldar odwrócił się do Freyi. Z jego strony to wszystko. Będzie musiał wezwać ich pojedynczo na przesłuchanie. Gdyby kontynuował teraz, istniałoby ryzyko, że rodzina przygotuje odpowiedzi, synchronizując swoje wersje.

– Kończymy?

Freyja przytaknęła i podnieśli się z miejsc. Ulga matki i córki była niemal namacalna, jakby przyjmowały odwiedziny agentów Stasi i w ostatniej chwili otrzymały odroczenie egzekucji. Thröstur zdołał nieco lepiej udąć obojętność. Odprowadził ich do drzwi, asystował im, gdy wkładali buty, po czym bez pożegnania zatrzasnął za nimi drzwi.

W milczeniu pokonali schody, potem wyszli z klatki i ruszyli chodnikiem, niezręcznie powłócząc nogami, dopóki Huldar nie przerwał ciszy.

– Jeśli chodzi o wczorajszy wieczór, to...

– Czy musimy o tym rozmawiać? Nie powinnam pić alkoholu. I na tym możemy poprzestać. – Zasunęła kurtkę i naciągnęła kaptur na głowę.

– Okej. Chciałem tylko...

– W porządku. Nie mów nic więcej.

Na futrzanym kołnierzu jej kurtki osiadał śnieg i Huldar zapragnął go strzepnąć. Jak nigdy Freyja miała niestarannie położony makijaż. Na jednej powiece dostrzegł rozmazany tusz, a przy kąciku ust ślad szminki, ale te drobne niedoskonałości sprawiały tylko, że wyglądała jeszcze bardziej zachwycająco. Gdyby teraz leżeli na tej kanapie, nic by go nie zmusiło, żeby wstać i odejść.

Obok przejechało jakieś auto, rozbryzgując błoto na chodniku, gdzie stali. Cofnęli się od krawężnika i Huldar zobaczył, że Freyja grzebie w kieszeni w poszukiwaniu kluczyka. Jak tylko go znajdzie, powie do widzenia, wiedział więc, że albo teraz, albo nigdy.

– Jesteś zajęta wieczorem?

Freyja znalazła już klucze. Uśmiechnęła się lekko.

– Nie. Ale wcześniej się położę spać. Nadal odczuwam skutki tego wina.

– To może jutro wieczorem?

– Opiekuję się dzieckiem w ten weekend. Bratanicą. Będziesz musiał spróbować kiedy indziej.

– Czy wspominałem ci może, jak świetnie sobie radzę z dziećmi? Wręcz mnie uwielbiają. – Nie musiał przecież napomykać, że ma tylko siostrzeńców. – Mogę zabrać was obie do kina?

– Ona nie ma nawet roku.

– To może nakarmimy kaczki? Biedactwa głodują w taką pogodę.

Zabrzęczała kluczykami.

– Zobaczymy. Może do ciebie zadzwonię. – Ani się nie uśmiechnęła, ani nie zmarszczyła brwi, ani nie dała żadnego innego sygnału, żeby wzbudzić

w nim nadzieję. – Na razie. – Odwróciła się.

Huldar stał jeszcze przez chwilę na chodniku, czekając, aż samochód Freyi zniknie za rogiem, i powoli ruszył do swojego auta. Sięgnął po paczkę papierosów, ale zanim zdążył ją otworzyć, zadzwonił jego telefon. Odezwał się strażnik z Litla-Hraun, z którym rozmawiał wcześniej.

– Znaleźliśmy coś, co należało do Jóna Jónssona. Rzecz, której używał często i której praktycznie nikt inny nie dotykał. Odbierze pan czy mam przesłać?

– Co to jest?

– Biblia. Tacy jak on zawsze ją zostawiają.

Rozdział 22

Dzieci były dla Æsy wszystkim. Liczyły się tylko one. Bez nich jej życie nie byłoby nic warte. A jednak zawsze się cieszyła na weekendy, które spędzały z ojcem. Mogła dłużej pospać, objadać się słodyczami, dowolnie głośno ustawiać telewizor bez ryzyka, że je obudzi, opuścić jakiś posiłek albo jeść, kiedy miała na to ochotę, zamówić pizzę, dla odmiany inną niż margherita, i bez poczucia winy leżeć na kanapie z książką w ręku. Innymi słowy weekendy Thorvaldura były dla niej okazją, żeby się nacieszyć każdą minutą leniwego dnia. Mogła też wyjść z domu, jeśli koleżanki organizowały babski wieczór, choć te stały się znacznie rzadsze, odkąd wszystkie powychodziły za mąż i urodziły dzieci.

Na ten weekend nie zaplanowała niczego: spędzi go samotnie w pustym mieszkaniu, mając do towarzystwa tylko swoje zmartwienia. Thorvaldur miał lada moment przyjechać po dzieci, ale nie wierzyła, że się nimi dobrze zaopiekuje. Był tak samo nieodpowiedzialny jak ten idiota gliniarz, który z nią rozmawiał, gdy zgłosiła incydent w Parku Rodzinnym. Nie tylko zlekceważył jej obawy, ale miał też czelność imputować jej, że sobie to wszystko wymyśliła. Ale ona wiedziała, że to prawda, i oczywiście Thorvaldur też. Twierdził, że nie zna żadnej osoby o imieniu Vaka, ale Æsa dobrze wiedziała, kiedy jej były mąż kłamał. Może Vaka została nową kobietą w jego życiu, a za Świętego Mikołaja przebrał się jej były. Jeśli tak, to wolałaby, żeby ten były się odczepił od ich dzieci, tylko odreagował, dając w pysk Thorvaldurowi.

Kto mógłby zrobić coś takiego? Zwabić dzieci do samochodu i odjechać z nimi? Te pytania zadawała sobie cały wczorajszy dzień, potem dręczyły ją w nocy i nie potrafiła się ich pozbyć także po przebudzeniu. Koledzy, którym opowiedziała tę historię, przewracali oczami, gdy na nich nie patrzyła. Nawet nauczyciele z przedszkola przyjęli jej relację sceptycznie, choć oczywiście w ich interesie było jej nie uwierzyć. Jeśli Æsa mówiła od rzeczy, to oni nie musieli się czuć winni, że nie dopełnili obowiązku, spuszczając jej dzieci

z oka podczas imprezy w parku.

Ten cholerny facet dobrze wiedział, co robi, wybierając taki kostium. Gdyby nie wspomniała o Świętym Mikołaju, policja potraktowałaby jej zgłoszenie zupełnie inaczej, a tak przysłali funkcjonariusza, któremu było bliżej wiekiem do Karlotty i Dadiego niż do niej.

– Kiedy tata przyjdzie? – Dadi oderwał wzrok od telewizora, żeby z nadzieją spojrzeć na swoją matkę. Za jego głową migotała na ekranie kreskówka. Postaci niepodobne ani do człowieka, ani do zwierzęcia toczyły walkę w knajpie na Dzikim Zachodzie. Wątpiła, czy Dadi ma pojęcie, co się tam dzieje. Prawie zasypiał wyczerpany po całym tygodniu, jak zawsze w piątki. – Czekamy i czekamy.

– Wcale nie czekamy długo, Dadi. Przecież dopiero wróciliśmy do domu. – Podeszła, żeby go pogłaskać po głowie, potem pochyliła się i cmoknęła go w czoło. Oczka robiły mu się szkliste i wiedziała, że lada moment malec zaśnie na kanapie mimo hałaśliwego pisku bohaterów kreskówki. – Tata przyjdzie lada chwila. Nie zasypiaj, bo wiesz, jak trudno ci się potem obudzić. – Ale dobrze wiedziała, że prośby nic nie dadzą. Jeśli Thorvaldur zaraz się nie zjawi, Dadi zaśnie jak kamień.

Dołączyła do nich Karlotta.

– Przyjdzie tata? – Zawsze tak było, wypytywali na zmianę. W co drugi piątek musiała bez przerwy wysłuchiwać tych pytań od wejścia do domu aż do chwili, gdy Thorvaldur stanął w drzwiach. Gdy się spóźniał, omal nie doprowadzały jej do obłędu.

– Tak, Karlotto, przyjdzie niedługo. – Prawdę mówiąc, powinna się cieszyć, że chcą przebywać ze swoim ojcem. Znała przypadki, że dzieci płakały przed każdym ojcowskim weekendem, a potem kurczowo chwytają się matczynej nogi i trzeba je było odrywać siłą. Jak by się czuła przy takim pożegnaniu? Na pewno gorzej niż teraz.

– Kupi nam lody. Z sosem. Duże, a nie takie dzieciowe, jakie ty zawsze kupujesz.

Æsa zmusiła się do uśmiechu.

– Na pewno będą smaczne.

Thorvaldur rozpieszczał je niemiłosiernie przez cały czas, który spędzał z nimi. Żadnych reguł, tylko ciągła zabawa i robienie wszystkiego, na co miały ochotę. Nie mogła z nim konkurować pod tym względem: gdy wypadała jej kolej, nie miała siły po całym tygodniu pracy, no i nie było jej

stać na finansowanie dwudniowego dziecięcego raj. Nie winiła za to Thorvaldura. Na jego miejscu robiłaby dokładnie to samo. Oczywiście gdyby miała pieniądze. Nie było zabawne odbierać dzieci po dwóch dniach u ojca, z buziami lepkiemi od słodyczy i rozregulowanym rytmem dnia, ale przynajmniej miała je znów przy sobie. Teraz się bała, że Thorvaldur nie dopilnuje Karlotty i Dadięgo, a fałszywy Święty Mikołaj nie omieszka skorzystać z tej okazji.

Rozległ się dzwonek przy drzwiach wejściowych i Æsa aż podskoczyła.

– Jak myślisz, Karlotto, kto to może być?

– Tata! – Dziewczynka popędziła do drzwi, Dadi biegł tuż za nią, chwilowo zapominając o zmęczeniu. Æsa ruszyła w pogoń, ale drzwi frontowe się otworzyły, zanim dobiegła do holu. Przez sekundę myślała, że zamiast Thorvaldura stoi w nich mężczyzna z parku, ale zaraz zobaczyła znajomą twarz, wypolerowane buty i marynarkę, która wyglądała, jakby pięć minut temu zdjął ją z wieszaka. Thorvaldur był jak kot: zawsze porządny i lśniący, bez względu na okoliczności.

– Idźcie po swoje rzeczy. Muszę zamienić dwa słowa z tatą. – Æsa posłała dzieci po torby, które spakowały poprzedniego dnia, całą wieczność wybierając ubrania i zabawki, choć dobrze wiedziała, że nawet ich nie tkną. U Thorvaldura miały drugi komplet wszystkiego, rzeczy kupione przez niego, ponieważ nie chciał, żeby widziano go z dziećmi w zniszczonych ubraniach, które ich matka dostawała od koleżanek. Cóż, to był jego problem.

Thorvaldur wszedł do środka, krzywiąc się jak zawsze, gdy był zmuszony przebywać w jej mieszkaniu. Wolałby poczekać na zewnątrz, rozczulając się nad własnym męczeństwem.

– Czego chcesz? Śpieszę się. Zamówiłem stolik w restauracji, nie mogę się spóźnić. Masz pojęcie, jaki tłok jest w restauracjach? Wszystko przez turystów.

Æsa nie miała pojęcia. Nie jadła na mieście od wielu miesięcy. Ale też nie podejrzewała, żeby turyści napływali tłumnie o tej porze roku. Thorvaldur jak zwykle awanturował się bez powodu. Dla jego dobra żywiła nadzieję, że w menu nie będzie ślimaków ani wołowiny Kobe. Skoro musiał rezerwować stolik, to zapewne nie zabierał dzieci na burgera i frytki, choć nie zdziwiłaby się także, gdyby jej były mąż zamówił stolik w jakiejś budzie z fast foodem.

– Kim jest Vaka? Powiesz mi wreszcie?

– Nie znam żadnej Vaki. Przestań już o tym głądzić, dobrze? – Thorvaldur

zerknął nad jej ramieniem, jakby chciał sprawdzić, gdzie są dzieci. Oboje wiedzieli jednak, że unikał w ten sposób patrzenia jej w oczy.

– Jeśli nie mnie, to policji będziesz musiał powiedzieć, kim ona jest. Zgłosiłam sprawę i będą się z tobą kontaktować. – W rzeczywistości nie było na to szansy. Młody policjant, który się zajął jej zgłoszeniem, ciągle jej przerywał dziwnymi pytaniami, czy pali trawę albo czy ma bujną wyobraźnię. Æsa nie wspomniała imienia Vaka, nie chcąc go dodatkowo odciągać od tematu. Ale tego nie musiała mówić Thorvaldurowi. W poniedziałek rano ponownie zadzwoni na policję i poprosi o uzupełnienie zeznania. Nie łudziła się już, że oni sami się do niej odezwą.

– Nie mogę powiedzieć policji o jakiejś kobiecie, której nie znam. Na litość boską, przestań mnie męczyć! – Thorvaldur odwrócił głowę i krzyknął: – Dzieci, proszę tutaj. Bo się spóźnimy na kolację!

Znając swoje dzieci, Æsa była pewna, że przybiegną natychmiast, ciągnąc za sobą plecaki, spanikowane, że ojciec mógłby wyjść bez nich. Potem nie da się już spokojnie porozmawiać z Thorvaldurem. Wyraźnie nie było sensu dłużej go przyciskać o Vakę. Jeśli chce, niech sobie trzyma tę swoją nową kobietę w tajemnicy. Teraz miała ważniejsze sprawy.

– Musisz mi obiecać, że będziesz ich pilnował i ani razu nie spuścisz z nich oka!

– Co się z tobą dzieje? Oczywiście, że będę ich pilnował. Czy kiedykolwiek spotkało je coś złego, gdy były pod moją opieką? – Sam sobie odpowiedział, zanim Æsa zdążyła wspomnieć, że Dadi skaleczył się w rękę jego maszynką do golenia, a Karlotta przypaliła włosy, gdy jeden z jej warkoczy przeleciał nad świeczką na stoliku. – Nic złego ich nie spotkało, ponieważ dobrze się nimi opiekuję. Lepiej niż ty. U kogo były, gdy zostały porwane przez Świętego Mikołaja? – Palcami narysował w powietrzu dwa cudzysłowy.

– Nie mam zamiaru się z tobą spierać. Nie chcesz się przyznać, ale ta sprawa ma coś wspólnego z tobą, dlatego proszę tylko, żebyś bardzo zwracał uwagę na dzieci w ten weekend. Nie spuszczaaj ich z oka nawet na sekundę. – Æsa słyszała za sobą tupanie Karlotty i Dadięgo. Chwila spokoju właśnie się kończyła. – Obiecay, Thorvaldurze.

– Co tata ma obiecać? – Karlotta pociągnęła za jej sweter.

– Że będzie się wami opiekował, kochanie. I ty musisz obiecać, że nigdy nie będziesz odbiegała od taty. Musisz być przy nim przez cały czas, przez

cały weekend.

– Co? – Dadi przecisnął się tuż przy niej i stanął obok ojca. – A jeśli tata będzie musiał iść siku?

– Albo kupę? Musimy z nim iść? – Karlotta zachichotała i stanęła obok Dadiego. Ani jedno, ani drugie nie zdawało sobie sprawy z powagi sytuacji. Byli zbyt mali, żeby rozumieć, że ludzie potrafią wyrządzać krzywdę innym ludziom, nawet dzieciom. Cokolwiek robiła, żeby im to wbić do głów, one i tak uważały, że inni ludzie służą do ułatwiania im życia i zabawiania ich. Inne dzieci istniały po to, żeby się z nimi bawić, dorośli zaś mieli podawać jedzenie, ciepło je opatulać i pozwalać im na zabawę między posiłkami.

– Słyszeliście, o co prosiłam? Obiecujcie.

Szczęśliwe miny zniknęły z twarzy dzieci, gdy po kolei składały obietnicę. Zaraz potem Thorvaldur zaczął je ubierać w kurtki i pomógł im włożyć buty. Æsa pochyliła się, żeby dostać buziaki na do widzenia. Na odchodnym Thorvaldur stwierdził, że mogłaby trochę lepiej ubierać dzieci, przecież szły do restauracji, na litość boską! Potem wyprowadził je na zewnątrz. Karlotta pomachała mamie na pożegnanie i jej ojciec zamknął za nimi drzwi.

Æsa wciąż czuła ich pocałunki na policzku. Pośpieszyła do sypialni i obserwowała, jak Thorvaldur wsadza dzieci na tył samochodu, a następnie zapina im pasy. Gdy zniknęli za rogiem, ogarnął ją strach. Obawy jeszcze wzrosły, gdy uświadomiła sobie, że w końcu Thorvaldur nie obiecał jej, że nie spuści z nich oczu, jak prosiła. Dlaczego mu nie powiedziała, że dzieci są chore? Ale wtedy musiałaby poprosić Karlottę i Dadiego, żeby potwierdzili jej kłamstwo, a to byłoby nie w porządku wobec nich.

O Boże!

Weekend wystartował. Mogła zacząć chodzić od ściany do ściany.

Thorvaldur połknął kolejną dawkę ibuprofenu i popił wodą, mając nadzieję, że ból zelżeje. Pękała mu głowa. Wczoraj w restauracji wino musiało być gorsze niż zazwyczaj. Chyba że zaszkodziła mu druga szklaneczka whisky po powrocie do domu. Chryste! Marzył tylko o zimnym piwie, które by go postawiło na nogi. Miał w lodówce sześciopak, ale to było wykluczone. Opiekował się dziećmi i musiał pamiętać przede wszystkim o tym. Zabierał je do kina, a nie wyglądałoby dobrze, gdyby śmierdział tam alkoholem. Musiał mieć nadzieję, że do końca weekendu wystarczy ibuprofen, tak jak wystarczał w czasie poprzednich weekendów z dziećmi.

Thorvaldur owinął się szlafrokiem i mocniej ścisnął pasek. Trzeba znaleźć coś do jedzenia dla dzieci. Dawno minęła dziesiąta, a one jeszcze nie jadły śniadania. Gdy wpadły do jego sypialni o ósmej, zdołał kupić sobie trochę czasu, sadzając je przed telewizorem. Ale kreskówka szybko je znudziła. Nadal półprzytomny, namówił je na lepienie bałwana w ogrodzie. Nadal tam były, prawdopodobnie głodne jak wilki. Gdyby je teraz zawołał, miałyby czas, żeby się pozbierać, zanim zdejmą kurtki i buty, a potem umyją ręce. Pozbierać się przynajmniej na tyle, żeby wyjąć im płatki śniadaniowe.

Kwaśne uczucie w żołądku nasiliło się, gdy przypomniał sobie kazanie, które wczoraj wygłosiła mu Æsa. Dzieci były w ogrodzie od godziny, przez nikogo niepilnowane. Czy to możliwe, żeby...? Nie, oczywiście, że nie. Ogród jest za płotem. Poczł, że jego żołądek wykonał półobrót, jak bęben w pralce automatycznej na zakończenie cyklu prania. Co on sobie myślał? Drewniany płot nie jest skuteczną barierą. Nie został zaprojektowany, żeby trzymać z dala wroga. Gdyby ktoś chciał go przekroczyć, to nic go nie powstrzyma.

Thorvaldur nadstawił ucha, nagle bojąc się wyjrzeć na zewnątrz. A jeśli dzieci zniknęły? Ulga, którą poczuł, gdy wydało mu się, że słyszy ich głosy, była taka wielka, że prawie przestała go boleć głowa i nawet żołądek przez chwilę zachowywał się spokojnie.

Przeszedł do pokoju dziennego, czując pod stopami lodowaty parkiet. Gdy się zbliżył do okna, głosy dzieci stały się wyraźniejsze. Nie miał wątpliwości, Karlotta i Dadi o coś się sprzeczali. Z każdym krokiem mniej się martwił. Nie było się czego bać. Zanim stanął przy oknie, żeby zawołać dzieci do domu, zapomniał o swoich obawach.

Dokładnie w tym samym momencie dzieci zaczęły przeraźliwie krzyczeć.

Rozdział 23

Erla nie posiadała się z radości: ewidentnie spotkanie przebiegło dobrze i pokleпали ją po plecach za postępy w śledztwie, jeśli można to nazwać postęпами. Huldar przypuszczał, iż dała przełożonym do zrozumienia, że do przełomu brakuje niewiele. Trudno było zgadnąć, jak przedstawiła Jóna Jónssona, jako podejrzanego czy ofiarę, ale osiągnęła pożądany skutek. Erla nigdy nie umiała zbyt dobrze ukrywać uczuć, więc gdyby dostała reprimendę, byłoby to widać na jej twarzy. Huldar podejrzewał też, że na ocenę szefostwa wpłynęły nazwisko i kryminalna przeszłość Jónssona. Co mogło być lepszego od sprawcy, który już wystąpił w roli łotra? Z tego powodu zapewne dostaliby mniej lub bardziej wolną rękę w prowadzeniu śledztwa; nikt nie powinien się przyczepiać do metod ani wrzeszczeć o przysługujących podejrzanemu prawach człowieka. Jeśli jednak Jón Jónsson był ofiarą, którą pozbawiono dłoni, a może i innych części ciała, to opinia publiczna raczej by się nie interesowała, jak bardzo ucierpiał. Tożsamość osoby odpowiedzialnej za zbrodnię niemal na pewno nie byłaby ważna, ponieważ ludzie najpewniej by z nim lub z nią sympatyzowali, nawet jeśli nie chcieliby się do tego przyznać.

Najwyraźniej też rozeszła się już wiadomość, że Erla wróciła do łask i bez problemu można się z nią pokazywać, ponieważ detektywi z wydziału dochodzeniowo-śledczego podchodzili do niej jeden po drugim w nadziei, że weźmie ich pod uwagę przy rozdzielaniu nowych zadań. Świeży wątek oznaczał inne rozłożenie akcentów. Ale choć wszyscy nie mogli się doczekać, kiedy zaczną, nikt nie chciał dostać głównianych zadań, których nigdy nie brakowało podczas operacji na dużą skalę. Huldar uznał, że mądrzej zrobi, jeśli się wstrzyma. Był pewien, że Erla i tak weźmie go pod uwagę, jak zwykle przydzielając mu mało istotne zadanie. W każdym razie nie było szansy, żeby poszedł tam się jej podlizywać. Nadal był na to zbyt dumnym wiejskim chłopcem.

Jedynym oprócz niego członkiem zespołu, który nie dołączył do reszty, był

człowiek, którego Erla posłała na patomorfologię w związku ze szczątkami Einara Adalbertssona. Mężczyzna siedział przy swoim biurku wpatrzony w monitor, tylko od czasu do czasu wstając z miejsca po kolejny kubek wody. Huldarowi zrobiło się go szkoda, zostawił więc w spokoju grupę napalonych klakierów, którzy prawie już świętowali zakończenie śledztwa, i podszedł prosto do tego biurka. On sam nie znosił wizyt w prosektorium, ponieważ zawsze były męką dla oczu, nosa i uszu. Zdaje się, że kolega o ziemistej cerze miał podobnie. Został zmuszony do wysłuchania wygłoszonego przez patomorfologa wykładu na temat rozkładu tkanek ludzkich po pochówku, potem zaś przyszło mu oglądać zawartość trumny Einara Adalbertssona. Omal nie zwymiotował, opowiadając Huldarowi o tym doświadczeniu i powtarzając mu to, co sam usłyszał w prosektorium.

– Enzymy i mikroby rozkładają organy wewnętrzne, niszcząc je w ciągu kilku lat, nie ma więc szansy, żeby je zbadać. – Skrzywił się. – Dzięki Bogu. Nie jestem pewien, czybym to zniósł. Ale na kościach nadal się trzymały strzępki ciała. Sam szkielet pewnie by mi nie przeszkadzał. – Zamknął oczy, wzdrygnął się i pociągnął łyk wody. – To było potworne. Brakowało mu oczu, może się zapadły do wnętrza czaszki, ale nie pytałem, bo jeszcze temu lekarzowi przyszłoby do głowy, że je wyjmie. Na czaszce miał kępki włosów. – Wziął głęboki oddech. – Z całą pewnością każe się skremować.

– Zdaje się, że nie jesteś pierwszym, który dochodzi do tego wniosku po wizycie na sekcji.

– Ale chyba miałem szczęście. Mogło być znacznie gorzej. Lekarz wspomniał, że gdyby denata pochowano w hermetycznej trumnie, to z ciała zostałaby tylko zgniła czarna papka.

– Co jeszcze wyniknęło z twojej wizyty oprócz tych cudownych przeżyć? Co powiedział o przyczynie śmierci? – Po zmuszeniu Huldara do wysłuchiwania opisów, od których żołądek podjeżdżał do gardła, przekazanie mu jakichś konkretnych informacji było wręcz oczywiste.

– Okazało się, że to nie jest takie jednoznaczne, jak przekazywał Erli. Lekarz wystąpi o zgodę na pełną sekcję zwłok i ma nadzieję na odnalezienie faktycznej przyczyny śmierci, ponieważ z pewnością nie było to nagłe zatrzymanie akcji serca. – Mężczyzna znów zadrżał. – Nawet ja widziałem to, co pokazywał z tyłu czaszki.

– Co widziałeś? – *Tylko nie zaczynaj znowu o kępkach włosów*, dodał Huldar w myślach.

– Dziurę. Niemal idealnie okrągłą.

– I co z tą dziurą? O ile pamiętam, uderzył głową o wannę we własnej łazience. Cierpiał na arytmie, prawda?

– Tak. Na tylnej części czaszki znajdowało się pęknięcie, które mogło powstać podczas uderzenia o krawędź wanny. Ale była też inna rana, która nie mogła w ten sposób powstać, okrągła dziura po uderzeniu tępym narzędziem. A przynajmniej tak uważa ten patomorfolog.

– Dlaczego nie wspomniano o niej w protokole sekcji zwłok wykonanej po śmierci? Nie ma żadnych wątpliwości, że to właściwe ciało? Nie da się wykluczyć, że natrafimy na jeszcze jeden pusty grób i trumna z ciałem Einara Adalbertssona znajdzie się później.

– Jego ciała nie poddano dokładnym oględzinom. Nie wykonano sekcji zwłok. Wówczas nie było wątpliwości co do przyczyny śmierci. Czekał w kolejce na rozrusznik serca, był leczony na arytmie, która może powodować zawroty głowy. Wcześniej też się przewracał. Rana na głowie była zgodna z obrażeniami po uderzeniu w krawędź wanny, w akcie zgonu zanotowano, że na wannie znaleziono włosy i ślady krwi w miejscu, w które uderzył. Mieszkał sam, nic nie wskazywało na obecność osób trzecich w chwili śmierci. – Wzruszył ramionami. – Jego córka była wówczas najbliższym członkiem rodziny i nie widziała powodu, żeby się domagać dochodzenia. Nikt nie kwestionował wersji z wypadkiem. Ale teraz jego skalp zniknął, a właściwie został na poduszce, gdy podnieśli czaszkę. – Wspomnienie znów zabarwiło jego twarz na szary kolor. – Jest niemal pewne, że to nie był wypadek. Nie wiadomo na pewno, czy lekarz, który wystawił świadectwo zgonu, mógł stwierdzić istnienie dwóch ran bez sekcji zwłok.

Huldar gorączkowo myślał.

– Czyli to na pewno on? – zapytał.

– Tak. Dowód jest raczej niepodważalny. Imię jego zmarłej żony zostało wygrawerowane na wewnętrznej stronie obrączki wciąż wiszącej na palcu serdecznym. Ze szkieletu zdjęto też pierścień łoży masońskiej. Mimo to lekarz zamierza sprowadzić jego kartotekę dentystyczną, jeśli jeszcze istnieje. Chce też przeanalizować inne dokumenty medyczne w poszukiwaniu dawnych złamań albo innych obrażeń, które mogłyby posłużyć do potwierdzenia tożsamości. Jest szansa, że to jednak ktoś inny, ale bardzo niewielka.

Grupka wokół Erli zaczynała się przersedzać. Najciekawsze zadania zostały już zapewne przydzielone, a zostały tylko te najbardziej żmudne. Ci, którzy jeszcze nie dostali nowych poleceń, będą siedzieć ze spuszczoną głową w nadziei, że nie zwróci na nich uwagi. Huldar podniósł się z krzesła i powędrował z powrotem do swojego biurka. Sprawdził Einara Adalbertssona w rejestrze policyjnym i znalazł wpis dotyczący jego śmierci przed jedenastu laty, chociaż raczej spodziewał się, że znów wyciągnie pustą los, bo dokumenty zaginęły albo zostały usunięte. Może więc mimo wszystko optymizm zespołu dochodzeniowego był uzasadniony i naprawdę osiągnęli punkt zwrotny.

Wpis nie był zbyt szczegółowy, ale wystarczył, żeby Huldar dowiedział się czegoś więcej na temat wypadku. Sprzątaczką denata przyszła jak zawsze w poniedziałek o jedenastej i zastała go w kałuży krwi na podłodze w łazience. Weszła tam, bo słyszała odkręcony kran, więc chciała sprawdzić, czy jest w środku. Zwykle wychodził z domu na czas sprzątania. Wpadła w panikę, gdy zajrzała przez otwarte drzwi i zobaczyła go na zakrwawionych płytkach. Nie sprawdzała, czy żyje, po prostu zadzwoniła po pogotowie. Lekarz stwierdził zgon na miejscu i wezwał policję, choć orzekł, że jest w zasadzie jasne, co się wydarzyło.

Mężczyzna upadł, uderzając głową o krawędź wanny. Nie podejrzewano, że był pijany, ponieważ nie śmierdział alkoholem. Miał na sobie piżamę i nadal ścisnął w dłoni szczoteczkę do zębów z nałożoną pastą. Lekarstwa w szafce łazienkowej wskazywały, że leczył się na nadciśnienie, co potwierdził lekarz, który je przepisał. Wyjaśnił też, że denat cierpiał na arytmie, która już wcześniej powodowała, że tracił równowagę. Nie znaleziono nic, co mogłoby wskazywać, że śmierć nastąpiła inaczej niż w następstwie nieszczęśliwego wypadku.

Szczegółowe dochodzenie wykazało, że w wieczór śmierci otrzymał wiadomość SMS od swojego wnuka. Wnuk miał trzynaście lat, był synem pasierba denata. W wiadomości chłopiec pytał dziadka, czy kupi trochę papieru toaletowego, który sprzedaje na cele dobroczynne, a jeśli tak, to czy mógłby od razu przyjść po pieniądze. Mężczyzna odpisał natychmiast, że się zgadza. Gdy policjanci skontaktowali się z chłopcem, żeby zapytać o samopoczucie dziadka tego wieczoru, ten odparł, że wstąpił tylko na chwilę, co najwyżej pół godziny, ponieważ dziadek nie czuł się dobrze i powiedział, że chce się położyć. Chłopiec dodał, że nie miał pojęcia, że

choroba jest aż tak poważna. Nazywał się Thröstur Agnesarson. Zapytany wyjaśnił, że jego ojciec nie żyje, a policjant, który z nim rozmawiał, najwidoczniej tego nie sprawdził. Nazwisko Jóna Jónssona nie padło ani razu.

Ostatecznie uznano, że Einar Adalbertsson zmarł w następstwie wypadku spowodowanego chorobą. Sprawę zamknięto bez dalszego dochodzenia i wystawiono akt zgonu.

Huldar wstał od biurka. Wyglądało na to, że salę przesłuchań dla Thröstura musi zamówić na kilka godzin. Lista pytań stawała się coraz dłuższa.

Erla się nie ruszyła. Nadal stała w tym samym miejscu, rozmawiając z jedynym człowiekiem, który przy niej został. Wyglądał na przerażonego. Gdy podszedł Huldar, mężczyzna skorzystał z okazji, żeby się zmyć.

– Jak idzie? – Huldar sięgnął po plastikowy kubek, postawił go pod dyszą automatu z napojami i wybrał czarną kawę. Litery na tym przycisku wytarły się dawno temu, a te na przyciskach do latte i cappuccino były jak nowe.

– Dobrze. Cholernie dobrze. Naprawdę coś się zaczyna dziać. Czuję to. Do wtorku zatrzymamy sprawcę. W najgorszym wypadku do środy.

– Czy to właśnie powiedziałaś szefostwu? – Obserwował, jak czarny strumień opada do kubka.

– Tak. Może nie ujęłam tego tak mocno, ale powiedziałam, że jestem optymistką i niedługo przeprowadzimy zatrzymanie.

Huldar siorbnął łyk parzącej kawy. Erla popełniła wielki błąd, ale nie było sensu mówić jej o tym teraz.

– Przesłuchanie Thröstura będzie długie i ciężkie. Musimy ustalić, jak się do niego zabrać.

– To może zaczekać. W kilka osób idziemy coś zjeść. Trzeba to uczcić. Pizza i piwo. Będzie promocja na alkohol, jeśli zamówimy przed siódmą.

– Kto idzie? – Huldar nie był w nastroju. Ale nie miał nic innego do roboty. Większość jego przyjaciół miała już partnerki oraz dzieci i chociaż wyskakiwali na miasto od czasu do czasu, to nigdy spontanicznie. Trzeba się było z nimi umawiać kilka dni wcześniej, a z niektórymi nawet kilka tygodni.

Erla wyliczyła nazwiska, ale Huldar przestał słuchać w połowie.

– Piszę się na to. – Był głodny i z pewnością nie odmówiłby piwa. Może uda się odnowić kontakty z kolegami, albo przynajmniej częścią z nich. Jeśli tak, nie będzie to zupełna strata czasu.

Trzy godziny później nadal był w pubie. Siedzieli wokół dużego stołu. Kilka niezjedzonych kawałków pizzy zdobiło środek blatu. Liczba piw dawno przekroczyła jedno czy dwa i nic nie wskazywało, żeby miała stanąć w miejscu. Mówili już głośniejszymi, śmiali się donośniej i zachowywali, jakby byli wolni od wszelkich trosk. Z każdą następną kolejką relacje Huldara z kolegami powoli, powoli wracały do stanu sprzed krótkotrwałego awansu. Muzyka wydawała mu się lepsza, niż kiedy przyszli, a rozmowa ciekawsza. Wszystko wskazywało na to, że nie on jeden miał takie odczucia, ponieważ część kolegów zaczynała śpiewać, niemiłosiernie fałszując, albo uderzać dłońmi o stół w rytm znajomego refrenu.

Zgodnie stwierdzili, że powinni się spotykać częściej. W ślad za tym zapadła decyzja, że będą to robić co piątek. Nawet ci, którzy wedle wiedzy Huldara mieli rodzinę, całym sercem poparli ten znakomity pomysł. Niewiele brakowało do kolejnego etapu. Zaczną się dzielić na pary i jeden będzie z całym przekonaniem zapewniał drugiego, jaki jest świetny, po czym się wymienią numerami telefonów, żeby mogli kontynuować tę świeżo przypieczętowaną przyjaźń.

Pojawił się kelner z tacą załadowaną piwami, wywołując kolejny wybuch radości. Wzniesli szklanki, żeby wypić za coś, czego nikt do końca nie rozumiał, włącznie z tym, który zaproponował toast. Gdy szklanki z hukiem opadły, po stole rozprysnęła się piana, ale nikt nie zwrócił na to uwagi ani nie spróbował jej zetrzeć.

Erla przysiadła się do Huldara i była teraz znacznie bliżej niego niż na początku wieczoru. Było mu z tym dobrze, przysunął się więc jeszcze bardziej, kładąc nawet rękę za jej plecami na oparciu drewnianej ławy. Najwyraźniej nie miała nic przeciwko temu. Gdy poczuł jej ciepłą dłoń na udzie, wydawało mu się, że to całkiem naturalne miejsce dla tej dłoni. Dopóki nie przesunęła jej wyżej, gdzie było jeszcze lepsze miejsce.

Huldar pogładził jej rękę, żeby wiedziała, że nie ma nic przeciwko temu, choć z pewnością nie mogła tego nie zauważyć.

A potem nie było już odwrotu.

Rozdział 24

Kolbeinn poczuł się lepiej, choć ogólnie czuł się o wiele gorzej niż zazwyczaj. Dryfował na granicy odrętwiałej obojętności, ale prawdopodobnie był to opóźniony skutek narkozy albo środków przeciwbólowych, którymi go faszerowali. Gdy pakował swoje nieliczne rzeczy, przypomniał sobie, że musi koniecznie poprosić o więcej tych tabletek do domu. Przede wszystkim jednak czuł się odprężony: zmartwienia, które żerowały na jego myślach, odkąd dwoje detektywów wyprowadzono z jego sali, teraz wydawały mu się nierealne i nieważne. Dopóki policja nie aresztuje człowieka, który przywiązał do jego auta tego mężczyznę, powinien zostać w stanie tego przyjemnego ogłupienia. W każdym razie na pewno odpowiadałoby to jego żonie. Pytała, czy byłoby mu bardzo przykro, gdyby ze swoim kółkiem krawieckim pojechała na zaplanowaną już od dawna wycieczkę do Londynu, mimo że on nie czuje się najlepiej.

Nie czuje się najlepiej.

On dochodzi do siebie po ataku serca, a ona woli się szwendać za granicą, a nie go pielęgnować. Nie miała nawet tyle przyzwoitości, żeby się pofatygować do szpitala i osobiście go o tym poinformować, a tylko zadzwoniła. Zdawał sobie sprawę z bezduszności takiego zachowania, ale dzięki ogłupiającej mocy opiatów nie poczuł się zraniony. Gdy skończyli rozmawiać, śmiał się nawet jak głupi, bo ich małżeństwo zrobiło się po prostu śmieszne.

Musiał zdobyć receptę na te cudowne tabletki!

W schowku nic już nie zostało, na tym szkaradnym stoliku przy łóżku też nie. Wszystkie osobiste rzeczy – oprócz tych, które miał na sobie – leżały upchnięte w pomarańczowej plastikowej torbie. Przyniosła mu je Heida, ponieważ w końcu raczyła się u niego pokazać. Kolbeinn leżał oszołomiony na łóżku, gdy mu je wręczyła. Przeleżał tak całe jej krótkie odwiedziny. Była zbyt zajęta narzekaniem, żeby zwrócić uwagę na jego samopoczucie, on zaś był zbyt otumaniony, żeby skomentować plastikową torbę, którą

bezceremonialnie postawiła na jego brzuchu. Na pożegnanie pochyliła się i pocałowała go w czoło, jak stara ciotka swojego siostrzeńca. Przy okazji przycisnęła swoim ciężarem plastikową torbę, ale najwyraźniej tego nie zauważyła i wyszła, zostawiając ciężar na jego brzuchu.

Gdy się wybudził z drzemki, ktoś ją z niego zdjął i rozpakował, powiesił ubrania do szafy, szczoteczkę i pastę do zębów umieścił w szklance na umywalce, a tablet na stoliku przy łóżku. Bateria w tablecie była wyczerpana, ale Heida albo zapomniała o ładowarce, albo nie chciała sobie zawracać głowy szukaniem. To samo dotyczyło ładowarki do telefonu komórkowego, która zapewne nadal leżała na domowym komputerze.

Opierając się o łóżko, Kolbeinn powoli opadł na krzesło. To był jedyny sposób, żeby włożyć buty. Gdy je do siebie przysuwał, znów miał przed oczami skarpetki nie do pary. Przez farmakologiczną obojętność przedarło się słabe uczucie urazy skierowanej do Heidy. Czy to zbyt wiele prosić, żeby przyniosła dwie takie same? Nie mówiąc już o majtkach. Jak mogła o nich zapomnieć?

Ale po co miał się skupiać na podłym zachowaniu Heidy, skoro mógł myśleć o miłszych rzeczach. Jak choćby o tym, że jego dyrektor osobiście telefonował na oddział, żeby zapytać o jego zdrowie. Młoda pielęgniarka przekazała mu od niego życzenia szybkiego powrotu do zdrowia, gdy przyniosła tabletki. Połknął je z radością, chociaż w tamtym momencie nie potrzebował lekarstw na poprawę nastroju: wystarczyła mu informacja, że pytał o niego dyrektor. Zwykle nie okazywał zainteresowania Kolbeinnem, co najwyżej odpowiadając mu skinieniem głowy, gdy się mijali na korytarzu, a jeśli już raz na jakiś czas zaczynał rozmowę, to szybko się okazywało, że bierze Kolbeinna za kogo innego. Pytał o gwiazdę futbolu. Kolbeinn i Heida nie mieli dzieci, ale syn jednego z kierowników działu grał w drużynie Islandii. Ponieważ Kolbeinnowi nawet by przez myśl nie przemknęło, żeby uświadamiać dyrektorowi jego pomyłkę, nie wyprowadzał go z błędu i brał nogi za pas najszybciej jak się dało.

Zdołał zawiązać sznurówki. Potem klepnął się w uda, chwycił poręczę krzesła i podźwignął się. Nie ma co zwlekać. Wypisali go: szpital jest jak przeładowany hotel i nie ma mowy o zgodzie na przedłużenie pobytu, żeby nie wiem jak prosić. Na zewnątrz czekał następny pacjent, który zajmie jego salę, zanim Kolbeinn zdąży opuścić oddział, żeby wyruszyć do domu.

Z torbą w ręku, powłócząc nogami, Kolbeinn wyszedł na korytarz.

Mężczyzna czekający na jego miejsce chrapał z szeroko otwartymi ustami – niewątpliwie wciąż żywy. Oprócz tego było cicho. Zapadł wieczór i pacjenci spali zwaleni z nóg przez tabletki nasenne, które rozdawano tutaj jak cukierki. Może powinien poprosić, żeby dopisali mu jakieś do recepty. Będzie musiał spać cały weekend, jeśli ma wrócić do pracy w poniedziałek. Chociaż może lepiej nic nie mówić. Napomknął o tym już wcześniej w rozmowie z lekarzem, ten jednak stanowczo zaprotestował, zalecając mu unikanie wysiłku i co najmniej dwutygodniowy odpoczynek. Ale urlop nie wchodził w grę. Kolbeinn musiał wrócić do pracy, choćby po to, żeby położyć kres spekulacjom. Zapewne był teraz najpopularniejszym tematem rozmów w całej firmie. Zresztą wszystko jedno.

Kolbeinn zatrzymał się przy przeszklonej dyżurce, w której pielęgniarka ślęczała nad jakimiś dokumentami. Nie zauważyła go, dopóki nie zastukał w szybę, wtedy spojrzała i posłała mu uśmiech.

– Czyli już pan jest gotowy? – Odpowiedział skinieniem głowy, a ona znów się uśmiechnęła: nareszcie się go pozbywają. – Jak się pan czuje?

– Niby dobrze, ale chory. Nie wiem.

– To nic nadzwyczajnego. Ale wyszedł pan już na prostą i w pełni wróci pan do zdrowia, jeśli będzie pan się stosował do naszych zaleceń i unikał zdenerwowania.

– Tak, będę. – Kolbeinn zastanawiał się, czy powinien poprosić o receptę. Pielęgniarka chyba nie zamierzała mu jej dawać.

– Ktoś pana odbierze?

Ku swojemu zaskoczeniu Kolbeinn odpowiedział bez zażenowania.

– Nie, wezmę taksówkę.

– W porządku. Mogę zadzwonić po taksówkę, jeśli pan chce. – Nagle pielęgniarka coś sobie przypomniała. – Co ja wygaduję, zupełnie zapomniałam. Pański szef zapowiedział podczas rozmowy, że przyśle po pana samochód. Możliwe, że auto już czeka. Powiedziałam, o której pan będzie wychodził. Proszę sprawdzić przed wezwaniem taksówki.

Kolbeinn nie zdołał powstrzymać głupiego uśmiechu. Może jednak w pracy mówili o nim ze współczuciem. Chętnie odegra rolę ofiary, *biedny Kolbeinn*, to o wiele lepsze od podejrzeń, że jest zamieszany w to okrucieństwo. *Okrucieństwo*. Takie słowo wybrał na określenie incydentu w garażu podziemnym. Pomagało mu nabrać dystansu do tego, co się stało. *Okrucieństwo*. Słowo wyrażało jego szacunek dla powagi sytuacji, nie

przywołując jednocześnie makabrycznego widoku zmasakrowanego ciała ani przerażającego dźwięku łamanych kości. Mimo silniejszych chwilowo zawrotów głowy Kolbeinn usiłował skupić uwagę na kobiecie po drugiej stronie szyby i stłamsić myśli o tym, co się już nie odstanie.

– Czy może pani dać mi receptę?

– Ach tak, oczywiście. Lekarz, który pana wypisywał, zostawił mi ją, zanim skończył pracę. – Wyjęła receptę z tekturowego segregatora na biurku. – Czy jest ktoś, kto jutro ją panu wykupi?

– Tak. – Kłamał. Nie było osoby, którą mógłby o to poprosić. Sam będzie musiał iść do apteki jutro rano. Wziął receptę razem z papierową torebką zawierającą jakieś pigułki.

– Tu ma pan lekarstwa na dziś i jutro rano, zanim ktoś wykupi panu receptę. – Pielęgniarka obserwowała, jak chowa do kieszeni receptę i torebkę, przypomniała mu o terminie najbliższej wizyty w poradni kardiologicznej i zamilkła. Czekala, żeby wyszedł. Stał tam jeszcze chwilę milcząco, po czym bąknął coś na do widzenia.

W windzie Kolbeinn gapił się szklistym wzrokiem na mężczyznę w lustrze, samotną przygarbioną postać z plastikową torbą w ręku, tłustymi włosami i nierówno zapiętą koszulą. Płaszcz wisiał na nim luźno, jakby jego ciało się skurczyło podczas pobytu w szpitalu. Kolbeinn chyba jednak powinien się cieszyć, że nie wyrzucili go w środku nocy jak innych pacjentów. I że mieszka w Reykjavíku. Nie byłoby przyjemnie włóczyć się bez celu po mieście z plastikową torebką w ręku, zabijając czas w oczekiwaniu na najbliższy samolot na drugi koniec kraju. Wyglądał jak bezdomny i gdyby się rzucił w oczy policji, na pewno by go zgarnęli. W takich rzeczach gliniarze są dobrzy, potrafią ściągać drobne wykroczenia. Ale nie przyszło im do głowy, żeby postawić kogoś przed drzwiami jego sali, mimo grożącego mu niebezpieczeństwa. A może policjanci stoją na dole w holu?

Na dole jednak nie zobaczył nikogo. Ani personelu, ani pacjentów, ani odwiedzających, a co dopiero funkcjonariuszy policji. Sklep był już zamknięty, a oprócz szelestu jego plastikowej torebki jedynym dźwiękiem był pomruk agregatów chłodniczych w ustawionych pod ścianą automatach wyładowanych mnóstwem niezdrowych przekąsek i napojów. Kolbeinn wpatrywał się jak zahipnotyzowany w jarmarczne kolory torebek ze słodyczami. Potem znów zobaczył swoje odbicie w oknach półkolistego holu.

Nic się nie zmieniło. Ktoś mógłby go wziąć za pacjenta psychiatrycznego, który stoi wpatrzony w oświetlone automaty jak dziecko przed choinką bożonarodzeniową. Im szybciej dotrze do domu i znajdzie się we własnym łóżku, tym lepiej. Tam nikt go nie zobaczy w takim stanie.

Wyszedł przed budynek z nadzieją, że tam ktoś na niego czeka. Nie mógł zatelefonować po taksówkę, bo bateria w telefonie padła, a ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, był powrót na górę i prośenie pielęgniarki, żeby ona to zrobiła.

Ale niepotrzebnie się martwił. Tuż przy wyjściu czekał samochód z włączonym silnikiem. Kierowca zamrugał do niego światłami. Oślepiony ich blaskiem nie dostrzegł, kto siedzi za kierownicą, nie wiedział więc, któremu z kolegów powierzono zadanie odstawienia go do domu, chyba że to był jakiś taksówkarz. Miał nadzieję, że jednak taksówkarz. Byłoby to teraz ponad jego siły prowadzić rozmowę z kolegą, którego na pewno zżerałaby ciekawość.

Kolbeinn podszedł wolno do samochodu i otworzył tylne drzwi. Przyszło mu do głowy, że może powinien zająć miejsce przy kierowcy, ale nie miał siły się przesiadać. Trudno. Kierowca nie odezwał się ani słowem, tylko czekał, aż Kolbeinn zamknie za sobą drzwi, po czym ruszył. Z wielką ulgą Kolbeinn zauważył, że mężczyzna przysłuchuje się jakiejś dyskusji politycznej w radiu. Zresztą nie był to żaden z jego kolegów, nie było więc prawdopodobne, że ich drogi kiedyś jeszcze się przetną. Milczenie odpowiadało obydwu stronom.

Gdy samochód się zatrzymał przed domem, Kolbeinn mógł nareszcie podjąć wysiłek, żeby podziękować kierowcy i powiedzieć mu dobranoc. W odpowiedzi usłyszał jakiś pomruk, którego nie zrozumiał. Ale to nie było ważne. Zatrzasnął drzwi auta i chwiejnym krokiem ruszył do siebie. Pochylając się, żeby wyjąć spod wycieraczki klucz, który Heida obiecała tam zostawić, uświadomił sobie, że samochód nie odjechał. To dziwne. Może kierowca chciał się upewnić, czy jego pasażer bezpiecznie wejdzie do środka. To z kolei miłe z jego strony. Ale też będzie przydatny, jeśli Heida zapomniała o kluczu tak jak wcześniej o wielu innych rzeczach. Dostrzegł jednak błysk metalu, gdy uniósł wycieraczkę. Wkładając klucz do zamka, usłyszał, że kierowca wysiada z auta. Odwrócił się więc wolno, żeby sprawdzić, czego chce. Niczego przecież nie zostawił w środku. No tak, nie zapłacił. Ale założył, że opłatę już uregulowano.

Jeśli kierowcy chodziło o pieniądze, to raczej dziwnie się o nie upominał. Pochylił głowę i rzucił się do przodu jak rozwścieczony byk. Kolbeinn reagował w zwolnionym tempie. Usłyszał sam siebie, jak z lekkim zdumieniem mówi „Och”, ale nawet nie spróbował uskoczyć. W chwili gdy mężczyzna wpychał go do środka, przemknęło mu przez myśl, że chyba jednak lepiej by na tym wyszedł, gdyby przeleżał tę noc na ławce w centrum miasta, mając za poduszkę plastikową torbę.

Rozdział 25

Nie pierwszy raz Huldar się obudził w takich okolicznościach. Ale był tak samo bezradny jak zawsze i zbyt skacowany, żeby wymyślić jakikolwiek plan, który złagodziłby nieuniknione zażenowanie. Leżał więc nago w obcym łóżku i nie miał pojęcia, jaka przyszłość go czeka, choć wiedział, że będzie koszmarna. Przebudził się już wcześniej, słysząc dzwonek swojego telefonu, ale nie mając siły na rozpoczęcie nowego dnia, zasnął z powrotem. Teraz jednak był już przytomny. W kiepskiej formie, ale przytomny.

Otworzył jedno oko, żeby się rozejrzeć. W łóżku leżał sam. To dobrze, lecz nadal nie miał pojęcia, z kim je dzielił ostatniej nocy. Nie zależało mu specjalnie na tym, żeby sobie przypomnieć tożsamość partnerki. Chciał się nacieszyć tą amnezją jeszcze chwilę dłużej. Potem zobaczył koszulę na oparciu krzesła. Wisiała tak, jakby ktoś ją tam rzucił z przeciwległego krańca pokoju. Koszula wydała mu się znajoma. Tak bardzo, że nie zdołał stłumić głębokiego westchnienia. Służbowa koszula policyjna znacznie mniejsza od jego własnej, miała krótsze rękawy i węższy krój. Huldar przypomniał sobie poprzedni wieczór i zamknął oczy.

Erla.

Pobił swój własny rekord nierozważnego seksu. Właśnie się przespał ze swoją szefową. Jej kołdra leżała zwinięta w nogach łóżka, a jej poduszkę miał pod swoim ramieniem. Odsunął ją i spróbował przekrócić się na plecy. Bezskutecznie. Na pewno uda mu się za chwilę, ale teraz najchętniej naciągnąłby kołdrę na swoje nagie ciało. Chociaż był w pokoju sam, to Erla z pewnością kręciła się gdzieś za ścianą i w każdej chwili mogła się pojawić. Pobożnym życzeniem byłoby myśleć, że wyszła z domu i pełna wyrzutów sumienia siedzi w samochodzie, czekając, aż on się zwlecze na dół.

Zdawało mu się, że słyszy wodę lejącą się pod prysznicem. Instykt ze wszystkich sił krzyczał, żeby skorzystał z tej okazji i uciekł. Ale to byłoby tylko odroczenie wyroku. Nie mógłby przecież unikać jej bez końca. Westchnął. Jak u diabła się z tego wykręci? Pracują razem, spotykają się co

rano we wszystkie dni powszednie. Ze względu na prowadzone śledztwo prawdopodobnie spędzą ze sobą dzisiejszy dzień, a pewnie także jutrzejszy, chociaż to weekend. Nie będzie nawet miał czasu, żeby ochłonać i przygotować się do tego, co musi nastąpić. Jeśli nie zbierze sił i nie porozmawia z nią teraz, to zostanie mu tylko jeden sposób, żeby wygrzebać się z tej wtopy: odejść z pracy. Co mu strzeliło do głowy?

Wspomnienie liczby kolegów pijących razem z nimi w pubie nie poprawiło Huldarowi nastroju.

W rurach zapiszczało i woda przestała spadać. Z trudnością sięgnął po kołdrę i zdołał się okryć. Tyle dobrego. Znów ostrożnie otworzył oko, potem drugie. Zebrał wszystkie siły i przekręcił się na plecy. Choć miał wrażenie, że jego żołądek został w poprzednim miejscu, a jego głowa zaraz wybuchnie, poczuł się lepiej. Potem jednak przebiegł pokój wzrokiem, zobaczył rzeczy porzucane po całej podłodze oraz butelkę po winie przy jej stronie łóżka i omal z powrotem nie przekręcił się na brzuch. Zamiast tego jednak skupił uwagę na szukaniu swoich spodni. Oczywiście leżały najdalej od łóżka, jak tylko się dało. Usłyszał odgłos stóp w przedpokoju. Podniósł głowę, zastanawiając się, czy zdąży wstać, dobiec do spodni i wciągnąć je na siebie przed nadejściem Erli, zanim jednak zdołał odpowiedzieć sobie na to pytanie, ona stała już w drzwiach.

Opierała się o framugę owinięta w biały ręcznik, który podtrzymywała jedną ręką, w drugiej zaś trzymała ręcznik, którym wycierała włosy. Na jej nogach skrzyły się kropelki wody.

– Dzień dobry.

Huldar odchrząknął.

– Dzień dobry.

– Powinieneś wskoczyć pod prysznic. Poczujesz się znacznie lepiej. I zmyjesz z włosów smród papierosowego dymu. Śmierdzą jak cholera.

– Zdecydowanie powinienem. – Huldar zaczesał do tyłu swoją niesforną grzywę, nagle czując smród papierosów.

– Nastawię kawę. Jak chcesz, to znajdę coś do zarcia.

– Nie, dziękuję. – Sposób, w jaki to zaproponowała, zabił cały apetyt, jaki mógłby ewentualnie mieć. Musiał jednak uczciwie przyznać, że w łóżku podobał mu się jej ordynarny język. Takie rzeczy go kręciły.

– Która jest godzina? Nie wiem, gdzie mam telefon.

– Znajdujemy się w pokoju dziennym. Jest godzina jedenasta. Pora na... –

Urwała w pół zdania, gdy w sąsiednim pokoju zadzwonił jej telefon, dlatego Huldar już się nie dowiedział, na co nadeszła pora. Odwróciła się na pięcie i zaraz potem usłyszał jej zwięzłe, poważne odpowiedzi. Dźwięk jej głosu sukcesywnie się przybliżał i zanim Huldar skorzystał z okazji, żeby dobiec do swoich spodni, ponownie stanęła w drzwiach. Mokre włosy stały jej dęba.

– Zaraz będziemy. To znaczy będę. Zawiadam pozostałych.

– Coś się dzieje?

– Tak, tak to można ująć. – Nie zdradziła nic więcej. Może chciała, żeby Huldar ją poprosił, ale nie zamierzał dawać jej tej satysfakcji. – Pośpiesz się i wskakuj pod prysznic. Powiem ci wszystko po drodze.

Huldar siedział na łóżku i nie wiedział, co ma zrobić. Erla nie zamierzała zostawić go samego. Jej nogi już wyschły. Pojedyncze lśniące kropelki uchwalały się jeszcze na rękach.

– Tak, już idę – zapewnił, ale nie ruszył się z miejsca.

– Nie wyglądasz, jakbyś się bardzo śpieszył. – Erla uśmiechnęła się szeroko. – Chyba się nie wstydzisz, prawda? Nie wierzę! – Jej uśmiech zrobił się jeszcze szerszy. – W nocy nie byłęś nieśmiały.

Huldar nigdy nie wstydził się chodzić nago przy kobietach, z którymi spał, ale żadna z nich nie była jego szefową.

– Nie, nie wstydzę się. To kac. – Przesunął się na bok łóżka. Lepiej już mieć to za sobą.

– Czy w ten sposób będzie ci łatwiej? – Chwyciła ręcznik za rogi i zdecydowanym gestem zdarła go z siebie. Zobaczył czyste, wysportowane ciało. Na jędrnych piersiach sterczały różowe sutki.

Jeśli zamierzała oswoić go z nagością, żeby nie był taki zakłopotany, to jej się nie udało. Pojawił się kolejny powód, który mógł go krępować.

Większość zespołu była w kiepskiej formie. Nie patrzyli sobie w oczy, doskonale pamiętając absurdalne deklaracje i obietnice ogłoszone poprzedniego wieczoru. Podczas narady odbywały się regularne pielgrzymki do dystrybutora wody sodowej, aż w końcu ten odmówił współpracy i produkował tylko zimną wodę o dziwnym, metalicznym smaku.

– To prawda? – Gudlaugur wstał z krzesła, żeby lepiej widzieć twarz Huldara. Wyglądał nieznośnie dziarsko i radośnie, ponieważ nie dołączył do nich poprzedniego wieczoru. Może był zajęty, a może zapomnieli go zaprosić.

– Co? – Huldar nie oderwał wzroku od monitora, chociaż doskonale wiedział, do czego Gudlaugur pije.

– Erla. Poszedłeś z nią wczoraj do domu?

– Nie. Co, do cholery, przyszło ci do głowy? – Huldar nadal nie podnosił wzroku. Był dumny, że potrafi kłamać w takim kiepskim stanie. Prawie udało mu się przekonać samego siebie, że do nocy z Erlą nigdy nie doszło.

– Bo... Słyszałem, jak ludzie mówią. Potem przyjechaliście razem. A ty masz na sobie to samo ubranie. Plama po kawie jest w tym samym miejscu co wczoraj. – Z czasem Gudlaugur będzie całkiem niezłym gliną. Na pewno nie da mu się odmówić umiejętności obserwacji.

– Nie powinieneś wierzyć we wszystko, co słyszysz. Rano byłem zbyt wykończony, żeby myśleć o świeżej koszuli. To był czysty zbieg okoliczności, że przyszliśmy dzisiaj razem. – Podniósł wreszcie wzrok na Gudlaugura. – Nie masz nic lepszego do roboty?

Gudlaugur usiadł wyraźnie speszony. Prawie się nie odzywał, odkąd Huldar usiadł za swoim biurkiem. Powiedział mu tylko, że się spodziewa dostać po łapach za Świętego Mikołaja. Sprawa przyjęła raczej niespodziewany obrót. Ale z tego co Huldar słyszał, trudno było wnioskować o winie Gudlaugura. Skąd mógł wiedzieć, że ten epizod będzie powiązany ze sprawą morderstwa? Zresztą nadal powiązanie nie było wcale takie jasne. Policja wiedziała tylko, że dzieci, które zostały porwane przez mężczyznę w przebraniu Świętego Mikołaja, znalazły dwie amputowane stopy w ogrodzie swojego ojca.

Huldar wydał ledwo słyszalne westchnienie ulgi, gdy się dowiedział, że nie musi towarzyszyć Erli podczas oględzin w domu ojca tych dzieci. Perspektywa oglądania odciętych stóp na białym śniegu nie byłaby kusząca nawet dla policjanta w najlepszym zdrowiu, a co dopiero dla kogoś w jego obecnym stanie. Znaczyłoby to również konieczność samotnej jazdy samochodem z Erlą, a powiedział już wszystko, co mógł, nie mówiąc praktycznie nic. Kilka razy próbowała skierować rozmowę na wspólnie spędzoną noc oraz konsekwencje, jakie miała ona dla ich służbowej relacji, on jednak ciągle twierdził, że głowa mu pęka i nie potrafi myśleć. Nie była to przesada, choć teraz czuł się trochę lepiej, bo podwędził trzy tabletki przeciwbólowe z wydziałowej apteczki pierwszej pomocy.

Odezwał się jego telefon. Na wyświetlaczu zobaczył numer Erli.

Na przekór sobie odebrał połączenie. Postanowił ją zapytać, czy po

weekendzie może przestawić swoje biurko. Wolałby siedzieć w męskiej toalecie niż pod czujnym okiem Gudlaugura. To nie powinien być problem, skoro znalazł się na białej liście swojej szefowej. Chociaż w praktyce ich nowa intymna relacja oznaczała pewnie, że nie będzie jej prosił o nic. Ani dzisiaj, ani jutro – nigdy. Może byłoby rozsądniej, gdyby poprosił o przeniesienie do innego wydziału. Zamknął na chwilę oczy, żeby się pozbyć tych myśli. Na razie muszą poczekać. Skoncentrował się na rozmowie telefonicznej, doskonale wiedząc, że Gudlaugur słyszy każde słowo.

– Cześć.

– Posłuchaj. Właśnie posłałam do nas niejakiego Thorvaldura Svavarssona. Jest ojcem tych dzieci, które znalazły stopy. Nie dało się z nim tutaj porozmawiać. To straszna menda. Chcę, żebyś się z nim spotkał i przyjął jego zeznanie. Powinam wrócić, zanim skończysz.

Huldar miał cichą nadzieję, że jednak nie.

– W porządku. Powinienem coś wiedzieć?

– Tak. Ten głupi kutas pracuje w biurze prokuratora krajowego. Jak Benedikt Toft. Nie muszę chyba ci mówić, jak niewielkie jest prawdopodobieństwo, że to zbieg okoliczności. Ale traktuj go w białych rękawiczkach. Nie możemy sobie teraz pozwolić na pogorszenie relacji z prokuraturą. – Huldar usłyszał trzaski, gdy wiatr uderzył w telefon Erli. – Działaj ostrożnie, dopóki się nie pojawię. – Rozłączyła się, zamiast pożegnania rzucając stek przekleństw, które zdawała się kierować do kogoś w ogrodzie Thorvaldura.

Huldar pośpiesznie sprawdził Svavarssona w kartotece policyjnej, ale go tam nie znalazł. Można się było tego spodziewać: prokuratorzy zwykle nie wchodzą w kontakt z policją, chyba że w związku ze sprawami, nad którymi pracują. Kwerenda w sieci też nic nie dała.

Sam Thorvaldur pojawił się kwadrans później i Huldar od razu stwierdził, że jednak nie potrzebuje dodatkowych informacji na jego temat. Mężczyzna miał wszystko wypisane na twarzy, a jego ubiór i sposób zachowania klasyfikowały go jako skądinąd znajomy typ, który się uważa za lepszego od innych. Huldar przedstawił się z uśmiechem, silnie ściskając miękką dłoń gościa.

– Czy mogę zaproponować kawę, zanim usiądziemy?

– Nie, dziękuję. – Jego mina mogłaby sugerować, że Huldar zaoferował

mu do picia urynę. Najwyraźniej pan prokurator był przyzwyczajony do czegoś lepszego niż policyjna kawa. – Ale jeśli ma pan wodę gazowaną, to bardzo chętnie. – Policjant pomyślał, że może też ma kaca.

– Przykro mi. Jest tylko kranówka albo kawa.

Thorvaldur odmówił i usiadł w małym pokoju przesłuchań. Najpierw Huldar poinformował go, że zamierza nagrywać rozmowę, na co mężczyzna obojętnie machnął ręką, wyrażając zgodę.

– Powiem to od razu. Nie wiem, co waszym zdaniem mógłbym w tej sprawie powiedzieć. Nie mam nic wspólnego z tymi stopami. Lepiej byście zrobili, próbując znaleźć ich właściciela, że nie wspomnę o osobie, która je obcięła. Chyba nie sądzicie, że to mogłem być ja? – Dla podkreślenia absurdalności tego stwierdzenia Thorvaldur wysunął mankiety koszuli, pokazując spinki dotychczas ukryte pod rękawami kosztownej marynarki. Miał tylko krzywo zawiązany krawat, co było zaniedbaniem, które niemal na pewno mu się nie zdarzało.

– Czy był pan w drodze na jakieś spotkanie dziś rano? Albo do pracy?

– Ostatni raz wychodziłem wczoraj. Mam wolny dzień jak wszyscy inni.

– Może na pogrzeb albo na koncert?

– Nie? Co to są za pytania?

Nie był to najlepszy początek. Przypominając sobie obietnicę, którą złożył Erli, Huldar zrezygnował z próby ustalenia, dlaczego pan prokurator jest tak elegancko ubrany.

– Czy może pan opisać, jak pańskie dzieci znalazły te stopy? Będzie łatwiej, jeśli poda pan do protokołu ich imiona.

– Karlotta ma pięć lat, a Dadi niedługo skończy cztery. Bawili się w ogrodzie i nagle zaczęli krzyczeć. Wybiegłem na zewnątrz i zobaczyłem to, co ich przeraziło: w śniegu przy końcu ogrodu tkwiły dwie stopy obcięte na wysokości kostki. – Zamilkł, na chwilę zamykając oczy. – Widok był wyjątkowo nieprzyjemny.

– Czy dzieci dopiero co wyszły?

– Nie. Bawiły się na dworze jakieś pół godziny. Może dłużej, ale nie więcej niż godzinę.

– I nie zauważyły tych stóp od razu?

– Nie. Trzymały się blisko domu. Lepiły bałwana. A właściwie próbowały lepić, bo nigdy im nie wychodzi. Zużyły większość śniegu przy domu, dlatego poszły po więcej w głąb ogrodu. Wtedy zobaczyły stopy, ale nie

zdawały sobie sprawy, co widzą. Dopóki nie podeszły całkiem blisko, nawet wtedy jednak potrzebowały dłuższej chwili, żeby się zorientować. Ja miałem tak samo. Najpierw nie wierzyłem własnym oczom.

– Zakładam, że słyszał pan w prokuraturze o obciętych dłoniach? A także o morderstwie Benedikta Tofta?

– Tak. Była mowa o obydwu tych przypadkach.

– Pracuje pan przy którymś z nich? Czy prokuratura w ogóle zaczęła już się zajmować tą sprawą?

– Tak. Zaczęliśmy się temu przyglądać. Ale nikt nie dostał jeszcze przydziału. To trochę skomplikowane, bo Benedikt u nas pracował. Nie chcemy być oskarżeni o konflikt interesów.

– To dobrze. Od razu w poniedziałek może pan poinformować przełożonych, żeby nie przydzielali pana do żadnej z tych spraw. Prawdopodobnie będzie pan musiał wziąć urlop do czasu zakończenia dochodzenia.

Mężczyzna spojrział z wyższością.

– Wykluczone – rzucił z odrazą. – Właśnie powiedziałem panu, że to wszystko nie ma ze mną nic wspólnego. – To niewiarygodny tupet ze strony policji, żeby sobie uzurpować prawo do kierowania inną instytucją.

Huldar zachowywał obojętny wyraz twarzy, jakby słowa Thorvaldura po nim spływały. Niech kto inny mu uświadomi powagę sytuacji.

– Czy znał pan Benedikta Tofta?

– Oczywiście. Pracowaliśmy w tym samym miejscu. Ale trzy lata temu przeszedł na emeryturę i ostatnio go nie widziałem.

– Pan Toft oskarżał w sprawie, która naszym zdaniem może łączyć wszystkie te incydenty. Czternaście lat temu, wykorzystanie seksualne dziecka. Oskarżony uzyskał uniewinnienie w Sądzie Rejonowym dla Reykjanes i nie wniesiono apelacji. Niewiele wiemy o tym przypadku, ale skierowaliśmy już do pańskiej prokuratury prośbę o udostępnienie akt.

– I co? Wyobraża pan sobie, że się zajmuję udostępnianiem akt?

– Nie mam pojęcia i raczej mnie to nie obchodzi. Pytam, czy pomagał pan Benediktowi Toftowi albo współpracował pan z nim w tej konkretnej sprawie?

– Nie.

– Nie chce pan poznać nazwiska oskarżonego, zanim pan udzieli ostatecznej odpowiedzi?

– Nie. Nazwisko jest nieistotne. Czternaście lat temu nie pracowałem w biurze prokuratora. Zacząłem dwanaście lat temu, albo raczej trzynaście. – Mężczyzna promieniał satysfakcją. – Tak więc pańska teoria jest kompletną bzdurą, jeśli w ogóle można to nazwać teorią. Nie mogę się doczekać, kiedy poznam powiązania, które znalazł pan między sprawą uniewinnienia sprzed tylu lat a zamordowaniem Benedikta. Że już nie wspomnę o dłoniach i stopach.

W tym momencie Huldar oddałby wszystko, żeby odzyskać pełną świeżość umysłu. Nie mógł znieść myśli, że w tej konfrontacji mógłby wypaść gorzej od tego obleśnego dupka.

– Czyli pracował pan już w prokuraturze, gdy Jón Jónsson został skazany za zamordowanie Vaki Orradóttir? Sprawa trafiła do sądu jedenaście lat temu.

Samozadowolenie mężczyzny nieco zmalało. Obliznął wargi czubkiem języka i ponownie skrzyżował nogi.

– Tak, pracowałem już wtedy w prokuraturze, ale nie byłem w zespole, który się tym zajmował. To była duża sprawa, a ja dopiero zaczynałem. Możliwe, że wykonywałem jakieś zadania w związku z oskarżeniem Jónssona, ale na pewno nic ważnego.

Huldar postanowił zmienić temat, co jest często stosowaną taktyką dla utrudnienia przesłuchiwanemu przygotowania odpowiedzi. W swoim zawodzie Thorvaldur zapewne często miał z nią do czynienia, ale prawdopodobnie nigdy jako przesłuchiwany.

– W moich oczach wygląda to tak, że świadomie lub nieświadomie jest pan powiązany z tą sprawą. Wzorzec zaczyna wyglądać znajomo. Benedikt Toft też niczego nie wiedział, gdy w jego ogrodzie odkryto dłonie. Potem zniknął. Teraz pan tutaj siedzi i twierdzi, że nic nie wie, a ja podejrzewam, że zaraz potem dotrze do nas informacja, że pan także zniknął. Nie przypuszczam, żeby był pan zachwycony taką perspektywą.

– Nie jestem. – Mężczyzna odwrócił wzrok. – Ale nadal uważam, że szuka pan nie tam, gdzie trzeba.

– Miejmy nadzieję. – Huldar zamilkł na chwilę, po czym dodał: – Dla pańskiego dobra. – Pochylił się do przodu, wskazując na prawą dłoń Thorvaldura. – Ładny sygnet. Jest pan masonem?

Mężczyzna gwałtownie cofnął rękę.

– Nie bardzo widzę powód, dla którego miałyby to pana interesować.

– Benedikt Toft był masonem. A na palcu u jednej z obciętych dłoni także znaleźliśmy ślad po takim pierścieniu. Zabawny zbieg okoliczności, prawda?

Nie doczekał się odpowiedzi. Drzwi pokoju z impetem się otworzyły i wparowała Erla.

– Jesteś wolny, Huldar. Przejmujemy przesłuchanie. – Z nią stał jeden z jej przełożonych. Miejsce pracy Thorvaldura najwyraźniej skłoniło górę do zainteresowania się badaniem śledczym. Ton pytań niewątpliwie będzie teraz przyjaźniejszy. Cóż, to ich problem. Przynajmniej się okazało, że góra nie ma pojęcia o tym, co wczorajszej nocy wyprawiała Erla. – Możesz sprowadzić Thröstura, jego matkę i siostrę, żeby przesłuchać ich osobno – kontynuowała władczy tonem. – Sam ustal, w jakiej kolejności mają zeznawać.

Huldar skinął głową. Przyszło mu na myśl, żeby teraz poprosić o zgodę na zaangażowanie Freyi, wychodząc z założenia, że Erla nie pozwoli sobie na wybuch wściekłości w obecności dwóch obcych mężczyzn. Potem mógł już nie mieć szansy, żeby o to poprosić. Prędzej czy później powie Erli, że nie chce z nią być, ponieważ żywi uczucie do Freyi. Tylko jeszcze nie dzisiaj. Nie wtedy, kiedy tak marnie się czuje. Nie zaraz po tym, jak poszli ze sobą do łóżka. Gdy przekaze jej tę wiadomość, Erla za nic się nie zgodzi na udział Freyi w śledztwie. Prawdopodobnie nie wpuści jej nawet do budynku.

– Czy będzie OK, jeśli poproszę Freyję z Izby Dziecka, żeby razem ze mną przesłuchała brata i siostrę? Na wszelki wypadek. Muszę ich zapytać o kontakty z ojcem, żeby ustalić, czy ich molestował.

Spodziewał się, że aby ją zadowolić, będzie musiał dłużej uzasadniać tę prośbę, ale odezwała się natychmiast, gdy skończył mówić.

– Absolutnie. Zadzwoni do niej. To świetny pomysł. – Dla odmiany uśmiechnęła się do niego i chyba zrobiła to szczerze.

Huldar wyszedł, zanim mogła zmienić zdanie. Natychmiast sięgnął po telefon. Jeśli zaprosi Freyję od razu, Erla nie zdąży cofnąć swojej zgody. Ale Freyja nie odebrała. Rozczarowany wysłał jej wiadomość. Wspominała, że w weekend bierze do siebie swoją małą siostrzenicę, może więc nie ma czasu rozmawiać. Nie będzie okazji, żeby karmić kaczki, jeśli dochodzenie przeciągnie się do końca weekendu, ale jeśli Freyja da się namówić, żeby uczestniczyć w przesłuchaniu, to przynajmniej ją zobaczy.

Odpowiedź przyszła, zanim dotarł do biurka. *Jestem dziś zajęta. I jutro. I każdego następnego dnia. Nie dzwoń do mnie więcej. Mam nadzieję, że wczoraj dobrze się bawiłeś.*

Huldar zamknął oczy.

Erla. Więc to dlatego była taka zadowolona z siebie! Powiedziała o wszystkim Freyi. Zmęczenie, które Huldar odsuwał od siebie regularnymi porcjami kofeiny, teraz opanowało go bez reszty. Nie miał nawet siły się złościć na Erlę. Był zbyt wściekły na siebie.

Rozdział 26

Sądząc po tym, co zobaczyła w jej mieszkaniu, Freyja zakładała, że matka Sagi lubi piękne, kosztowne wzornictwo, ale ten gust najwyraźniej nie obejmował wózków dziecięcych. Freyja nieustannie czuła na sobie zdziwione spojrzenia matek i miała poczucie, że równie dobrze mogłaby pchać przed sobą Sagę na krześle z jadalni. Chociaż ich zdziwienie budził przede wszystkim wózek, pewną rolę odgrywały także gniewne spojrzenia, które Saga rzucała każdemu, kto zajrzał pod budkę. Jej usta nadal były skierowane zdecydowanie w dół, a wysiłki Freyi, żeby skłonić bratanicę do uśmiechu, kończyły się porażką. Jedynie raz z wózka dobiegł śmiech – gdy jakiś mężczyzna poślizgnął się i upadł na plecy tuż przed nimi. Freyja była tak zaskoczona, że zignorowała próbującego się podnieść mężczyznę i pośpiesznie obeszła wózek, żeby spojrzeć na buzię Sagi. Ale wtedy zdążył już na nią wrócić grymas niezadowolenia.

– Co będziemy teraz robić? – Freyja podała Sadze łyżeczkę lodów, przy czym kierowana odwiecznym instynktem otworzyła usta, jakby namawianie dzieci do jedzenia należało do aktualnych problemów w krajach Zachodu. Saga najpierw się skrzywiła, ale potem posłuchała opiekunki i wzięła do buzi zawartość łyżeczki.

Naruszała zalecenie Fanny, która kategorycznie zabroniła podawania córeczce czegokolwiek z cukrem. Ale tłumacząc sobie, że lody powstają z mleka, Freyja doszła do wniosku, że jej się upiecze. Żelki, którymi karmiła Sagę wcześniej, to oczywiście była zupełnie inna historia, miały jednak pozostać ich małym sekretem, bo przecież dziecko, które nie umiało jeszcze mówić, na pewno się nie wygada. – Pójdziemy znów na huśtawki i zjeżdżalnię? – Saga połknęła lody. Nie przejawiała specjalnego zainteresowania złożoną jej propozycją. Freyi skończyły się pomysły. Ostatni raz miała do czynienia z małym dzieckiem jako nastolatka, ale wtedy było lato, a chłopiec liczył sobie dwa lata. Był więc starszy od Sagi, najbardziej lubił plac zabaw, a latem piaskownica nie zamarza, huśtawki i zjeżdżalnię zaś

się nie pokrywają mokrym śniegiem. Nie mogła też wrócić do siebie. Molly bardzo się zainteresowała małym gościem i ciągle lizała dziewczynkę po twarzy. Saga nie miała nic przeciwko temu, ale Freyja bardzo się denerwowała i dlatego wciąż nosiła ją na rękach. Wyjście na spacer też nie rozwiązało problemu. Molly bez przerwy wsadzała pysk do wózka, żeby obwąchać Sagę albo ją polizać. Może dziewczynka pachniała jak Baldur. Ostatecznie Freyja zmuszona była odprowadzić Molly do domu i spacerowała tylko z Sagą.

Freyja wytarła dziecku usta i policzki, po czym sprawdziła rezultat.

– Gotowe! – Pochylając się nad małą twarzyczką, wyczuła w oddechu Sagi charakterystyczny zapach lodów i jakby trochę też żelków.

Zbliżała się druga. Niedługo będzie musiała zwrócić Sagę. Matka dziewczynki stwierdziła, że na razie nie chce przesadzać. Nazajutrz Freyja miała dostać Sagę na taki sam czas. Freyi to naturalnie odpowiadało. Nie potrafiła sobie wyobrazić, co miałyby robić z dzieckiem przez cały dzień, chociaż czekało ją to już niedługo. Postanowiła się skonsultować z kolegami, którzy też brali dzieci na weekend.

To mógłby być niezły pomysł, żeby zapytać samotnego ojca, który zaczepił ją przy jeziorze. Freyja była jedyną kobietą w hordzie ojców, a mężczyzna, który z nią flirtował, był najprzystojniejszy z nich wszystkich. No i ubawił go grymas niezadowolenia przyklejony do twarzy Sagi. Pytał, co się stało, że ta mała dziewczynka jest taka smutna, a gdy Freyja odpowiedziała, że ona zawsze tak wygląda, skinął życzliwie i powiedział: „Fajnie”. No dobrze, może nie należał do orłów intelektu, ale był przystojny i zadbany. W wózku woził trochę starsze od Sagi dziecko o nieokreślonej płci. Freyja nie chciała pytać, czy to chłopczyk czy dziewczynka, z obawy, że go urazi. Ale jeśli odważyłaby się skorzystać z numeru telefonu, który jej zostawił, będzie musiała jakoś to ustalić.

Normalnie Freyja wahałaby się przed przyjęciem numeru telefonu od obcego faceta w sobotni poranek, ale dziś był dla niej wręcz darem niebios. Gdy wkładała do kieszeni otrzymany skrawek papieru, prawie przeszła jej wściekłość na tego bydlaka Huldara. Prawie. Musiałby się zdarzyć cud, żeby zachowała całkowitą obojętność po tamtej rozmowie. Zadzwoiła do Huldara, żeby zapytać, czy nadal chce iść nad jezioro z nią i Sagą, ale zamiast niego odebrała Erla, jakby nigdy nic. Freyja uznała, że są w pracy, i zapytała ją, czy może go poprosić do telefonu, wtedy ta suka odrzekła, że

Huldar śpi, po czym kazała jej spróbować później, ale nie przed obiadem, bo w nocy nie miał wiele czasu na sen. Freyja pożałowała, że nie produkują już starych telefonów ze słuchawką, którą mogłaby rzucić na widełki, dając upust wściekłości.

Znow się pochyliła nad Sagą, zakładając jej czapeczkę i zawiązując ją mocno pod brodą, potem wyjęła dziewczynkę z wysokiego plastikowego siedziska, którego z pewnością nie projektowano dla islandzkich dzieci w zimowych kombinezonach. Jeden z bucików zaczepił się i zsunął ze stopy, odsłaniając brązową skarpetkę, która zwisała z paluszków. Z dzieckiem na ręku Freyja schyliła się, żeby chwycić bucik, i usłyszała swój telefon. Jakimś cudem dzwoniący nie zrezygnował, zanim wreszcie zdołała posadzić Sagę w wózku i podnieść zgubiony bucik. Mimo to Freyja zerknęła na wyświetlacz, czy to nie Huldar. Na szczęście nie. Wiadomość, którą mu przesłała, była jednoznaczna nawet dla takiego idioty jak on.

– Freyja – odebrała.

– Cześć, Freyjo, mówi Elsa.

– Elsa? Cześć. – Normalnie dyrektorka Izby Dziecka nie dzwoniła do niej w weekendy.

– Przejdę od razu do rzeczy. Miałam telefon z biura komisarza policji.

– Tak? – Freyja przycisnęła aparat ramieniem do ucha, a następnie pochyliła się, żeby włożyć Sadze but. Dziewczynka nie zrobiła nic, żeby ułatwić jej życie.

– Tak. Dotarło do mnie, że odmówiłaś udziału w dochodzeniu obejmującym prawdopodobne molestowanie dziecka w przeszłości. Chciałam usłyszeć twoją wersję tej sprawy, żeby wyjaśnić, czy nie zaszło jakieś nieporozumienie. Wiesz, jak ważne jest dla nas utrzymywanie dobrych stosunków z policją.

Freyi nawet przez myśl nie przeszło, żeby wyjaśniać, co zaszło między nią a Huldarem.

– Niestety jestem zajęta. Nie mogę się wyrwać. Sprawa, o której mowa, dotyczy morderstwa. Łączenie jej z przestępstwem seksualnym sprzed lat, a także próba przypisania winy ludziom, którzy mogli paść jego ofiarą, jest niestosowna. Poza tym osoby te nie są już dziećmi, obydwoje mają po dwadzieścia kilka lat.

– Może i racja, ale nie wydaje mi się, żebyś miała w tej materii coś do powiedzenia. Jeśli chcą się teraz zająć tamtymi sprawami, to się nimi zajmą.

A jeśli to delikatna sytuacja, tym bardziej powinnaś być obecna przy tych przesłuchaniach.

– A Sólveig? Nie może iść? Zna jedną z osób, które policja zamierza przesłuchać. Chłopiec był w dzieciństwie jej pacjentem. Uważam, że to byłoby idealnie.

Elsa milczała przez chwilę, zanim podjęła decyzję.

– To jest jakieś rozwiązanie. – Zrobiła pauzę. – Załatw to. Porozmawiaj z Sólveig i jeśli ją przekonasz, to świetnie. Jeśli nie, to masz tam iść sama. Żadnych ale. Przesłuchanie zaplanowano na szesnastą.

Freyja czuła, jak sztywnieje z wściekłości, ale udało jej się powstrzymać przed powiedzeniem czegoś, czego później by żałowała. Nie chciała się znaleźć na bruku z początkiem lata, skoro jesienią planowała zacząć nowe życie. Może powinna się zapisać do szkoły nawigacji. Przynajmniej mogłaby podczas nudnych wykładów zawiesić oko na postawnych kapitanach żeglugi. Byliby lepsi od tego bydlaka Hul dara. Nie wątpiła, że to on się na nią poskarżył, jakby dotychczas mało narozrabiał.

Bucik w końcu się wsunął na miejsce. Freyja opuściła nogawkę kombinezonu Sagi i zaczęła gumkę pod podeszwą.

– Pamiętasz, Sago? – Dziewczynka zwróciła ku niej swoją marsową twarz. – Hul dar – dodała Freyja. – Hul dar – powtórzyła, skrzywiła się i czekała.

Saga krzyknęła przestraszona i Freyja się uśmiechnęła. Zuch dziewczyna!

Freyja umieściła Sagę z powrotem w ramionach jej matki, która zachowywała się, jakby witała córkę po wyprawie na Księżyc, i natychmiast zadzwoniła do Sólveig. Rozmowa dobrze się zaczęła: Sólveig zupełnie niespodziewanie ucieszyła się na wieść, że jest potrzebna – dopóki nie usłyszała, że chodzi o Thröstura i Sigrún. Wówczas zaczęła nagle odkrywać najróżniejsze powody, dla których nie może pójść, skoro się dowiaduje tak późno. To byłoby nieprofesjonalne, jak stwierdziła. Freyja mocno nalegała, ale nie skutkowały ani prośby, ani zawołowane groźby. Dziwne, że Sólveig tak bardzo nie chciała jej pomóc. Wtedy przyszła jej na myśl litera S na czarnej liście Thröstura, ale niby dlaczego chłopak miałby krzywdzić kogoś, kogo ledwie znał i kto nie miał nic wspólnego z procesem jego ojca? Poza tym ilu ludzi w Islandii nosi imiona zaczynające się od litery S?

Nie opłacało się jej iść do domu po samochód, Freyja pojechała więc

autobusem. Nadal w paskudnym nastroju siedziała z tyłu, przecierając zaparowaną szybę. Widok za oknem był przygnębiający. Odziani w ciepłe skafandry, ostrożnie wybierający drogę na śliskich chodnikach przechodnie ze spuszczoneymi głowami i rękami w kieszeniach wyglądali jak zombie. Od czasu do czasu na szybie patrzyła na własne odbicie, nadmiernie czerwoną twarz i włosy potargane po bitwie z żywiołami. Ale w ponurych pomieszczeniach wydziału dochodzeniowego-śledczego nie było już nikogo, komu chciałaby się podobać.

Wysiadła z autobusu i wstąpiła w szeregi zombie, naciągając kaptur, wsuwając dłonie do kieszeni i próbując chronić twarz przed kłującymi płatkami śniegu. Dochodziła już prawie na miejsce, gdy jej uwagę zwrócił samochód zaparkowany tuż przed wejściem do budynku. Przechodząc obok, zauważyła, że kierowca auta obserwuje drzwi komendy, ale dopiero gdy sama w nich stanęła, skojarzyła, kto to był. Orri, ojciec Vaki. Mężczyzna, który przyszedł do komisariatu po swoją byłą żonę.

Freyja odwróciła głowę, żeby mu się przyjrzeć. Czego, do diabła, mógł chcieć? Weszła do budynku i otrzepała śnieg z butów. Duży zegar na przeciwległej ścianie pokazywał, że do rozpoczęcia przesłuchania zostało jeszcze dwadzieścia minut. Ponieważ nie miała zamiaru przebywać w towarzystwie Huldara ani chwili dłużej, niż musiała, postanowiła zaczekać w holu. Stanęła przy drzwiach i przez szybę obserwowała Orriego.

Mężczyzna wpatrywał się w policyjny budynek jak zahipnotyzowany. Zdawało jej się, że widzi w jego dłoni coś, co przystawia sobie do oczu, prawdopodobnie lornetkę. Co on kombinował? Było coś przejmującego w tej scenie: ojciec zamordowanej przed laty dziewczynki siedzi w samochodzie przed komendą policji, z lornetką przy oczach, w mroźny zimowy dzień. Gdyby życie nie potraktowało go tak okrutnie, zapewne siedziałby teraz w domu albo w pracy, nadal jako mąż Dagmar; Vaka prawdopodobnie już by z nimi nie mieszkała, a może nawet przymierzałyby się do założenia własnej rodziny. Topniejący śnieg skapywał z kurtki Freyi, jakby ronił łzy nad tragicznym losem tej rodziny. Jeśli Orri czeka na okazję, żeby zaatakować Jóna Jónssona, to jego los jeszcze się pogorszy.

Zapięła kurtkę i wyszła z budynku. Podeszła prosto do zaparkowanego auta i zastukała w szybę. Gdy się odwrócił, miał przerażony wzrok, jakby złapała go na gorącym uczynku. Gestem pokazała, żeby opuścił szybę.

– Dobry wieczór. Poznaliśmy się, gdy przyjechał pan po swoją byłą żonę

do komisariatu w Hlemmur. Jestem Freyja.

– Tak, pamiętam panią. – Orri odłożył lornetkę na siedzenie pasażera i przykrył ją gazetą. – Czego pani chce?

– Chciałam po prostu sprawdzić, czy czeka pan na kogoś konkretnego.

– Nie – uciał. Po chwili dodał wyraźnie poirytowany: – Czy to nielegalne stać tutaj? Nie blokuję nikomu drogi.

– Może pan sobie stać, jak długo pan chce. Proszę tylko pamiętać, że to nie jest dobre miejsce, żeby urządzić na kogoś zasadzkę. Niech się pan zastanowi, to komenda policji. Zostałby pan natychmiast aresztowany.

Orri jakby trochę się zawstydził i nie wiedział, co począć. Freyja niemal słyszała, jak się zastanawia: *Mam zaprzeczyć czy podziękować jej za radę i pojechać do domu?* Miała nadzieję, że przeważą druga opcja. Jeśli zrobi coś głupiego, tylko nasili problemy swoje i Dagmar.

– Nie wiem, czy pan wie, ale ludzie, którzy się mszczą, nie są traktowani pobłażliwie przez wymiar sprawiedliwości, choćby padli ofiarą najpotworniejszej zbrodni.

Orri milczał. Chyba nie ufał sobie na tyle, żeby spojrzeć na Freyję.

– Czy mogę coś panu powiedzieć?

Skinał głową.

– Oczywiście opieram się tylko na domysłach, ale mam wrażenie, że pan zasadził się tutaj na Jóna Jónssona prawdopodobnie dlatego, że chce pan go zabić. Proszę nie potwierdzać ani nie zaprzeczać. Nie jestem policjantką. – Widząc jego ulgę, dodała: – Poza tym powinien pan też pamiętać, że to bardzo, ale to bardzo rzadkie przypadki, żeby ktoś wprowadził takie zamiary w czyn. Ludzie marzą o zemście, ale gdy przyjdzie co do czego, rzadko jej dokonują. I nie bez powodu. Pańskie życie nigdy nie byłoby już takie samo. Jeśli wessie pana ta otchłań, to nigdy się pan z niej nie wydostanie. Może więc lepiej będzie dla pana, jeśli zostawi pan tego człowieka. On nie jest tego wart.

– Łatwo pani mówić.

– Wiem, co mówię. Pomagam dzieciom, które padły ofiarą molestowania, poznałam więc naprawdę wielu rodziców, którzy muszą sobie poradzić z takimi samymi myślami, jakie nękają teraz pana.

– Ale nie pracuje pani z dziećmi, które zostały zabite przez takich ludzi. Ani z ich rodzicami. – Jego głos przypominał warczenie.

– Ma pan rację. – Freyja zastanawiała się, czy powinna to tak zostawić

i już się nie wtrącać. Cokolwiek planował, gdy dojdzie do realizacji, zapewne skończy się na pobiciu, a wtedy może poczułby się lepiej. Może jednak Orri należy do tych, którzy nie potrafią się powstrzymać przed popełnieniem poważniejszych czynów? – Ale wiem na pewno, że nie wyleczy się pan ze swojego smutku, atakując tego człowieka, a tylko wpędzi się pan w potworne kłopoty.

Orri chrząknął.

– To nie pani interes, ale szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co tutaj robię.

– Może więc niech pan pojedzie do domu?

– Do domu?

– Tak. – Śnieg zdążył się zamienić w mokre błoto, którym nasiąknęły nogawki jej spodni. – Albo z powrotem do pracy. – Przypomniała sobie, jak Guðmundur Lárusson informował ją, że Orri jest wziętym pośrednikiem w handlu nieruchomościami. – Zatracenie się w pracy czasem pomaga. Przynosi chwilową ulgę.

– Owszem, chwilową.

– Proszę nad tym pomyśleć. – Freyja się wyprostowała. Musiała wracać do budynku, jeśli nie chciała się spóźnić. Zresztą i tak nie zdołałaby uspokoić emocjonalnego zamętu tutaj na ulicy. Wyjęła wizytówkę i podała ją mężczyźnie. Zawahał się. – Niech pan weźmie. Może się przydać, jeśli będzie pan chciał z kimś porozmawiać. Specjalizuję się w psychologii dziecięcej, ale mogę zarekomendować kogoś, kto panu pomoże, jeśli sama nie będę potrafiła.

Orri wziął wizytówkę. Obejrzał ją, po czym położył na fotelu pasażera obok lornetki.

– Dziękuję, chociaż wątpię, czy skorzystam.

– To zależy tylko od pana.

Podniósł szybę, nie żegnając się. Freyja wróciła do budynku. Zegar na ścianie w holu pokazywał, że zostało jej bardzo niewiele czasu. Zanim weszła do windy, obejrzała się i stwierdziła, że auto stoi w tym samym miejscu.

Rozdział 27

Obawy przed spóźnieniem okazały się zupełnie niepotrzebne. Gdy weszła, Hul dara jeszcze nawet nie było na miejscu. Przywitał ją Gudlaugur, nieśmiało i spoconą dłonią. Stwierdził, że Hul dar pojechał po siostrę Thröstura Sigrún, ponieważ to ona miała być przesłuchiwana jako pierwsza. Młoda kobieta telefonowała, że nie jest pewna, czy będzie mogła przyjść, dlatego uznał, że bezpieczniej wskoczyć do auta i przywieźć ją osobiście.

W wydziale dochodzeniowo-śledczym panowała cisza, choć dosłownie każde biurko było zajęte. Siedzieli przy nich bladzi i mało komunikatywni detektywi. Może panowała jakaś epidemia.

Gudlaugur przeciwnie, wydawał się pełen energii i optymizmu mimo niezbyt udanych prób nawiązania rozmowy. Zdążył zaproponować jej kawę aż dwa razy, ale chyba nie umiał się zdobyć na nic innego. Po chwili niezręcznej ciszy zaproponował, że zaprowadzi ją do centrum koordynacyjnego. Zawahał się jednak, gdy otworzył drzwi, najwyraźniej zbyt późno przypominając sobie, że jego gość nie jest członkiem zespołu dochodzeniowego. Z miejsca, w którym przystanęła, Freyja widziała dokumenty i zdjęcia przypięte w różnych miejscach na ścianie oraz jakieś uwagi nabazgrane na białej tablicy. Zauważyła kilka raczej makabrycznych fotografii. Nic dziwnego, że Gudlaugur się zawahał. Pośpiesznie zapewniła go, że została już zobowiązana do zachowania tajemnicy, może więc bezpiecznie wprowadzić ją do pomieszczenia. Czowała wzbierającą ciekawość: nie co dzień miała okazję widzieć takie materiały.

Uważnie obejrzała ekspozycję, przyglądając się fotografiom i czytając fragmenty tekstów, których potworność zaabsorbowała ją tak bardzo, że niemal zapomniała o Gudlaugurze wiercącym się tuż za nią. Po chwili spojrzała na niego ze skrzywioną miną.

– Pierwsza liga!

– Wiem. – Uśmiechnął się nieśmiało. – Musi pani mieć mocne nerwy. Jest pani może doktorem? Znaczący psychiatrą, a nie psychologiem.

– Jestem psychologiem. – Znow się odwróciła do ekspozycji i uważnie oglądała zdjęcie dłoni. – Może zdjęcia nie działają na mnie zbyt silnie dlatego, że się wydają takie nierealne. To znaczy wiem, że są prawdziwe, ale mój umysł tego do siebie nie dopuszcza. Zakłada, że to Photoshop.

– Zapewniam, że nie. Proszę mi wierzyć. Byłem na miejscu, gdy je znaleźli.

– A stopy? – Wskazała na inną fotografię. – Nic o nich nie wiedziałam.

– Zostały odkryte dopiero dziś rano.

– Należą do tej samej osoby?

– Niemal na pewno, ale będziemy musieli przeprowadzić test DNA, żeby to potwierdzić. Grupa krwi pasuje, a patomorfolog stwierdził, że należą do mężczyzny w podobnym wieku. – Gudlaugur wpatrywał się w zdjęcie. – Też zostały odcięte piłą łańcuchową, ale prawdopodobnie mężczyzna już wtedy nie żył. Naprawdę mi ulżyło, gdy się o tym dowiedziałem.

Freyja uśmiechnęła się do niego. To wyznanie było nadzwyczaj uczciwe, dlatego automatycznie założyła, że chłopak musi pochodzić ze wsi.

– Widzę, że zaczęliście poważnie traktować list Thröstura. Ten z kapsuły czasu. – Skinęła w stronę tablicy, na której ktoś wypisał jedne pod drugimi inicjały, przy niektórych umieszczając nazwiska. Obok BT dodano Benedikta Tofta, przy K widniał Kolbeinn Ragnarsson, a inicjały JJ uznano za należące do Jóna Jónssona. Za S, PV oraz I stały znaki zapytania. Na dole znalazło się nieznanne jej nazwisko z dwoma znakami zapytania.

– Kim jest Thorvaldur Svavarsson? – zapytała.

– Właściciel ogrodu, do którego podrzuciono stopy. Jest prokuratorem, ale dotychczas nie odkryliśmy, żeby coś go łączyło z Jónem Jónssonem. Znaczą bezpośrednio, ponieważ niedawno jakiś nieznamy zwabił jego dzieci do swojego samochodu, a następnie odwiózł z poleceniem, żeby pozdrowiły tatę od Vaki.

– Vaki Orradóttir?

– Tak przypuszczamy. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero dzisiaj rano, gdy matka tych dzieci została powtórnie przesłuchana. Wezwaliśmy ją po dzieci, gdy wyniknęła sprawa tych stóp. Są po rozwodzie z Thorvaldurem. Ale imię Vaki nie wypłynęło podczas przesłuchania po uprowadzeniu dzieci. – Wyraźnie zakłopotany dodał po chwili: – To znaczy ona go nie wspomniała. Ta matka.

– A mężczyzna, który uprowadził dzieci? Został złapany?

– Nie. Był w przebraniu Świętego Mikołaja, a dzieci nie potrafią opisać ani jego, ani samochodu. Są małe, w wieku przedszkolnym.

Freyja doskonale wiedziała, jak nieprecyzyjne bywają dzieci, gdy idzie o opisywanie przedmiotów i osób.

– Oczywiście kandydatem jest Jón Jónsson – zawyrokowała. – Udało się wam go namierzyć?

Gudlaugur pokręcił głową.

– Nie, niestety. – Trochę się rozchmurzył. – Ale potwierdziliśmy, że dłonie nie należą do niego. Porównaliśmy odciski palców z tymi na książce, której używał, i nie pasują.

– To policja nie miała jego odcisków w aktach?

– Nie. Coś poszło nie tak. A teraz prokuratura ma problemy z odnalezieniem akt, które chcieliśmy zobaczyć. Ale to nieuniknione, gdy się pracuje ze sprawami sprzed lat. Niczego się nie trzyma wiecznie.

Freyja była sceptyczna. Brak odcisków palców mógł wynikać z pomyłki, ale skoro zniknęło tak wiele akt i dokumentów dotyczących Jóna Jónssona, to musiało się za tym kryć coś więcej. Można by pomyśleć, że związane z nim dokumenty ktoś systematycznie niszczył, choć nie umiała sobie wyobrazić, kto mógłby to robić i po co. Nie podzieliła się jednak tą myślą z Gudlaugurem, żeby nie wyjść na zwolenniczkę teorii spiskowych. Policja doskonale wiedziała, jak nietypowa jest ta sprawa. Chyba że problem był powszechny, bo co ona mogła wiedzieć o archiwach wymiaru sprawiedliwości?

– Czy on jest waszym głównym podejrzanym w tym wszystkim? – Szerokim gestem wskazała na ekspozycję.

– Tak i nie. Nie mamy konkretnych podejrzanych. Ale jesteśmy przekonani, że to musiały być dwie osoby działające wspólnie. Trudno sobie wyobrazić, jak pojedynczy człowiek mógłby podnieść trumnę, a co dopiero wyjąć ją z grobu. – Gudlaugur wskazał na komentarze zapisane na tablicy: „1 osoba czy 2? 1, 2 czy 3 sprawy?”, które kilkakrotnie obrysowano wokół. – Jak pani widzi, nie jesteśmy nawet pewni, czy trumna, morderstwo i obcięte kończyny to ta sama sprawa. Że nie wspomnę o liście z kapsuły. Może wszystkie one się wiążą, a może nie.

– Chyba jednak muszą się wiązać? Einar Adalbertsson, ten z trumny, był ojczymem Jóna Jónssona, a Thröstur, który napisał list, jest jego synem. To nie może być zbieg okoliczności. A Benedikt Toft występował jako

oskarżyciel w sprawie Jónssona.

Prostując się, Gudlaugur oznajmił pompatycznie:

– Mamy nadzieję, że wszystko się niebawem wyjaśni. Kilka pytań pozostaje jeszcze bez odpowiedzi, ale wszystko zmierza w dobrym kierunku. Ale ten stary list nadal przyprawia nas o ból głowy. Czy Thröstur sam stworzył tę listę, czy wziął ją od ojca, a jeśli tak, to dlaczego są na niej także inicjały ojca? Jón Jónsson raczej nie mógł planować, że wykończy sam siebie.

– Raczej nie. – Chociaż Freyja nie mogła nie pomyśleć, jak bardzo byłoby to mu na rękę. – Jeśli na liście znajdowały się przyszłe ofiary Jónssona, to przypuszczam, że Thröstur mógł dodać jego inicjały z myślą, że sam go wykończy.

Gudlaugur nie uznał za stosowne tego komentować. Potarł swoją gładką szczękę.

– No i kolejna zagadka. Jeśli przyjmiemy, że Jón Jónsson jest sprawcą, to kto jest jego współnikiem? Jónsson nie ma wielu przyjaciół. Można przypuszczać, że znajomych też nie. Ponad dziesięć lat spędził w więzieniu. Rozmawialiśmy z obsługą Litla-Hraun i wiemy, że niemal wszyscy pozostali więźniowie go nie znosili. Z nikim się nie zadawał, nie jest więc prawdopodobne, że przyszłego współnika poznał właśnie tam.

– A jego syn raczej nie będzie skłonny mu pomagać.

– Tego nie wiem. Nigdy nie widziałem Thröstura. – Gudlaugur założył ręce na piersi i przysiadł na stole. – Ale nie możemy wykluczyć możliwości, że jest zamieszany. Jest nawet potencjalnym podejrzanym w sprawie zamordowania Benedikta Tofta lub właściciela dłoni i stóp, lub obydwu.

– Ale przypuścimy, że potrzebowałyby dwóch współników?

Gudlaugur wzruszył ramionami.

– Znajomy, jego matka, może nawet siostra, chociaż zdaje mi się, że ona jest potulna jak baranek. No i osobiście nie sądzę, żeby kobieta mogła być zamieszana w coś takiego.

Freyja powstrzymała się od uwagi, że kobiety nieźle sobie radzą także w tej materii. Udowodniły, że są zdolne do wyjątkowej brutalności zwłaszcza wobec pedofilów. Ale nic takiego nie wydarzyło się jeszcze w Islandii: żadna kobieta, ale też żaden mężczyzna w tym kraju nie zemścił się za nic w tak potworny sposób jak zobrazowany na ścianie. Ofiary też nie pasowały do scenariusza tego rodzaju, przynajmniej Benedikt Toft do niego nie pasował.

O ile wiedziała, nie był pedofilem.

– Żaden z tych mężczyzn nie jest podejrzany o seksualne wykorzystywanie dzieci? Toft, Kolbeinn ani ten Thorvaldur?

– Nie. Zostali dokładnie sprawdzeni, musieliby więc takie skłonności realizować bardzo dyskretnie.

Czyli było tak, jak podejrzewała. Oni po prostu nie pasowali.

– A ojciec Vaki? Czy braliście go pod uwagę? Albo jej matkę?

– Tak, ale do niczego nie doszliśmy. Dopóki była możliwość, że dłonie należały do Jónssona, Orri był mocnym kandydatem, ale jeśli Jónssona znajdziemy martwego, to na pewno wróci na szczyt naszej listy. Jego była żona będzie numerem dwa. Ale nie widzimy motywu, który skłoniłby go do zamordowania Benedikta Tofta. Ani dlaczego miałyby odcinać komuś dłonie i stopy.

– Jest w tej chwili tu przed budynkiem. Siedzi w aucie i obserwuje wejście. Myślę, że czeka na Jóna Jónssona. Nie twierdzę zaraz, że moim zdaniem mógłby się posunąć do tego, żeby go zabić, ale kto wie?

Razem z Gudlaugurem podeszła do okna, ale samochód zniknął.

W pokoju przesłuchań panowała przytłaczająca atmosfera. Już samo pomieszczenie było bezbarwne i ponure: żółknące ściany celowo pozostawiono gołe, żeby nic nie odwracało uwagi przesłuchiwanego; wstawiono twarde krzesła, żeby się nie siedziało zbyt wygodnie, a stół znaczyły liczne zarysowania i plamy. Napięte relacje między Freyją i Huldarem nie poprawiały sytuacji. Odwracała od niego oczy, a on zdawał się rozumieć jej intencje, bo też nigdy nie spoglądał w jej stronę.

Wyglądał na zmieszanego i przygnębionego zarazem. Gdy przyprowadził Sigrún, unikał patrzenia Freyi w oczy i tylko zaproponował jej kawę. Szybko odmówiła z wprawą, której zdążyła nabrać, ponieważ to była czwarta taka propozycja, odkąd weszła do budynku.

Sigrún wpasowywała się w ponurą scenerię. Siedziała naprzeciwko nich, wyglądając jak ktoś, kogo właśnie poinformowano o śmierci członka najbliższej rodziny. Przygarbione plecy, oparte na udach dłonie, którymi chyba ciągle się bawiła, sądząc po drgających ramionach. Suche, długie włosy opadały jej na policzki jak dwie kurtyny. Dotychczas na wszystkie pytania Huldara odpowiadała monosylabami. Nie, nie wiedziała, gdzie jest jej ojciec. Nie, nie widziała go ani nie otrzymała od niego żadnych wiadomości.

Nie, nie wiedziała nic o liście Thröstura. Nie, nie znała Benedikta Tofta, Kolbeinna Ragnarssona ani Thorvaldura Svavarssona. Nie, nie miała pojęcia, kto mógł wykopać trumnę mężczyzny określanego jako jej dziadek, chociaż nie łączyły ich więzy krwi. Nie, nie była w to zamieszana. Nie miała prawa jazdy ani nie umiała obsługiwać koparki mechanicznej. Nie, nigdy nie miała w ręku piły łańcuchowej ani nie znała nikogo, kto by taką pilę posiadał. Każda odpowiedź wypowiedana była prawie szeptem i Freyję zaczynała już boleć głowa od nieustannego nasłuchiwania.

Freyja poczuła wibracje telefonu. Swojego telefonu. Na pewno Baldur, który chciał się dowiedzieć, jak jej poszło w roli opiekunki do dziecka. Żałowała, że wyłączyła dzwonek. To byłaby ulga, gdyby wyszła pod pretekstem rozmowy z bratem. Nie miała tu co robić. Tylko siedziała, słuchając tego, co się działo między Huldarem a Sigrún. Telefon od Baldura był o wiele ważniejszy, jej brat nie mógł w tej sprawie zadzwonić do nikogo innego. Freyja poczuła się jeszcze gorzej niż przedtem, załamana myślą, że sprawiła zawód komuś, kto był dla niej najważniejszy. Cierpliwość nie była mocną stroną jej brata, dlatego wiedziała, że telefon zawibruje jeszcze tylko kilka razy, zanim Baldur zrezygnuje. Dłonie Sigrún wynurzyły się spod stołu i odgarnęły grzywkę z twarzy. Znow widzieli unikające kontaktu oczy na jej bladej, pozbawionej wyrazu twarzy. Obok siebie usłyszała pytanie Huldara:

– Co się stało z twoją dłonią?

W odpowiedzi padła najdłuższa wypowiedź, jaką Sigrún zaprezentowała im dotychczas, i Freyja skupiła się na przesłuchaniu.

– Wypadek. Byłam wtedy taka mała, że naprawdę go nie pamiętam. – Dziewczyna patrzyła na kikuty w miejscu, gdzie były kiedyś palce, mały i serdeczny, jej prawej dłoni, jakby właśnie zobaczyła je pierwszy raz w życiu. Potem wzdrygnęła się i wsunęła dłonie z powrotem pod stół.

– O ile wiem, to twój brat Thröstur ci to zrobił. Czy to prawda? – Huldar podsunął Sigrún paczkę cukierków z lukrecją. Dziewczyna pokręciła głową, choć nie było jasne, czy odmawiała cukierków, czy odpowiadała przecząco na pytanie. Huldar więc dopytał: – Czyli Thröstur nie miał z tym nic wspólnego?

– Nie. Nie on. Nie celowo.

– Nie celowo? Co chcesz powiedzieć? Co dokładnie się stało?

– Czy to ważne? – Sigrún spojrzała Huldarowi w oczy i znow spuściła wzrok z twarzą pełną smutku.

– Na tym etapie pracy nie wiemy. Ale powiem ci, że im więcej się dowiadujemy, tym bardziej prawdopodobne, że schwytamy mordercę, który właśnie grasuje. Zabił już dwie osoby. Wolałbym, żebyś odpowiadała na wszystkie nasze pytania.

– Czy to może poczekać? – Cicha prośba brzmiała jak głos małej dziewczynki.

– Tak – zgodził się Huldar wyraźnie zaskoczony. Zdaje się, że to nie była typowa prośba przesłuchiwanego. – Myślę, że tak. Ostatnim razem pytałeś cię, czy odwiedzałeś ojca w więzieniu. Teraz wiemy, że byłeś tam raz. W dokumentach znaleźliśmy podpisany przez ciebie formularz. Dlaczego poszłaś tam wtedy i już nigdy potem?

– Poszłam, żeby mu powiedzieć, że nie czuję do niego nienawiści.

W tym momencie Freyja pierwszy raz włączyła się do rozmowy. Odpowiedź wzbudziła jej ciekawość. Ludzie pokroju Sigrún nie działają zwykle pod wpływem impulsu. Zastanawiają się nad wszystkim.

– Skąd ta decyzja? Co cię do niej skłoniło?

– Ja... czytałam książkę. Poradnik. – Sigrún zamilkła, wyraźnie nie zamierzając dodać nic więcej. Ale nie musiała. Freyja przeglądała kilka takich poradników z powodów zawodowych, dlatego z łatwością potrafiła sobie wyobrazić rozdział opisujący, jak sobie radzić z własnymi obawami, zapewniający, że najlepszą metodą jest atak i tak dalej. W przypadku Sigrún taka rada była co najmniej wątpliwa. Dziewczyna miała prawo żyć w spokoju i poczuciu bezpieczeństwa, dlatego nie powinno się jej zmuszać, żeby bez pomocy stawiała do konfrontacji z traumatyczną przeszłością. Spotkanie twarzą w twarz z napastnikiem rzadko pomaga ofiarom przemocy seksualnej poradzić sobie z cierpieniem. W najlepszym wypadku skutki są krótkotrwałe. Ból wraca.

– Czy ta książka zalecała, żebyś stawiała czoło przeszłości? Dlatego uznałaś, że powinnaś się spotkać ze swoim ojcem i porozmawiać z nim?

– Tak. – Sigrún nadal siedziała ze spuszczonym wzrokiem.

– Uważasz, że to pomogło?

Zasłona włosów przesunęła się tam i z powrotem, gdy Sigrún pokręciła głową.

– Nie. Poczułam się gorzej. Zwymiotowałam w autobusie, gdy wracałam do miasta.

– Mam jeszcze jedno pytanie. Widać, że chcesz jakoś rozwiązać swoje

problemy, a nigdy nie poszłaś na terapię? Gwarantuję, że byłaby dla ciebie korzystniejsza niż takie poradniki.

– Nie, nie poszłam.

– Jako dziecko też nie? Gdy ojciec trafił do więzienia?

– Nie.

– Mogę zapytać dlaczego? Otrzymałabyś pomoc na koszt państwa.

– Mama nie chciała, żebym poszła. Thröstur też nie. Oni są przeciwni takim rzeczom.

– Rozumiem. – Freyja przyglądała się żalostnej postaci naprzeciwko. Musiała chwilę odczekać, zanim trochę przygasło oburzenie, które wznieciły w niej te słowa. Nie miałyby sensu krytykowanie matki i brata tej dziewczyny. Byli tak samo sponiewierani przez życie jak ona. – Myślę, że powinniśmy później porozmawiać o dostępnych możliwościach. Nigdy nie jest za późno, żeby pokonać problemy, z jakimi się zmagasz, a ja mogę ci pomóc, jeśli chcesz. – Drugi raz tego dnia Freyja wyjęła wizytówkę. Zamieniała się chyba w chodzącą kampanię reklamową. Jej niepotrzebne zazwyczaj wizytówki poniewierały się tak długo, że zaczynały niszczyć i musiała je wyrzucać.

– Tak. Może. – Sigrún schowała wizytówkę do kieszeni kurtki, której z siebie nie zdjęła, mimo że w budynku było ciepło.

– Czy moglibyśmy wrócić do pytania, jak straciłaś palce?

– Potem będę mogła już iść? Jak odpowiem?

Huldar mlasnął językiem.

– No dobrze, zgoda. – Chwilę wcześniej siedział rozparty na swoim krześle, teraz jednak znów się wyprostował. Sięgnął po paczkę cukierków z lukrecją, których nie tknęły ani Sigrún, ani Freyja, wrzucił sobie dwa do ust i kontynuował trochę niewyraźnie: – Powiedz mi zatem, jaki był udział Thröstura.

– On tego nie zrobił. Nie wolno panu tak myśleć.

– Nie wiem, co myśleć. Ale ty możesz to zmienić. Kontynuuj. – Głos Huldara nabrał ostrzejszego, bardziej kategorycznego tonu niż wcześniej.

– To był wypadek. Pomyłka.

– Będziesz musiała wyrażać się precyzyjniej. Jest wiele rodzajów wypadków i pomyłek. Ale zwykle nie kończą się stratą palców u rąk.

– Niewiele więcej pamiętam. Wiem tylko, że nie zrobił tego celowo.

– Nie zrobił czego?

– Nie wiem. Byłam za mała, żeby pamiętać.

– Matka i Thröstur powiedzieli ci chyba potem, co to było?

– Zabrał mnie gdzieś i to się stało. Mama powiedziała mi, że to był wypadek, że on był tylko dzieckiem i nie mógł przewidzieć, że do tego dojdzie. Pamiętam policjanta, który nas znalazł, i naszego dziadka. Przyszedł po nas. Potem pamiętam szpital. I jak dziwnie było po szpitalu. Przez długi czas myślałam, że moje palce odrosną. – Sigrún raptownie zamilkła, jakby zaskoczona długością swojej przemowy. – Miałam wtedy cztery lata.

– Naprawdę? Nikt ci nie powiedział, co się wydarzyło?

– Nikt.

– I nie pytałaś? – Huldar nie zdołał ukryć zaskoczenia. Pochylił się nad stołem w kierunku Sigrún, podkreślając tym swoje zainteresowanie. Chociaż ostry ton zniknął z jego głosu, dziewczyna się cofnęła. Jego bliskość wyraźnie powodowała jej dyskomfort, podobnie jak wcześniej, gdy wyciągnął rękę, żeby zaprosić ją do środka. Freyja zaczęła się zastanawiać, czy nie byłoby lepiej, gdyby to przesłuchanie przeprowadzała kobieta. Nieogolony i potargany Huldar roztaczał silną aurę męskości, choć nie byłoby większej różnicy, gdyby wcześniej się ogolił i uczesał.

– Kiedyś pytałam. Dawno temu. Ale nigdy nie otrzymałam konkretnej odpowiedzi. Mama mówiła to, co panu przekazałam. Zdarzyła się pomyłka, wypadek. Lepiej było o tym nie myśleć. Zresztą tylko pianiści potrzebują wszystkich dziesięciu palców. – Sigrún spojrzała Huldarowi prosto w oczy z niezwykłą dla siebie pewnością. – A my nigdy nie mieliśmy pianina.

Przesłuchanie prowadziło donikąd. Zanim jednak je zakończyli, Freyja postanowiła zadać pytanie, które nie dawało jej spokoju, odkąd pierwszy raz zobaczyła tę dziewczynę.

– Twój ojciec twierdził podczas rozprawy, że nigdy nie wykorzystał seksualnie dziecka przed tym okropnym dniem, gdy zmarła Vaka. Ponieważ znam wiele przypadków podobnych do twojego, mam poważne wątpliwości, czy mówił prawdę. Skoro zaś kłamał, to możliwe jest, że wykorzystywał inne dziewczynki i chłopców. Chcę więc zapytać, czy ty albo twój brat byliście przez niego seksualnie wykorzystywani, choć się obawiam, że znam odpowiedź.

Sigrún podniosła się z krzesła. Wyglądała na wstrząśniętą. Ciasno otuliła swoje wątle ciało kurtką i zaczęła grzebać w kieszeni w poszukiwaniu rękawiczek.

– Nie. Ani Thröstur, ani ja nigdy nie doświadczyliśmy czegoś takiego. Proszę to zapisać do protokołu. – Drżącymi rękami włożyła rękawiczki i sztywnym krokiem wyszła z pokoju przesłuchań.

Rozdział 28

Freyja wsunęła telefon z powrotem do kieszeni, zadowolona, że brat nie poprzestał na pierwszej próbie kontaktu. Baldur nie tylko złagodził dzięki temu trapiące ją poczucie winy, że nie odebrała wcześniejszego połączenia, ale też dał jej pretekst, żeby się oddalić od Huldara, gdy czekali na przesłuchanie Thröstura. Robiła więc co mogła, żeby przedłużyć rozmowę z bratem, trzy razy powtarzając mu opowieść o pierwszym dniu spędzonym z jego córką. Potem Baldur nie mógł się oprzeć ciekawości i zapytał, czy znalazła sobie jakiegoś faceta. Z egzaltacją opisała więc przystojnego samotnego ojca, którego poznała rano nad jeziorem, dodając, że ma do niego numer. Zwykle nie dzieliła się z bratem takimi szczegółami, ale tym razem zrobiła wyjątek, ponieważ Huldar słyszał każde jej słowo.

Przesadnie wychwalając Baldurowi poznanego nad jeziorem księcia z bajki, zerknęła ukradkiem na Huldara. Miał zbolalą minę.

Zapadł zmrok i latarnie oświetliły mokry asfalt. Miejsce parkingowe, na którym czatował Orri, było teraz puste. Chociaż deszcz ze śniegiem ustał, na niebie wisiały chmury, strasząc kolejnymi opadami. Freyja przeklinała się za to, że nie poszła po samochód. Nie uśmiechało jej się czekanie na autobus, zwłaszcza że jej ubranie w końcu wyschło. Było pogniecione i brudne, ale suche.

– Przepraszam za dzisiejszy poranek. Żałuję, że nie mogliśmy razem karmić kaczek.

Chociaż za oknem nie rozciągał się żaden szczególny widok, Freyja nadal przez nie wyglądała, jakby czymś zafascynowana.

– Nie ma potrzeby przeproszać. Nie zależało mi na tym. – Starła się mówić normalnym głosem. Nie chciała, żeby pomyślał, że jest wściekła po przegranej z Erlą.

– Możliwe, ale mnie zależało. Chciałem tam z tobą być.

Freyja musiała tylko nieznacznie się cofnąć, żeby zobaczyć w szybie odbicie siebie i korytarza za swoimi plecami. Huldar stał oparty o ścianę,

miał ręce skrzyżowane na piersi i zamknięte oczy. Gdyby nie słyszała przed chwilą jego głosu, pomyślałaby, że śpi.

– Ach tak – rzuciła, przysuwając się z powrotem do szyby.

– Przestaję pić.

– Brzmi to dość radykalnie. – Jej oddech tworzył na szybie okrągłą chmurę, która zniknęła, gdy wyparował. – Co się stało z Thröstorem? Miał chyba być tutaj zaraz po Sigrún? Muszę wracać do domu. – Nie miała żadnych planów, ale wszystko było chyba lepsze od pobytu tutaj. Molly okazałaby już głód, nawet gdyby Freyja nakarmiła ją, zanim zabrała Sagę na spacer. Myśl o psie wywołała skojarzenia z kanapą i nagle poczuła się bardzo zmęczona.

– Sigrún wyszła wcześniej, niż planowałem. Powinien tu być za dziesięć, góra piętnaście minut.

Freyja pozwoliła sobie na ciche westchnienie. Czy naprawdę musi wysłuchiwać tych jęków Huldara jeszcze przez całe dziesięć minut?

– Jak długo potrwa to przesłuchanie?

– Niedługo – zapewnił, co niewiele wniosło. – Nie spodziewam się, żeby powiedział coś pożytecznego. – Westchnął. – Żona Kolbeinna dzwoniła rano z Londynu z informacją, że nie może się skontaktować z mężem. On też zniknął. Będziemy przeszukiwać jego dom. Chciałbym wreszcie odkryć, jak te wszystkie sprawy się wiążą.

– Może więc nie będzie problemu, jak się zmyję? Czy znów na mnie doniesiesz, jeśli już pójdę? – Wciąż urażona tą jego podłą sztuczką, nie zdołała powstrzymać goryczy w głosie.

– Nie możesz wyjść. I nie doniosłem na ciebie. Dzwoniłem do Izby Dziecka, bo nie chciałaś ze mną rozmawiać. Co miałem zrobić?

– Dać mi spokój.

Żadne z nich się nie odezwało. Huldar znów zamknął oczy, a Freyja nadal patrzyła przez okno. Od czasu do czasu przejeżdżał pod nim samochód, rozbryzgując strugi błota. Postanowiła wrócić do domu taksówką. Nie miała ochoty, żeby taki prysznic zmoczył ją po drodze na przystanek.

– Chcesz cukierka? – Pytanie było tak absurdalne, że odwróciła głowę. W głosie Huldara brzmiała nadzieja.

– Nie, dziękuję. – Już miała dodać jakiś cięty komentarz, ale uznała, że to bezcelowe. Nie było o co walczyć. Huldar mógł przecież robić, co chciał. Nie byli w związku.

– Czy mogę jeszcze raz przeprosić? – Huldar zamknął torebkę z cukierkami.

– Nie ma za co przepraszać. To dla mnie bez znaczenia. – Jej spokojna obojętność poruszała go bardziej niż złość czy smutek. Może był przyzwyczajony, że kobiety się na niego wściekają. Nie odpowiedział, schował tylko torebkę do kieszeni i skinął głową. Grzywka opadła mu na oczy, a gdy ją szesał palcami, miał przygnębioną minę. Freyja ugięła się i już chciała poprosić go o tego cukierka, ale słysząc kroki na schodach, oboje się odwrócili. Odetchnęła z ulgą. Thrösturowi towarzyszył policjant. Huldar stanął prosto, odpędzając smutek z twarzy.

Wydawał się niemal taki jak zawsze, gdy witał Thröstura, ten zaś udał, że nie widzi wyciągniętej ręki.

Thröstur znów walczył z własnym gniewem, próbując odgrywać anarchistę, który ma wszystko gdzieś. Irokez na jego włosach lekko się przekrzywił po drodze na przesłuchanie. Chłopak był ubrany nieodpowiednio do pogody, w cienką skózaną kurtkę i podarte dzinsy. Na nogi włożył wysokie buty, ewidentnie ze sztucznej skóry, a długie sznurówki powłóczył po podłodze. Czarny makijaż wokół jego oczu sięgał aż do kości policzkowych, chociaż nie było jasne, czy pomalował się tak celowo, czy może tusz się rozmazał. Miał plamy na skórze, na lewym nozdrzu zaś zaczerwienienie w miejscu, gdzie był kolczyk. Metalowe kółko w przegrodzie nosowej też zniknęło. Może nos się zbuntował. Umalowany, ale pozbawiony piercingu wyglądał prawie jak bezradne dziecko.

– Wchodzimy tutaj. – Huldar wskazał Thrösturowi pokój przesłuchań, odruchowo podnosząc dłoń, żeby umieścić ją na jego ramieniu, przed czym jednak chłopak zręcznie się uchylił, tak jak wcześniej jego siostra.

Na początku przesłuchanie było niemal całkowitym powtórzeniem wcześniejszej rozmowy z Sigrún. Nie i jeszcze raz nie. O niczym nie wiedział, nie rozpoznawał podawanych nazwisk. Freyja słuchała bez słowa, czekając tylko, kiedy będzie potrzebna jej interwencja. Thröstur był zupełnie inny niż jego siostra: opryskliwy, skrywający emocje pod grubą warstwą ochronną. Musiałby chyba nastąpić cud, żeby się otworzył. W pokoju przesłuchań było duszno i tylko dzięki zapachowi lukrecyjnych cukierków, które Huldar bez przerwy żuł, dawało się tam wytrzymać.

– Opowiedz mi o swoim dziadku. Byliście bardzo ze sobą związani?

Thröstur odsunął się od stołu bardziej niż jego siostra. Siedział

z wyciągniętymi nogami i rękami splecionymi na piersi. Znów skojarzył się Freyi z dzikim zwierzęciem. Napuszał się, żeby sprawić wrażenie większego niż w rzeczywistości, kompensując sobie tym rachityczną posturę. Była z niego sama skóra i kości.

– Tak i nie. Zmarł dawno temu. Co to ma za znaczenie?

Huldar nie odpowiedział.

– Rozumiem, że nie masz prawa jazdy, a przynajmniej nie ma cię w rejestrze. Czy potwierdzasz?

– Tak. – Thröstur poluzował ramiona. Ponieważ dotychczas siedział nieruchomo jak posąg, Freyja doszła do wniosku, że to pytanie go zdenerwowało, choć trudno jej było wyczuć dlaczego.

– Ale twoja matka ma prawo jazdy, prawda?

– Może ma. Nie wiem. Nie jest właścicielką samochodu.

– Nie, właścicielką nie jest. – Kątem oka Freyja zauważyła, że Huldar się delikatnie uśmiecha. – Ale wypożyczyła samochód całkiem niedawno. Wiedziałeś o tym?

Thröstur zacisnął wargi i znów skrzyżował ramiona na piersi. Freyja pomyślała, że chce w ten sposób ukryć drżenie dłoni.

– Nie.

– Czyli nie możesz nam wyjaśnić, po co to zrobiła? Bo widzisz, odwiedziliśmy wiele wypożyczalni samochodów i żadna z nich nie odnotowała, żeby twoja matka brała auto wcześniej. Musiała więc mieć wyjątkowy powód. Może robiła gdzieś porządki? Wybrała model kombi. Jak się złoży tylne siedzenia, to jest całkiem sporo miejsca.

– Nie wiem, po co jej był samochód.

– Naprawdę? – Huldar zrobił pauzę. – Oczekuję zatem, że to się wyjaśni, gdy za chwilę ją o to zapytamy. Nie sądzisz?

– Nie mam pojęcia. Gównem to ma wspólnego ze mną.

– No dobrze, zostawmy to na razie. Wracając do twojego dziadka. Byłeś ostatnią osobą, która widziała go żywego, prawda?

– Widziałem go tego dnia, którego umarł, to prawda. Ale nie mam pojęcia, czy się z kimś widział po moim wyjściu.

– Sprzedawałeś mu papier toaletowy w ramach kwesty na cel społeczny, czy tak?

– Coś w tym stylu.

– Czy pamiętasz, jaki to był cel?

– Nie. To było cholernie dawno temu. Coś do szkoły. Nie pamiętam dokładnie. Może chodziło o wycieczkę.

– Naprawdę? – Huldar zrobił przesadnie zdziwioną minę. – Bo widzisz, sprawdziliśmy to w twojej ówczesnej szkole i się okazało, że już od bardzo wielu lat mają zasadę, która zabrania uczniom uczestniczenia w jakichkolwiek zbiórkach pieniężnych. Zaskakujące, prawda? Może chciałbyś jeszcze raz się zastanowić nad swoją odpowiedzią? – Ewidentnie policja nie próżnowała.

– Nie. Już mówiłem. Nie pamiętam. Widocznie to było dla kogoś innego.

– Może i tak. – Huldar wolno pokiwał głową. Thröstur jak długo mógł, udawał, że nic się nie stało, po czym spuścił wzrok. – W środę nocą trumna twojego dziadka została wykopana z grobu na cmentarzu Hafnarfjörður. Czy masz z tym coś wspólnego?

– Nie. – Odpowiedź Thröstura padła zbyt szybko. Nie okazał zaskoczenia, choć teoretycznie o zdarzeniu słyszał pierwszy raz.

– To się stało wieczorem tego samego dnia, w którym twoja matka wypożyczyła samochód. – Ponieważ Thröstur się nie odezwał, Huldar kontynuował: – Przyjmujesz tę wiadomość bardzo spokojnie. Gdyby to był mój dziadek, chciałbym wiedzieć coś więcej. Czy może gdzieś już o tym słyszałeś?

Thröstur dał sobie trochę czasu na zastanowienie.

– Tak.

– Gdzie?

– Nie pamiętam.

– Jak na młodego człowieka masz zaskakująco krótką pamięć. – Huldar wbił wzrok w Thröstura. – Coś mi mówi, że niezbyt lubiłeś swojego dziadka.

Thröstur podniósł głowę, pokazując czerwoną od wściekłości twarz.

– Po pierwsze, ten człowiek nie był moim dziadkiem. Był ojczymem mojego tak zwanego ojca. Poza tym to chyba nie jest przestępstwo, że się nie lubi jakiegoś faceta, który nie jest nawet członkiem rodziny. Aresztuje mnie pan za to?

– Nie. Jeśli cię aresztuję, to za coś znacznie poważniejszego. – Huldar trochę rozluźnił mięśnie zaciśniętej szczęki. – Ale wciąż nie mogę się nadziwić, dlaczego do człowieka, którego nie lubiłeś, poszedłeś z tym... co to było... ach tak, papier toaletowy.

Thröstur odzyskał pewność siebie i wrócił do swojej brawury.

– Jest pan jakimś kretynem? Myśli pan, że sprzedawca koniecznie musi lubić swojego klienta? Odezwałem się do niego, bo wiedziałem, że coś ode mnie kupi. To wszystko. Musicie być strasznymi świniami, skoro tak was interesuje papier do sracza. Nie macie nic lepszego do roboty?

Freyja z ciekawością zerknęła na reakcję Hul dara, ale ten zdawał się nieporuszony epitetami. Zapewne podobne zachowanie to dla policji chleb powszedni. Gdy po chwili się odezwał, mówił spokojnym, normalnym głosem.

– Wyluzuj, chłopcze.

– Nie jestem chłopcem.

– Nie? To przestań się zachowywać jak chłopiec.

Przez chwilę obydwaj milczeli. Freyja uzmysłowiła sobie, jak bardzo niesprawiedliwa jest ta sytuacja. Thröstur nie urodził się zły, a jeśli był powiązany z tymi przestępstwami, to wskutek życiowych zawirowań. Gdyby miał normalne dzieciństwo, nie siedziałby tu teraz. Freyja pragnęła już opuścić ten klaustrofobiczny pokój, iść do domu, zwalić się na sfatygowaną kanapę i z miską popcornu w rękę obejrzeć film. Najchętniej taki, w którym źli bohaterowie dostają za swoje, a ich ofiary wychodzą ze wszystkiego bez szwanku.

– Wróćmy do listu, który włożyłeś do kapsuły czasu. Miałeś dużo czasu, żeby sobie przypomnieć okoliczności, bardzo chciałabym więc usłyszeć, co cię skłoniło, żeby go napisać, i czyje to inicjały.

Thröstur siedział jak posąg, choć mocno zaciśnięta szczęka sugerowała, że zgrzyta zębami, jak Hul dar chwilę wcześniej.

– Już mówiłem, nie pamiętam.

– Oczywiście, nie pamiętasz. – Hul dar nie wydawał się rozbawiony. – W takim razie powiem ci, co myślimy. Naszym zdaniem BT to inicjały Benedikta Tofta, K oznaczało Kolbeinna Ragnarssona, natomiast JJ to był Jón Jónsson. Benedikt Toft został zamordowany, natomiast Kolbeinn Ragnarsson zniknął bez śladu, podobnie jak twój ojciec. Sprawa wygląda o wiele poważniej niż wtedy, gdy ostatnio rozmawialiśmy. Zamierzam więc cię poprosić, żebyś przestał udawać głupiego i powiedział mi, kim są PV, S oraz I. Musimy pilnie się z nimi skontaktować.

Thröstur uparcie milczał. Freyja próbowała odgadnąć, co się dzieje w jego głowie. Ani przez chwilę nie wierzyła, że nie pamięta listu z kapsuły. Jego reakcje zdradzały, że coś ukrywa. Ale co? Patrząc na tego przeraźliwie

chudego faceta w kostiumie punka, z trudem mogła sobie wyobrazić, że miałyby siłę zamordować kilka osób, choć wiedziała, że brutalni przestępcy mogą wyglądać bardzo różnie. Życie byłoby łatwiejsze, gdyby zdradzał ich określony wygląd. Rozważania doprowadziły ją do punktu, od którego się zaczęły: żadne dziecko nie rodzi się złe. Ani Thröstur, ani nikt inny.

– Odpowiedz na pytanie.

– Nie pamiętam, co wtedy myślałam. To było dziesięć lat temu. Pamięta pan wszystko, co pan pisał w szkole dziesięć lat temu? Po co mnie wzywaliście, do kurwy nędzy?

– Zostałeś wezwany na przesłuchanie w związku ze śledztwem w sprawie morderstwa. Ty i twoja rodzina jesteście powiązani z tą sprawą na kilka sposobów. Stoisz po kolana w gównie, a jeśli nie zaczniesz mówić, to się w nie zapadniesz po szyję. Słyszysz, co mówię?

– Skończyliśmy? Mogę już iść? – Thröstur skierował te pytania do Freyi.

– Nie, nie skończyliśmy i nie możesz iść. Patrz na mnie, gdy mówię do ciebie. – Wydane rozwścieczonym głosem polecenie Hul dara nie odniosło żadnego skutku. Thröstur nadal patrzył na Freyję, ona zaś była zmuszona udawać, że kpiące spojrzenie młodego człowieka przyjmuje z całkowitą obojętnością.

Hul dar spróbował ponownie.

– W porządku, niech będzie po twojemu. Następnym razem, gdy się spotkamy, prawdopodobnie będziesz w areszcie. W tej chwili technicy kryminalistyczni pieczołowicie sprawdzają wypożyczony samochód. Jeśli znajdą w nim cokolwiek, co może sugerować, że kiedykolwiek do niego wsiadłeś ty, Benedikt albo Kolbeinn lub przewożono w nim trumnę, to żaden sędzia nie odmówi wystawienia nakazu aresztowania. Także dla twojej matki, może również twojej siostry.

Drżący policzek Thröstura pozwalał wnioskować, że słowa Hul dara trafiły w czuły punkt.

– Ta sprawa to nie są żarty i jeśli nadal będziesz uparcie milczał, nie pozostawisz nam innej możliwości, jak tylko dojść do wniosku, że coś przed nami ukrywasz. – Hul dar zamilkł na chwilę, wściekle wpatrując się w Thröstura, który ze wszystkich sił starał się okazywać nonszalancję. – Co możesz mi powiedzieć o tatuażach na twoich dłoniach?

– Nic. To nie pana interes.

– *Ultio dulcis*. Czy to przypadkiem nie znaczy, że zemsta jest słodka?

Thröstur wzruszył ramionami.

– Nie pamiętam.

– Oczywiście, że pamiętasz. Masz te słowa przed oczami codziennie, od rana do wieczora. O jaką zemstę ci chodziło, gdy się oznakowałeś tym uroczym mottem? Czy ma ono coś wspólnego z inicjałami, które umieściłeś w swoim liście?

– To nie pana interes.

Rozległo się pukanie do drzwi. Gudlaugur wsunął głowę do środka i poprosił o chwilę rozmowy z Huldarem. Freyja została sam na sam z Thrösturem. Jeśli to miała być sztuczka ze złym i dobrym policjantem, powinni byli ją uprzedzić. Thröstur nadal gapił się w jej oczy, wyraźnie chcąc ją zdenerwować. Udało mu się. Głosy dobiegające z korytarza nie cichły. Brzmiały poważnie, ale równie dobrze mogła to być jej wyobraźnia. Podejrzewała, że po powrocie Huldara przesłuchanie zostanie przerwane. Albo dlatego, że znaleźli jakieś dowody w samochodzie i Thröstur za chwilę trafi do celi, albo dlatego, że nic na niego nie mają i może wracać do domu. Miała więc być może ostatnią szansę, żeby wypowiedzieć pytanie, które od dawna chciała mu zadać.

– Skorzystam z okazji, że jesteśmy tylko we dwoje – zaczęła. – Czy twój ojciec molestował ciebie albo twoją siostrę, gdy byliście dziećmi? Zanim skrzywdził Vakę? Jeśli tak, to nie ma powodu, żeby go chronić. To mogłoby nawet stanowić pewną okoliczność łagodzącą, oczywiście w zależności od tego, co zrobiłeś. Pracuję w Izbie Dziecka, znam więc podobne przypadki. Wiem, jak trudno się o nich mówi.

Thröstur prychnął z wściekłości.

– Ty głupa suko! – Chwytnąjąc blat stołu, pochylił się nad nim, przysuwając się nieprzyjemnie blisko do jej twarzy. Freyja zapragnęła, żeby Huldar wreszcie wrócił. Miała wrażenie, że pokój przesłuchania zrobił się mniejszy niż dotychczas, za to drzwi jakby się oddaliły. Co zrobi, jeśli się na nią rzuci? Podniesie rękę, żeby osłonić głowę przed ciosami? Wzięła głęboki oddech. Nie. Wyprostowała się, postanawiając, że nie da się zastraszyć. Jeśli ją zaatakują, to będzie się bronić. Mieli podobną wagę, a ona niemal na pewno była w lepszej kondycji niż on.

– Więc uważasz, że jestem głupią suką? Odpowiedz na moje pytanie.

– Odpowiem. Odpowiedź brzmi nie. Nic się nie stało mnie, nic się nie stało Sigrún. Taki z ciebie psycholog jak z koziej dupy trąba.

Freyja omal nie wybuchnęła śmiechem. Nie słyszała tego powiedzenia, odkąd chodziła do szkoły. Ewidentnie nie było sensu kontynuować tego wątku.

– A co z brakującymi palcami Sigrún? Powiedziano nam, że to była twoja wina. Czy to prawda?

– Jezu! Jacy wy jesteście wszyscy głupi. Nie macie pojęcia. Pojęcia, kurwa, o niczym. Głupie pizdy!

Otworzyły się drzwi, wszedł Huldar i poinformował Thröstura, że może już iść, ale nie wolno mu wyjeżdżać z miasta, ponieważ wkrótce zostanie wezwany na kolejne przesłuchanie. Thröstur zerwał się na równe nogi i natychmiast ruszył do wyjścia. Po drodze celowo zahaczył ramieniem o Huldara, którego rysi stężyły, choć w żaden inny sposób nie zareagował. Może i lepiej. Freyja miała powyżej uszu całej tej sytuacji. Ilu agresywnych utarczek można wysłuchać jednego dnia?

– Coś się wydarzyło. Muszę natychmiast jechać. Z jego matką porozmawiamy jutro, ale teraz jesteś już wolna.

Freyja wyszła na korytarz, gdzie natychmiast ożywiło ją świeże powietrze. Bąknęła coś na pożegnanie. Postawiła już kilka kroków w kierunku wind, gdy Huldar krzyknął za nią: „Przepraszam za dzisiejszy poranek. To było głupie”. Podniosła rękę i machnęła nią, nie oglądając się za siebie. Wyglądało na to, że on nie zamierza się poddać. Ale jeśli chodziło o nią, to wszystko się między nimi skończyło, zanim jeszcze zdążyło się zacząć.

Gdy czekała na taksówkę przed komendą policji, wróciła myślami do Thröstura i Sigrún. Wszystko wskazywało na to, że mogła się pomylić. Obydwoje zaprzeczyli tak kategorycznie, jakby swoim pytaniem obraziła ich albo rozwścieczyła. Może faktycznie ojciec ich nie tknął, a jego napaść na Vakę była jednorazowym wybrykiem. A jeśli wszystko, co uznała za pewnik w tej sprawie, oparła na fałszywych założeniach? Gorzej nawet, fałszywe mogły się też przecież okazać założenia Huldara oraz całego zespołu pracującego nad tą sprawą. Może wszyscy oni poszli w zupełnie niewłaściwą stronę?

Podjechała taksówka i Freyja wsiadła, czując w głowie mętlik, jakiego nie zaznała od dawna.

Rozdział 29

Huldar był tak zmęczony, że gdyby choć na chwilę zamknął oczy, zasnąłby jak kamień. Marzenie o tym, żeby wcześniej się położyć, a potem wstać o świcie i pójść na siłownię, miało pozostać w sferze marzeń. Niestety. Zamierzał włożyć rękawice bokserskie i walić ile wlezie w worek treningowy w piwnicy, żeby dać upust frustracji nagromadzonej przez ostatnie dni i tygodnie. Frustracji, którą kierował wyłącznie przeciwko sobie. Ale w tych okolicznościach będzie miał szczęście, jeśli w ogóle dotrze do domu o przyzwoitej godzinie, a na siłownię trafi choć raz przed zakończeniem dochodzenia.

Mógł się spodziewać tylko nieustającej pracy, braku snu i bezgranicznego poczucia winy. Ale przynajmniej jedno dawało mu powód do radości: jego żołądek mniej więcej doszedł do siebie, zanim przybyli na miejsce i skierował wzrok na zwłoki Kolbeinna Ragnarssona.

– Zamawiam pizzę. Jaką chcesz? – Trudno było zrozumieć, co Gudlaugur mówi zza maski gazowej. Jako najmłodszy z nich wszystkich niezmiennie otrzymywał takie zadania, nic jednak nie wskazywało, że uznaje je za poniżej swojej godności. W końcu się zbuntuje, ale wówczas do wydziału trafi pewnie kolejny, jeszcze młodszy świeżak, który przejmie jego rolę.

– Jakąkolwiek, byle miała na wierzchu tonę mięsa i sera. I jeszcze piwo. – Huldar zapiął kurtkę i przygotował się do wyjścia na zewnątrz. Nadeszła jego kolej, żeby stanąć na warcie. Ludzie zwykle się nie biją o ten zaszczyt, ale w tym przypadku było to najbardziej pożądane zajęcie. Nikt z nich nie uodpornił się na tyle, żeby swobodnie pracować w pobliżu zwłok dopiero co zmarłego człowieka, zwłaszcza gdy zwłoki znajdowały się w takim potwornym stanie. Ilekroć Huldar zerkał na drzwi do kuchni, w której Kolbeinn dokonał żywota, nie mógł powstrzymać myśli, że lepiej by było dla tego człowieka, gdyby jednak wykończył go atak serca.

– Czyli jeszcze jedna mięsna uczta i piwo.

– Żartowałem z tym piwem. Weź mi colę. Dwie cole. Nie, weź trzy. –

Huldar naciągnął na głowę wełnianą czapkę. Nie mógł się doczekać, żeby wyjść na świeże, mroźne powietrze. Nawet maski gazowe nie zdołały ich uchronić przed tym gryzącym smrodem. Erla kazała im otworzyć wszystkie okna, chociaż łamała w ten sposób zasady postępowania. Nie miała wyboru. Ludzie nie chcieli wejść do środka, żeby się nie zatruć, a nie było mowy o tym, żeby czekać do rana, aż opary się rozproszą.

– Trzy cole. – Gudlaugur dodał kolejną pozycję do listy zapewniającej już kartkę, po czym spojrział w niebo. W masce przeciwgazowej wyglądał jak olbrzymi owad.

– Nie wolno w tym wychodzić na zewnątrz. – Stali w wiatrołapie. Przejście do wewnętrznej części domu było zamknięte, a drzwi wyjściowe uchylone.

– No tak. – Gudlaugur spojrział na niego zdziwionym wzrokiem zza dwóch przypominających oczy owada szklanych wizjerów. Zamiast zedrzeć maskę jednym ruchem jak Huldar, przez chwilę się namyślał, po czym zaczął metodycznie luzować paski. – Uff! Jak dobrze się z tego wydostać!

Huldar popchnął frontowe drzwi, otwierając je szeroko, wyszedł na zewnątrz i kilka razy z rzędu wypełnił płuca nocnym powietrzem. Gudlaugur, który wyszedł tuż za nim, wziął z niego przykład. Maskę przewiesił przez ramię, Huldar zaś swoją rzucił na podłogę.

– Jak ktoś mógł to zrobić żywemu człowiekowi? – Gudlaugur sięgnął po telefon, żeby zamówić pizzę.

– Mnie nie pytaj. Też tego nie rozumiem. – Kolejny raz głęboko odetchnął. To było przyjemniejsze niż papieros. – Wiesz może, ile czasu potrzebują jeszcze technicy?

– Nie. Erla jest teraz z nimi, ale wszyscy niecierpliwie czekają na jakieś wiadomości. Wrzasnęła na mnie, gdy otworzyłem drzwi, żeby zapytać, jaką pizzę im zamówić. – Normalnie Huldar by się uśmiechnął, ale w tej chwili myśl o Erli nie wywoływała w nim szczególnej wesołości.

– Więc jak, w środku mamy jeść tę pizzę? W maskach gazowych?

– Nie, będziemy musieli jeść w samochodzie. – Gudlaugur ciągle nie wybrał jeszcze numeru. Jakby starał się przeciągnąć rozmowę, żeby jak najpóźniej wrócić do pracy. – I dobrze. Nie sądzę, żeby ktokolwiek miał apetyt tam wewnątrz. – Odwrócił się i omiół wzrokiem mały dom należący do Kolbeinna i jego żony. Huldar obstawiał, że kobieta sprzeda go przy pierwszej okazji. Z relacji policjanta, który poinformował ją o wszystkim,

można było wnioskować, że nie zanosi się na długą żałobę. Funkcjonariusz zastał kobietę w Londynie, dokąd się wybrała na wycieczkę ze znajomymi. Najpierw trochę płakała do słuchawki, ale zaraz zaczęła wypytywać o kuchnię. Czy kwas siarkowy, którym polano jej męża, zniszczył także wszystkie meble? Szczególnie martwiła się o podłogę. Choć brzmi to bezdusznie, to praktyczne pytanie było prawdopodobnie oznaką, że jej umysł rozpaczliwie szuka czegoś, co może zrozumieć. Nikt chyba nie potrafiłby od razu przyjąć do wiadomości faktu, że jego współmałżonka spotkał tak przerażający los. Skupianie się na podłodze miało sens.

Ożywiony przez mroźne powietrze Huldar nabrał ochoty, żeby zapalić. Sięgnął do kieszeni po paczkę, która została mu z wczoraj: pomietą i zamarynowaną w piwie. Gdy podpałił papierosa, poczuł piwny smak.

– W końcu dzwonisz czy nie? Ludzie umierają tu z głodu.

Gudlaugur wybrał numer.

– Jest kolejka – poinformował Huldara, który nie prosił go o komentarz. – Możemy rozmawiać przez ten czas.

Huldar zaciągnął się znowu i myślał, co mógłby powiedzieć. Nie zamierzał narzekać na kobiety, choć nie miał wątpliwości, że Gudlaugur poświęci mu całą swoją uwagę, gdy tylko o nich wspomni. Noc z Erlą była najpikantniejszą plotką dnia, a ponieważ nikt z zespołu nie odważył się wspomnieć o tym przy niej, wszystkie żarty kierowali do niego. Konsekwentnie zaprzeczał i mimo wszystko uważał, że mu się upiekło. Wszyscy za bardzo cierpieli z powodu kaca, żeby się na tym skupić, ale jak tylko dojdą do siebie, z pewnością staną się bezlitośni. A każdy z nich dobrze wiedział, jak przejrzeć cudze kłamstwo. Huldar pocieszał się, że zna wszystkie te sztuczki, może więc mimo wszystko uniknie pułapek.

– Skąd można wziąć kwas siarkowy?

– Na pewno nie ze sklepu. To była olbrzymia ilość. – Gudlaugur się skrzywił.

– Przy odrobinie szczęścia namierzemy transakcję przez importera. Albo znajdziemy sklep, gdzie został kupiony, jeśli w ogóle jakiś sprzedaje go na litry. – Potem Huldar przypomniał sobie piłę łańcuchową, którą trudno uznać za standardowe wyposażenie przeciętnego islandzkiego domu czy firmy, a mimo to policji nie udało się jak dotąd namierzyć nabywcy. Nie stwierdzili też podejrzanego zakupu kilkumetrowego łańcucha stalowego. Może z kwasem będzie tak samo. Kolejnym krokiem musiało być sprawdzenie, czy

piła, stalowy łańcuch i kwas nie zostały skradzione, po uprzednim wytypowaniu, jakie przedsiębiorstwa mogłyby składować wszystkie trzy towary. On sam stawiałby na jakiś warsztat albo podwykonawcę, a takich firm działają setki.

– Kurwa, zabiję, jeśli któryś rozleje sos w moim samochodzie! – Erla siedziała za kierownicą z kawałkiem pizzy w jednej ręce i puszką coli w drugiej. Ponieważ większość czasu spędziła w kuchni, patrząc na ręce technikom kryminalistycznym i patomorfologowi, dopóki nie skończyli pracy, uodporniła się na smród siarki, którym przeszły jej włosy i ubranie. Huldar i Gudlaugur natomiast ledwie się powstrzymywali przed zatykaniem nosów podczas jedzenia. Huldar miał gorzej, ponieważ siedział obok niej na miejscu dla pasażera. Chociaż bardzo się starał, żeby nie trafić do jej samochodu, skinęła na niego władczym gestem, czym wywołała porozumiewawcze spojrzenia pozostałych członków zespołu. To by było na tyle, jeśli chodzi o wysiłki Huldara, aby położyć kres plotkom. Rozpaczliwie się broniąc przed byciem z nią sam na sam, pociągnął za sobą Gudlaugura.

Po drodze szepnął koledze, że ma podtrzymać rozmowę, bo inaczej będzie miał z nim do czynienia. Jednak próba ulokowania chłopaka na miejscu obok kierowcy spełzała na niczym, bo zanim ten zdążył otworzyć przednie drzwi, Erla jednym warknięciem posłała go do tyłu. Biedny Gudlaugur raczej nie zapunktował przez to u szefowej, z powodu nieustannego trajkotania też zresztą nie, dlatego Huldar z całą pewnością był mu winien przysługę.

– Wiedzą, o której zmarł? – pytał Gudlaugur z pełnymi ustami.

– Wczoraj późnym wieczorem albo w nocy. – Erla sięgnęła po kolejny kawałek do pudełka umieszczonego między przednimi fotelami. – Dokładniejszy czas śmierci dostaniemy po sekcji zwłok. Chociaż Bóg raczy wiedzieć, jak oni ją przeprowadzą. Niemal całe jego ciało trzeba zbierać z tej podłogi łyżeczką.

– Żadnych odcisków?

– Żadnych. Są oczywiście na meblach, ale niczego nie znaleźli na pustych kanistrach ani na krześle, do którego przywiązano ofiarę. Metki też zostały usunięte, może więc morderca się bał, że pozwolą nam go namierzyć. To obiecujące. Ustalimy, skąd pochodził ten kwas. Nie ma chyba wielu punktów sprzedaży. – Erla spojrzała na pustą ulicę. Mieszkańcy sąsiednich domów

wreszcie zrezygnowali z prób ustalenia powodu, który sprowadził tu policję. – To byłoby zbyt wiele, liczyć na odciski. Dzisiaj nawet dziecko wie, co zrobić, żeby ich nie zostawić.

Krótką cisza skończyła się wraz z kolejnym pytaniem Gudlaugura.

– Czy to był błąd, że nie dostał policyjnej ochrony w szpitalu?

Erla odwróciła się i wsunęła głowę między fotele. Huldar nie widział jej twarzy, ale wątpił, czy miała łagodny wyraz.

– To niczego by nie zmieniło. Zapamiętaj to sobie, do jasnej cholery. Dość będziemy mieli krytyki z zewnątrz, żeby jeszcze wzajemnie się oskarżać. – Usiadła z powrotem twarzą do przodu. – Jeśli ktoś jest winien, to szpital. Skąd mieliśmy wiedzieć, że go zwolnili, skoro nikt nas o tym nie poinformował? W dodatku wypuścili go późnym wieczorem. Dopóki leżał na oddziale, nic mu nie groziło.

– Hm – mruknął Huldar, który dotychczas niewiele się odzywał, ale teraz uznał, że biedny Gudlaugur nie może być bez przerwy chłopcem do bicia. – Czy szpital nadal twierdzi, że odebrał go ktoś z firmy?

– Pielęgniarka dyżurna jest tego pewna. Ale dyrektor firmy księgowej, który według niej telefonował do szpitala, kategorycznie zaprzecza, by miał wysłać po Kolbeinna samochód. Czyli chyba zadzwonił morderca, podając się za niego. Nazwisko prezesa firmy nie jest żadną tajemnicą, przy czym Kolbeinn nie rozmawiał z nim osobiście. Cała ta sprawa to jeden wielki burdel.

– Znaleźliśmy jakiegokolwiek powiązanie z Jónssonem? – Huldar spojrzał na brzeg pizzy, który trzymał w dłoni. Nie pamiętał, kiedy zjadł prawie cały kawałek. Po pierwszym ogarnęła go senność i bardzo się musiał starać, żeby nie zamknąć oczu.

– Nie, jeszcze nie. Przeszukanie domu niczego nie ujawniło, a żona twierdzi, że nic nie wie. Nie znaleźliśmy śladów dziecięcej pornografii w jego komputerze, chyba więc nie poznali się przez siatkę pedofilską. Ale coś musiało ich wiązać. Widziałeś jego twarz, gdy wspomniałeś o Jónie Jónssonie. Skurwiel nie mógł się lepiej wystawić. Może powinniśmy zrobić zdjęcie jego zwłok i pokazać Thorvaldurowi, który tak samo się upiera. To mogłoby rozwiązać mu język. – Erla wysączyła ostatnie krople coli i zmięła w dłoni puszkę. – Kto wie, czy ten argument nie przekonałby też innych, którzy nie chcą z nami rozmawiać. Boże, z chęcią bym to zrobiła.

– Wylaliby cię. – Huldar był tak śpiący, że ledwie mówił, ale mimo to

postanowił zdławić ten pomysł w zarodku. Istniał cień szansy, że Erla mówi poważnie.

– Pieprzysz. Wymień mi choć jednego policjanta, którego wylali za takie zagrania. – Gdy Huldar nie odpowiedział, dodała: – No właśnie.

– A co z Thorvaldurem? Czy ktoś go pilnuje? – Gudlaugur się wtrącił, pochylając się po kolejny kawałek pizzy.

– Nie. Ten głupi kutas nie przyjął naszej oferty. Przysięga, że nie ma z tym nic wspólnego, a jeśli się uprzemy przy swoim, wtedy dojdzie do wniosku, że mu nie wierzymy. To mogłoby schrzanić nasze relacje z prokuraturą.

– Mimo wszystko kogoś bym posłał. Niemal na pewno chodzi o zemstę, a przecież niekoniecznie trzeba czymś sobie zasłużyć, żeby ludzie chcieli się odegrać. Zwłaszcza na kimś, kto pracuje jako prokurator.

– Kto cię pytał o zdanie? – warknęła Erla. Gudlaugur nie tylko miał czelność kwestionować jej umiejętności dowódcze, ale też wepchał się nieproszony do jej samochodu. – Rozmawialiśmy z prokuraturą i chcą to tak zostawić. Jeśli zajdzie obawa zaangażowania z ich strony, być może wszyscy zostaną zmuszeni, żeby się wyłączyć ze sprawy z powodu konfliktu interesów. W takim wypadku konieczne jest wyznaczenie innych prokuratorów, a oni i bez tego ledwie się mieszczą w budżecie. To samo dotyczy nas. Nie mamy funduszy, żeby zapewniać tej nadętej cipie całodobową ochronę. Poza tym jego inicjałów nie było w liście.

Gudlaugur wycofał się na tył, Erla zaś odwróciła się do Huldara.

– Wyraźnie dałam im do zrozumienia, żeby na jutro dostarczyli nam wszystkie akta tego wcześniejszego procesu. Nawet gdyby cała prokuratura miała ich szukać przez całą noc. Te pieprzone nieroby z sądu Reykjanes twierdzą, że żadnych akt nie znaleźli, więc nie ma sensu na nich naciskać. Mam nadzieję, że przynajmniej ci w prokuraturze ruszą dupę.

Mimo tych optymistycznych zapewnień Huldar nie wierzył, że jakiegokolwiek akta trafią do nich w weekend. Przed wtorkiem albo środą nie mają co się spodziewać choćby papierka. Wtedy jednak może już być za późno, żeby uratować kolejną ofiarę.

– Co z adwokatem Jónssona? Może już nie mieć akt, ale na pewno będzie pamiętał tamtą sprawę. Może znać tożsamość dziecka lub dzieci, o które wtedy chodziło. A kto wie, czy nam nie powie, gdzie szukać Jónssona. A jeśli adwokat nie będzie chciał z nami rozmawiać, możemy spróbować z sędzią. Wezmę się za to, jeśli chcesz. Nie przeszkadza mi, że będę im się

naprzykrzał w niedzielę. Z pewnością nie będą w kościele. – Tak długą wypowiedzią Huldar wyczerpał ostatnie zapasy energii i zaczął ziewać.

– Jeśli ktokolwiek będzie jutro słuchał słowa Bożego, to obstawiałabym sędziego – odrzekła Erla. – Ale żeby się z nim skontaktować, potrzebowałbyś zdolności parapsychologicznych. Zapytałam o niego przy okazji rozmowy z tymi pojebami w sądzie rejonowym. Facet odszedł wiele lat temu, gdy awansował do Sądu Najwyższego, a teraz wacha kwiatki od spodu.

Huldar zamierzał rzucić jakąś uwagę na ten temat, ale zapomniał, o co mu chodziło. Zapadł się w fotel, szybko mrugając powiekami, potem tylko poczuł, jak brzeg pizzy wysuwa się z jego dłoni, i przegrał walkę ze snem.

Nie słyszał więc, jak Erla wyrzuciła Gudlaugura z samochodu.

Rozdział 30

Spośród tych, którym kazano pracować w niedzielę, Huldar przybył ostatni. Musiał nadrobić stracony sen. Jego organizm skrupulatnie odliczał liczbę przesypianych godzin i w razie deficytu stawiał bezlitosne żądania. Budzik w telefonie okazał się bezradny wobec tego wyliczenia, gdy zadzwonił o ustawionej godzinie długo przed wschodem słońca. Wyłączając go po omacku, Huldar stracił telefon za szafkę nocną, a potem odkrył pęknięcie wzdłuż całej długości wyświetlacza. Gdy w końcu się obudził, był wypoczęty, a wyrzuty sumienia już go tak nie męczyły. Wziął gorący prysznic, ogolił się i nawet się poczuł prawie jak człowiek.

Jego dobry nastrój nie trwał długo. Najpierw uznał, że koledzy nazywają go Śpiącą Królową, ponieważ zasnął. Dopiero po godzinie pracy przy biurku uświadomił sobie, że chodziło im o drzemkę, którą uciął sobie wczoraj w samochodzie Erli. Obudził się sam: Gudlaugur i Erla wrócili do pracy razem z resztą zespołu. Gdy siedział, rozcierając zeszywniały kark, niejasno pamiętał, że próbowała go obudzić i przypuszczalnie pogładziła go po włosach i policzku. Co za szczęście, że jednak się nie ocknął!

– Huldar, Śpiąca Królowo! – Z kubkiem kawy w ręku kolega kpiąco szczyrzył zęby w jego stronę znad sąsiedniego biurka. – Erla chodzi dzisiaj wściekła jak osa. Czyżby ktoś nie wykonał swoich obowiązków zeszłej nocy? Spać się chciało? – Jego pytaniom towarzyszył chichot pozostałych. Huldar nie odpowiedział, ale czuł, że jego cierpliwość słabnie z minuty na minutę. Następnemu, który sobie pozwoli na tego typu komentarz, powie kilka słów do słuchu. Worek treningowy nie jest jedynym sposobem na wyładowanie frustracji.

Decyzja Erli, żeby pozwolić mu spać w jej samochodzie, podczas gdy pozostali musieli wracać do pracy w nieznośnym smrodzie, uniemożliwiła Huldarowi udawanie, że do niczego między nimi nie doszło. Nikt nie miał wątpliwości, że gdyby któremuś z nich zdarzyło się zasnąć przy biurku, prędzej wylałaby kubek kawy na jego głowę, niż uciszała pozostałych, żeby

mu nie przeszkadzali.

– Co się tak gapisz? – Huldar rzucił wściekłe spojrzenie znad monitora, zaraz jednak sobie przypomniał, że jest Gudlaugurovi winien przysługę, i dodał przyjaźniejszym tonem: – Przepraszam. Muszę wykonać telefon, który nie zapowiada się przyjemnie.

– Współczuję. – Gudlaugur uśmiechnął się z zakłopotaniem. – Chciałem tylko ci powiedzieć, że chyba wiem, jak zmarł sędzia, ten Yngvi Sigurhjärtarson. To tylko domysł, ale jestem prawie pewien.

– Dawaj. – Huldar z ulgą przyjął wymówkę, żeby nie sięgnąć jeszcze po słuchawkę. Rozmowa z Erlą nie była jedyną, której się obawiał. Wczorajsze zmęczenie sprawiło, że nie widział problemu w zakłóceniu adwokatowi niedzielного spokoju, gdy jednak teraz musiał to zrobić, nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Nie był w nastroju, żeby wysłuchiwać protekcjonalnych albo obraźliwych wywodów na temat bezczelnej praktyki dzwonienia do ludzi poza godzinami pracy. Ale ponieważ dokumenty z prokuratury jeszcze nie nadeszły, nie było alternatywy.

– W nekrologu podają, że zmarł nagle. Sąd Najwyższy opublikował krótki komunikat prasowy, który nie podaje przyczyny śmierci, za to obszernie informuje o jego wykształceniu i karierze. Przejrzałem nekrologi. Są ich całe tony. Nie ma ani jednej wzmianki o tym, jak umarł. Prześlizgują się po temacie albo tylko wspominają o przedwczesnym odejściu. No i właśnie tak samo było, gdy jeden z moich kolegów popełnił samobójstwo. Nikt nie chciał ranić jego rodziców, wprost pisząc o tym, że odebrał sobie życie. – Gudlaugur wziął oddech. – Więc uważam, że popełnił samobójstwo. Oczywiście wiem, że to się raczej nie wiąże ze sprawą, ale z drugiej strony jest trochę dziwne.

– Kiedy to się stało? – Huldar zbyt mało wiedział o nekrologach, żeby ocenić, czy konkluzja Gudlaugura jest słuszna, a co dopiero czy się wiąże ze sprawą.

– Bardzo niedawno. Zaledwie dwa miesiące temu.

A więc niewiele brakowało, a mogliby porozmawiać z tym człowiekiem. Podejrzenie niewiele. Czy sędzia wiedział, że nadchodzi burza, dlatego postanowił ze sobą skończyć? Dziwny zbieg okoliczności, jeśli nie coś więcej.

– Był żonaty?

– Tak.

– Świetnie. Zadzwoń do wdowy i zapytaj ją, co się stało. Ustal, jak zmarł.

– Co? – Gudlaugur miał przerażoną minę.

– Dzwon. Dasz radę. Po prostu przypomnij sobie, jak rozmawiałeś z rodzicami kolegi na pogrzebie. I starannie dobieraj słowa. Ta kobieta na pewno jeszcze rozpacza. Powiedz jej prawdę, że nazwisko męża pojawiło się w czasie śledztwa, choć oczywiście nie jest on podejrzewany o żadne przestępstwo.

Gudlaugur zbladł.

– Już dzwonię. Potrzebuję tylko chwili, żeby się nastawić. – Usiadł, znikając z widoku.

Huldar sięgnął po słuchawkę telefonu.

Adwokat odebrał po trzecim dzwonku i brzmiał, jakby wiele oczekiwał po tej rozmowie.

– Czekałem na ten telefon. Czy to znaczy, że został odnaleziony?

– Przepraszam, czekał pan na ten telefon?

– Tak. Przecież policja wystawiła list gończy za Jónssonem. Spodziewam się, że jeśli zostanie złapany, to wskaże mnie jako obrońcę. Co nabroił tym razem?

Huldar załapał.

– Apelujemy o informacje na jego temat, ponieważ nikt go nie widział, odkąd wyszedł z więzienia. Ale zadzwoniłem do pana w innej sprawie.

– Już wyszedł? Boże, jak ten czas leci!

– Nie wiedział pan?

– Nie. Przypuszczałem, że uciekł, skoro go szukacie. Nie widziałem go od potwierdzenia wyroku w Sądzie Najwyższym.

– Słucham? – Huldar zaczął grzebać w notatkach leżących obok komputera. – Powiedziano mi, że utrzymywał pan z nim kontakt korespondencyjny. Zakładałem, że chodziło o sprawy zawodowe. Tak w każdym razie twierdzili w więzieniu.

– Ja? Nigdy do niego nie pisałem ani nie wysyłałem mu niczego. Musieli się pomylić.

Huldar uniósł brwi. Adwokat był nie tylko autentycznie zaskoczony, ale też wyraźnie pewny swego. Czyli prawdopodobnie listów nie wysyłał on.

– W takim razie musiałem coś źle zrozumieć. Ale nie w tej sprawie dzwonię. Chciałem zapytać o poprzednią rozprawę, gdy Jón Jónsson został uniewinniony przez Sąd Rejonowy dla Reykjanes. Mamy spore problemy

z dokopaniem się do informacji na temat tego procesu i pomyślałem, że zechce pan przekazać mi kilka szczegółów. Wiem, że jest niedziela, ale to naprawdę pilna sprawa.

– Rozumiem. Czy mogę wiedzieć dlaczego?

– Chodzi o dochodzenie, które prowadzimy w sprawie poważnego przestępstwa.

– Benedikt Toft.

– Tak. Był oskarżycielem w sprawie, o którą chodzi. Chcemy ustalić, czy to mogło mieć coś wspólnego z jego śmiercią.

– Czyli uważacie, że zamordował go Jón Jónsson?

– Możliwe. To jeden z wariantów, które rozważamy. Czy pamięta pan tamtą rozprawę? Zapewne nie ma pan już żadnych akt?

– Oczywiście, że mam te akta. Nigdy niczego nie wyrzucam. Może pan skopiować wszystko, co nie jest objęte tajemnicą adwokacką.

– Dziękuję, bylibyśmy bardzo wdzięczni, ale krótkie podsumowanie też wiele nam pomoże. Wiemy tylko tyle, że zarzut dotyczył seksualnego wykorzystania nieletnich.

– Rozumiem. To nie powinno sprawić mi problemu. Rozprawa się toczyła tak dziwacznie, że utkwiała mi w pamięci, choć upłynęło wiele lat. – Huldar usłyszał kroki po drugiej stronie linii, potem zamknęły się jakieś drzwi i zaskrzypiała skóra, jakby adwokat usiadł. Może nawet lekko szcęknięły kostki lodu. Wyobraził sobie, jak rozmówca sączy whisky. Byłoby dobrze, bo alkohol rozwiąże mu język. – Jónsson został oskarżony o molestowanie własnych dzieci. Nie pamiętam już ich imion. Sprawa wypłynęła, gdy w wieku sześciu lat dziewczynka poszła do szkoły i powiedziała o wszystkim nauczycielce. Już samo to było dość nietypowe. Dzieci miały opowiedzieć klasie, co robią ich rodzice, a ona nie zrozumiała pytania. Zanim nauczycielka zdążyła ją powstrzymać, dziewczynka wygłosiła opis czynów, który brzmiał jednoznacznie, oględnie mówiąc. Nauczycielka wzięła ją na bok i po wysłuchaniu całej historii była przekonana, że dziewczynka nie zmyśla, zabrała ją więc na policję.

– Nie został po tym żaden ślad.

– Co mnie nie zaskakuje. Nauczycielka musiała być twardą sztuką, sądząc po jej zeznaniach. Policja w Hafnarfjörður nie chciała jej wysłuchać, udała się więc do Reykjavíku. Wtedy sprawa w końcu ruszyła. Ale nauczycielka w nagrodę otrzymała od szkoły pismo, że została zwolniona. To przechodzi

ludzkie pojęcie!

Huldar znów sięgnął do papierów i przekładał je, dopóki nie znalazł kartki z podsumowaniem tamtego wyroku. Sprawdził datę i szybko policzył w pamięci.

– Czyli skoro sprawa została wszczęta, gdy dziewczynka miała sześć lat, to do sądu trafiła niespełna rok później, zgadza się? Niezwykle szybkie tempo.

– Owszem, wręcz bezprecedensowe. Ale tak właśnie się stało. W aktach był jeden wielki bałagan, komuś jednak zależało na czasie.

– I Jónsson został uniewinniony? Jak to możliwe przy tak jednoznacznym zeznaniu dziecka?

– O tak, zeznanie było absolutnie jednoznaczne, może mi pan wierzyć, ale brat dziewczynki się upierał, że ojciec nie tknął żadnego z nich. Oczywiście jego zeznanie podważyło połowę aktu oskarżenia, ale prokurator jakby tego nie zauważał. Nie zadał chłopcu ani jednego pytania. To był Benedikt Toft, jak pan wie. Miałem wrażenie, że niezbyt mu zależało, żeby wygrać tę sprawę. Nie wniesiono też potem apelacji. Musiałem ciągle się powściągać, żeby nie wykonywać prokuratorowskiej roboty za niego, tak wiele kwestii zlekceważył. Cały proces stawiał mnie w bardzo niekomfortowej sytuacji. Potem jednak matka potwierdziła zeznanie chłopca, przedstawiciel opieki społecznej z Hafnarfjörður wystawił rodzinie wręcz laurkę, a opinia psychologa dziecięcego powołanego przez miejscowe władze wskazywała, że dziewczynka prawdopodobnie konfabuluje. Nie minęło pół dnia przed sądem, a rozprawa się zakończyła. Nauczycielki nie było nawet na liście świadków, jej zeznanie nie zostało więc uwzględnione. Dwa tygodnie później ogłoszono wyrok. Rzecz jasna uniewinniający. Nie jestem szczególnie dumny z tego zwycięstwa i nie było dla mnie zaskoczeniem, gdy rok później Jónsson znów popełnił przestępstwo, oczywiście znacznie poważniejsze. Ale wie pan, w tamtych czasach rozprawy były zupełnie inne. – W słuchawce rozległy się wyraźne grzechotanie kostek lodu i delikatny odgłos przełykania.

– Domyśla się pan, o co chodziło?

– Mam pewne podejrzenia, a raczej przeczucia. Nie jestem pewien, czy powinienem się nimi podzielić.

– W tej chwili będziemy wdzięczni za każdą informację. Został zamordowany kolejny człowiek, Kolbeinn Ragnarsson, ale jest też trzecia ofiara, której na razie nie potrafimy zidentyfikować. Podejrzewamy, że na tym nie koniec.

– Powiedział pan Kolbeinn Ragnarsson?

– Tak. Znał go pan?

– Mógłbym przysiąc, że człowiek, który wtedy reprezentował opiekę społeczną w Hafnarfjörður, miał na imię Kolbeinn. Może pan powtórzyć nazwisko? Prokuratura nie zakwestionowała jego udziału w rozprawie, chociaż był nieuzasadniony. Mężczyzna pracował jako szef jakiegoś działu w ratuszu i nie miał kwalifikacji w zakresie opieki społecznej. Do takich nieprawidłowości dochodziło podczas tamtej rozprawy częściowej.

– A sędzia? Nie powinien zadać pytań, które ominęła prokuratura?

– Powinien, ale nie zadał. Yngvi Sigurhjartarson zachowywał się tak samo jak prokurator. To było wyjątkowo dziwne. Nie wiedziałem, co myśleć, gdy niedługo potem został przeniesiony do Sądu Najwyższego. Być może wiedział już wtedy o awansie i nie skupiał się na sądownictwie.

– Niedawno zmarł. Słyszał pan?

– Tak. Krążyły o tym plotki w sądzie.

– Plotki? Czego dotyczyły?

– Nie lubię przekazywać plotek. – Adwokat westchnął, aż w słuchawce Hul dara rozległy się trzaski. – Proszę to traktować z rezerwą, ale ludzie mówią, że to było samobójstwo.

A więc Gudlaugur miał rację.

– Jak odebrał sobie życie? – Zdarza się, że morderca pozoruje samobójstwo ofiary, a ten, którego szukali, nie miałby najmniejszych skrupułów, żeby coś takiego zrobić.

– Z tego co słyszałem, rzucił się do morza – adwokat zawahał się i dodał: – Ale jak mówiłem, to nie jest wiadomość z pewnego źródła.

– Rozumiem. – Hul dar chciał kończyć rozmowę, lecz przypomniał sobie, że jedno pytanie pozostało bez odpowiedzi. – Wspomniał pan o swoich podejrzeniach, dlaczego proces Jónssona zamienił się w taką farsę. Czego dotyczyły?

Adwokat zaśmiał się lodowato.

– Chyba będę musiał zgłosić konflikt interesów, jeśli aresztujecie Jónssona za te morderstwa. Jego ujęcie tylko by mnie ucieszyło. Nie chcę go więcej bronić. – Kostki lodu szczęknęły ponownie, gdy wypijał kolejny łyk. – Miałem wówczas wrażenie, że coś wspólnego ma z tym ojciec, a raczej ojczym Jónssona. W Hafnarfjörður był grubą rybą. Chyba nawet burmistrzem.

– Einar Adalbertsson był przewodniczącym rady miejskiej, nie burmistrzem, ale faktycznie miał wtedy wielkie wpływy jako prezes licznych stowarzyszeń, że o powiązaniach politycznych nie wspomnę.

– No właśnie. W tej sytuacji trudno się nie zastanawiać, kto stał za dziwną decyzją, żeby władze miasta reprezentował ten Kolbeinn. I co z psychologką? Co z jej bezstronnością? Oskarżenie dotyczyło pasierba człowieka, który był jej faktycznym pracodawcą.

– Ale przecież skoro Jónsson był pasierbem Adalbertssona, to Sigrún była poniekąd jego wnuczką. Co z nią? I jej bratem Thrösturem? – Huldar nie potrafił zrozumieć, jak dziadek mógł wybrać ratowanie pasierba, zamiast chronić wnuczkę przed molestowaniem.

– Dobrze pytanie. Adalbertsson siedział wtedy na sali sądowej, Dobrze pamiętam, ponieważ mu się przyglądałem, gdy dziewczynka składała zeznania, i zastanawiałem się, co on czuje. To chyba średnia przyjemność słyszeć, jak własna wnuczka szczegółowo opisuje niewyobrażalne rzeczy, do których się wobec niej posunął jego pasierb, a ojciec dziewczynki. Gdybym ja się znalazł na jego miejscu, to ani przez chwilę bym się nie wahał, po czyjej stronie stanąć.

– Ja też nie.

– Jeszcze jedno. Zauważyłem, że Adalbertsson dobrze się znał z sędzią. Z prokuratorem zresztą także. To kolejna nieprawidłowość.

– Czy w takiej sytuacji sędzia nie powinien się wyłączyć ze sprawy?

– Można by tak myśleć. Ale Jónsson był synem drugiej żony Adalbertssona, którego on nigdy formalnie nie adoptował, może więc sędzia tym się kierował. Oczywiście to nie jest wielka różnica, ale kto miał zwrócić na to uwagę? Ja nie mogłem, ponieważ działałbym sprzecznie z interesem mojego klienta. Prokurator z kolei znajdował się w tej samej sytuacji co sędzia, nie mógł więc wnosić żadnych zastrzeżeń. Matka dziewczynki i jej brat zarzekali się, że wszystko jest dobrze, podobnie jak wszyscy inni świadkowie, którzy zeznawali podczas rozprawy. Jako bodaj jedyna sprawiedliwości domagała się ta dziewczynka, ale była zbyt mała, żeby sobie zdawać sprawę, że coś się dzieje nie tak. Reszta jest historią. – Adwokat na chwilę zamilkł, po czym dokończył: – Tylko za nic nie rozumiem, dlaczego Jónsson miałby zabijać Kolbeinna albo Benedikta. Żaden z nich nie przejawiał najmniejszej ochoty, żeby go posłać za kratki. Wręcz odwrotnie. Dlatego sędzę, że szukacie niewłaściwego człowieka.

Pożegnali się, obydwoj w nastrojach znacznie bardziej ponurych, niż gdy się witali. Huldar zamknął oczy, żeby się lepiej skupić, i siedział tak, dopóki idioci przy sąsiednich biurkach nie zaczęli żartować, że znowu śpi. Potem się podniósł i poszedł prosto do gabinetu Erli – znów nie po to, żeby wyjaśnić swoje uczucia, ale żeby porozmawiać o najważniejszym: przebiegu dochodzenia.

– O czym rozmawialiście z Erlą? – Gudlaugur zdołał wytrzymać przez całe pięć minut po powrocie Huldara. Ale Huldar musiał mu oddać sprawiedliwość, że nie wykręcał sobie karku, zerkając przez szklaną ścianę gabinetu Erli, jak wszyscy jego koledzy. Co spodziewali się zobaczyć, trudno powiedzieć.

– Poinformowałem ją o przebiegu rozmowy, którą właśnie zakończyłem. I muszę ci powiedzieć, że to była zbyt ciekawa rozmowa.

– W jakim sensie?

– Najpierw mi powiedz, czego się dowiedziałeś od wdowy. Chyba że dzwoniłeś do mamy, kiedy nie było mnie przy biurku.

– Nie, oczywiście, że nie. – Gudlaugur poczerwieniał, doskonale wiedząc, że Huldar słyszał niejedną rozmowę telefoniczną między nim a jego matką. – Miałem rację. Popęłił samobójstwo.

– To już wiem. I co jeszcze?

– Jak się dowiedziałeś? I dlaczego musiałem do niej dzwonić?

– Adwokat mi powiedział, ale potrzebowałem jeszcze potwierdzenia. Oraz informacji, jak to zrobił.

– Rzucił się do morza.

– To też wiedziałem. I co jeszcze?

– Ciała nie odnaleziono. Tylko samochód na wyspie Gróttta i jego ubranie starannie złożone przy latarni morskiej z listem do żony w kieszeni płaszcza. Zegarek i biżuteria leżały na ubraniach.

– Biżuteria? Jaka biżuteria?

– Obrączka ślubna i pierścień masonski.

– Pierścień masonski?

– Tak. Był sędzią Sądu Najwyższego. Oni wszyscy są masonami. Tak przynajmniej twierdziła jego żona.

Huldar nie tracił czasu na tłumaczenie, że raczej nie dotyczy to kobiet, które są w składzie Sądu Najwyższego.

– Dzwoni tam jeszcze raz. Poinformuj, że już do niej jedziemy.

Gudlaugur był przerażony.

– Nie, proszę. Sam zadzwoń. To była naprawdę krępująca rozmowa.

– Rób, co mówię. Teraz idę po samochód i spotkamy się na dole. Obiecuję, że podczas wizyty możesz siedzieć cicho. Ja będę mówił.

– Ale...

– Łap się za telefon! Po drodze ci opowiem, czego dowiedziałem się od adwokata. I ruszaj się. Musimy obrócić tam i z powrotem, zanim się skończy dyżur w laboratorium kryminalistycznym.

Nie dając Gudlaugurovi szansy na dalsze protesty, Huldar wyszedł. Postanowił nie informować Erli. Nie chciał tracić czasu ani niepotrzebnie budzić jej nadziei. I bez tego sprawi jej wielkie rozczarowanie.

Niespełna godzinę później opuścili dom wdowy po Yngvim Sigurhjarsonie. Huldar niósł plastikową torebkę. Wizyta była przykra i trudna, gospodyni co rusz pocierała oczy, jakby miała wybuchnąć płaczem. W czasie gdy szukała czegoś, czego dotykał tylko Yngvi, obydwaj drżeli z niecierpliwości. Wreszcie w którejś z szuflad w ich dawnej sypialni natknęła się na jego tablet. Huldar sięgnął po niego dłonią w rękawiczce i umieścił znalezisko w plastikowej torebce. Na szczęście kobieta była zbyt oszołomiona, żeby powtórzyć pytanie, po co im odciski palców. Gdy wreszcie dostali to, czego chcieli, w pośpiechu niemal potykali się o siebie nawzajem, żeby ewakuować się stamtąd, zanim w głowie zaświta jej prawda.

Dzięki umiarkowanemu szacunkowi do ograniczenia prędkości Huldar zdążył wrócić, zanim technik kryminalistyczny skończył dyżur. Mężczyzna westchnął ciężko, gdy Huldar kazał mu zostawić płaszcz i przynieść zestaw do zdejmowania odcisków palców, ale posłuchał.

Porównał odciski na tablecie z odciskami pobranymi z dłoni znalezionych w ogrodzie Benedikta Tofta. Wynik pojawił się natychmiast i technik zapomniał o narzekaniu.

Wyszli z wydziału kryminalistyki w triumfalnym nastroju, zwłaszcza Huldar nie mógł się doczekać, kiedy dotrze do gabinetu Erli, żeby przekazać jej tę wiadomość. Znaleźli właściciela odciętych dłoni, a był nim ni mniej, ni więcej tylko sędzia Sądu Najwyższego Yngvi Sigurhjarson.

Teraz nikt się nie odważy nazywać go Śpiącą Królową.

Rozdział 31

Thorvaldur marzył. I to jak, na Boga! Na podłodze w tej choliernej norze stała woda. Z sufitu ciekło, a gołe ściany były lodowate i wilgotne, miejscami wręcz oślizgłe. Chociaż z zasady gardził ludźmi, którzy twierdzili, że cierpią na choroby wywołane zarodnikami pleśni, zaczynał się zastanawiać, czy może jednak coś w tym jest. Od pleśni w powietrzu najpierw rozboleło go gardło, po czym podrażnienie przesunęło się do płuc. Jeśli się nie weźmie w garść, fantazja zacznie mu podsuwać obrazy zielonych spór, przebijających się przez oskrzela, gdzie doprowadzą do chronicznej choroby, która zrujnuje mu przyszłość – jakby nie rysowała się dostatecznie czarno i bez tego. Naprawdę trudno byłoby wyobrazić sobie, jak miałyby wybrnąć z obecnego położenia bez szwanku.

Nie wolno mu tak myśleć.

Nie mógł też dopuszczać do tego, żeby jego oczy ciągle zerkwały w stronę bezkształtnej masy, która piętrzyła się w rogu pomieszczenia pod szmatławym starym kocem. Nie odważył się jeszcze pod niego zajrzeć, odrzucany potwornym smrodem. Cokolwiek się tam kryło, raczej nie mogło pomóc mu w ucieczce z tego miejsca. Betonowe ściany nie miały okien, a metalowe drzwi były zamknięte.

Nigdy nie miał zdolności manualnych, nigdy też nie wykonywał żadnej pracy fizycznej. Nie miał zielonego pojęcia, jakich narzędzi powinien użyć, żeby się stąd wydostać. Przychodził mu na myśl tylko pistolet, ale ten nie otworzyłby przecież drzwi. Choć pistoletem mógłby przynajmniej obezwładnić osobę, która go tutaj zamknęła.

Gdyby wczoraj miał samemu sobie odpowiedzieć, czy byłby zdolny zabić drugiego człowieka, odpowiedź brzmiałaby nie. Dzisiaj mierzyłby prosto w serce albo głowę. Z kamienną twarzą.

Ale nie miał pistoletu. Fantazjował. Nie dostanie szansy, żeby przestąpić nad martwym ciałem osoby, która go tu przetrzymywała; nie będzie też mógł wytrzeć butów o jej zwłoki, zanim wyjdzie przez otwarte drzwi.

Tylko w przybliżeniu potrafił określić, jak długo jest tu więziony. Z kieszeni zginął mu telefon, a z nadgarstka kosztowny zegarek. Gdy to odkrył, poczuł dziwną ulgę, choć nie trwała ona długo. Początkowo uznał, że został obrabowany. Potem jednak zaczął się zastanawiać. Znał swoich rodaków i wiedział, że islandzcy bandyci nie działają w ten sposób.

Byłoby miło się pocieszać myślą, że padł ofiarą typowego islandzkiego przestępstwa, nudnego i przeprowadzonego po amatorsku. Ale nie mógł dłużej się oddawać fantazjowaniu. Stało się coś zupełnie innego, coś znacznie gorszego. Mocniej ścisnął w dłoniach kosztowny na oko radiotelefon, który znalazł na względnie suchym fragmencie podłogi. Najpierw nie posiadał się ze szczęścia, ponieważ uznał, że ktoś go tutaj zgubił, ratując mu tym samym życie. Dopiero potem odkrył, że przełącznik wyboru pasma został usunięty. Kilka razy wzywał pomocy, ale na ustawionym kanale w odpowiedzi usłyszał tylko trzaski. Zatem radiotelefonu nie zostawiono tutaj przypadkiem. Zrozpaczony czekał na wiadomość od tajemniczego porywacza.

Kropla skapnęła z sufitu prosto na jego głowę, przez co zrobiło mu się jeszcze zimniej, jeśli to w ogóle było możliwe. Thorvaldur próbował się skupić na pozytywach. Przynajmniej nie umrze z pragnienia.

Wpatrywał się w koc przykrywający stertę w rogu, cokolwiek na niej leżało. Gdyby go wzięł, mógłby przynajmniej oprzeć się o ścianę, nie przemaczając ubrania. Może nawet się zdrzemnąć. Ale po przebudzeniu musiałby patrzeć na to, co odkrył, no i smród byłby pewnie dwa razy bardziej dotkliwy. Nie, lepiej zostawi koc tam, gdzie leży.

Jak mógł być taki głupi? Dlaczego nie zachował się ostrożniej po wyjściu z komendy policji? Powinien był wiedzieć, że z tym, kto go obserwuje, nie ma żartów. Jeśli podejrzenia Thorvaldura były słuszne, ten człowiek zabił już dwie, a może nawet trzy osoby. I Thorvaldur doskonale o tym wiedział, gdy wracał do swojego samochodu, gratulując sobie, że zdołał się oprzeć skomlaniu policjantów, którzy namawiali go, żeby wyznał im prawdę.

Niewiele potrafił sobie przypomnieć oprócz tego, że dostał w głowę. Pamiętał, że otworzył drzwi, ale potem kojarzył tylko epizody: leżał na tylnym siedzeniu, próbując nie zwymiotować we własnym samochodzie. Mętnie pamiętał, że go wyciągnięto na zewnątrz, później opierał się o kogoś, kto prowadził go po zwirowej ścieżce albo podjeździe. Wreszcie stał w tym pomieszczeniu, zwalczając zawroty głowy i mdłości. O dziwo, zdołał utrzymać się na nogach.

Żarówka pod sufitem zamigotała i Thorvaldur wyciągnął szyję, żeby na nią spojrzeć. Nie mógł znieść myśli, że w każdej chwili żarówka mogła się przepalić, zostawiając go w kompletnej ciemności. Z tym czymś w rogu.

Radiotelefon zatrzeszczał i Thorvaldur podskoczył. Trzymał go przy uchu, żeby niczego nie przegapić, teraz jednak opuścił rękę, gdy głośnik ryknął.

– Thorvaldurze, jak się masz?

Głośność urządzenia była odpowiednia, tego samego nie dało się jednak powiedzieć o jakości dźwięku. Głos był chropawy i niewyraźny, w dodatku jego rozmówca starał się go zmienić. Thorvaldur uznał to za dobry znak: gdyby sprawca planował go zabić, jakie znaczenie miałyby fakt, czy Thorvaldur rozpozna potem jego głos?

– Kim jesteś? Czego chcesz? – Zdał sobie sprawę, że zapomniał włączyć przycisk, i powtórzył pytania. – Kim jesteś? Dlaczego to robisz?

– Nie martw się, niedługo będziesz wiedział.

– Kim jesteś?

– Zamknij się. Jeszcze jedno pytanie, a się rozłączę. Zrozumiano? – Zakładając, że będzie dalsza część, Thorvaldur czekał. Głośnik zatrzeszczał ponownie. – Odpowiadaj, gdy pytam, ty śmieciu!

Thorvaldur włączył przycisk.

– Tak, zrozumiałem.

– Bez „zrozumiałem”. Odpowiadaj albo „tak”, albo „nie”. Żadnych „ale”. Dotarło?

– Tak. – Thorvaldur w ostatniej chwili się powstrzymał, żeby nie dodać „dotarło”.

– Zamierzam złożyć ci propozycję. Chcesz ją usłyszeć?

– Tak. – Zmęczenie zniknęło. Zamiast niego Thorvaldur poczuł wściekłość i frustrację, że został zmuszony do komunikowania się w tak prymitywny sposób.

– Możesz się spodziewać gości. Zamierzam ci wynagrodzić tak niespodziewanie skrócony weekend z dziećmi.

Chłód w pomieszczeniu jakby się nasilił. Palce Thorvaldura były tak zdrętwiałe, że ledwie wdusiły przełącznik. To nie mogło się dziać naprawdę.

– Nie. – Musiał zagryźć wargi, żeby nie dodać czegoś więcej.

– Przynajmniej tyle mogę zrobić.

– Nie! – Ze wszystkich sił starał się zawrzeć w tym jednym słowie prosty komunikat: dzieci nie wolno w to mieszać. Boże, nie! Ale nie zdołał wyrazić

go jednym słowem. Słyszał, jak odbija się ono echem w jego głowie i brzmi tak, jakby odrzucał najzwyczajszą propozycję wypicia filiżanki kawy.

– Ale to nie będzie zwyczajne spotkanie rodzinne. Zamierzam zaprosić jeszcze jednego gościa.

Thorvaldur nie wiedział, co ma odpowiedzieć, ale wybrał „tak”, żeby nie nadużywać „nie”: oba słowa będą więcej znaczyć, jeśli nie użyje ich za każdym razem.

– Tak.

– Powinieneś go znać.

– Tak.

– Co ma znaczyć to „tak”? Wiesz, kogo zaproszę? – Złość sprawiła, że przez chwilę jego rozmówca zapomniał zmieniać głos. Thorvaldur zdał sobie sprawę, że to jest kobieta. Kobieta o niskim głosie albo mężczyzna mówiący jak kobieta.

– Nie.

– Tak myślę. Twoim gościem będzie nie kto inny jak Jón Jónsson. Będziecie się świetnie bawić. Cieszysz się?

– Nie.

– No cóż. Teraz przejdziemy do mojej propozycji. Słuchaj uważnie.

Słowa odbijały się echem od pustych ścian, chropawe i brzęczące, a każde kłuło jego uszy jak nóż. Gdy głos w końcu zamilkł, Thorvaldur stracił panowanie nad sobą, przydusił przycisk i wrzasnął na całe gardło:

– Nic z tego, ty głupia cipo! Nawet przez sekundę nie myśl, że się z tego wywiniesz! – Przerwał, żeby złapać oddech, po czym dodał już spokojniej, powstrzymując się od krzyku z obawy, że ten zniekształci jego słowa: – Zabiję cię. Jak tylko stąd wyjdę. – Zwolnił przycisk i czekał.

Przez długą chwilę nie słyszał żadnego dźwięku. Ani trzasków, ani szumów, ani mowy. Potem głos wrócił, rzucając słowa tak samo spokojnie jak on swoją ostatnią zapowiedź.

– Złamałeś zasady, dlatego musimy się pożegnać. Ale zrób dla mnie jedno. Zajrzyj pod koc. Wtedy zobaczysz, że to nie przelewki. No i trochę się ogarnij. Spodziewasz się gości, pamiętasz?

Radiotelefon zamilkł i już nic się nie wydarzyło, chociaż Thorvaldur naciskał wszystko po kolei i wył jak potępieniec, zarówno do mikrofonu, jak i do betonowego sufitu. Gdy w końcu przestał, był wyczerpany.

Spojrzał na stertę w rogu pomieszczenia. Musi zajrzeć pod ten koc. Opór

był bezcelowy. Lepiej mieć to już za sobą.

Zesztywniały z zimna i zmęczenia podszedł do tej dziwnej sterty. Był zmuszony zatkać nos, gdy się pochylał, żeby chwycić wełniany koc. Ostrożnie podniósł jeden róg tylko tyle, żeby sprawdzić, co się pod nim kryje. Potworny widok, który się ukazał jego oczom, potwierdzał jego najgorsze obawy, ale nie ujawniał wszystkiego. Musiał zobaczyć więcej, podniósł więc koc wyżej. Widok przyprawił go o mdłości.

Telefon zapiszczał. Æsa zastanawiała się, czy powinna go zignorować i dalej oglądać z dziećmi nudną kreskówkę, czy sprawdzić, od kogo to wiadomość. Podniosła się. I tak musiała już dać im coś do jedzenia. Odkąd wróciły do niej, były ciche i apatyczne, zbyt zestresowane, żeby mieć apetyt, zbyt wstrząśnięte, żeby dojść do ładu z własnymi myślami. Żaden z przeczytanych przez nią podręczników dla rodziców nie zawierał rad, jak postępować z dziećmi, które się natknęły na dwie odcięte piłą stopy.

– Oglądajcie dalej. Ja zrobię coś do jedzenia. – Ani jedno, ani drugie jej nie usłyszało. Karlotta i Dadi wpatrywali się w ekran telewizora zmęczonymi, czerwonymi od płaczu oczami. Ponieważ najwyraźniej nie mieli ochoty na jedzenie, Æsa sprawdziła telefon. Wiadomość przysłał Thorvaldur i mimo złości postanowiła ją przeczytać: *Pozwól mi zabrać dzieci na obiad. Jestem im to winien, no i w restauracji mogą się trochę rozweselić. Proszę. Jeśli chcesz, też możesz dołączyć.*

Przeczytała wiadomość ponownie, zerkając przelotnie na małe głowy, ledwie widoczne nad oparciem kanapy. Mimo niechęci do wychodzenia gdziekolwiek z Thorvaldurem zdawała sobie sprawę, że to nie jest taki zły pomysł. Karlotta i Dadi będą szczęśliwi, że na chwilę wyjdą z domu, pod warunkiem że nie do ogrodu. Minie dużo czasu, zanim dadzą się namówić do zabawy na powietrzu. Niewątpliwie też powinni jak najszybciej się spotkać z ojcem. Jeśli nie zobaczą go przez dwa tygodnie, a tak przewidywał grafik, to mogą już na zawsze kojarzyć go z odciętymi stopami. Poza tym Thorvaldur będzie jej winien przysługę, co znaczyło, że może wreszcie zdoła go zmusić do wyjaśnienia, co się dzieje. Mimo wszystko jeden marny posiłek był tego warty.

– Chcielibyście pójść z tatą na późny lunch?

Karlotta i Dadi przyklęknęli, wyglądając znad oparcia kanapy. Ich miny trudno było odczytać.

– Gdzie?

– Nie wiem. Może pozwoli wam wybrać.

– Nie chcę iść do jego ogrodu. – Te słowa musiały Dadiemu wiele kosztować. Uwielbiał swojego ojca: w jego oczach Thorvaldur był wyjątkowy pod każdym względem i wszystko, co do niego należało, było najlepsze. Z ogrodem włącznie.

– Nie musisz tam iść. Oczywiście, że nie. Pójdziecie tylko coś zjeść.

– A pani policjantka? – Karlotta owijała wokół palca pukiel swoich włosów, co zwykle znaczyło, że jest niepewna. – Ona też idzie?

– Nie. Dlaczego tak myślisz?

– Pani policjantka powiedziała, że tata musi iść na policję. Chcieli z nim rozmawiać, ale nie mogli z nim rozmawiać w domu. – Puściła włosy. – Może on poszedł do więzienia.

– Tata nie poszedł do więzienia, Karlotto. Zaprasza was do restauracji. Mnie też, jeśli chcecie, żebym poszła.

– Super! – Dadi uśmiechnął się promiennie, nagle zapominając o zmęczeniu. – Idziemy jeść z mamą i tatą!

Dopiero widząc jego reakcję, Æsa zrozumiała, że popełniła błąd. Teraz Dadi zacznie myśleć, że rodzice znów będą razem. Akurat wtedy, gdy wreszcie przestał pytać, czy mają taki zamiar. Trudno, już za późno. Dzieci szalały z podniecenia. Sięgnęła po telefon, żeby napisać Thorvaldurowi, że się godzi na jego propozycję. Ledwie skończyła, a jej telefon znowu zapiszczał. Tym razem wiadomość była krótka: *Przed budynkiem.*

Marszcząc brwi, Æsa zaczęła mieć wątpliwości. To było takie typowe dla Thorvaldura: od razu przyjechał pod dom, bo był pewien, że dostanie to, czego chce. Podeszła do okna. Faktycznie, jego samochód już czekał. Podjechał tyłem, przez kłęby spalin widziała więc tylko lśniący bagażnik.

– Tata już tu jest. – Opuściła zasłonkę. – Zakładajcie buty. Szybciutko!

Rozdział 32

Erla stała z rozsuniętymi nogami i jedną ręką na biodrze. Od tyłu wyglądała tak, jakby się szykowała do ataku albo przesłuchania wokalistów podczas naboru do chórków na Eurowizję. Thröstur siedział na kanapie przed nią, skuty na plecach. Jego matkę zabrano do komendy i teraz Erla z Huldarem czekali, aż samochód wróci po chłopaka.

Ekran telewizora wypełniała stojąca w bezruchu sylwetka uzbrojonego żołnierza. Przycisk pauzy zatrzymał go pośrodku piaszczystej alei z pistoletem automatycznym w ręku. Huldar przechodził przez tę samą aleję, gdy grał w to razem z kolegą. Call of Duty – Black Ops II. Jeszcze kilka kroków i wojownicza figura zostałaby zdjęta przez snajpera na jednym z dachów. Gamepad leżał na stoliku, gdzie Thröstur odłożył go, gdy weszli do domu. Obok stały posklejane figurynki, wyglądające tak samo żałośnie jak poprzednim razem. Trochę czasu minie, zanim Thröstur dokończy tę grę. Jak na swoje możliwości chłopak prezentował się wyjątkowo spokojnie i zwyczajnie. Bez czarnego makijażu wokół oczu i bez kolczyków wyglądał młodziej: jego naga twarz zdawała się niewinna, a chudość jeszcze bardziej ewidentna. Ale zdradzały go oczy: były ciemniejsze na bladym tle skóry i strzelały na boki w poszukiwaniu drogi ucieczki.

– Pytam jeszcze raz, gdzie jest twoja siostra? – Ton Erli nie pozostawiał wątpliwości, że kolejny raz nie zapyta.

– Mówię jeszcze raz: nie wiem. – Thröstur musiał zadrzeć głowę, żeby spojrzeć jej w oczy.

– Dobrze, rezygnuję. Sam tego chciałeś. – Odwróciła się do Huldara i gestem głowy wskazała na chłopaka. – Zabierz go na dół. Radiowóz powinien być w drodze. Dopilnuj, żeby nie spadł ze schodów.

Huldar chwycił Thröstura za ramię i poderwał go z kanapy. Chłopak był dziwnie ciężki. Widząc jego wychudzone ciało, Huldar spodziewał się, że da się go unieść jak dziecko.

– Idziemy. – Thröstur pozwolił się prowadzić, najwyraźniej pogodzony

z aresztowaniem. Gdy doszli do przedpokoju, młody człowiek nie protestował nawet, gdy Huldar narzucił mu na ramiona zniszczoną kurtkę, nie znalazłszy niczego cieplejszego. Może nie będą musieli długo czekać na radiowóz. Na wszelki wypadek Huldar wsunął chłopakowi na głowę wełnianą czapkę. Ta decyzja nie spotkała się z uznaniem Thröstura, ale mówi się trudno.

– Wiesz, że będzie lepiej dla wszystkich, jeśli powiesz nam, gdzie jest twoja siostra. W końcu i tak ją znajdziemy. Jeśli trzeba, wystawimy za nią list gończy i wszyscy się dowiedzą, w co jest zamieszana. – Huldar wypowiedział te słowa do pleców Thröstura, idąc za nim po schodach i ani na chwilę go nie puszczając. – Ona nic nie zrobiła. Nie macie pojęcia, co wyprawiacie.

– To się okaże. Musimy z nią porozmawiać. Im szybciej, tym lepiej dla wszystkich.

Żaden z nich już się nie odezwał, dopóki nie wyszli z klatki. Radiowóz jeszcze nie dojechał.

– Palisz? – Huldar wyłowił z kieszeni kurtki paczkę papierosów. Gdy nie padła odpowiedź, dodał: – Jeśli palisz, to radzę ci przyjąć tego papierosa. Upłynie dużo czasu, zanim będziesz miał następną okazję. – Widząc, że chłopak się waha, wetknął mu do ust papierosa i podpalił. Thröstur zaciągnął się łapczywie i wypuścił dym. Huldar poszedł za jego przykładem. – Obawiam się, że jednak wpadłeś po szyję w gówno.

Thröstur zaciągnął się po raz kolejny, udając nonszalancję. Lekko drżał. Czy powodem było zimno, czy trudna sytuacja, w której się znalazł, trudno było stwierdzić.

– Pierdol się – mruknął.

Huldar uśmiechnął się i palił dalej.

– Jak myślisz, ile czasu twoja matka zdoła się opierać podczas przesłuchania, zanim się załamie i wszystko nam powie? – Obserwował pustą ulicę, na której światła bezcelowo zmieniały się z czerwonego na żółte, a potem na zielone. – Daję jej najwyżej piętnaście minut. Pięć minut na zajęcie miejsca i wysłuchanie pytań, które będą, powtarzane kilka razy coraz poważniejszym tonem. Przez kolejne dziesięć będzie płakać, a potem bingo: wystarczy jedno przejęzyczenie i nic jej już nie powstrzyma. Twoja siostra jest chyba trochę twardsza, jej daję więc może pół godziny. A potem też popłyną łzy. – Huldar zaciągnął się dymem i zaokrąglił wargi, wypuszczając

kółko. Boże, jakie to było przyjemne. – Wiele razy to widziałem, kolego. Nie próbuj się oszukiwać, że tym razem będzie inaczej.

– Pierdol się – wymamrotał znowu Thröstur, próbując nie wypuścić przy tym papierosa z ust.

Huldar się uśmiechnął. Thröstur mógł sobie przeklinać, ile tylko chciał. W tej chwili nic nie wyprowadziłoby go z równowagi. Sprawa była prawie rozwiązana, w dużej mierze dzięki niemu. Zamierzał się nacieszyć triumfem, który szybko przeminie. Będą kolejne dochodzenia i jego osiągnięcie popadnie w zapomnienie. W policji nikt nie może spoczywać na laurach. Odwrócił się do Thröstura.

– Tylko ci mówię, jak to wygląda. Od ciebie zależy, czy je przed tym ochronisz. Gdyby nie twój upór, już dawno opowiedziałyby nam całą tę paskudną historię.

Thröstur zaciągnął się, po czym dał sygnał, że chce coś powiedzieć. Huldar wyjął papierosa spomiędzy jego warg. Wiedział, że może usłyszeć kolejny stek przekleństw, ale to mu nie przeszkadzało.

– One nie mają z tym nic wspólnego. Absolutnie nic. Nie mieszaj ich do tego. Sadyzm odłóż na później, jak wrócisz do domu.

Huldar znów wsunął mu papierosa do ust. Musiał przyjąć do wiadomości, że próba się nie udała.

– W wynajętym samochodzie są ślady ziemi. Całkiem sporo, także na tylnych siedzeniach. Ewidentnie zostały złożone, żeby zrobić miejsce na jakiś duży przedmiot. Ciekawe, co to mogło być.

Thröstur odwrócił głowę, żeby ukryć przed Huldarem swoją reakcję.

– Pobrane próbki zostaną porównane z ziemią z grobowca i zakładam, że wyniki nie będą dla ciebie korzystne. Dlaczego, do cholery, nie zwróciliście samochodu? Zostałyby już wysprzątany, a my mielibyśmy trudniejsze życie. Tygodniowa promocja była aż tak kusząca?

Thröstur milczał.

– W ogóle kiepsko u was z planowaniem. Choćby ten list w kapsule. Nie mogę zrozumieć, po jaką cholere go tam wkładaliście. Gdyby nie twoja czarna lista, potrzebowalibyśmy znacznie więcej czasu, żeby rozpracować tę sprawę. To był bardzo kiepski ruch. No ale byłeś jeszcze wtedy dzieckiem, jak rozumiem.

– Jesteś kretynem. – Thröstur zaciągnął się papierosem i wypuścił dym w twarz Huldara. – Totalnym kretynem.

Nadjechał radiowóz i zaparkował przy krawężniku. Huldar wyjął papierosa z ust Thröstura, wrzucił go do najbliższej studzienki kanalizacyjnej i zaraz potem to samo zrobił z własnym. Zanim ruszyli, odwrócił się i uważnie obserwował twarz młodego człowieka, który przez okno gapił się na zniszczony blok. Nikt nie chciałby patrzeć, jak jego dom znika za tylną szybą policyjnego radiowozu.

– Jeszcze jedno. Na dachu budynku przy końcu tej alei jest snajper. Musisz go zdjąć, zanim pójdziesz dalej. Za furmanką jest dobre miejsce, żeby się złożyć do strzału. – Odwrócił się twarzą do frontu niemal pewien, że Thröstur nie będzie pamiętał tej rady, kiedy wróci już do domu i znów usiądzie do gry. Ponieważ wszystko wskazywało, że nie nastąpi to prędko.

– Jak można nie mieć komórki? W dzisiejszych czasach nawet trzyletnie dzieci mają własną! – Erla nie odpuszczała, chociaż sprawdzili wszystkich operatorów telefonii komórkowej w kraju. Tymczasem było wiele innych spraw, którym powinna poświęcić uwagę. Jeszcze nie wszystkie szczegóły spinały się w jedną całość. Huldar wolałby, żeby Erla już dała spokój. Nie mógł się doczekać, żeby zacząć maglowanie Thröstura, który czekał na nich w pokoju przesłuchań od ponad trzech kwadransów.

– Nie powinniśmy zejść na dół?

– Tak. – Odwróciła się. Na jej twarzy zobaczył ekscytację i okrucieństwo. Znał tę minę z polowania na gęsi: pojawiała się, gdy strzał dosięgnął ofiary. Erla nie triumfowała z powodu sytuacji Thröstura i Sigrún, po prostu była zadowolona, że dochodzenie zmierza ku końcowi. Tak samo reagował on i wszyscy koledzy na polowaniu: nie cieszyło ich samo zabijanie, uznawali je za zło konieczne, krótką chwilę zakończoną błyskiem. – Musimy dobrze to rozegrać. Wiesz, jaka jest stawka.

Huldar potwierdził skinieniem głowy. Przed gabinetem czaili się dwaj wyżsi oficerowie z grobowymi minami. Dowództwo było wstrząśnięte informacją, że wśród ofiar morderców jest nie tylko prokurator, ale też sędzia Sądu Najwyższego.

Zawodowy status ofiary był jednak obojętny Huldarowi, Erli i reszcie zespołu. Całą uwagę skupiali teraz na żyjących, Thorvaldurze Svavarssonie i jego dzieciach, które wciąż mogli uratować. Wszyscy dostępni ludzie przeczesywali teren stolicy i obszary na północ od niej, zwłaszcza wybrzeża Hvalfiordu oraz tereny wiejskie wokół Akranes i Borgarnes. Dotychczas

bezskutecznie, dlatego policjanci zaczęli się martwić, że nie zdążą na czas dotrzeć do uprowadzonych. Nie mogli tracić ani minuty na cokolwiek innego, co dotyczyło także kluczowej rozmowy Huldara z Erlą. Na razie relacja między nimi wróciła do normy. Komunikowali się krótko i na temat.

Erla napiła się wody i z hukiem odstawiła szklankę na stół konferencyjny.

– Nie wypuszczę Thröstura, dopóki nam nie powie, gdzie są te dzieci. Gotowa jestem stać nad nim całą noc, jeśli będzie trzeba.

– Postoję z tobą.

Opuścili gabinet, nie uszli jednak daleko, ponieważ oficerowie przywołali Erlę do siebie. Huldar czekał na nią niecierpliwie. Spojrzał na Æsę, matkę uprowadzonych dzieci, która siedziała ze spuszczoną głową, zmęczona płaczem. Zadzwoiła pod numer ratunkowy, gdy przywoził Thröstura do komendy. Z przerażenia odchodziła od zmysłów. Zgłosiła, że jej dzieci zostały porwane. Dyspozytor posłał po nią samochód policyjny, ponieważ została porzucona na poboczu drogi przy Hvalfiordzie, bez telefonu i torebki. Dzwoniła z pobliskiej farmy.

Gdy dotarła do komendy, zupełnie się rozsypała, na zmianę szlochając i wrzeszcząc na policjantów, żeby znaleźli jej dzieci. Miała liczne otarcia na jednym policzku i obu rękach, a z tyłu głowy ranę, z której sączyła się krew. Ale się nie skarżyła, chyba nawet nie zdawała sobie sprawy z odniesionych obrażeń.

Gdy w końcu zdołali ją uspokoić i wysłuchali, co ma do powiedzenia, w całej komendzie zapanował zamęt. Nagle zmieniły się priorytety i rozpoczęli walkę z czasem, żeby odnaleźć dwoje małych dzieci, zanim stanie się coś potwornego. Morderca już pokazał, że potrafi przekroczyć granice wyobraźni, naiwnością byłoby więc sądzić, że wiek dzieci zdoła go powstrzymać. Policja natychmiast spróbowała się skontaktować z ojcem porwanych dzieci, to się jednak nie udało, wywnioskowali więc, że Thorvaldur Svavarsson także został uprowadzony. Była żona prokuratora twierdziła, że sprawca dysponował jego samochodem i telefonem komórkowym.

Æsa została podstępnie zwabiona do samochodu byłego męża. Wsadziła dzieci na tylne siedzenie, ale została uderzona w głowę, zanim zdążyła zapiąć im pasy bezpieczeństwa. Gdy odzyskała świadomość, samochód pędził w ciemności. Jej dłonie oraz stopy były związane, a na głowie miała kominiarkę założoną tył na przód, więc prawie nic nie widziała. Kierowca

musiał zauważyć, że dochodzi do siebie, bo zatrzymał auto, wywlókł ją na drogę i odjechał. Nie potrafiła opisać napastnika, choć miała wrażenie, że z pojazdu wyrzuciła ją kobieta. Albo kobieta, albo mężczyzna z małymi dłońmi. Policja przyjęła założenie, że była to Sigrún. Co prawda dziewczyna nie miała prawa jazdy, ale nie dało się wykluczyć, że potrafi prowadzić samochód, a jej delikatność i nieśmiałość tylko maskowały prawdziwą osobowość.

Erla w końcu odeszła od swoich szefów, przewracając oczami. Ona i Huldar zeszli na dół bez słowa i z determinacją udali się do pomieszczenia, w którym czekał Thröstur. Erla z hukiem otworzyła drzwi, wpadła do środka i z głośnym piskiem wysunęła jedno z krzeseł naprzeciwko niego.

– Teraz powiesz nam wszystko. Nie masz wyboru. – Rzuciła na stół kserokopię listu, który chłopak napisał przed dziesięcioma laty. – Kto jest kim na tej twojej liście? Zaczniemy od tego. Komu jeszcze grozi niebezpieczeństwo?

Huldar usiadł obok niej i uważnie obserwował Thröstura. Chłopak był zmęczony, a wszelkie oznaki pewności siebie zniknęły. Miał zgarbione plecy i cienie pod oczami.

– Czy mogę się napić wody?

– Nie. – Wcześniej Erla zabroniła mu dawać cokolwiek do jedzenia i picia, a także kazała funkcjonariuszom na służbie pilnować, żeby nie spał. Nie wolno mu też było chodzić do toalety.

– Nie możecie odmawiać mi wody. Umieram z pragnienia.

– Nie dostaniesz nic do picia. Poskarż się do Amnesty, jeśli ci się to nie podoba. – To była podła sztuczka, ale konieczna w tych okolicznościach. Mieli w zanadru także inne, znacznie brutalniejsze metody, żeby go zachęcić do mówienia, i niewykluczone, że będą zmuszeni po nie sięgnąć. – Zanim przypomnisz sobie nazwiska, możesz nam powiedzieć, dokąd twoja siostra zabrała te dzieci. Jeśli to zrobisz, dostaniesz wodę. Jeśli nie, to nic z tego.

Thröstur podniósł głowę i spojrzał na Erlę. Jego zaskoczenie było oczywiste.

– Jakie dzieci?

– Dzieci Thorvaldura Svavarssona. Twoja siostra je porwała i gdzieś się z nimi przyczaiła.

– Już wam powiedziałem, że nie mam pojęcia, kim jest Thorvaldur

Svavarsson. To prawda, przysięgam. Sigrún ich nie porwała. Po prostu gdzieś poszła. Znika od czasu do czasu, gdy ma dołek, ale tylko na spacer albo coś podobnego. Przysięgam, że nie uciekła z żadnymi dziećmi.

– Nie urodziliśmy się wczoraj, Thrösturze. – Sięgając nad stołem, Erla silnie chwyciła go za podbródek. – Wiemy, że ci ludzie są powiązani z tobą i twoją siostrą. Wiemy, że skrzywdzili ciebie i ją, gdy byliście dziećmi. Postąpili źle, ale wasza chora zemsta to czyste szaleństwo. Nie jesteście lepsi od ludzi, którzy was skrzywdzili. – Rozluźniła uścisk tak gwałtownie, że głowa chłopaka podskoczyła. – Gdzie oni są?

– Przysięgam, nie wiem nic o żadnych dzieciach. Nie znam żadnego Thorvaldura. Nie ma go na liście.

– Czyżby? – Erla odchyliła się do tyłu. – W takim razie kim są ci ludzie? I czym, do cholery, jest ta lista? Wiemy, że wśród ofiar jest sędzia Yngvi Sigurhjartarson, ale na liście go nie ma. Thorvaldura też nie. Czy dodano ich później? Mamy się spodziewać kolejnych ofiar?

Thröstur wpatrywał się w kserokopię.

– Nie było mowy o porywaniu żadnych dzieci. To nie miało się stać.

Huldar wyciągnął rękę, wskazując na inicjały.

– Kim oni są? Jeśli nam teraz powiesz, zostaniesz potraktowany łagodniej. Ale jeśli tym dzieciom stanie się jakaś krzywda, twoje życie się skończy. Trafisz do więzienia napiętnowany na całe życie. Jak twój ojciec. – Huldar cofnął rękę. – Chcesz pójść w jego ślady? To maluchy. Nie możesz ich karać za to, co ci się stało. Jeśli masz choć strzęp honoru, to nam powiesz, gdzie one są.

– Mówiłem już sto razy. Nie wiem. Po prostu nie wiem.

– Powiedzmy, że to prawda. Ale wiesz, kto je porwał.

Nastąpiła cisza. Huldar i Erla wpatrywali się w czubek głowy Thröstura, on zaś wpatrywał się w inicjały. Potem się wyprostował.

– BT to Benedikt Toft. Studiował prawo z tym bydlakiem, moim tak zwanym dziadkiem. Zgodził się przyspieszyć śledztwo, żeby oskarżenie upadło. Zrobił przysługę dawnemu koledze, który nie mógł znieść, że ludzie będą go kojarzyć z pedofilem. K to Kolbeinn. Nie mogłem sobie przypomnieć jego nazwiska, kiedy to pisałem. Pracował w ratuszu Hafnarfjörður i dopilnował, żeby opieka społeczna wystawiła naszej rodzinie dobrą opinię. W zamian mój dziadek załatwił mu lepszą pracę w firmie rachunkowej, w której miał udziały. S to Sólveig. Psycholożka, która

zdradziła Sigrún. Zeznała w sądzie, że moja siostra ma wybujałą wyobraźnię, chociaż wiedziała, że pieprzy głupoty. Wcześniej zrobiła to samo ze mną. W nagrodę dostała tłusty kontrakt w ratuszu. Najbardziej mnie boli, że nie ona została sprzątnięta. Obrzydliwa suka. – Podniósł wzrok, nie zostawiając im żadnej wątpliwości, że naprawdę tak myśli. Po chwili dodał: – I to Yngvi.

– To imię pisze się przez y, nie przez i.

– Co z tego? To nie było dyktando. Ten worek gówna sprzedał mnie i siostrę za to, że dziadek powiedział komu trzeba, żeby poparł jego kandydaturę do Sądu Najwyższego. Dużo zyskał w odróżnieniu ode mnie i Sigrún. No i Vaki. Nie zapominajmy o niej.

– Nie, nie zapomnieliśmy. – Erla wskazała na kserokopię. – A PV?

– To Valdi. Policjant Valdi.

– Kim jest policjant Valdi?

– Gliniarz, którego poprosiłem o pomoc.

– Kiedy poprosiłeś go o pomoc? Mamy informację, że sprawa wyszła na jaw, gdy Sigrún opowiedziała o wszystkim w szkole.

– Wcześniej. Dużo wcześniej. Sigrún miała cztery lata, a ja osiem. – Thröstur znów spuścił wzrok. – Wtedy ta menda nasz ojciec zaczął się nią interesować. Ja mu się znudziłem. – Przerwał, wziął głęboki oddech, potem pociągnął nosem. Ani Erli, ani Huldarowi nawet nie przyszło do głowy, żeby go popędzać. Z trudem uświadamiali sobie całą potworność wydarzeń, o których nie mieli pojęcia, choć jeszcze przed chwilą byli przekonani, że prawie wszystko o nich wiedzą. – Postanowiłem iść na policję. Przecież policja aresztuje przestępców. To było w grudniu, dzień przed feriami świątecznymi. Poszedłem do komisariatu, cholernie przerażony, ale zdeterminowany, żeby ratować Sigrún. Policjant, z którym rozmawiałem, przedstawił się jako Valdi. Wziął mnie na stronę i wszystko mu powiedziałem. Po raz pierwszy w życiu rozmawiałem z kimś obcym o tym, co mi się stało. Wysłuchał mnie do końca i myślałem, że potem zabierze mnie do domu policyjnym radiowozem i aresztuje ojca. Ale tak się nie stało. Zapytał, czy jest ktoś, kto może mnie odebrać z komisariatu. Podałem nazwisko dziadka, ponieważ oczywiście nie chciałem, żeby przyszedł ktoś z rodziców. Przyjechał dziadek i porozmawiał z Valdim. Potem dziadek odwiózł mnie do domu, a po drodze mówił, że powinienem się ugryźć w język, zanim zacznę rozpowiadać kłamstwa o człowieku, który jest dla mnie dobrym ojcem. W domu powiedział ojcu o wszystkim. Dostałem takie

lanie jak nigdy przedtem. Valdi się nie odezwał, nie zaczęło się żadne dochodzenie. Dziadek powiedział mi później, że kupił milczenie tego gliniarza. On studiował prawo i dziadek obiecał mu załatwić dobrą pracę po studiach. Na pewno dotrzymał słowa, bo Valdi nie pisnął ani słowa. Ani na pierwszym procesie, ani na drugim. I tak się skończyła moja próba uratowania Sigrún.

– Nie rozmawiałeś z nikim innym? Nauczycielem, lekarzem, matką? Innym dorosłym? – Huldar starał się mówić neutralnym głosem. To nie był moment na okazywanie współczucia temu biedakowi, choć trudno było je powstrzymać.

Thröstur znów podniósł wzrok. Wściekłość i nienawiść wróciły.

– Miałem osiem lat. Byłem na tyle głupi, żeby wierzyć, że po sprawiedliwość trzeba się zwrócić do policji. Ale policja mnie zdradziła i potem nie miałem się do kogo udać. Do matki nie było sensu, bo ten brutalny bydlak trzymał ją pod butem i bała się mu postawić. Mówiłem jej, ale nie słuchała. Uciszała mnie tylko i zerkąła na boki, czy aby ojciec nie słyszy. Zrobiłem więc to, co uznałem za jedyne wyjście. Zabrałem Sigrún i uciekliśmy z domu.

– Przypuszczam, że daleko nie zaszliście.

– Dotarliśmy kawałek za fabrykę aluminium. Próbowałem się dostać do Keflavik. Tam chciałem wsiąść w samolot i uciec za granicę. Ale było bardzo zimno, wiało jak diabli i zaczął padać śnieg. Omal nie umarliśmy z zimna. Sigrún odmroziła palce, ponieważ nie miałem dość rozumu, żeby zabrać rękawiczki. Ktoś zauważył nas mimo gwałtownej śnieżycy i zostaliśmy uratowani. Ale za późno. Dwa palce Sigrún trzeba było amputować. Zabrali ją do szpitala, a po mnie przyjechał dziadek. W samochodzie złał mnie pasem tak bardzo, że z oka leciała mi krew. Ale potem nikt nie zapytał, co się stało. Posłali mnie do psychologa, tej suki Sólveig, i ona przez większość czasu usiłowała mi wmówić, że tylko to sobie wyobraziłem albo po prostu zmyślam. Że pochodzę z dobrej rodziny i powinienem się cieszyć. – Umilkł i zacisnął zęby. Potem już nie mówił, tylko wył z wściekłości. – Nienawidzę jej i bardzo żałuję, że nie była pierwsza. Żeby jej nie uszło na sucho.

– Nie ujdzie jej na sucho. – Huldar rozumiał teraz tę wściekłość i brutalność popełnionych morderstw. To nie usprawiedliwiało przestępstw popełnionych przez rodzeństwo, ale taka motywacja była lepsza od sadyzmu. – Masz na to moje słowo.

– Akurat. – Thröstur się wzdrygnął. – Już w to wierzę.

– Teraz przerwiemy na chwilę – powiedziała Erla, wstając z miejsca. – Niedługo wrócimy.

Zostawili Thröstura w pokoju przesłuchań. Huldar podejrzewał, że Erla zdrowo go ochrzani za składanie obietnic, których nie może dotrzymać. Ale nic takiego się nie stało.

– Policjant Valdi to musi być Thorvaldur – oznajmiła. – Gdy w jego ogrodzie znalazły się stopy, sprawdziłam go dokładnie. Trafił do prokuratury natychmiast po skończeniu prawa, co jest raczej niezwykle. Podczas studiów pracował dorywczo na policji, między innymi w Hafnarfjörður. To jest jego powiązanie z tą sprawą, nie praca w prokuraturze. – Zmarszczyła brwi. – Jednej rzeczy nie rozumiem. Thröstur brzmiał przekonująco, gdy przysięgał, że nie zna Thorvaldura Svavarssona. Na jego liście jest policjant Valdi, nie mógł więc brać udziału w porwaniu prokuratora. – Najwyraźniej nie oczekiwała komentarza, ponieważ kontynuowała z rozdrażnieniem: – Coś mi tu nie gra. Co my, kurwa, zrobimy, jeśli się okaże, że ten chłopak nie ma nic wspólnego ze sprawą? W dupie mam Thorvaldura Svavarssona, ale chcę znaleźć jego dzieci. Zdrowe i bezpieczne. – Na jej czole utworzyły się dwie głębokie bruzdy. Gdy zadzwonił telefon, zerknęła na numer i odebrała. Huldar słyszał męski głos i oschłe odpowiedzi Erli. Rozłączyła się.

– Znaleźli Sigrún.

– Gdzie?

– Policjanci, którzy obserwowali ich dom, zobaczyli ją przy klatce. Została aresztowana i wiozą ją tutaj. Twierdzi, że była w kinie. Najpierw poszła na długi spacer i wpadła do księgarni, a potem na film.

– Mówi prawdę?

– Trzeba to potwierdzić. Nie podoba mi się to. Ani trochę. – Zrobiła powolny wydech, po czym się wzięła w garść. – Przynies mu wodę, potem go przyciśniemy.

Huldar wykonał polecenie bez protestów. Znalazł największą szklanekę w kuchni i napełnił wodą. Gdy wrócił, Erla siedziała już naprzeciwko Thröstura. Zaczęła przesłuchanie, jak tylko Huldar stanął w drzwiach.

– Znamy już powód tych okrutnych morderstw, ale pozostaje pytanie, gdzie są dzieci Thorvaldura Svavarssona. Dzieci policjanta Valdiego.

– Przysięgam, że nie wiem. – Thröstur sięgnął po szklanekę z wodą, ale Huldar ją cofnął.

– Postaraj się lepiej. Kto je porwał? Sigrún?

– Nie. Ani Sigrún, ani ja. To nie jest lista ludzi, których ja chciałem zabić. A co dopiero ona.

– Więc co to jest, do cholery? – Erla chwyciła kserokopię listu i pomachała nią przed nosem Thröstura.

– To ludzie, których chcą zabić rodzice Vaki. – Thröstur spojrział na szklanke. – Czy teraz mogę się napić?

Huldar przysunął mu szklanke.

Rozdział 33

W pożyczonym od koleżanki aparacie starszego typu zabrakło pamięci. Freyja zapchała ją zdjęciami, które robiła córeczce brata w nadziei, że któreś w końcu się okaże dobre, ale Saga miała przedziwną zdolność odwracania głowy albo zamykania oczu akurat w chwili, gdy Freyja pstrykała fotkę. Jakby tego było mało, na jedynych zdjęciach, które nie były rozmazane, utrwaliła się wyraźnie jej popisowa nachmurzona mina.

Wcześniej Freyja zabrała Sagę nad jezioro pod pretekstem karmienia kaczek, choć prawdziwym celem było spotkanie z przystojnym samotnym ojcem. Akurat się nie pojawił, nie brakowało za to innych ojców taszczących wózki z dziećmi i torby chleba. Opasłe kaczki pływały po przeręblu, wciągając do dziobów niekończące się dostawy jedzenia. Nigdy im go nie zabraknie, dopóki w Islandii będą małe dzieci.

Przy kanapie, na której leżała Freyja, ciężko klapnęła Molly. Przed chwilą wróciły ze spaceru, a wcześniej Molly nażała się mięsa mielonego, które miało wystarczyć na dwa posiłki, ale Freyja poczuła się winna, że trzymała Molly samą przez cały weekend, i zapełniła psią miskę po brzegi.

Jak zwykle w niedzielny wieczór niewiele się działo. Jej znajomi wrzucali kolejne posty, jeden nudniejszy od drugiego: banalne cytaty o szczęściu i znaczeniu prawdziwych wartości albo zdjęcia własnej kolacji lub siebie samych w tak powyginanych pozycjach jogi, że musiały być oszukane.

Może jej zły nastrój brał się stąd, że nie ma dla kogo gotować oprócz Molly? Zatrzasnęła laptop i sięgnęła po telefon. Wciąż miała numer do samotnego ojca, ale pora nie była najlepsza. Zapewne tak jak ona leżał padnięty po całym weekendzie zabawiania małego dziecka. Lepiej poczekać.

W tym momencie telefon zadzwonił, pokazując na wyświetlaczu numer, którego nie kojarzyła. Czy to mógł być on?

- Halo? Czy to Freyja? Psycholog z Izby Dziecka? – Nie rozpoznała głosu.
- Tak, to ja. Z kim rozmawiam?
- Przepraszam. Mówi Orri. Dała mi pani wizytówkę przed komendą

policji.

– Ach tak, dobry wieczór. – Freyja usiadła. – Nie spodziewałam się, że pan skorzysta z mojej propozycji.

– A ja się nie spodziewałem, że do pani zadzwonię. – Słyszała jego oddech i już zaczynała podejrzewać, że zmienił zdanie, gdy znów się odezwał. – Wiem, że jest niedziela wieczór, ale znalazłem się w trudnej sytuacji i nie wiem, do kogo się zwrócić. Chodzi o chorobę psychiczną, po namyśle uznałem, że się z panią skontaktuję.

– To dobrze. Jest pan w złej kondycji? – W myślach zadawała sobie pytanie, kto z kolegów, którzy się zajmują dorosłymi, byłby skłonny przyjąć pilny przypadek w niedzielę wieczorem.

– Jestem w złej kondycji, to prawda, ale nie o mnie chodzi. Raczej o moją byłą żonę Dagmar. Obawiam się, że dzieje się coś naprawdę złego.

– Czy ona jest teraz z panem?

– Nie. Wielki Boże, nie.

– Gdzie więc może być?

– Nie wiem. – Orri się zawahał, jakby zaczynał wątpić, czy powinien był do niej zadzwonić. – Ale mam pewne podejrzenia.

– Zostawmy to na razie. Czy obawia się pan, że ona robi sobie coś złego?

– Czy mogę do pani przyjechać? – zapytał nieoczekiwanie.

Freyja rozejrzała się po pokoju, widząc zmalretowaną kanapę, psią sierść i bałagan, który planowała usunąć w weekend.

– Niestety to niemożliwe.

– Ach tak, rozumiem. Może więc proszę przyjechać do mnie... albo się spotkamy w innym miejscu? Czuję się niezręcznie, rozmawiając o tym przez telefon.

Freyja się zastanowiła. Co lepszego ma do roboty? Spędzić wieczór w mediach społecznościowych, nudząc się niemiłosiernie?

– Czy to nie może poczekać do jutra rana? Mógłby pan przyjść do Izby Dziecka, tam pomogłabym panu znaleźć psychologa, który się specjalizuje w pracy z dorosłymi. Jak pilna jest ta sprawa?

Orri zaśmiał się oschle, nieco sztucznie.

– Jeśli moje podejrzenia okażą się słuszne, to trudno sobie wyobrazić pilniejszą sprawę.

– Wygląda na to, że trzeba ją poddać przymusowemu leczeniu. Powinien pan raczej się skontaktować z oddziałem psychiatrycznym Szpitala

Narodowego. Ja niewiele pomogę w takiej sytuacji.

– Próbowałem. Nie chcą ze mną rozmawiać. Nie jestem najbliższą rodziną. No i chyba uznali, że to jakaś zemsta okołorozwodowa. Takie odniosłem wrażenie. Ale musi mi pani uwierzyć, że nie o to chodzi. Nic nas nie łączy od dziesięciu lat. – Urwał, po czym kontynuował bezbarwnym głosem, w którym zamiast wcześniejszego podniecenia pojawiły się nutki klęski: – Nie wiem, co zrobić.

– Dobrze, spotkam się z panem. – Freyja podała mu nazwę kawiarni w okolicy, która o tej porze nie była nigdy ani zbyt pełna, ani całkiem pusta. Początkowo nie chciała się z nim spotykać sama: jego prośba była dziwna i nie potrafiła ustalić, o co mu chodzi. Potem jednak przypomniała sobie, jak okrutnie los potraktował tę parę. Śmierć Vaki zniszczyła ich małżeństwo, a mimo to Orri najwyraźniej żywił resztki uczucia do byłej żony. – Rozumiem, że nadal zależy panu na byłej żonie. Nigdy nie wiadomo, może będę potrafiła jakoś pomóc.

Zaraz jednak się okazało, że psychologiczny instynkt ją zawiódł.

– Dagmar? Gównu mnie obchodzi. Martwię się o to, co może zrobić innym.

Freyja stała przed kawiarnią. Orri nadal siedział wewnątrz, wpatrując się nieprzytomnym wzrokiem w obrazy na ścianach. Ręka, którą trzymała telefon, trzęsła jej się z zimna i zdenerwowania. Orri mówił niemal bez przerwy, wypijając może z jeden łyk kawy. Jej filiżanka stała nietknięta na stole. Od czasu do czasu wtrącała słowo, poza tym jednak siedziała, słuchając pełnego emocji monologu. Podczas studiów czytała o ekstremalnych zachowaniach psychotycznych, do niedawna nigdy jednak nie przyszłoby jej na myśl, że sama się zetknie z takim przypadkiem, a nawet będzie poproszona o radę. Gdy skończył, potrzebowała chwili, żeby się nacieszyć spokojną zwyczajnością wnętrza kawiarni, stłumionymi rozmowami nielicznych o tej porze gości. Co ją podkusiło, żeby się zgodzić na to spotkanie, zamiast zostać w domu i przeglądać zdjęcia, na których dzieci jej znajomych kolorowały książki z obrazkami?

Orri nie wydawał się zaskoczony ani zaniepokojony jej milczeniem. Chyba też się ucieszył z chwili wytchnienia.

W końcu jednak Freyja wzięła się w garść, wstała z miejsca i oznajmiła, że zamierza powiadomić policję. Oni mogli potem zaalarmować oddział

psychiatryczny, ale nie to było teraz najważniejsze. Spodziewała się, że mężczyzna zareaguje nerwowo i przypomni jej o tajemnicy zawodowej, ale niczego takiego nie zrobił. Skinął tylko głową i powiedział, że zaczeka.

Upłynęło kilka dzwonek. Freyja zaczęła się obawiać, że Huldar nie odbierze – jak na ironię, ponieważ nie tylko nie chciała do niego telefonować, ale nie miała ochoty słyszeć jego głosu. Gdy w końcu odebrał, nie owijała w bawełnę.

– Musisz przysłać tu samochód policyjny. Jestem w kawiarni z ojcem Vaki. Właśnie mi opowiedział, w jakim stanie jest jego była żona i co jego zdaniem zamierza zrobić.

– Gdzie dokładnie jesteś? – Nie zapytał, co Dagmar zamierzała zrobić. Albo ufał Freyi bezgranicznie, albo już coś wiedział. Podejrzewała to drugie. Najważniejsze, że chciał przejąć ten koszmar z jej rąk. Zdążyła podać nazwę kawiarni, gdy jej przerwał. – Wiem, gdzie to jest. Już jadę. Nigdzie się stamtąd nie ruszaj i nie pozwól mu wyjść.

Freyja rozłączyła się i znów spojrzała w okno. Przez brudną szybę zobaczyła zmęczone oczy Orriego. Podniosła rękę i pomachała do niego jak kretynka. Potem spokojnie weszła do środka.

Chmura dymu papierosowego nadal wisiała w mroźnym powietrzu. Jeden z samochodów policyjnych zabrał Orriego do komendy. Tam miał powtórzyć swoją opowieść, składając oficjalne zeznanie. Co się z nim potem stanie, Freyja nie wiedziała i nie chciała wiedzieć. Wydawał się przekonany, że nic mu nie jest, ale nie mógł bardziej się mylić. Zresztą niech inni oceniają stan jego zdrowia. Może po prostu był najgorszym współnikiem w historii.

– Dziękuję, że zadzwoniłaś. Postąpiłaś właściwie. – Huldar przedłużył swoją przerwę na papierosa, najwyraźniej nie chcąc odejść. Zdaje się, że był w lepszej formie niż poprzednim razem, chyba też mniej sobie współczuł. Wydawał się wręcz optymistyczny. – Nigdy nie wiadomo, może dzięki temu odnajdziemy te dzieci w samą porę.

– Miejmy nadzieję.

Po rozmowie z Orrim Huldar znalazł czas, żeby ją poinformować, jak przebiega dochodzenie. Najpierw zakładała, że zrobił to z powodów zawodowych, on jednak zakończył swoją relację wyjaśnieniem, że właśnie dlatego się z nią nie skontaktował, żeby należycie przeprosić za swoje zachowanie. Posłała mu wtedy lodowate spojrzenie.

– Nie możesz posłać tam kogoś z Borgarnes? – pytała teraz.

– Już są w drodze. Jeśli znajdą kogoś na miejscu, dołączę do nich. Pytanie brzmi, czy byłabyś skłonna jechać ze mną. Dzieci na pewno będą potrzebowały pomocy psychologicznej. – Zaciągnął się papierosem, po czym dodał: – Taką przynajmniej mam nadzieję. O alternatywie wolę nie myśleć.

Freyja nie odpowiedziała od razu. Jedno- albo dwugodzinna jazda po ciemku z Huldarem nie bardzo jej się uśmiechała.

– Co się stanie z rodzicami Vaki?

– Trudno powiedzieć. Jeśli on mówi prawdę, może się wywinąć pouczeniem. Oczywiście powinien zgłosić sprawę dawno temu. Zapewne będzie przekonywał, że nawet nie przypuszczał, aby Dagmar mogła wprowadzić swój plan w życie, ale po wydarzeniach ostatnich dni nikogo tym nie przekona. Gdy nazwisko Benedikta Tofta trafiło do mediów, powinien się zorientować, że Dagmar zaczęła urzeczywistniać swoje fantazje o zemście. Gdyby wtedy się ujawnił, Thorvaldur i jego dzieci byłiby bezpieczni, choć pewnie nie udałoby się już uratować Kolbeinna.

Freyja skinęła głową. Wsunęła dłonie do rękawa kurtki. Mróz zaczynał szczypać w palce.

– Myślisz, że kłamie?

– Nie. Ale prawda ma wiele wersji. On widzi ją tak, ona może ją widzieć zupełnie inaczej. – Huldar ostatni raz się zaciągnął papierosem, po czym go zgasił. – Co powiedział w rozmowie z tobą? Relacja mogła się różnić od tej, którą przekazał mnie. Czasem małe różnice wiele znaczą. Żaden kłamca nie ma dopracowanych wszystkich szczegółów, gdy zaczyna zmyślać.

– To była długa opowieść. Nie jestem pewna, czy potrafię ją powtórzyć ze szczegółami. Ale pamiętam najważniejsze punkty.

– Opowiedz.

– Zaczął normalnie. Mówił o tym, jak wielkim ciosem była dla nich śmierć Vaki. Najpierw żałobę przeżywali tak samo, ale z upływem czasu stawało się oczywiste, że Dagmar, jak to się wyraził, chce tylko spoglądać w lusterko wsteczne, podczas gdy on woli patrzeć na drogę przed nimi. Ostatecznie się poróżnili, gdy Thröstur odwiedził ich już po skazaniu jego ojca. Wcześniej starli się z Thrösturem i Sigrún w sądzie, gdy dzieci zeznawały, ale Orri nie chciał powiedzieć, co właściwie się wtedy stało. Przyznał tylko, że zachowanie jego i Dagmar nie świadczyło o nich najlepiej. Wcześniej źle potraktowali rodzeństwo podczas pogrzebu Vaki. Wydawał się tym

zawstydzony i podkreślał, że nie byli wtedy sobą. Obwiniali Sigrún za zapoczątkowanie ciągu wydarzeń, które doprowadziły do śmierci ich córki.

– Mniej więcej to samo wyznał mnie. Może bez tych emocjonalnych bredni, ale reszta była podobna. Co powiedział o dziadku, Einarze Adalbertssonie?

Przez chwilę Freyja miała ochotę wepchnąć Huldarowi do gardła jego słowa o emocjonalnych bredniach, ale doszła do wniosku, że nie ma na to dość siły. Zresztą niczemu by to nie służyło. Miał prawo do takich opinii i mógł zgodnie z nimi żyć, jak przystało na prymitywne zwierzę, którym był.

– Powiedział, że Thröstur zastukał do ich drzwi prawie rok po morderstwie, już po spotkaniu w Sądzie Rejonowym dla Reykjanes. Przyszedł ich zapewnić, że to nie była wina Sigrún ani jego. Obydwoje próbowali powstrzymać ojca, ale dziadek zablokował te usiłowania. Thröstur twierdził, że poszedł na policję, gdy był młodszy, ale nikt nie chciał go słuchać. Z kolei Sigrún zwierzyła się swojej nauczycielce, co w końcu doprowadziło do postawienia zarzutów. Ale jego ojciec został uniewinniony, ponieważ wszyscy ich zawiedli. Thröstur opowiedział im, że tuż przed rozprawą jego dziadek Einar wziął go na stronę i najpierw się przechwalał, że ma wszystkich w kieszeni, od sędziów i prokuratorów po pracowników społecznych, a potem zagroził, że Thröstur gorzko pożałuje, jeśli nie przysięgnie przed sądem, że w domu wszystko jest dobrze. Powiedział nawet, że go zamorduje. Naturalnie Thröstur się podporządkował. Ale Sigrún nie, chociaż usłyszała ponoć to samo. Tyle tylko, że jej zeznania niewiele zmieniły.

– To mniej więcej się zgadza z tym, co zeznał Thröstur. Aresztowaliśmy go. Czy Orri wspomniał, że on i Dagmar odwiedzili Einara?

– Owszem. Wtedy zaczęłam powątpiewać w jego wersję wydarzeń. Powiedział, że nie uwierzyli Thrösturowi i zmusili chłopca, żeby poszedł z nimi do dziadka.

Freyja wzięła głęboki oddech, napełniając płuca lodowatym powietrzem.

– Najpierw Einar zaprzeczał wszystkiemu, jak można się było spodziewać, i nie chciał się przyznać, dopóki Dagmar nie pogroziła mu młotkiem, który przyniosła. Orri zapewniał, że młotek miał posłużyć do postraszenia starszego pana. Ale zamiast powiedzieć, że rozwali mu mieszkanie, Dagmar zaczęła grozić, że rozwali mu twarz. Einar był zbyt wystraszony, żeby kłamać. Nie wiem na pewno, ale podejrzewam, że Orri odegrał w tym jakąś

rolę, Thröstur mógłby nam powiedzieć więcej, kto straszył Einara i czym. W każdym razie stary przyznał się do wszystkiego. Ujawnił, kto brał udział w sfigowaniu procesu i jaką korzyść mu za to obiecał. Thröstur musiał tego wszystkiego wysłuchiwać.

– A śmierć Einara? Czy Orri wyjaśnił, jak do niej doszło?

– Tak, chociaż twierdził, że nie widział, co dokładnie się stało. Był tak rozwścieczony, gdy Einar się do wszystkiego przyznał, że musiał na chwilę wyjść na korytarz, żeby ochłonać. Potem usłyszał huk, a gdy wrócił, głowa starszego pana leżała we krwi na szklanym blacie niskiego stolika. Orri był prawie pewien, że Dagmar straciła panowanie nad sobą i zrobiła użytek z młotka, ona jednak przysięgała, że Einar upadł i uderzył głową w blat. Oczywiście to bzdura, tak jak jego zapewnienia, że jej wtedy uwierzył. W każdym razie twierdził, że działali w panice, włożyli plastikową torbę na głowę starca, zaciągnęli go do łazienki, tam zaś odsłoniли głowę i uderzyli nią o krawędź wanny. To go wykończyło. Potem rozlali krew z torby wokół wanny i wyczyścili szklany stolik. Na koniec wcisnęli szczoteczkę do zębów w martwą dłoń Einara i wyszli. Biedny Thröstur był świadkiem tego wszystkiego. Ponoć Dagmar mu zagroziła, że go zabije, jeśli komukolwiek piśnie choć słowo. Ale obiecali też chłopcu nagrodę: jeśli będzie milczał, to Dagmar zabije wszystkich ludzi, którzy zdradzili jego i Sigrún, oraz Vakę oczywiście, ale dopiero wtedy, gdy jego ojciec wyjdzie z więzienia. Dagmar zamierzała czekać tak długo, ponieważ była zdecydowana zabić także Jóna Jónssona, a to znaczyło, że działania odwetowe trzeba wstrzymać, dopóki on nie wyjdzie z więzienia.

Huldar zapiął kurtkę pod szyję.

– Nie chciałybyś dokończyć opowiadać w samochodzie? Możesz usiąść z przodu. – Uśmiechnął się. – Zamarznę na śmierć.

W odróżnieniu od jej starego grata samochód Huldara miał sprawne ogrzewanie, i choć przez pierwsze sekundy nadmuch był zimny, to niósł obietnicę tak pożądanego ciepła.

– Kontynuuj, proszę. – Huldar zatarł dłonie, po czym w nie chuchnął. – Czekam na wiadomość z Borgarnes.

– Dokąd doszłam?

– Dagmar zamordowała Einara Adalbertssona i groziła Thrösturowi.

– No tak. Orri mówił, że od tego czasu Dagmar była opętana żądzą zemsty. Najpierw próbował się nie przejmować. Pomyślał, że to nic poważnego, tylko

etap, przez który przechodziła. Ale czas mijał, a w jej życiu nie było już miejsca na cokolwiek innego i ostatecznie ich małżeństwo się załamało. Zaczekał do werdyktu Sądu Najwyższego, mając nadzieję, że Dagmar poczuje się lepiej, gdy Jónsson zostanie skazany, ale to było dla niej za mało. Zaczęła planować, jak zabije wszystkich ludzi, którzy wcześniej pomogli uniewinnić Jónssona. W jej oczach wszyscy oni byli tak samo winni. Orri miał się z tym niby nie zgadzać. Ale według niego miarka się przebrała, dopiero gdy zaczęła gromadzić narzędzia, kwas siarkowy oraz inne niepokojące przedmioty. Kupowała je z wieloletnim wyprzedzeniem, żeby nie dało się niczego namierzyć, gdy nadejdzie właściwa pora. Twierdzi, że od niej odszedł, gdy przyniosła do domu piłę łańcuchową.

– Potrafię to zrozumieć. – Huldar trzymał dłonie przy wylocie powietrza. – Gdyby moja żona przyniosła do domu piłę łańcuchową, już by mnie nie zobaczyła.

– Akurat. Możesz sobie pomarzyć. – Freyja nie zamierzała dyskutować o jego ewentualnej żonie. Chciała skończyć swoją relację i wrócić do domu. – Mówił, że potem przestał się z nią kontaktować, nie wiedział więc, czy obsesja narastała. Miał nadzieję, że rozwód był dla niej opamiętaniem, ale kilka miesięcy temu zadzwoniła do niego, żądając pomocy. Zamierzała wynająć dom na uboczu. Musiał mieć piwnicę bez okien. Ponoć groziła, że jeśli tego dla niej nie zrobi, to doniesie na policję, że brał udział w zabójstwie Einara Adalbertssona. Dał jej więc klucze do dużego budynku pod Borgarnes. Orri jest znanym pośrednikiem w obrocie nieruchomościami. Akurat miał w ofercie wiele budynków z portfela upadłych banków. Jeden z nich stał pusty i nie zanosiło się, żeby ktoś miał go kupić, Orri nie musiał więc się obawiać, że potencjalny klient poprosi o oględziny. Kolejną zaletą był olbrzymi teren wokół, co znaczyło brak domów w sąsiedztwie.

– Dzieciaki na pewno tam są. Muszą być. Ich matka została wyrzucona z samochodu w szczerym polu przy Hvalfiordzie. Domyślam się, że Dagmar wybrała dłuższą drogę wokół fiordu, żeby uniknąć kamer w tunelu. Nie mogła tamtędy jechać nigdzie indziej. – Huldar skierował na Freyję błagalne spojrzenie, jakby chciał ją prosić, żeby poparła jego teorię, tym samym zapewniając go, że wszystko będzie dobrze.

– Nie patrz na mnie. Wiem jeszcze mniej niż ty. Tylko to, co powiedział mi Orri, a nie jestem przekonana, czy można mu wierzyć w stu procentach.

– Co powiedział o morderstwach? Wiedział coś o nich?

– Twierdzi, że nie. Podobno był w szoku, widząc w gazetach nazwisko Benedikta Tofta, ale nie chciał wierzyć, że Dagmar była w nie zamieszana. Nie bardzo mnie to przekonuje, zwłaszcza że wiedział o pile łańcuchowej. Potem zamilkł i zdawał się czekać na moje pytania. Ale chciałam się go pozbyć, zadzwoniłam więc do ciebie. Oczywiście powinnam była zapytać, dlaczego nie alarmował wcześniej, ale nie zapytałam.

– Ja to zrobiłem.

– I co powiedział?

– Że nie mógł się dłużej oszukiwać, gdy prasa ujawniła nazwisko Kolbeinna oraz informację, że z obiema sprawami wiązą się obcięte kończyny. Gdy policja zaapelowała o informację na temat Thorvaldura i jego dzieci, nie mógł milczeć i zadzwonił do ciebie.

– Dlaczego ja? To ewidentnie sprawa dla policji. Dlaczego chciał w to wmieszać mnie?

– Wątpię, czy wtedy myślał logicznie. Może po prostu chciał zrzucić ciężar działania na kogoś innego. Ty zadzwoniłaś na policję, nie on. Może chciał w ten sposób złagodzić swoje poczucie winy wobec Dagmar? Przekonać się, że jej nie zdradził, że kierowała nim tylko troska o nią? Że szukał dla niej pomocy psychiatrycznej, choć zrobił to o dziesięć lat za późno?

– Mimo wszystko nie jesteś taki zły w tych „emocjonalnych bredniach”.

– Ha, ha.

– Mam jeszcze jedno pytanie, zanim pójdę. – Freyja przysunęła się do nawiewu ciepłego powietrza. – Czy mu uwierzyłeś?

Huldar wzruszył ramionami.

– I tak, i nie. A ty?

– Podobnie: tak i nie. W sumie doniósł trochę sam na siebie, przyznając się do udziału w zamordowaniu Einara Adalbertssona. Czy może za to liczyć na łagodniejsze traktowanie?

– Jeśli jego udział był taki, jak opisuje, to pewnie tak. Można mu zarzucić tylko udaremnienie prawidłowego funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości, a ponieważ tego rodzaju przestępstwo przedawnia się po dziesięciu latach, to prawdopodobnie się z tego wywinie. Założę się, że inaczej nadal siedziałby cicho.

Zadzwonił telefon i Huldar natychmiast odebrał. Odzywał się mało, jedynie słuchał rozmówcy. Wiadomość była krótka i Huldar się rozłączył.

- Policjant z Borgarnes, który pojechał na miejsce. – Wrzucił bieg.
 - Co powiedział?
 - Zaczął od „Cholera, nie jest dobrze. Jezu Chryste, Jezu Chryste”. Potem powiedział, że potrzebuje wsparcia jak najszybciej.
- Huldar dodał gazu, zanim Freyja zdążyła wysiąść z samochodu.
- Jechała więc do Borgarfjörður pomóc dwojgu przerażonych dzieci. Boże, żeby tylko było komu pomagać!

Rozdział 34

Nie miała wątpliwości, że dobrze skręcili. W śniegu na bocznej drodze widniały liczne ślady opon. Gdy podjechali bliżej, zauważyli światło i Huldar instynktownie przyśpieszył, wyrzucając żwir spod kół po obydwu stronach. Wziął z poślizgiem zakręt, po czym trochę zwolnił. Nie ze strachu, że straci kontrolę nad samochodem, ale ponieważ Freyja krzyknęła, kurczowo złapała uchwyt nad drzwiami i przeklinała go przez resztę drogi do budynku.

Teren oświetlały reflektory całej floty aut, uwidoczniając nawet najmniejsze niedoskonałości gołych, betonowych murów. Łatwo mogli sobie wyobrazić, jak wyglądałby ten budynek, gdyby został ukończony: byłby olbrzymi i arogancki w swojej prostocie. Takie letnie pałace wyrosły w całym kraju, gdy ludzie dali sobie wmówić, że są bogatsi niż w rzeczywistości, a teraz wiele z nich, tak jak ten, czekało na wykończenie, aż wrócą lepsze czasy. Huldar nigdy nie był bogaty, nie zastanawiał się więc, czyby się skusił na taki kąsek. Miał nadzieję, że nie.

Wszystkie okna zabito deskami, ale przez otwarte drzwi frontowe wydobywało się światło potężnych reflektorów. W środku musiało być tłoczno, mimo że ten tak zwany letni domek miał olbrzymie rozmiary. Obok furgonetki laboratorium kryminalistycznego Huldar zauważył samochody Erli i lekarza sądowego oraz dwa radiowozy z Reykjavíku. Ponadto na podjeździe stały dwie karetki pogotowia ratunkowego i dwa pojazdy policyjne z Borgarnes. Na tylnym siedzeniu radiowozów z Reykjavíku siedziały zgarbione sylwetki, po jednej w każdym. Jedna z nich wyglądała na kobietę. *Dagmar*, pomyślał Huldar. Drugim zatrzymanym był mężczyzna z potarganymi, krótkimi tłustymi włosami. Jón Jónsson czy Thorvaldur Svavarsson?

Huldar i Freyja wyskoczyli z auta. Okoliczne stoki odbiły echem trzask zamykanych drzwi, a pod stopami skrzypiał śnieg. Mróz był tu większy niż w mieście i oddechy zamieniały się w parę. W bezwietrznym powietrzu unosił się dziwny zapach. Huldar go rozpoznał. Niestety. Smród

rozkładających się zwłok. Obmacał kieszenie. Okazało się, że zapomniał zabrać krem mentolowy, który w takich sytuacjach rozsmarowywał pod swoim nosem.

– Może lepiej zaczekaj na zewnątrz. – Huldar zerknął na Freyję, ale ta tylko pokręciła głową. – W takim razie zakryj twarz swetrem. Zapach będzie bardzo przykry. – Przystanęła, żeby się zastosować do jego rady, po czym weszła z nim do środka i jej oczy szeroko się otworzyły.

Huldar odszukał Erlę. Rozmawiała z policjantem, którego nie rozpoznawał, zapewne funkcjonariuszem z Borgarnes. Stali na szczycie schodów do piwnicy, z której zdawał się dochodzić ten odór.

– Jak sytuacja?

Erla się odwróciła.

– Dobrze. Mimo wszystko. Mamy jedno zwłoki w potwornym stanie. Ale mogło być znacznie gorzej. – Patrząc w stronę wejścia, namierzyła Freyję. – Mam nadzieję, że ona przyjechała tutaj do dzieci, nie jako twój osobisty gość?

– Przyjechała do dzieci. Gdzie one są?

Erla znów spojrzała na Huldara. Pod jej nosem połyskiwał pasek kremu mentolowego.

– W karetce. Sugeruję więc, żeby zabrała dupę w troki i natychmiast tam poszła. Zanim zdąży sobie obrzygać te swoje fikuśne buciki.

Huldar wrócił do Freyi, która musiała usłyszeć każde słowo. Udawała, że się nie przejęła, ale jej oczy zwęziły się z wściekłości nad krawędzią swetra.

– Dzieci są w karetce. Powinnaś do nich pójść.

Wyszła bez słowa, a stukot obcasów odbijał się echem od betonowych ścian pomieszczenia.

– No dobrze. Zajrzymy na dół? – Nastrój Erli poprawił się, gdy tylko Freyja wyszła za próg. Może uspokoiło ją jego bezwarunkowe posłuszeństwo. – Ale ostrzegam cię, że nie jest to widok, który da się szybko zapomnieć. Może sobie podarujesz?

– Nie. – Kłamał, ale nie miał wyboru. Huldar naprawdę nie lubił oglądania zwłok. Sam zapach był dostatecznie nieprzyjemny, a co dopiero makabryczny widok na zawsze zapadający w pamięć. Wziął od Erli trochę kremu mentolowego i rozsmarował sobie pod nosem, ale to niewiele pomogło.

Erla schodziła pierwsza, z pozoru odporna na smród nasilający się

z każdym krokiem. Przebywała na miejscu dłużej niż on, może więc trochę się już przyzwyczaiła. Z drugiej strony była przecież twardsza od wielu facetów, nie tylko podczas oględzin miejsca zbrodni.

– Patolog już skończył. Poszedł z technikami po nosze i sprzęt potrzebny do wyniesienia zwłok. To powinno trochę polepszyć atmosferę. – Dotarła na dół schodów i bez wahania skierowała się prosto do otwartych metalowych drzwi, w stronę źródła światła.

Huldar poszedł za nią. Ze wszystkich sił starał się opróżnić swój umysł, w nadziei że zdoła obojętnie zbadać miejsce przestępstwa, nie zapamiętując tego, co zobaczy. Na próżno. Stał w progu, z przerażeniem patrząc na zwłoki, które kiedyś były sędzią Sądu Najwyższego Yngvim Sigurhjarsonem, o czym wnioskował po odciętych dłoniach i stopach.

– Przetrzytywali go tutaj, Dagmar i Orri. Wierz albo nie, ale sędzia spędził w tej piwnicy dwa miesiące po uprowadzeniu. Dagmar powiedziała, że nie musiała go długo namawiać, żeby napisał list pożegnalny. Wystarczyła obietnica, że jeśli to zrobi, to go nie zabiją. Ludzie uwierzą w największą bzdurę, gdy nie mają wyboru. Zostawiali mu jedzenie i wodę. Budynek stoi na takim odludziu, że nie mogli przyjeżdżać zbyt często, pod koniec jedzenie nie mogło więc być smaczne.

– Powiedziałaś „oni”? – upewnił się Huldar głosem stłumionym przez własny łokieć. Nie mógł nawet udawać, że potrafi dorównać Erli w takiej sytuacji.

Odwróciła głowę, ale nie skomentowała jego reakcji. Nie on pierwszy miał problem z przyzwyczajeniem się do zapachu rozkładających się zwłok.

– Ona twierdzi, że zaplanowali to wszystko wspólnie z mężem. Rozwód był częścią planu, żeby nikt nie pomyślał, że działają w zмовie. Wiem, że on temu zaprzecza, ale taka jest jej wersja. W końcu prawda wyjdzie na jaw.

– Miejmy nadzieję.

Nie było sensu tracić czasu na rozważanie szczegółów. Jutro zaczną się przesłuchania Dagmar i Orriego, które w końcu doprowadzą do ustalenia prawdy, a przynajmniej jakiejś jej wersji. W skomplikowanych przypadkach policja nigdy nie zna wszystkich faktów przed końcem dochodzenia. Niektóre ustalenia nie są ani dobre, ani złe, zależą od indywidualnej oceny.

Szara skóra na zwłokach przypominała marmur przykryty zakrwawionymi tkaninami. Kikuty były w okropnym stanie. Ramiona wyglądały gorzej niż nogi. Zanim mężczyzna zmarł, zdążyła się w nie wdać gangrena, podczas gdy

cięcia na nogach wyglądały w miarę czysto. Otwarte oczy przykrywała błona zasłaniająca ich kolor, a niebieskawe wargi zastygły w rozchyleniu, jakby wydobyło się spomiędzy nich westchnienie, zanim sędzia wyzionął ducha. Zapewne westchnienie ulgi.

Według lekarza i tak nie przeżyłby długo, nawet gdyby pozwolili mu zachować dłonie. Przy nadgarstku zrobił mu się paskudny ropień od ciasnych więzów. Zapewne się zranił, próbując je zerwać. Biedak nie miał nic innego do roboty. Lekarz mówi, że od ran szybko wdałaby się posocznica, gdyby oczywiście wcześniej nie doznał zatrzymania akcji serca. Bo nie był najlepszego zdrowia.

– Jakie masz dla mnie zadania? – Huldar modlił się w duchu, żeby nie kazała mu robić czegoś tu na dole. Jego wzrok padł na pozostawioną przy drzwiach małą spalinową piłę łańcuchową i niemal natychmiast wyobraził sobie warkot silnika i krzyk tego biedaka.

– Możesz przejąć przesłuchanie Thorvaldura? Pamiętasz, jaki był nieznośny za pierwszym razem? – Huldar skinął głową. – No to mu się odmieniło, przynajmniej na chwilę. Trzeba to wykorzystać, bo jeszcze wróci do formy.

Po drodze do wyjścia Huldar zauważył coś na drugim końcu pomieszczenia i przystanął. Obok leżącej na ziemi grudy przypominającej kolorem ludzką skórę stał żółty prostokąt, postawiony tam przez techników kryminalistycznych dla oznakowania dowodu rzeczowego.

– Co to jest?

– Och, to dłoń Thorvaldura. – Erla podeszła i przystanąła obok niego. – Odcięta piłą.

– Nie rozumiem, dlaczego nie mogą jej przyszyć. Niech przynajmniej spróbują. – Thorvaldur leżał na noszach w karetce. Aby Huldar mógł z nim porozmawiać, lekarz usiadł z przodu obok kierowcy, dając mu całe dziesięć minut. Mężczyzna na noszach w niczym nie przypominał eleganckiego, wyniosłego prokuratora, który siedział w policyjnym pokoju przesłuchań zaledwie wczoraj. Spod koca wystawał ten sam kosztowny garnitur, ale kołnierzyk koszuli był przekrzywiony i usmolony, zaś marynarka dobre czasy miała już za sobą. Włosy były mokre i potargane, a posiniałą twarz pokrywał brud. Lewa ręka leżała na kocu, owinięta białym bandażem i nienaturalnie krótka.

– Lekarz mówi, że krawędzie są zbyt poszarpane i minęło za dużo czasu. Kiedy to się stało?

– Nie wiem. Kilka godzin temu. – Chwycił kikut drugą dłonią. – Ale nie tak wiele. Nawet nie spróbują?

– Wiedzą, co robią. Przynajmniej nie była to prawa ręka.

– Jestem leworęczny.

– Ach tak. – Huldar odwrócił wzrok zawstydzony, że tego nie zauważył. – Mogło się skończyć gorzej. Niech pan się trzyma tej myśli.

Thorvaldur podniósł wzrok na twarz Huldara.

– Jak dzieci? Nic im nie jest? Karlotta...

– Mają dobrą opiekę. Są jeszcze małe. Wygrzebią się z tego.

– Tak pan myśli? Naprawdę?

– Tak myślę. – Oczywiście niewiele o tym wiedział, ale pozwalał sobie na nadzieję.

– Próbowałem. Dlatego odcięła mi rękę. To był dla mnie koniec. Nie mogłem znieść, że stracę jedno z nich. Powinienem się poddać od razu... powinienem...

– Co pan powinien?

Thorvaldur opuścił oczy, wbijając je znów w okaleczone ramię.

– Dostałem wybór. Żeby skończyć tak, jak ten mężczyzna pod kocem.

– Yngvi Sigurhjartarson, sędzia Sądu Najwyższego.

– Poważnie? Nie poznałem go. Ale to... to... to ciało nie było do niego podobne.

– Tak przypuszczam. – Huldar spróbował wyrzucić z pamięci obraz koszmarnie zniekształconej twarzy sędziego. – Proszę kontynuować... Otrzymał pan wybór. Mógł pan skończyć jak on albo co? Jaka była alternatywa?

– Poświęcić jedną moją rękę dla Karlotty, a drugą dla Dadiego. Miałem oddać obydwie ręce, żeby ocalić moje dzieci. Ale w końcu ocaliłem tylko jedno z nich.

– Usłyszał pan, że będą zabite?

– Nie. Miały być zgwałcone. Przez Jóna Jónssona. Powiedziała, że nie powinienem się martwić, bo już raz pokazałem, że mi to nie przeszkadza. Przywlekła go, żeby udowodnić, że mówi poważnie.

– Rozumiem. Czy miała na myśli przypadek Thröstura, który wiele lat temu poprosił pana o pomoc na posterunku policji w Hafnarfjörður?

– Tak. – Oczy Thorvaldura nagle zapełniły się łzami. – Ale to nie było tak. Nigdy nie stwierdziłem, że to mi nie przeszkadza. Po prostu nie miałem wyboru.

– Zawsze mamy wybór. O ile wiem, nie zrobił pan nic, żeby pomóc temu chłopcu, ponieważ otrzymał pan propozycję dobrej pracy od jego dziadka. Czy nie jest to prawda?

– To było znacznie bardziej skomplikowane. Jego dziadek powiedział, że dopilnuje, żebym został wyrzucony, jeśli przekażę sprawę dalej, a nie mogłem sobie pozwolić na coś takiego w moim CV. Poza tym on twierdził, że chłopiec jest patologicznym kłamcą i nie pierwszy raz gdzieś się zgłaszał z tym stekiem bzdur. Przecież to mogła być prawda. Skąd miałem wiedzieć, że ten człowiek sam jest kłamcą? Na koniec dodał, że jeśli będę cicho, to dostanę ciepłą posadkę w prokuraturze zaraz po skończeniu studiów. Ponieważ swoim milczeniem udowodnię, że można na mnie polegać. – Łza oderwała się od jego oka i spłynęła do ucha. – Dotrzymał obietnicy. To była moja wielka szansa. Nie miałem żadnych znajomości. Musiałbym się piąć po szczeblach kariery, tracić czas na samym dole w jakiejś marnej kancelarii. Nie mogłem odrzucić tej oferty. A on powiedział, że chłopiec jest kłamcą. Tak powiedział.

– Łgał. To chłopiec mówił prawdę. – Huldar nie mógł się zdobyć na współczucie dla tego człowieka, on sam miał go dla siebie aż za dużo. Łzy ciekły nadal. – Proszę mi powiedzieć o Karlotcie. Musimy dokładnie wiedzieć, co się stało, żeby zapewnić jej właściwą pomoc.

Thorvaldur pociągnął nosem.

– Najpierw nie wierzyłem, że ta kobieta naprawdę chce mi odciąć rękę. Piła wydawała mi się jakaś nierealna. Przeprosiłem za to, że zawiodłem Thröstura i pośrednio także jej córkę. Ciągłe powtarzałem, że przepraszam. Ale nie chciała słuchać, tylko nalegała, żebym wybrał, czy chcę, żeby Jón Jónsson zgwałcił moje dzieci, czy wolę oddać za nie rękę. Powiedziałem, że chcę ocalić Karlottę oraz Dadiego, i wyciągnąłem rękę. Dzieci odchodziły od zmysłów ze strachu, były przerażone i przez cały ten czas przytulały się do mnie. Przyklęknałem, żeby je objąć, a potem wyciągnąłem rękę przekonany, że ona stchórzy. Ale nie stchórzyła. Chwyciła moją dłoń, podniosła piłę i potem...

– Proszę mówić.

– Zemdlałem. Gdy odzyskałem przytomność, kikut był drętwy i miałem

wokół niego owinięte jakieś szmaty. Ona nadal stała nade mną. Karlotta i Dadi uciekli do rogu. Byli cali we krwi. Pamiętam, że bardzo mi się chciało pić. Ale nie dała mi wody. Kopnęła mnie w bok i kazała wybierać, bo ocaliłem jedno dziecko, a drugiego nie. I się poddałem. Nie mogłem już tego znieść. – Zamilkł, zamknął oczy i kontynuował: – Karlotta i Dadi zaczęli krzyżeć. Nie wiem, czy któreś z nich rozumiało, co się dzieje, ale wiedziały, że to ma coś wspólnego z nimi. Nie mogłem ich jednak uspokajać, bo ona powiedziała, że liczy do dziesięciu, a potem muszę wybrać, które z nich chcę poświęcić.

– I wybrał pan Karlottę?

– Nie potrafiłem myśleć. Byłem w szoku. Słyszałem tylko te liczby. Każda wydawała się niewyobrażalnie cenna, bo dopóki liczyła, nie musiałem wymienić imienia. Potem nagle dotarła do dziesięciu. I wykrzyknąłem „Karlotta”. Nie wiem dlaczego. Dopiero gdy wyprowadziła Karlottę gdzieś na zewnątrz, zacząłem się zastanawiać, jak bym postąpił, gdybym miał więcej czasu, żeby się zastanowić. Nadal nie wiem. Czy to gorsze dla dziewczynki czy dla chłopca? Czy lepiej być młodszym czy starszym? Czy wybrałem właściwie?

– Każdy wybór był tak samo zły. – Huldar zobaczył przerażoną minę lekarza, który się do niego odwrócił, stukając w tarczę swojego zegarka, żeby pokazać, że czas się prawie skończył. – Używa pan rodzaju żeńskiego. Czy widział pan twarz tej kobiety? Czy potrafiłby pan ją rozpoznać?

– Tak. – Znow zamknął oczy. – Nie sądzę, żeby zamierzała wypuścić stamtąd mnie i dzieci żywcem. Może więc mimo wszystko mieliśmy szczęście.

– Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. – Położył dłoń na ramieniu Thorvaldura. – Jeszcze jedno, zanim skończymy. Czy widział pan kogokolwiek oprócz niej? Na przykład jakiegoś mężczyznę?

– Widziałem Jóna Jónssona. Pokazała mi go. Ale nikogo innego.

Huldar ścisnął jego ramię na pożegnanie, potem się podniósł. Gdy wyszedł z karetki, Thorvaldur krzyknął za nim ochrypłym głosem:

– Co pan by zrobił? Które by pan wybrał? Karlottę czy Dadię?

Huldar się odwrócił.

– Nie mogę na to odpowiedzieć. Nie mam dzieci – odpowiedział i zamknął za sobą drzwi.

Freyja siedziała w drugiej karetkę z Karlottą w objęciach. Dziewczynka była owinięta w koc i skrywała twarz, przytulając się do piersi Freyi. Różowa skarpetka z mokrą i brudną podeszwą wystawała spod koca. Jej małym ciałem wstrząsało szlochanie. Młodszy brat dziewczynki leżał zwinięty w kłębek na noszach i prawdopodobnie spał. Huldar wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi.

– Co z nią?

Freyja pokręciła głową.

– Niedobrze. Wracam do miasta karetką z dziećmi. W Izbie Dziecka czekają lekarz i pielęgniarka. Wezwali też pielęgniarkę z centrum pomocy ofiarom przemocy seksualnej.

– Czyli ona...? – Huldar zawiesił głos i bezradnie machnął rękami, mając nadzieję, że zostanie zrozumiany.

Freyja wzruszyła ramionami i delikatnie odsłoniła Karlottę. Dziewczynka była naga od pasa w dół, nie licząc skarpetek.

– Nie wiadomo. Za chwilę jedziemy. Czekam tylko na lekarza.

Huldar skinął głową.

– Zadzwoń do ciebie, gdy wrócę, jeśli nie będzie za późno. Jeśli nie, odezwę się do ciebie jutro. – Sięgnął ręką do małej główki i delikatnie pogładził brudne, sztywne od potu włosy. – Powodzenia. Najgorsze już minęło.

Potem stał przez chwilę na podjeździe, nadymając policzki przy krótkich wydechach, którymi chciał złagodzić swoją wściekłość. Próbował odzyskać kontrolę nad sobą. Nadal to robił, gdy z budynku wyszedł drugi lekarz i dołączył do Freyi oraz dzieci.

Karetki ruszyły. Śledził ich tylne światła, dopóki nie zniknęły za wzgórzem.

– Idziesz? – zawołała Erla od drzwi budynku.

– Muszę zapalić. Zaraz do ciebie dołączę – odpowiedział niskim, głuchym ze zmęczenia głosem.

– Wszystko w porządku? – zatroskała się Erla. – Tylko nie rzygaj nigdzie w pobliżu domu.

– Nic mi nie jest. Zaraz przyjdę. – Huldar zmusił się do uśmiechu i Erla zniknęła w środku. Podpalił papierosa i wciągnął dym głęboko do płuc. Nikotyna ani trochę nie zmniejszyła morderczej złości. Nawet chyba ją nasiliła. Potem jednak poczuł, że ta furia rozjaśnia mu umysł, czyszcząc go

z tego wszystkiego, co przez trzydzieści lat wpajano mu na temat przyzwoitego zachowania, odróżniania dobra od zła. Czasem brutalny instynkt powinien wziąć górę.

Najlepiej nie czekać.

Wciąż z papierosem w ręku, podszedł do radiowozu, w którym przetrzymywany był Jón Jónsson. Przystanął przy tylnych drzwiach i głęboko się zaciągnął, obserwując go. Wyglądał jak na fotografiach. Może gębę miał bardziej zapuchniętą, ale tak samo wstrętną. Wyczuwając, że ktoś stoi przy samochodzie, Jón Jónsson odwrócił głowę i spojrzał Huldarowi w oczy. Usta miał głupawo otwarte, gdy się gapił na policjanta. Był pijany jak bela.

Huldar jeszcze raz mocno się zaciągnął, wydłużając znacznie rozżarzoną końcówkę papierosa. Potem otworzył drzwi auta. Uderzył go smród alkoholu, który tak dobrze znał. Tak można śmierdzieć tylko po wielu dniach ciężkiego picia. Jónsson kiwał się lekko, próbując zachować równowagę. Gdy Huldar splunął mu w twarz, nawet tego nie zauważył.

Huldar zaciągnął się po raz ostatni, a następnie zgasił papierosa w jego szklistym oku. Potem zatrzęsął drzwi i zapalił kolejnego. Za sobą usłyszał przeraźliwy okrzyk bólu.

Ruszył w stronę pojazdu, w którym siedziała Dagmar.

Rozdział 35

– Nadal podtrzymuje pan tę wersję? – Kobieta z wydziału spraw wewnętrznych spojrzała porozumiewawczo na swojego kolegę, po czym oboje odwrócili się do Huldara. Dobrze znał tę minę, widział ją wiele razy w lustrze, gdy wychodził do toalety w trakcie przesłuchania podejrzanego. Dziwnie było siedzieć po drugiej stronie stołu. Wiedział, co się dzieje w głowach ludzi, którzy go przesłuchiwali, rozpoznał spojrzenia, taktykę kryjącą się za powtarzaniem pytań oraz każdą zmianę intonacji. Bezbłędnie przewidywał, co będzie dalej, a oni wiedzieli, że to robi.

– Naprawdę pan sądzi, że to kupimy?

– Tak. – Huldar nie odwracał wzroku i bardzo uważał, żeby się nie wiercić na krześle ani nie uderzać palcami w stół. – Czy ktoś podaje inną wersję?

Twarz mężczyzny stężała. Zaciśnął wargi, a między jego oczami utworzyły się głębokie zmarszczki.

– Istnieją dwie wersje, jak pan zapewne się orientuje. Jedna jest rozpowszechniana przy automacie z kawą, drugą pańscy koledzy przedstawiają do protokołu. Tylko ich wersji, którą niefrasobliwie powtarza także pan, po prostu się nie da obronić. Nikt, choćby był pijakiem, zbrojcem czy jakkolwiek jeszcze określić Jóna Jónssona, nikt nie zgasiłby sobie papierosa we własnym oku.

– Ale on dokładnie to zrobił. – Huldar wzruszył ramionami. – Zdarzały się dziwniejsze rzeczy. Co on mówi? Że ja to zrobiłem? – Wiedział, że tak nie jest. Erla zdążyła mu to szepnąć, zanim został wezwany na przesłuchanie. Dodała, że wszyscy są gotowi wspierać jego wersję. Gdy przyszedł rano do pracy, kilku kolegów poklepało go po plecach.

– Nie pamięta. Był zbyt pijany. – Kobieta zaśmiała się sarkastycznie. – O czym zapewne dobrze pan wie.

Huldar znów zareagował wzruszeniem ramion. Nie widział potrzeby, żeby ich obrażać, zaprzeczając ich słowom.

– Skąd te zadrapania? – Kobieta wskazała na podbródek i dłonie Huldara.

– Upadłem na ziemię. – Zapomniał wspomnieć, że na ziemię powalił go

Gudlaugur, w ten sposób nie dopuszczając, żeby Huldar podszedł do Dagmar. Akurat wtedy Gudlaugur wysiadł z samochodu, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, widział napaść na Jónssona i zareagował z prędkością błyskawicy. – Poślizgnąłem się na zwirowanym podejździe na miejscu zbrodni. To nic poważnego, ale dziękuję za troskę.

– No proszę, zupełnie jak w filmie *Mr Wise Guy*. – Sięgnął po kartkę, którą sam położył na stole, ale dotychczas jej nie dotykał. – Może by tak pan powiedział nam prawdę? Dajemy słowo, że sprawa zostanie rozpatrzona uczciwie. Dobrze wiemy, że to dochodzenie było wyczerpujące dla wszystkich funkcjonariuszy, prawdopodobnie też zmiana statusu nie ułatwiła panu życia.

Prędzej czy później to musiało się stać: teraz będą udawać, że stoją po jego stronie i chcą dobrze. Wszystko zgodnie z zasadami prowadzenia przesłuchań. Jeśli się złapie na ich miłe słówka, to wyląduje w pudełku, czyli pokoju na samym końcu piwnicy, w którym funkcjonariusze zasługujący na zwolnienie spędzają dni na bezsensownej statystyce. Nikt nigdy nie wrócił z pudełka do normalnych zadań. Huldara poniosło.

– Mam gdzieś utratę tego stołka. Erla może sobie na nim siedzieć, jeśli o mnie chodzi. – Kiepsko wyszło. Wyprostował się i w myśli policzył do dziesięciu. Para naprzeciwko niego przybrała miny z cyklu „jak my ci współczujemy, biedactwo” i musiał się wstrzymać jeszcze przez kilka sekund. Potem, odzyskawszy panowanie nad sobą, dodał spokojniej: – Erla jest o wiele lepszym szefem wydziału niż ja. Zapewniam was, że nie jestem rozczarowany po zdjęciu mnie z tej funkcji. Ani trochę.

– Dobrze, w porządku. – Kobieta pochyliła się w stronę swojego kolegi i odczytała notkę, którą napisał. – Ponieważ wspomniał pan Erlę, jest jeszcze jedna kwestia, którą chcemy poruszyć.

– Tak? – Huldar poczuł ściskanie w żołądku. Przygotował się mentalnie na to przesłuchanie, ale nie oczekiwał żadnych niespodzianek.

– To delikatna kwestia i zrozumiemy, jeśli będzie pan wolał omówić ją z prawnikiem. Możemy umówić go dla pana na później. To samo zrobimy w sytuacji, jeśli poczuje się pan skrzepowany obecnością któregośkolwiek z nas podczas składania wyjaśnień. Niektórzy wolą omawiać takie rzeczy z kobietą, inni z mężczyzną.

– Słucham? – Huldar nie był pewien, czy dobrze usłyszał. – Chyba pani nie zrozumiałem.

Kobieta uniosła kartkę. Trzymała ją zbyt daleko, żeby Huldar mógł przeczytać drobny druk, ale nagłówek był czytelny: Napastowanie seksualne w miejscu pracy. Jego ściśnięty żołądek przekręcił się do góry nogami. To mogło znaczyć tylko jedno. Czy Erla naprawdę upadła tak nisko, żeby złożyć przeciwko niemu skargę? Czy zbyt długo odkładał rozmowę z nią na ten temat? – Co to jest?

– Nie zna pan treści? – Kobieta położyła kartkę na stole i przesunęła w jego stronę. – To obowiązkowa lektura. Zakładałam, że pan czytał.

Huldar nie dotknął kartki.

– Czytałem. Nie rozumiem tylko, co to ma wspólnego ze mną. – Zastanawiał się, czy powinien zgłosić chęć rozmowy z prawnikiem. Miałby przynajmniej chwilę, żeby odetchnąć.

– Och, myślę jednak, że pan rozumie. Co więcej, jesteśmy przekonani, że był to jeden z czynników, które się przyczyniły do sobotniego incydentu na miejscu zbrodni. Jeśli powie nam pan prawdę, będzie to wzięte pod uwagę podczas postępowania w pańskiej sprawie.

Przesłuchanie kontynuował mężczyzna.

– Każdemu trudno jest mówić o tych problemach. Rozumiemy to. Dlatego tak rzadko ludzie składają zawiadomienia. Jest pan jednym z nielicznych szczęśliwców, którego sprawę zgłosiła osoba trzecia.

– Że co? – Huldar zaczynał podejrzewać, że oboje są naćpani. – Ja? Szczęśliwcem? – Przynajmniej mógł się cieszyć, że to nie Erla go sprzedała. Ale określanie go mianem szczęśliwca nie miało sensu.

– Tak. Prawdopodobnie nigdy nie złożyłby pan skargi sam. Mężczyźni rzadko się decydują na ten krok.

Huldar oniemiał. Erla nie złożyła na niego skargi. Nie był nawet podejrzany. Występował jako ofiara molestowania! Tego nie mógłby się spodziewać. Kto, do diabła, mu to zrobił? I Erli? Niestety podejrzanych było wielu, cały wydział aż huczał od plotek po tamtej nocy, którą spędzili razem. Ten, kto złożył doniesienie, musiał się kierować zemstą. Na nim albo na Erli. A może ktoś mu zrobił kawał? Jeśli tak, to kompletnie nieśmieszny.

– Czy mogę zapytać, kto wam sprzedał te brednie?

– Pytać pan może, ale nam nie wolno odpowiedzieć. Może jednak być pan pewien, że to wiarygodne źródło. – Mężczyzna spojrział na niego ze współczuciem. – Nie ma się czego wstydzić. Wstydem okrył się tylko winowajca.

– Nie. Nie, nie, nie. Musiała zajść jakaś pomyłka. Ja nie byłem przez nią napastowany. Ani seksualnie, ani w żaden inny sposób. To jakieś totalne nieporozumienie. – Przerwał, żeby wziąć oddech. – Naprawdę.

– Czy zaprzecza pan, że okazywała panu zainteresowanie? A potem wykorzystała swoją pozycję jako pana przełożona, żeby nawiązać z panem relację o charakterze seksualnym?

– Tak zaprzeczam. To znaczy częściowo. Nie było tak, jak mówicie, i nalegam, żebyście przestali się zajmować tym raportem czy zarzutem, czy co to, do cholery, jest. – Huldar zbierał się do wyjścia. Były granice tego, co potrafił znieść.

Pierwszy raz od początku przesłuchania para po drugiej stronie stołu straciła trochę pewności siebie. Zaprzestali tej swojej życzliwej protekcjonalności.

– No cóż, zobaczymy. Niech się pan spokojnie namyśli i wrócimy do rozmowy. Doniesienie będzie badane bez względu na pańskie stanowisko, podobnie jak incydent z Jónem Jónssonem. Żadnej z tych spraw nie zamykamy.

Huldar wstał z krzesła. Nie mógł tu spędzić ani minuty dłużej.

– Muszę iść. Ludzie na mnie czekają. – Nie zamierzał ich informować, że umówił się z Erlą na wspólne przesłuchanie Dagmar. Ci dwoje mogliby odsunąć go od udziału w tej sprawie, dopóki postępowanie dyscyplinarne dotyczące Jónssona się nie zakończy. Wydział spraw wewnętrznych pracował w tak żółwym tempie, że mogliby je zakończyć długo po zamknięciu dochodzenia. Tylko dzięki Erli nie został przeniesiony. Bardzo mu zależało na osobistym wysłuchaniu wersji zdarzeń przekazanej przez Dagmar. I tak przeszły mu koło nosa wszystkie wczorajsze przesłuchania. Natychmiast po tym, co zrobił Jónssonowi, Erla odesłała go do miasta pod opieką Gudlaugura. Kazała mu też spędzić poniedziałek w domu, żeby ochłonał. O tym, co się wydarzyło, wiedział więc tylko z drugiej ręki.

– Zanim pan pójdzie...

Huldar zatrzymał się w drzwiach.

– Jeśli pozostaje pan w relacji o charakterze seksualnym z pańską przełożoną Erlą, musi pan tę relację natychmiast zakończyć. Inaczej ona straci pracę. Czy to jasne?

Huldar odwrócił się do nich plecami, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

– Jasne. – A więc za jednym zamachem pozbawili go też problemu, jak

zerwać prywatne kontakty z Erlą. W sumie więc to przesłuchanie mogło się zakończyć znacznie gorzej.

Huldar delikatnie zapukał do drzwi pokoju, w którym odbywało się przesłuchanie Dagmar. Otworzył je, przeprosił za spóźnienie i usiadł na krześle obok Erli. Naprzeciwko nich siedzieli Dagmar i jej adwokat, młody prawnik, którego wybrała losowo z otrzymanej listy.

Od jej aresztowania upłynęły ponad dwadzieścia cztery godziny. Po dramatycznych wydarzeniach tego weekendu w celach dla zatrzymanych brakowało miejsca, ponieważ Jón Jónsson, Orri, Thröstur oraz jego matka Agnes byli zamknięci osobno. Dwojga ostatnich nie było sensu dłużej trzymać. Agnes przyznała, że pomogła synowi wykopać trumnę i zawieźć ją na wysypisko. Thröstur przyznał się do tego samego oraz dodatkowo potwierdził, że jedenaście lat wcześniej pomagał w zatuszowaniu morderstwa Einara Adalbertssona, to ostatnie przestępstwo się jednak przedawniło. Poza tym Thröstur był w tym czasie dzieckiem. On i jego matka mieli więc stanąć przed sądem jedynie za zbezczeszczenie grobu i niezgodne z prawem traktowanie zwłok, za co groziła im kara grzywny lub kilku miesięcy więzienia. Sigrún, jak się okazało, nie miała nic wspólnego z żadnym incydentem. Jako jedyna w tej sprawie miała czyste sumienie. No i jeszcze dzieci Thorvaldura...

Thröstur jednak miał na sumieniu więcej niż tylko to. Utrudniał prawidłowe działanie wymiaru sprawiedliwości, celowo zatajając posiadane informacje. Ponieważ jednak w końcu zgodził się współpracować, dalsze zatrzymanie byłoby bezcelowe.

Z Orrim sprawa przedstawiała się inaczej. Nie potrafili mu udowodnić, że brał bezpośredni udział w morderstwach. Dagmar zeznała, że jej pomagał, a większość funkcjonariuszy uczestniczących w dochodzeniu była skłonna przyjąć jej wersję, choć doświadczony adwokat Orriego co chwila podkreślał, że jej zeznania są skutkiem urojeń psychicznych. Słowo Dagmar miało jednak ograniczoną wartość wobec braku konkretnych dowodów potwierdzających winę jej byłego męża, a żaden ze świadków nie zeznał niczego, co by tę winę potwierdzało. Orri miał więc szansę wykpić się symbolicznym wyrokiem, jeśli dowodów nie przybędzie. Nie dałoby się wykazać przed sądem, że wiedział o morderstwach, a co dopiero był ich współsprawcą, jak utrzymywała Dagmar. Jej skłonność do niekonsekwencji

w zeznaniach jeszcze osłabiała ich znaczenie dowodowe.

Adwokat Dagmar chciał, żeby przeszła badania psychiatryczne, ale ona kategorycznie odmówiła, grożąc mu, że zrezygnuje z jego usług. Badania takie mógł jeszcze zarządzić sędzia, nie licząc się z jej odmową, ale tu się zaczynały problemy formalne. Sędziowie mogli się wyłączać z rozprawy, nie chcąc sądzić zabójczyni jednego ze swoich kolegów. Dodatkowo miejscowi prokuratorzy nie mieli prawa wnieść oskarżenia ze względu na zawodowe powiązania z Benediktem i Thorvaldurem, przez co prokuratura musiała sprowadzić kogoś z zewnątrz. Thorvaldur przebywał na zwolnieniu lekarskim i chociaż nie było jeszcze wiadomo, ile potrwa leczenie, to wiele wskazywało na to, że po jego zakończeniu do pracy w prokuraturze już nie wróci. To samo dotyczyło psycholożki Sólveig, która została odesłana na płatny urlop na czas trwania dochodzenia, ale na powrót do zawodu miała mniej więcej takie same szanse jak Thorvaldur.

– Proszę, proszę, czy to nie jest pan palacz? – Dagmar wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Wyglądała teraz znacznie lepiej niż wtedy, gdy Huldar widział ją pierwszy raz. Była szczęśliwa i beztroska. Pozwolono jej się odświeżyć, miała starannie ułożoną fryzurę i makijaż, jakby oczekiwała fotografów. – Mój ulubiony gliniarz. – Widziała, co Huldar zrobił Jónowi Jónssonowi, dotychczas jednak tego nie przyznała. Nie miała pojęcia, że była następna na jego liście, ale nawet gdyby o tym wiedziała, prawdopodobnie nie zmieniłaby nastawienia. Jóna Jónssona nienawidziła najbardziej na świecie, a nic tak ludzi nie jednoczy jak wspólny wróg.

Huldar udał, że nie słyszy, Erla zaś poleciła Dagmar kontynuować zeznanie. Kobieta znów się zwróciła do niej.

– Już pani wszystko powiedziałam, zarówno wczoraj, jak i poprzedniej nocy, ale pani zdaje się trochę wolno myśli, więc powtórzę. – Sczesła do tyłu pasemko włosów, które jej się zsunęło na policzek. – Jak mówiłam, nie było moim zamiarem pozwolić Jónowi Jónssonowi wyrządzić krzywdę tej dziewczynce.

– Ma na imię Karlotta. – Erla spojrzała Dagmar prosto w oczy. – Niech się pani postara je zapamiętać.

– Karlotta. Raczej pretensjonalne imię, nie sądzi pani? Ale nieważne. Chciałam tylko, żeby ten jej nikczemny ojciec usłyszał, jak krzyczy. Tak jak Vaka krzyczała. Gdy tylko Jónsson był gotowy, żeby... – Zawahała się, jakby nagle skrepowana, szybko jednak się otrząsnęła i kontynuowała

z poprzednią swadą: – Gdy się przygotowałam do swojego czynu, odepchnęłam go. Był tak pijany, że nie miał siły protestować. Głęboko żałuję, że nie zabiłam go wtedy od razu, skoro był pod ręką. Zadowolona się pozbawieniem go przytomności i zamierzałam poczekać, aż się ocknie, i dopiero wtedy przynieść piłę.

– No tak, piłę. – Erla zanotowała coś, a młody adwokat pobladł.

– Chciałbym porozmawiać na osobności z moją klientką.

– Och, niech pan przestanie, dobrze? Jest pan tu po to, żeby formalnościom stało się zadość. Nieważne, co powiem ani co zrobię. I tak dostanę zwyczajowe szesnaście lat.

– To nie jest prawda. Można też dostać dwadzieścia lat albo dożywocie. Z faktu, że takiego wyroku nigdy jeszcze nie zasądzono, nie należy wnioskować, że teraz nie może zapaść. – Adwokat spojrzał na Huldara i Erlę, apelując o wsparcie, ale na próżno. To Dagmar powinna chronić swoje interesy. Jeśli będzie chciała wyrzucić prawnika, to proszę bardzo.

Dagmar przewróciła oczami.

– Ple, ple, ple. Czy mogę kontynuować?

– Tak, proszę – włączył się Huldar. – Niech nam pani opowie o swoich relacjach z Jónem Jónssonem. Jak sprowadziła go pani na miejsce?

– To było proste. Korespondowałam z nim. Kazałam nadrukować na kopertach nazwisko jego prawnika i adres naszego salonu fryzjerskiego, żeby wyglądały oficjalnie, i umieściłam nazwisko prawnika na naszej skrzynce pocztowej. Nikt nie zauważył. W listach zapewniałam, że go rozumiem. Kopiowałam znajdowane w internecie wypowiedzi, w których ludzie twierdzą, że pedofilia jest równoprawną orientacją seksualną. Dał się na to złapać, a ja dalej go picowałam obietnicami, że dostarczę mu materiał, który zaspokoi jego potrzeby i prawdziwe dzieci będzie mógł zostawić w spokoju. Gdybym go zapewniała, że dostarczę mu dzieci, mógłby mnie przejrzeć. A tak wierzył, że znalazł bratnią duszę. Kobieta, którą pociągają więźniowie.

Dagmar zamilkła, z zadowoleniem patrząc to na Huldara, to na Erlę. Jakby oczekiwała od nich pochwały za swój spryt. Gdy zamiast aprobaty spostrzegła kamienne twarze, poddała się, pokręciła niedbale głową i kontynuowała swoją opowieść.

– Trochę się martwiłam, że mnie rozszyfruje, ale niepotrzebnie. Przecież on nie miał nikogo innego, do kogo mógłby się zwrócić. Tonący nie będzie się zastanawiał, czy koło ratunkowe, które ktoś mu rzucił, jest odpowiedniej

jakości.

– A po wyjściu z więzienia?

– Umówiliśmy to w ostatnich listach. Miał do mnie zatelefonować po przyjeździe do miasta. Obiecałam się nim zająć, dopóki nie stanie znów na nogi. – Dagmar zaśmiała się ponuro. – Poszło jak po maśle. Zadzwoił z budki telefonicznej i pojechałam go odebrać. Na przednim siedzeniu miałam butelkę whisky. Powiedziałam, że to dla uczczenia jego wyjścia na wolność. Wahał się trochę, czym mnie zmartwił. Obawiałam się, że jeśli będzie trzeźwy, to w końcu się zorientuje, bo przecież mnie widział na rozprawie. Ale obawy się rozwiały, gdy odkręcił butelkę i pociągnął spory łyk. Potem było już z górki. Zawiozłam go do przygotowanej kryjówki, gdzie Orri i ja przyszykowaliśmy mu materac, zapasy alkoholu, pożywienie, grzejnik elektryczny i sporo obrzydliwych materiałów, które wydrukowaliśmy z internetu wiele lat temu. To było wszystko, czego potrzebował, i nie musieliśmy się nim przejmować. Chociaż zabrałam mu buty, żeby nie wywędrował na zewnątrz, i zamknęłam pomieszczenie, w którym trzymaliśmy Yngviego. Zaznaczam, że wtedy już Yngvi przestał krzyczeć, bo był prawie martwy. Potem wziął i umarł. – Dagmar wypiła łyk wody. – To była pomyłka, prawdę mówiąc.

– W jakim sensie pomyłka? – Erla spojrzała znad notatek, które robiła podczas wypowiedzi.

– Byliśmy przekonani, że Jón Jónsson zostanie zwolniony wcześniej. Ale zakończenie wyroku opóźniło się z jakiegoś powodu i musieliśmy się męczyć z tym cholernym Yngvim przez całe dwa miesiące.

– Dlaczego chcieliście na niego czekać? – Huldar zakładał, że zostało to wyjaśnione w jej zeznaniach poprzedniego dnia, ale nie był pewny, ponieważ zapoznał się z nimi tylko pobieżnie. – Dlaczego nie dokonaliście tych morderstw dwa miesiące wcześniej? Planowaliście to wszystko tak długo, nie widzę więc powodu, aby dwa miesiące w tę czy w tamtą robiły różnicę.

– Z dwóch powodów, mój ulubiony gliniarzu. Po pierwsze, od początku chcieliśmy, żeby to wyglądało, jakby Jón Jónsson ich zabił. Po drugie, wszystkie morderstwa musiały się dokonać w bardzo krótkich odstępach. To zmniejszało ryzyko, że zostaniemy złapani, zanim skończymy, co niestety się stało. Chciałabym jeszcze załatwić tę sukę Sólveig i oczywiście to był błąd, że Jónsson przeżył. To wina policji. Gdybyście przyjechali pół godziny później, zdążyłabym go pociąć na małe kawałeczki. Na oczach

Thorvaldura, żeby się biedak nie nudził.

– Także na oczach jego dzieci?

Dagmar wzruszyła ramionami.

– Nie, chyba nie. – Adwokat przyjął tę odpowiedź z ulgą. – Ale jedno mogę powiedzieć, panie Marlboro Man. – Dagmar posłała mu szeroki uśmiech i zdawała się niezrażona, gdy nie odpowiedział tym samym. Najwyraźniej ją to bawiło. – Wtedy już było mi wszystko jedno, czy te morderstwa zostaną przypisane Jónssonowi czy nie. Było mi wszystko jedno, co się stanie potem. Ale Orri czuł inaczej.

– Jest pani tego pewna? – zapytała Erla, zanim Huldar zdążył zareagować. Irytowały ją ciągle aluzje Dagmar do incydentu z papierosem. – Bo wydaje mi się, że gdyby nie nasze przybycie, to usunęłyby pani wszystkie swoje odciski palców i inne dowody swojej obecności, podobnie jak zrobił to pani były mąż.

– Nie, myli się pani. Gdyby nam się udało ich zabić, byłabym usatysfakcjonowana. Mogłabym umrzeć spokojnie. Bo widzi pani, po śmierci Vaki coś pękło. Przedtem byłam szczęśliwa. Kochałam ją nad życie, kochałam Orriego i żyliśmy razem, nikomu nie szkodząc. A potem jej zabrakło. Tamtego ranka wszyscy się śpieszyliśmy, nie znaleźliśmy czasu, żeby z nią porozmawiać, pocałować ją i powiedzieć, że ją kochamy. Tylko ją uspokajaliśmy, bo się denerwowała przed pierwszym dniem w nowej szkole. Ostatnie słowa, które do niej skierowałam, dotyczyły łyżeczki. Żeby jej nie zgubiła. Wyobraża sobie pani? Głupiej łyżeczki. – Jej arogancja niemal zupełnie zniknęła, zostawiając tylko przygnębienie. – Zanim Thröstur do nas przyszedł, obydwójce traciliśmy wolę życia. Nie potrafiliśmy rano wstać z łóżka. Potrafiliśmy myśleć tylko o tym, przez co przeszła Vaka. Nasza kochana córeczka. Miałam mdłości, ilekroć wyobrażałam sobie, jak ten potwór jęczał, a ona płakała. Jej płacz stał się ścieżką dźwiękową naszego życia. Orri nie wymiotował, ale dostawał ataków furii z byle powodu.

Erla i Huldar milczeli. Oczywiście, że żadne dziecko nie powinno tracić życia w taki przerażający sposób, zgwałcone, oszołomione i przerażone. Ale też ta śmierć nie usprawiedliwiała tego, co po niej nastąpiło. Dagmar opanowała się i mówiła dalej.

– Potem przyszedł Thröstur. Tamten wieczór stał się punktem zwrotnym. Wyznaczył nam nowy cel. Zemstę. Naszą misją stało się wymierzyć karę wszystkim tym, którzy przedłożyli własny interes nad dobro dzieci, które

mieli chronić. Czy może istnieć większa podłość? Moim zdaniem nie. Orri też się ze mną zgadza. Nie wiem, jak państwo, ale wy nie musieliście przechodzić przez to co my.

Dagmar znów zamilkła i zapadła cisza. Adwokat siedział coraz bardziej poruszony, ale już wiedział, czym się kończy przerywanie.

– Gdy słuchałam opowieści Einara, coś we mnie pękło. W nas obydwójgu. Miałam wrażenie, że stoimy na krawędzi, wpatrując się w czeluść. Wiedziałam, że jeśli w nią wkroczymy, to zaspokoimy nasze pragnienie zemsty, nasz gniew. Już nie będziemy musieli walczyć, żeby go pokonać, skończy się powtarzanie, że trzeba iść do przodu i znów się uśmiechać. Wyobrażacie sobie, że właśnie tego wszyscy oczekują? – Ponieważ nie odpowiadali, mówiła dalej. – To była szansa, żeby całą naszą energię poświęcić na coś dokładnie odwrotnego, na pielęgnowanie nienawiści. Zrozumiałam to w jednej chwili. Podniosłam młotek, a potem już nie było odwrotu.

– Gdzie był wtedy Orri?

– W korytarzu. Wszedł, gdy Einar skończył mówić. Ale się nie wściekł na to, co się stało. O nie! Był zadowolony, jak zobaczył. Nieważne, co mówi teraz. Na tyle zadowolony, żeby pozytywnie zareagować na pomysł wykończenia ich wszystkich po wypuszczeniu Jónssona. Byliśmy zdecydowani, żeby to zrobić. Oczywiście omawialiśmy za i przeciw, ale niebawem zaczęliśmy zbierać wszystko, co mogło się potem przydać. Wątpię, czy bylibyście w stanie nas namierzyć po ponad dziesięciu latach. – Omiotła wzrokiem twarze Erli i Huldara, jakby oczekując pochwały za tę zapobiegliwość, ale detektywi zachowywali obojętność, podjęła więc: – Kupiliśmy wszystko, co było potrzebne, nawet alkohol dla Jónssona. Ustaliliśmy już wtedy, jak każde z nich ma umrzeć. I nie miała to być szybka śmierć, o nie. Mieli umierać długo, dokładnie wiedząc, co ich czeka, żeby cierpieli. Z perspektywy czasu uważam, że kwas siarkowy był najbardziej spektakularny. Założę się, że Kolbeinn by to potwierdził. – Uśmiechnęła się z dumą, po czym uniosła brwi najwyraźniej zaskoczona brakiem entuzjastycznej reakcji obecnych. – Krótco po opracowaniu naszego planu podjęliśmy decyzję o rozwodzie, żeby uniknąć podejrzeń, gdy nadejdzie czas. Ponieważ nikt nie potrafiłby przeprowadzić takiej operacji w pojedynkę. Trudna decyzja, bardzo trudna. Kochaliśmy się, ja jego i on mnie. Ale to była cena, którą musieliśmy zapłacić. Po rozwodzie wszyscy

myśleli, że jesteśmy zaprzysięgłymi wrogami, a my spotykaliśmy się dwa razy do roku, żeby przedyskutować plany. Przy grobie Vaki, w dzień jej urodzin i w rocznicę śmierci. Potem, gdy Jonson napisał, że wychodzi, zadzwoniłam do Orriego z telefonu koleżanki i spotkaliśmy się wieczorem w Parku Narodowym Heidmörk, żeby rozdzielić zadania i dogadać szczegóły.

– Zdaje się, że zostawił panią z najważniejszymi zadaniami? – Erla sięgnęła po dzbanek z wodą i napełniła do połowy opróżnioną szklanę Dagmar. – Czy może się nie wywiązał ze swoich?

– Przyjął odpowiedzialność za wiele rzeczy. Załatwił kwaterę, pomógł mi porwać sędziego i przewieźć go na miejsce, wspólnie przygotowaliśmy śmierć Benedikta Tofta w garażu. Ale potem stracił odwagę. Twierdził, że ma dużo pracy i że jeśli zacznie się nami interesować policja, to on będzie znacznie bardziej podejrzany niż ja. Później z kolei wpadł w panikę, bo Jónssona ktoś zauważył koło domu. Próbowałam ratować sytuację, udając w komisariacie, że go spotkałam na ulicy. Chciałam uspokoić Orriego, ale też chodziło mi o to, żeby policja szukała go tutaj, w Reykjavíku, a nie za miastem. Uważam, że całkiem nieźle sobie poradziłam z odgrywaniem kobiety na skraju załamania nerwowego. Kiedyś nią byłam, ale to już przeszłość.

Huldar splótł otarte dłonie za głową. Wyglądało na to, że Orri postępował bardzo ostrożnie, starając się nie zostawiać żadnych śladów, które by go obciążały. Być może na początku był tak samo bojowy jak Dagmar, ale potem, co sama przyznawała, zaczął tracić odwagę, gdy zdał sobie sprawę, że jego byłej żonie zrobiło się wszystko jedno, czy ich złapią; wtedy podjął decyzję, żeby się skontaktować z Freyją i podać jej własną wersję wydarzeń, zanim będzie za późno. Faktycznie, to dzięki niemu zdążyli uratować Thorvaldura i jego dzieci.

– Proszę się mocno zastanowić, żeby wskazać nam wszystko, co łączy pani byłego męża z tymi przestępstwami. Czy ktoś go słyszał lub widział? Czy jest jakieś narzędzie, na którym znajdziemy jego odciski palców? Albo cokolwiek innego, co potwierdzi pani słowa? Ponieważ on opowiedział nam zupełnie inną historię. Zeznał, że uznawał to wszystko za fantazje, które pani snuła, a udostępniając pani ten budynek, nie miał pojęcia, co chce pani w nim robić. Mamy więc pani słowo przeciwko jego słowu, i jest całkiem możliwe, że zostanie potraktowany znacznie łagodniej, niż zasłużył. A tego by pani

chyba nie chciała. W końcu nie kto inny jak on przyjechał po Vakę za późno. Gdyby o czasie odebrał ją ze szkoły, wszystko potoczyłoby się inaczej.

Dagmar pochyliła się w stronę Huldara.

– Wie pan co, panie palący? Gwiżdżę na to. Orri nie utknął w korku z własnej winy. Jeśli o mnie chodzi, może się wykręcić sianem. Jónsson też. I Sólveig, i Thorvaldur. Ale dostaną to, na co zasłużyli. Nie mam nic lepszego do roboty przez najbliższe kilkanaście lat, mogę więc spokojnie wymyślać, jak powinni zakończyć życie.

Adwokat nie wytrzymał.

– Doradzam, żeby pani się już nie odzywała ani słowem. – Spojrzał na Erlę. – Proszę tego nie zapisywać. Moja klientka nie mówiła poważnie. Proszę umożliwić mi rozmowę z nią w cztery oczy. Natychmiast.

Erla zebrała notatki.

– Proszę bardzo – zgodziła się. Huldar też się zebrał do wyjścia, ale w drzwiach jeszcze się odwrócił, gdy Dagmar go zawołała.

– Hej, Marlboro Man! Znowu tak wiele nas od siebie nie różni. Kwestia stopnia zaangażowania. Na moim miejscu zrobiłby pan to samo.

Huldar nie odpowiedział. Poczul, że musi natychmiast umyć twarz albo lepiej wziąć gorący prysznic. Słowa Dagmar wytrąciły go z równowagi. Najwyższy czas, żeby zapanował nad swoim życiem.

Poszedł za Erlą na górę. Przyrzekł sobie w duchu, że w gabinecie opowie jej przebieg rozmowy z przedstawicielami wydziału spraw wewnętrznych, tym samym kładąc kres intymnej relacji między nimi. Z zaskoczeniem stwierdził jednak, że zaczyna żałować. Ale na żal było za późno. Skupi wszystkie swoje wysiłki na Freyi. Spędziła z nim w samochodzie ponad godzinę po drodze na miejsce zbrodni i dobrze im się rozmawiało, mimo że tę podróż wymusiły okoliczności. Kto wie, może jeszcze Freyja pójdzie z nim nad jezioro karmić kaczki. Miał przeczucie, że jeśli osiągnie aż tyle, to bitwa będzie wygrana.

Epilog

Opuścili trumnę do grobu. Najwidoczniej mieli w tym wprawę: ani razu nie przechyliła się na bok, nie wylądowała też z łoskotem na dnie. Zabrali liny, cofnęli się nieco i stali prosto z poważnymi minami, aż duchowny z Biblią w ręku powie kilka słów. Ani jedno z tych słów nie docierało do Thröstura. Jako jedyny przyszedł na ponowny pogrzeb, chociaż na pierwszym były tłumy. Mało kto ze znanych osobistości, które zapełniały wtedy ławki w kościele, chciałby dzisiaj, żeby kojarzono go ze zmarłym – jeśli w ogóle ktokolwiek. Jak oni musieli teraz żałować tych pochwał, których nie szczędzili mu w nekrologach. Bo też mieli czego żałować.

Początkowo Thröstur nie zamierzał przychodzić, podjął tę decyzję w ostatniej chwili. Uznawał, że ta ceremonia jest zakończeniem długiej podróży, którą rozpoczął wiele lat temu w komisariacie policji w Hafnarfjörður. Tak się złożyło, że ani jego, ani matki, ani Sigrún nie poinformowano o terminie ponownego pogrzebu, ponieważ nikt nie oczekiwał, że będą chcieli w nim uczestniczyć. Dowiedział się o nim od mieszkającej w Norwegii córki Einara. Zadzwoiła i akurat on odebrał. Rozmowa dotyczyła nie tylko pogrzebu. Jeśli mówiła prawdę, to jej ojciec był prawdziwym potworem. To Thröstura nie zdziwiło, natomiast z zaskoczeniem przyjął informację, że w dzieciństwie ona i jej brat także byli wykorzystywani seksualnie przez ojca. Najbardziej jednak zdziwił się na wieść, że Einar prawdopodobnie wykorzystywał też swojego pasierba Jóna.

To wyjaśniało wszystko, ale też nie wyjaśniało niczego.

Dlaczego podobne doświadczenia kształtują tak różnych ludzi? Brat tej kobiety, syn Einara, popełnił samobójstwo po długiej walce z depresją. Nie miała wątpliwości, co ją wywołało. Ona sama uwolniła się jakoś od koszmarów dzieciństwa, choć nie sądziła, żeby kiedykolwiek miała całkowicie je pokonać. Jón, ojciec Thröstura, zaczął pić i stał się takim samym potworem jak człowiek, który go ukształtował. Także następne pokolenie reagowało różnie: Sigrún uciekała od świata jak najdalej, podczas

gdy on pokazywał światu środkowy palec i nie wiedział, jak przestać.

Podczas tej rozmowy wyjaśniło się jedno: dlaczego Einar nie odwrócił się od swojego pasierba, gdy Thröstur jako mały chłopiec szukał pomocy na policji. Nie chodziło tylko o uniknięcie skandalu w rodzinie. Obawiał się, że pasierb ujawni podczas śledztwa, jak sam w dzieciństwie był przez niego traktowany. Dziwne, że Jón nie zrobił tego później, gdy stanął przed sądem za morderstwo, ale może zdawał sobie sprawę, że to nie zmieni wymiaru kary.

Rozmowa telefoniczna trwała krótko. Gdy przyszywana krewna zrzuciła z siebie cały ten ciężar, zamienili jeszcze tylko kilka słów – mimo wspólnoty doświadczeń. Ale takie jest życie. Ze swoimi smutkami każdy musi zostać sam: i on, i Sigrún, i także ta kobieta z Norwegii. Każde z nich musiało znaleźć własną receptę, jak sobie z nimi radzić. Wspólne działanie nie dodałoby siły żadnemu z nich.

Dlatego tu przyszedł. W żalostnej próbie odwetu na zmarłym, z którym miał zadawnione porachunki. Dozorca cmentarza nie wiedział, jak się zachować, gdy zdał sobie sprawę, że ten, który wykradł trumnę, chce się teraz przyglądać, jak wraca ona na właściwe miejsce. Ostatecznie, jak to zwykle czynią ludzie, poszedł po linii najmniejszego oporu i udawał, że nie wie, kim jest Thröstur. Z kolei duchowny i grabarze naprawdę tego nie wiedzieli, nie zadawali żadnych pytań i najwyraźniej chcieli jak najszybciej zakończyć całą ceremonię.

Duchowny zatrzasnął Biblię, skinął na jedyne żałobnika i odsunął się od grobu. Thröstur stanął na deskach, które położono po obydwu stronach wykopu. Zastanawiał się, czy kradzież trumny była dobrym pomysłem, czy raczej tylko pogorszyła jego problemy. Nie mógł się zdecydować.

Jego celem było doprowadzenie do sekcji zwłok Einara, żeby policjanci uwierzyli mu potem, gdy w końcu powie im, kto zadał śmiertelny cios. Ponieważ nikt w całym wymiarze sprawiedliwości dotychczas go nie słuchał, nie miał powodu oczekiwać, że tym razem będzie inaczej. Nie chciał jednak ryzykować, że on albo Sigrún zostaną oskarżeni o współudział w krwawej jatce Dagmar i Orriego. Oboje z siostrą byli idealnymi kandydatami na podejrzanych, ponieważ mieli wszelkie powody, żeby życzyć ofiarom śmierci. Przede wszystkim zaś przerażali go Dagmar i Orri, bał się ich od tamtego fatalnego wieczoru. Po rozprawieniu się z jego tak zwanym dziadkiem Dagmar powiedziała mu, że nie zamierza na tym poprzestać, robił

więc w portki ze strachu, że ta kobieta będzie chciała się pozbyć także Sigrún i jego. Para morderców wydawała się zdolna do wszystkiego.

Dopiero teraz ten strach przygasał. Przestał paraliżować go tak jak na początku. Pierwszy rok po zamordowaniu dziadka był najcięższy. Ilekroć próbował zasnąć, miał przed oczami parę małżonków włamujących się do pokoju. Dręczyło go utrzymywanie w tajemnicy powodu śmierci dziadka oraz planu, który poznał z ust jego morderczyni. Z czasem strach nie pozwalał mu się skupić, zaczął mieć kłopoty w szkole. Całe jego życie upływało w cieniu tamtych wydarzeń. Uwolnił się od nich, dopiero gdy wpadł na pomysł, żeby zrzucić z siebie ten ciężar, powierzając go kapsule czasu. Świadomość, że jego list z tą informacją czeka głęboko w ziemi, żeby kiedyś ujrzeć światło dzienne, dawała mu pewien komfort. Gdyby zginął, zanim małżonkowie wykończą pozostałe ofiary, list mógłby pomóc w odnalezieniu sprawców. Nawet nie dopuszczał do siebie myśli, że zabiliby go bezkarnie. Ale wtedy jeszcze się nie odważył ujawnić ich planów. Jeszcze nie.

Oczywiście Thröstur chciał, żeby im się udało. Jego żądza zemsty była równie wielka jak ich i nawet nie próbował sobie wmówić, że jest inaczej. Tyle tylko, że on pragnął dodatkowo, aby małżonków po tym wszystkim złapali. Problem polegał na znalezieniu odpowiedniego momentu na powiadomienie policji, nie za wcześnie i nie za późno. Sprawdził, w jakiej sytuacji prawnej by się znalazł, gdyby krył ich zbyt długo, wiedział więc, że nie byłaby to dobra sytuacja. Dlatego nie dał im czasu na skończenie misji. Niestety więc Sólveig nie cierpiała jak robak zmiażdżony pod butem bezlitosnego dziecka. Ale niczego innego raczej nie żałował.

Oglądał trumnę na dnie wykopu. To była ta sama trumna, którą wspólnie z tchórzliwą matką wykopali kilkanaście dni temu. Podczas rozmowy telefonicznej córka Einara napomknęła, jak bardzo ją rozśmieszyło pytanie władz, czy chciałyby kupić ojcu nową.

Patrzył na zniszczone wieko. Pod nim leżały początek i koniec wszystkich jego problemów. Zamknął oczy i wziął głęboki oddech. Przypomniał sobie, oby po raz ostatni, ten moment, gdy otworzył drzwi do pokoju Sigrún w tym dniu, w którym Vaka przyszła skorzystać z telefonu. Zobaczył, jak jego siostra z twarzą opuchniętą od łez siedzi przy łóżku, czesząc włosy dziewczynki swoją szczotką. Usłyszał swój własny zbolący krzyk, gdy uniósł kołdrę i dotarło do niego, że Vaka nie żyje. Wystarczył mu rzut oka na

stróżkę krwi, żeby pojąć, do czego doszło. Z własnego doświadczenia wiedział, co ta krew oznacza.

Thröstur mocniej zacisnął oczy. To był ostatni raz, kiedy pozwalał sobie na te wspomnienia. Potem stąd wyjdzie i zacznie nowe życie. Przypomniawszy sobie głos Sigrún, która szlochając histerycznie, powiedziała mu, że Vaka nie chciała przestać płakać. Płakała i płakała, i płakała, a Sigrún musiała przecież ją powstrzymać, żeby ojciec nie usłyszał, bo mógłby wrócić. Potem podniosła poduszkę, a dziewczynka się nie ruszała i miała niebieską twarz, a ona od tamtej pory nie może jej obudzić.

To był dla niego wielki szok. Nie potrafił zrozumieć, jakim cudem wystarczyło mu przytomności umysłu, żeby wziąć tę poduszkę, zanieść ją do sypialni, w której jak kłoda leżał otumaniony alkoholem ojciec, i przyłożyć ją do jego bezwładnych rąk w nadziei, że się odbiją odciski palców. Udało się. Wrócił do pokoju Sigrún, położył poduszkę na twarzy dziewczynki, a potem chwycił swoją siostrę za ramiona i powiedział jej, że niczego nie zrobiła. To ich ojciec zabił jej koleżankę. Ona sama siedziała wtedy schowana w kredensie, a teraz miała do tego kredensu wrócić i czekać tam, aż ktoś otworzy drzwi. Możliwe, że potrwa to bardzo długo, a przez ten cały czas, siedząc w ciemności, ma myśleć o tym, jak ich ojciec położył poduszkę na twarzy tej dziewczynki. Bo to był ojciec, nie ona. Po prostu źle zapamiętała. Nie wolno jej pisać o tym słowa. Nigdy przenigdy. Potem zamknął ją w kredensie i poszedł do swojego pokoju.

Do dzisiaj nie wiedział, czy Sigrún zdołała wtedy skutecznie wyprać sobie mózg, czy pamiętała, co się naprawdę wydarzyło. Bardziej niż cegokolwiek innego pragnął, żeby jego siostra wierzyła, że to ojciec zawinił. Bo to w sumie była jego wina.

I człowieka w tej trumnie.

Thröstur otworzył oczy. Rozejrzył się dookoła. Duchowny i grabarze niecierpliwie czekali. Thröstur rozpiął rozporek i oddał mocz na trumnę.

Kiedy skończył, wrócił po deskach na ścieżkę. Oburzenie i odraza na twarzach stojących tam mężczyzn nie miały dla niego znaczenia. Ruszył w stronę wyjścia, czując się pogodzony z życiem bardziej niż kiedykolwiek przedtem.